

BESTSELLER *NEW YORK TIMES*'A

„Uzależniająca” - *Entertainment Weekly* o serii *Odcienie Magii*

V I C I O U S



NIK CZEMNI

V . E .
S C H W A B



V I C I O U S

N I K C Z E M N I

V. E.
S C H W A B

V I C I O U S



NIK CZEMNI



Przekład
Maciej Studencki

Tytuł oryginału: *Vicious*

Copyright © 2013 by Victoria Schwab

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Maciej Studencki, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: Alicja Laskowska

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Will Staehle

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Daria Górecka

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-7976-182-1

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 8532519

redakcja@weneedy.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

1. WODA, KREW I TO, CO GĘSTSZE

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
XXVIII
XXIX
XXX
XXXI
XXXII
XXXIII
XXXIV
XXXV
XXXVI

2. PONADPRZECIĘTNY DZIEŃ

I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI

XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
XXVIII
XXIX
XXX
XXXI
XXXII
XXXIII
XXXIV
XXXV
XXXVI

PODZIĘKOWANIA

*Dla Miriam i Holly, które ciągle udowadniają,
że są PonadPrzeciętne*

*Życie – takie, jakim jest naprawdę –
to walka nie między złym a dobrym,
lecz między złym, a jeszcze gorszym.*

– Josif Brodski

1

WODA, KREW I TO, CO GĘSTSZE

I

POPZREDNIEJ NOCY CMENTARZ MERIT

Victor poprawił łopaty niesione na ramieniu i ostrożnie przekroczył stary, na wpół zapadnięty grób. Jego płaszcz lekko falował w rytm kroków, muskając kolejne mijane nagrobki. Przechodząc między ich rzędami, mężczyzna nucił pod nosem melodię, która niosła się przez cmentarz Merit niczym poszum wiatru. Sydney zadrżała na ten dźwięk, próbując nadażyć za Victorem w zbyt dużym płaszczu, niebieskich legginsach i zimowych butach. Przemykając ukradkiem przez cmentarz, wyglądali oboje jak duchy. Z blond włosami i jasną cerą mogli uchodzić za brata i siostrę, a może nawet ojca i córkę, jednak nie łączyło ich żadne pokrewieństwo. Taka sytuacja była im na rękę: Victor nie miał ochoty wyjaśniać każdemu, że uciekł z więzienia, a zaraz potem zabrał z pobocza przemoczoną deszczem dziewczynę, która niedawno zarobiła kulkę w ramię. Zdawało się, że zetknął ich kapryśny los. W gruncie rzeczy Victor zaczął wierzyć w przeznaczenie tylko z powodu spotkania z Sydney.

Przestał nucić, postawił stopę na płycie nagrobnej i sprawdził, czy coś lub ktoś nie czai się w otaczającej ciemności. Nie posłużył się wzrokiem, lecz tym, co kryło się pod skórą, co tętniło w jego żyłach. Mógł przestać nucić, ale uczucie nie minęło, dając o sobie znać leciutką, elektryzującą wibracją,

którą tylko on słyszał, wyczuwał i potrafił odczytywać. Wibracją, która mówiła mu, czy ktoś znajduje się w pobliżu.

Sydney zauważyła, że się zawahał.

– Jesteśmy sami? – zapytała.

Victor mrugnął. Chwila zawahania minęła, wrócił właściwy mu spokój. Zdjął but z nagrobka.

– Tak, tylko my i martwi ludzie.

Poszli dalej, ku sercu cmentarza. Łopaty na ramieniu Victora cicho stuknęły, obijając się o siebie. Sydney kopnęła kamienny odłamek nagrobka. Z jednej strony miał wyryte jakieś litery układające się w słowa. Zanim zdążyła pomyśleć, że chciałyby wiedzieć, co na nim napisano, kamień potoczył się już w zarośla, a tymczasem Victor oddalił się od niej, żwawo maszerując między mogiłami. Podbiegła, by za nim nadażyć, kilka razy prawie się potykając na zamarzniętej ziemi. Mężczyzna zatrzymał się raptownie i popatrzył na jeden z grobów. Pogrzeb odbył się niedawno: grunt wyglądał na świeżo przekopany, a u szczytu wetknięto w ziemię prowizoryczną tabliczkę na czas przygotowania trwalszego nagrobka.

Sydney cicho jęknęła; ten nerwowy dźwięk nie miał nic wspólnego z kłuszącym mrozem. Victor obejrzał się przez ramię i uśmiechnął do niej blado.

– Weź się w garść, Syd – poradził jej. – Zaraz się zabawimy.

Prawdę mówiąc, jemu też nie podobały się cmentarze. Nie lubił martwych ludzi, przede wszystkim dlatego, że nie miał na nich wpływu. Sydney wręcz przeciwnie, nie lubiła ich, ponieważ miała na nich ogromny wpływ. Skrzyżowała ramiona ciasno na piersi i dłonią w jednopalczastej rękawiczce potarła ramię

w miejscu, gdzie ją postrzelono. Ten gest powoli zaczynał wchodzić jej w nawyk.

Victor odwrócił się i wbił jeden ze szpadli w ziemię, a drugi rzucił dziewczynie, która zdążyła wyciągnąć ramiona na czas, żeby złapać łopatę, sięgającą jej niemal do czubka głowy. Sydney Clarke była dość drobna jak na prawie trzynaście lat; dokładnie dwanaście lat i jedenaście miesięcy. Zawsze była niższa od rówieśników i nie zmieniał tego fakt, że od dnia, kiedy umarła, urosła o ponad dwa centymetry.

Teraz dźwignęła łopatę, krzywiąc się z wysiłku.

– Chyba żartujesz – powiedziała z niezadowoleniem.

– Im szybciej skończymy kopać, tym szybciej wrócimy do domu.

Nie tyle do prawdziwego domu, co do apartamentu hotelowego, pełnego kradzionych ubrań Sydney, czekoladowego mleka Mitcha i teczek Victora, ale to nie było w tej chwili najważniejsze. Teraz dom mógł oznaczać dowolne miejsce, byle nie był to cmentarz Merit. Sydney spojrzała na grób, zaciskając palce na trzonku szpadla. Victor zaczął już kopać.

– A co, jeśli... – tu przełknęła głośno – co, jeśli inni ludzie przypadkiem też się obudzą?

– Ależ nie obudzą się – uspokajał Victor kojącym tonem. – Skup się tylko na tym jednym grobie. Poza tym – zerknął na nią znad łopaty – od kiedy to akurat ty boisz się zmarłych?

– Wcale się nie boję – rzuciła za szybko i zbyt gwałtownie, tak jak zwykle robi to ktoś, kto musiał współzawodniczyć ze starszym rodzeństwem. W jej przypadku te tak było, tyle że nie była młodszą siostrą Victora.

– Popatrz na to w ten sposób: nawet jeżeli ich obudzisz, i tak nigdzie nie pójda – zakpił, wysypując kolejną porcję ziemi na

trawę. – A teraz kop.

Sydney schyliła się, krótkie blond włosy opadły jej na oczy, i zaczęła kopać. Pracowali we dwoje w ciemnościach. Victor od czasu do czasu nucił pod nosem, a poza tym dźwiękiem było słychać tylko łomot łopat.

Łup.

Łup.

Łup.

II

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Victor przekreślił czarną, prostą linią słowo „cudowny”.

Papier, na którym wydrukowano książkę, był dość gruby, by tusz czarnego flamastra nie przebijał na drugą stronę, przynajmniej dopóki nie przyciskał go zbyt mocno. Victor przestał wykreślać, jeszcze raz przeczytał tekst po zmianach i skrzywił się, kiedy metalowy ornament ogrodzenia otaczającego uniwersytet Lockland wpił mu się w plecy. Uczelnia szczyciła się stylem swojego kampusu, którzy przypominał country club skrzyżowany z posępną neogotycką posiadłością. Projektanci ozdobnego ogrodzenia z kutego żelaza próbowali stworzyć symbol, który oddawałby jednocześnie ekskluzywny charakter uczelni i jej staroświecką estetykę, lecz zamiast tego wyszło im dzieło przytłaczające i pretensjonalne. Przypominało Victorowi elegancką klatkę.

Przesunął się nieco i poprawił leżącą na kolanie książkę, podziwiając jej grubość i obracając pisak w palcach. Był to poradnik, piąta część z serii, autorstwa światowej sławy małżeństwa Vale, doktorów nauk humanistycznych. Tej samej pary, która niedawno ruszyła w międzynarodową trasę promocyjną, i tej samej, która dawno temu, jeszcze zanim zyskała status autorów bestsellerów i guru rozwoju osobistego,

mimo wypełnionych do granic możliwości terminarzy znalazła dość czasu, by powołać do życia Victora.

Przekartkował strony, aż znalazł miejsce, w którym ostatnio skończył, i zaczął czytać. Po raz pierwszy nie skreślał tekstu w książce rodziców wyłącznie dla przyjemności. Nie, tym razem robił to na zaliczenie! Victor nie mógł powstrzymać uśmiechu. Z olbrzymią dumą przycinał dzieło państwa Vale, skracając rozbudowane rozdziały o rozwoju osobistym do prostych, niepokojących komunikatów. Zaczerniał tekst w książkach rodziców od ponad dekady; zaczął w wieku dziesięciu lat i przez cały ten czas traktował to jako mozolne, ale nader satysfakcjonujące zajęcie. Mimo to do niedawna nie przyszło mu do głowy, by potraktować je jako szkolny projekt, za który może otrzymać punkty. Tymczasem na uniwersytecie Lockland wszyscy mieli obowiązek zaliczenia projektu artystycznego, nawet studenci i doktoranci nauk ścisłych. Tydzień wcześniej Victor przypadkowo zostawił podczas lunchu jedną z książek potraktowanych flamastrem na wydziale sztuki. Kiedy po nią wrócił, zastał nad nią wykładowcę. Oczekiwał reprimendy za niepoważne traktowanie dóbr kultury lub marnowanie grubego, kosztownego papieru, jednak nauczyciel zinterpretował niszczenie literatury jako działanie artystyczne, dostarczając Victorowi gotowego uzasadnienia tej dewastacji, w którym powtarzały się terminy takie jak „ekspresja”, „tożsamość”, „sztuka ready-made” oraz „przekształcanie”.

Victor musiał tylko przytakiwać, a pod sam koniec przemowy wykładowcy podsunął mu określenie, które idealnie ją podsumowało: „pisanie od nowa”. Tym sposobem w jednej chwili załatwił sobie temat pracy zaliczeniowej ze sztuki na ostatnim roku studiów.

Końcówka pisaka skrzywnęła po papierze, kiedy rysował kolejną linię, zaczerniając kilka zdań na samym środku strony. Pod ciężarem książki zdrętwiało mu kolano. Gdyby to on chciał napisać poradnik, opublikowałby cienką, łatwą w odbiorze broszurkę, której rozmiary odzwierciedlałyby charakter zawartości... ale może niektórzy ludzie potrzebowali czegoś więcej? Może część czytelników przeglądała półki w księgarniach i bibliotekach, szukając jak najgrubszych tomów z założeniem, że więcej stron to skuteczniejsza pomoc psychologiczna? Przebiegł wzrokiem akapit i uśmiechnął się, gdy znalazł kolejny fragment do wykreślenia.

W chwili, gdy zabrzmiał dzwon, sygnalizujący zakończenie fakultatywnych zajęć artystycznych, Victor pozostawił z wykładu rodziców na temat udanego początku dnia tylko następujące słowa:

„Pamiętaj, żeby się [] Pogubić. Poddawaj się [] rezygnuj. [] Ostatecznie lepiej [] poddać się, zanim [] zaczniesz. [] Spadaj. [] A potem [] nie będzie cię obchodziło, [] czy w końcu [] odnajdziesz [] sens.”

Zaczerniał całe akapity, żeby wyszły mu poprawne zdania, a potem przypadkowo zamazał słowo „sens” i musiał prowadzić marker przez kolejne wersy, aż znalazł ten sam wyraz gdzie indziej. Ale opłaciło się: całe strony czerni, rozciągające się pomiędzy „czy w końcu”, „odnajdziesz” oraz „sens”, nadawały całości nowego zdania odpowiednio przygnębiający nastrój.

Victor usłyszał, że ktoś nadchodzi, ale nie uniósł głowy. Otworzył książkę na końcu, gdzie pracował nad innym zdaniem. Wykreślał kolejne akapity wers po wersie, powoli i jednostajnie, jakby w rytm oddechów. Kiedyś odkrył, że książka rodziców rzeczywiście może pomóc ludziom, ale nie

w taki sposób, jak zakładają autorzy. Victor przekonał się, że modyfikowanie oryginalnej treści za pomocą flamastra niezwykle go uspokaja, toteż traktował to jako swego rodzaju medytację.

– O, znowu niszczyliśmy własność szkoły?

To był Eli. Przezroczysta biblioteczna obwoluta wygięła się nieco, kiedy Victor przechylił książkę, pokazując przyjacielowi jej grzbiet, na którym wielkimi literami wydrukowano nazwisko VALE. Nie miał zamiaru płacić dwudziestu pięciu dolarów i dziewięćdziesięciu dziewięciu centów za nowe wydanie, skoro biblioteka w Lockland miała nieprzyzwoicie dużą liczbę poradników państwa Vale. Eli wziął od niego książkę i przekartkował ją pobieżnie.

– Być może... najlepszy... wybór... polega na tym... aby... aby odpuścić... zrezygnować... zamiast... marnować... słowa.

Victor wzruszył ramionami. Jeszcze nie skończył tego fragmentu.

– Zostawiłeś jedno „aby” za dużo, przed „odpuścić” – powiedział Eli, rzucając mu książkę z powrotem.

Victor złapał ją i zmarszczył brwi. Przesunął palcem po wersach nowego zdania, znalazł błąd i jednym gładkim ruchem wykreślił nadmiarowe słowo.

– Masz za dużo wolnego czasu, Vic.

– „Musisz znaleźć czas na to, co się liczy” – wyrecytował Victor. – „Na to, co cię określa: co stanowi twoją pasję, co służy twojemu rozwojowi, co pozwala ci tworzyć. Weź pióro w dłoń i napisz własną historię”.

Eli patrzył na niego przez dłuższą chwilę z uniesioną brwią.

– Coś strasznego – zawyrokował w końcu.

– To ze wstępu – wyjaśnił Victor. – Nie martw się, wykreśliłem to. – Przerzucił strony, odsłaniając pajęczą sieć pojedynczych słów, rozdzielonych rządkami grubych, czarnych linii, aż dotarł do początku książki. – Totalnie zamordowali Emersona.

Eli wzruszył ramionami.

– Teraz ta książka to mokry sen wączacza kleju – stwierdził.

Miał rację. Cztery grube flamastry, które Victor zużył, tworząc z poradnika dzieło sztuki, pozostawiły po sobie niewiarygodny smród, który artysta uznawał zarazem za urzekający i odpychający. Sam akt niszczenia wprowadzał go w euforyczny stan, natomiast chemiczny odlot był nieoczekiwanym dodatkowym elementem tego projektu. Zapewne tak by to określił wykładowca. Eli oparł się o ogrodzenie. Słońce przeświecało przez jego brązowe włosy, podkreślając ich rudy odcień i pojedyncze złote pasma. Victor miał jasnoblond czuprynę, z której promienie słoneczne nie wydobywały żadnych kolorów. Raczej podkreślały brak koloru, sprawiając, że chłopak wyglądał jak postać ze staroświeckiej fotografii, a nie student z krwi i kości.

Eli nadal przyglądał się książce trzymanej przez Victora.

– Czy ten pisak nie zaczernia od razu tekstu po drugiej stronie kartki?

– Można by się spodziewać, że tak będzie, na szczęście wydrukowali ten poradnik na cholernie grubym papierze. Tak jakby chcieli, żeby waga ich książki podkreślała wagę ich słów.

Śmiech Elia został zagłuszony przez drugi dźwięk dzwonu, rozbrzmiewający nad pustoszejącym dziedzińcem. W Lockland nie używano zwykłych elektrycznych dzwonków – uniwersytet był zbyt cywilizowanym miejscem – natomiast dzwon brzmiał

głośno, do tego niemal złowieszczo. Pojedyncze, głębokie uderzenie z wieży w centrum kampusu. Eli zaklął i pomógł Victorowi wstać, po czym skierowali się ku skupisku budynków wyłożonych czerwoną cegłą, by wyglądać przyjaźniej, a należących do wydziału nauk ścisłych. Victor się nie śpieszył. Do ostatniego uderzenia dzwonu pozostała jeszcze minuta, a nawet gdyby się spóźnili, nauczyciel nie wstawiłby im nieobecności; uśmiech Elia był zniewalający, podobnie jak kłamstwa Victora. Obie metody okazywały się w praktyce zatrwajająco skuteczne.



Podczas wspólnych zajęć, na których studenci różnych kierunków ścisłych omawiali swoje prace dyplomowe, Victor usiadł z tyłu. Na tym seminarium uczył się metod badawczych, a przynajmniej słuchał wykładu na ten temat. Rozczarowany faktem, że większość grupy pracowała na laptopach (wykreślanie słów na ekranie nie sprawiało mu aż takiej satysfakcji), obserwował, jak inni studenci śpią, stresują się, piszą coś, słuchają wykładu i przekazują sobie wiadomości poprzez komunikatory. Jak można się było spodziewać, po chwili go to znudziło. Jego spojrzenie powędrowało dalej, poza kolegów i koleżanki, przez okna, na trawnik i dalej... Z zamyślenia wyrwała go podniesiona ręka Elia. Victor nie dosłyszał pytania, lecz zauważył, że zanim jego współlokator podał odpowiedź, uśmiechnął się olśniewająco, niczym kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Eliot „Eli” Cardale pojawił się w życiu Victora jako uciążliwy problem. Młody Vale nie był zbyt szczęśliwy, gdy miesiąc po

rozpoczęciu drugiego roku studiów w drzwiach jego mieszkania w akademiku stanął tyczkowaty szatyn. Jego poprzedni współlokator po pierwszym tygodniu zmienił zdanie (oczywiście nie było w tym winy Victora), rzucił studia i szybko się wyprowadził. W związku z brakiem innych zainteresowanych, a może błędem w przydzielaniu miejsc, o który zadbał kolega Victora z roku (Max Hall lubił podejmować takie hakerskie wyzwania), boleśnie mały dwuosobowy apartament stał się de facto o wiele znośniejszym mieszkaniem jednoosobowym – przynajmniej do początku października, kiedy zapukał do niego z walizką Eliot Cardale, człowiek, który jak na gust Victora stanowczo za często się uśmiechał.

Początkowo Victor zastanawiał się, czy dałoby się odzyskać lokum tylko dla siebie po raz drugi w tym semestrze, ale zanim rozpoczął jakiegokolwiek działania w tym kierunku, stało się coś dziwnego: Eli... zaczął mu się podobać. Wydawał się przedwcześnie dojrzałym dzieckiem, wyjątkowo czarującym. Każdy wyskok uchodził mu na sucho dzięki dobremu genom, refleksowi i poczuciu humoru. Wyglądał, jakby był stworzony do sportu, ale zadziwił wszystkich, włącznie z Victorem, gdy nie dołączył do żadnego uniwersyteckiego klubu ani zespołu. Dzięki temu odstępstwu od społecznej normy zarobił kilka plusów u współlokatora, który uznał go za interesującą osobę.

Najbardziej jednak fascynowało Victora to, że z Eliem było coś nie tak. Nowy kolega wyglądał czasem jak łamigłówka: obrazek pełen drobnych błędów, który trzeba obejrzeć z różnych stron i pod różnymi kątami, a i tak obserwatorowi umknie zawsze kilka szczegółów. Na pierwszy rzut oka Eli wydawał się zupełnie normalny, ale co jakiś czas Victor dostrzegał u niego pęknięcie, nieszczerze spojrzenie, chwilę,

kiedy mina współlokatora nie pasowała do słów, a wygląd – do deklaracji. Te przelotne momenty wywoływały u Victora wrażenie, że ogląda dwóch ludzi, z których jeden kryje się w skórze drugiego. Skóra Elia wyglądała zawsze na zbyt suchą, tak jakby miała za chwilę pęknąć i ukazać coś, co kryło się pod spodem.

– Bardzo chytrze, panie Cardale!

Victor najwyraźniej przegapił zarówno pytanie, jak i odpowiedź. Podniósł wzrok w sam raz, by zobaczyć, jak profesor Lyne zwraca się do reszty studentów ostatniego roku i klaszcze w dłonie, by zwrócić na siebie ich uwagę.

– Doskonale. Pora określić tematy prac dyplomowych!

W grupie, obejmującej głównie studentów przygotowujących się do medycyny, kilku aspirujących fizyków i nawet jednego przyszłego inżyniera – ale nie Angie, która została przydzielona do innego zespołu – rozległ się zbiorowy jęk protestu, tak dla zasady.

– No już, już – powiedział stanowczo profesor, podnosząc ostrzegawczo dłoń. – Wiedzieliście, na co się decydujecie, kiedy zapisywaliście się na te zajęcia.

– Właśnie nie – zauważył głośno Max. – To obowiązkowe seminarium!

Został nagrodzony za tę uwagę przychylnym szmerem ze strony reszty grupy.

– W takim razie niezmiernie mi przykro. Teraz jednak jesteście tutaj, a biorąc pod uwagę, że nie znajdziemy lepszego momentu...

– Lepiej by było za tydzień – przerwał mu Toby Powell, syn któregoś gubernatora, umięśniony surfer, który zamierzał studiować medycynę. Chwilę wcześniej studenci zareagowali na

uwagę Maxa za ledwie pomrukiem, ale tym razem roześmiali się głośno. W trakcie studiów Toby zyskał sobie o wiele większą popularność.

– Dość! – powiedział nieco ostrzej profesor. Grupa natychmiast ucichła. – Słuchajcie, nasz uniwersytet w przypadku prac dyplomowych zachęca do wgrzyzania się w temat i w związku z tym pozwala na pewną... dowolność, ale muszę was ostrzec: prowadzę to seminarium od siedmiu lat. Nie osiągniecie sukcesu, wybierając bezpieczny temat, dzięki któremu nie wyróżnicie się z tłumu; z drugiej strony ambitne prace nie zarobią punktów za samą ambicję. Wasza ostateczna ocena zależy od realizacji postawionych sobie zadań. Znajdźcie więc temat dość bliski swoim zainteresowaniom, by wycisnąć z niego sensowną treść, ale uwaga! Nie taki, w którym uważacie się za ekspertów – podkreślił, po czym posłał Toby'emu skąpy uśmiech. – Proszę bardzo, zacznijmy od pana Powella.

Toby przeczesał palcami czuprynę, usiłując zyskać na czasie. Zastrzeżenie Lyne'a najwyraźniej zachwiało jego pewnością siebie; było jasne, że miał zamiar zaproponować coś innego. Mruczał coś do siebie, kartkując notatki, aż wreszcie podniósł głowę.

– Hm, to może... „Komórki limfocytów T wspomagających a immunologia” – powiedział, starając się ze wszystkich sił nie nadać swojej wypowiedzi intonacji pytającej.

Profesor Lyne odczekał chwilę, i choć wszyscy spodziewali się, że pośle Toby'emu swoje słynne Spojrzenie – któremu towarzyszyło uniesienie podbródka i lekkie przechylenie głowy, tak jakby chciał zapytać rozmówcę, czy nie zmieniłby jednak zdania – ostatecznie zaszczycił go lekkim skinieniem głowy. A potem zwrócił wzrok gdzie indziej.

– Panie Hall?

Max zdążył otworzyć usta, gdy profesor uprzedził go:

– Tylko żadnej technologii. Nauka – tak, technologia – nie. Proszę wybrać mądrze.

Max gwałtownie zamknął usta, nie powiedziawszy ani słowa, a potem zastanowił się przez chwilę. W końcu zadeklarował:

– „Wydajność urządzeń elektrycznych w świetle strategii równowagi energetycznej”.

– A więc sprzęt, nie oprogramowanie. Wybór godny podziwu, panie Hall – stwierdził profesor, po czym kontynuował obchód sali.

Wzorce dziedziczenia, zrównoważony rozwój i badania nad promieniowaniem zostały zaaprobowane, jednak propozycje prac badających efekty spożycia alkoholu, nikotyny lub substancji psychoaktywnych, określających pewne chemiczne właściwości metamfetaminy i związków pokrewnych czy też rozpraw zajmujących się reakcjami ludzkiego ciała na seks doczekały się Spojrzenia. Profesor przechadzał się wśród studentów, akceptując tematy prac bądź skłaniając autorów do zmiany.

– Następny – zarządził. Najwyraźniej jego poczucie humoru było na wyczerpaniu.

– „Chemikalia pirotechniczne”!

Nastąpiła dłuższa pauza. Temat ten zgłosiła Janine Ellis, której brwi nie odrosły jeszcze do końca po ostatniej serii badań. Lyne westchnął głośno i zaprezentował wyjątkowo wymowne Spojrzenie, lecz Janine w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła i profesor musiał przyjąć jej propozycję. Ellis, jedna z najmłodszych osób na sali, odkryła na pierwszym roku związek chemiczny zapewniający fajerwerkom całkiem nowy,

wyjatkowo intensywny odcień błękitu. Używali go teraz producenci na całym świecie. Jeśli chciała ryzykować własnymi brwiami, to była jej sprawa.

– A pan, panie Vale?

Victor spojrzał na profesora, zawężając w myśli pulę możliwości. Nigdy nie był mocny z fizyki, a na chemii dobrze się bawił, lecz jego prawdziwą pasją była biologia – anatomia i neurologia. Chciał więc wybrać temat pozwalający na eksperymenty, ale jednocześnie wolał zachować brwi w całości. Poza tym owszem, chciał utrzymać wysoką pozycję na wydziale, lecz oferty od uczelni medycznych, programów dla absolwentów i laboratoriów badawczych przychodziły pocztą od wielu tygodni (a nieoficjalnie – od wielu miesięcy). Razem z Eliem przyozdobili nimi korytarz swojego lokum. Nie ofertami, skądże, ale listami intencyjnymi, pełnymi pochwał i obietnic, zalotnego mrugania i osobistych, ręcznych dopisków. Żaden z nich nie musiał się wysilać przy pracy dyplomowej. Victor spojrzał na Elia, zastanawiając się, co wybierze tamten.

Profesor chrząknął znacząco.

– „Induktory adrenaliny” – oznajmił radośnie Victor.

– Panie Vale, odrzuciłem już propozycję tematu pracy badającej stosunek...

– Nie – przerwał mu, kręcąc głową. – Adrenalina, jej fizyczne i emocjonalne induktory oraz następstwa wydzielania. Progi biochemiczne. Walka albo ucieczka. Coś w tym stylu.

Obserwował twarz profesora, czekając na jakiś znak, aż Lyne ostatecznie skinął głową.

– Proszę mnie nie rozczarować, panie Vale – dodał tylko. A potem zwrócił się do Elia, ostatniej osoby z grupy, która jeszcze nie zaproponowała tematu. – Panie Cardale?

Eli uśmiechnął się spokojnie.

– „Osoby PP”.

W czasie, gdy kolejni studenci deklarowali tematy swoich prac, cała grupa pogrążyła się w prowadzonych półgłosem rozmowach, które teraz urwały się jak ucięte nożem. Ucichł również stukot klawiszy i skrzypienie krzesel. Profesor Lyne patrzył na Elia z niespotykanym wyrazem twarzy – zarazem zaskoczonym i zmieszanym. Od gwałtowniejszej reakcji powstrzymywała go tylko świadomość tego, że Eliot Cardale przez całe studia był najlepszym studentem na roku, na całym wydziale nauk ścisłych, a nawet... No dobrze, czasem wymieniali się koszulką lidera z Victorem.

Piętnaście par oczu wodziło wzrokiem między studentem a profesorem. Milczenie trwało coraz dłużej i stawało się już nieznośne. Eli nie miał w zwyczaju żartować w ten sposób ani testować cierpliwości nauczycieli... ale przecież chyba nie oczekiwał, że zostanie potraktowany poważnie?

– Obawiam się, że musi pan rozwinąć tę myśl – powiedział powoli Lyne.

Eli wciąż się uśmiechał.

– „Dowód na teoretyczne prawdopodobieństwo istnienia osób PonadPrzeciętnych, wywiedziony z praw fizyki, chemii i biologii”.

Profesor Lyne przechylił głowę, wysunął podbródek, ale powiedział tylko:

– Panie Cardale, zalecam ostrożność. Ostrzegłem już, że nikt nic nie zyska na samej ambicji. Ufam, że nie zrobi pan z mojego seminarium pośmiewiska.

– Czy to oznacza, że pan profesor się zgadza? – zapytał Eli.

Dzwon zabrzmiał po raz pierwszy.

Skrzypnęło czyjeś przesuwane krzesło, ale nikt nie wstał.

– Tak – odparł.

Eli uśmiechnął się jeszcze szerzej.

„Powiedział »tak«?” – pomyślał Victor. Na twarzach pozostałych rysowały się rozmaite miny: od zaciekawienia poprzez zaskoczenie do zazdrości. To był żart. To musiał być żart. A jednak profesor Lyne wyprostował się i odzyskał dawną pewność siebie.

– Ruszajcie, młodzi ludzie – rozkazał. – Ruszajcie zmieniać świat!

Na sali zapanowało poruszenie. Studenci odsuwali krzesła, potrącali stoły, zarzucali na ramiona torby i już po chwili ludzka fala wylała się za drzwi, porywając również Victora. Na korytarzu rozejrzał się za Eliem, ale kolega został w sali, tocząc ożywioną rozmowę z profesorem. Porzucił gdzieś opanowanie, kipiał całej energią i w jego oczach błyszczał głód wiedzy. Gdy po chwili dołączył do Victora, wszystko to zniknęło, a pozostał tylko zwykły uprzejmy uśmiech.

– Co to było, do diabła? – zapytał Victor. – Wiem, że praca dyplomowa na tym etapie się nie liczy, ale mimo wszystko... Czy to jakiś żart?

Eli wzruszył ramionami, a zanim Victor zdążył go przycisnąć, telefon w jego kieszeni rozbrzmiał electro rockiem. Victor oparł się o ścianę i czekał, aż rozmówca wydobędzie komórkę.

– Cześć, Angie. Tak, już idziemy – i rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. – Otrzymaliśmy wezwanie – oznajmił, obejmując Victora ramieniem. – Dama mego serca zgłodniała. Nie śmiem narażać jej na oczekiwanie.

III

POPZREDNIEJ NOCY CMENTARZ MERIT

Od unoszenia łopaty pełnej ziemi Sydney zaczynały już boleć ramiona, ale po raz pierwszy od roku nie było jej zimno. Policzki płonęły jej rumieńcem, przepociła płaszcz na wylot i czuła się naprawdę żywa.

Była przekonana, że to jedyny pozytywny efekt wykopywania ciała z grobu.

– Czy nie moglibyśmy zrobić czegoś innego? – zapytała, opierając się na szpadlu.

Doskonale wiedziała, co odpowie Victor, i czuła, że kończy mu się cierpliwość, ale musiała go o to zapytać. Tylko zadając pytanie mogła na chwilę zapomnieć, że stoi nad grobem i wykopuje czyjeś ciało zamiast uciekać od niego jak najdalej.

– Musimy wysłać tę wiadomość – powiedział Victor, nie przestając kopać.

– Może moglibyśmy wysłać całkiem inną wiadomość? – wymamrotała pod nosem.

– Musimy to zrobić, Syd – odparł, podnosząc w końcu wzrok.
– Spróbuj pomyśleć o czymś przyjemnym.

Westchnęła i wróciła do kopania. Po kilku uderzeniach szpadla znów się zatrzymała. Niemalże bała się zadać kolejne pytanie.

– A o czym ty myślisz, Victor?

Przez twarz przemknął mu groźny uśmieszek.

– Myślę o tym, jaką mamy dzisiaj piękną nockę.

Oboje wiedzieli, że to kłamstwo, ale Sydney uznała, że woli nie znać prawdy.



Victor nie myślał o pogodzie.

Prawie nie czuł chłodu przenikającego przez płaszcz. Zbyt zajmowały go domysły, jaką minę będzie miał Eli, kiedy otrzyma ich wiadomość. Usiłował wyobrazić sobie wstrząs, wściekłość i przebijający się przez nie strach. Tak, strach, ponieważ wiadomość może oznaczać tylko jedno.

Victor uciekł. Jest na wolności.

I przyjdzie po Elia, tak jak obiecał.

Wbił łopatę w zimny grunt z satysfakcjonującym łomotem.

IV

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIwersYTET LOCKLAND

– Naprawdę nie powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Victor, podążając za Eliem przez ciężkie podwójne drzwi prowadzące do Kompleksu Restauracyjnego Uniwersytetu Lockland, znanego powszechnie jako KRUL.

Eli nie odpowiedział, szukając wzrokiem Angie.

Kompleks przypominał Victorowi park rozrywki; pospolite wnętrza kafeterii ukryto za plastikowymi i gipsowymi okładzinami, które kompletnie nie pasowały do siebie i do tego miejsca. Rozległą centralną przestrzeń wypełnioną stołami otaczało jedenaście bufetów, a każdy z nich miał inny wystrój i inne menu złożone inną czcionką. Zaraz za drzwiami znajdowało się bistro z bramkami, przez które przepuszczano stojących w kolejce po posiłek. Obok grała włoska muzyka z taśmy, a za ladą stały piece do pizzy. Po drugiej stronie pod kolorowymi papierowymi lampionami wabiły dania kuchni tajskiej i chińskiej, a także japońskie sushi, dalej zaś znajdowały się: stoisko z burgerami, bufet mięsny, lada z deserami, bar sałatkowy, punkt serwujący owocowe koktajle i zwykła kawiarnia.

Angie Knight siedziała w pobliżu włoskiej restauracji, nawijając makaron na widelec. Miedziane loki wpadały jej do oczu, gdy pochylała głowę nad książką wsuniętą częściowo pod

tacę z daniem. Na jej widok Victor poczuł na plecach ciarki, dreszcz podglądacza pojawiający się, kiedy dostrzeżemy kogoś, zanim ten ktoś zauważy nas, i możemy przez chwilę oglądać tę osobę bezpiecznie i anonimowo. Chwila ta minęła jednak bezpowrotnie, gdy Eli również dostrzegł Angie. Przez moment wpatrywali się w siebie bez słowa. Victorowi wydawało się, jakby każde z nich miało w środku magnes. Było to widać na co dzień, na zajęciach i poza nimi, na kampusie. Tych dwoje zdawało się przyciągać ludzi; nawet Victor czuł tę siłę, działającą niczym grawitacja. A gdy Eli i Angie byli blisko siebie... no cóż. Tak jak teraz, dziewczyna natychmiast rzucała się Eliowi na szyję, a ich usta łączył czuły pocałunek.

Victor odwrócił wzrok, nie chcąc zakłócać im chwili prywatności; w sumie było to z jego strony kompletnie zbędne, ponieważ tych dwoje okazywało sobie uczucia publicznie i bez śladu zahamowań. Profesorka siedząca kilka stolików dalej spojrzała na nich z uniesionymi brwiami, po czym ze znaczącym chrząknięciem przewróciła stronę czytanej gazety. W końcu Eli i Angie zdołali oderwać się od siebie. Dziewczyna przywitała Victora uściskiem – prostym, ale szczerym, ciepłym, ale nie gorącym.

Nie przeszkadzało mu to. Victor nie był zakochany w Angie Knight i nie uważał, by do niego należała, mimo że poznał ją pierwszy, mimo że przez chwilę czuli do siebie pewien pociąg, a ona podeszła do niego w KRUL podczas pierwszego tygodnia zajęć jeszcze na pierwszym roku. Zamówili wówczas oboje koktajle, ponieważ panowały wtedy nieprzyzwoite upały jak na wrzesień; jej twarz była czerwona po treningu na bieżni, a on zarumienił się na jej widok. Spotkała Elia dopiero na drugim

roku, kiedy to Victor przyprowadził nowego współlokatora na obiad. Wydawało mu się to wówczas dobrym uczynkiem.

„Pieprzone dobre uczynki!” – pomyślał, kiedy Angie oderwała się od chłopaka i wróciła na miejsce przy stole.

Eli wziął zupę, a Victor chińszczyznę. Siedli razem w coraz większym zgiełku i pochłonęli lunch, rozmawiając o niczym. Victora niebawem korciło, by dowiedzieć się, co, do diabła, miał na myśli Eli, wybierając na temat swojej pracy osoby PonadPrzeciętne, ale zdawał sobie sprawę, że nie powinien przesłuchiwać go w obecności Angie. Angie Knight była potężną indywidualnością, z tym że na pierwszy rzut oka faceci dostrzegali raczej jej wspaniałe długie nogi. Victor orientował się jednak, że dziewczyna ma najbardziej dociekliwy umysł, z jakim kiedykolwiek się spotkał. Wiele uczelni chciało widzieć tę dwudziestolatkę w gronie swoich studentów, toteż Angie miała całą kolekcję wizytówek wręczanych wraz z ofertami, którym towarzyszyły mniej lub bardziej subtelne próby przekupstwa... A mimo to nadal uczyła się tu, w Lockland. Ostatnio przyjęła propozycję od pewnej firmy inżynierskiej, więc zaraz po ukończeniu studiów miała stać się najmłodszym – i, jak sądził Victor, najinteligentniejszym – pracownikiem tego przedsiębiorstwa. I to wszystko, zanim jeszcze wolno jej było pić legalnie alkohol!

Zresztą sądząc po tym, jak inni studenci zareagowali na wybór tematu pracy dyplomowej Elia, niedługo Angie i tak się dowie.

Po lunchu pełnym przerw i ostrzegawczych spojrzeń Elia w końcu rozbrzmiał dzwon i dziewczyna udała się na następne ćwiczenia. Na początku roku nie miała w planie tego fakultetu, ale zainteresował ją temat, więc zapisała się na

nadobowiązkowe zajęcia. Eli i Victor siedzieli i patrzyli, jak chmura rudych włosów znika za drzwiami; Angie oddalała się tak radośnie, jakby czekał na nią kawałek tortu, a nie wykłady z chemii kryminalistycznej, wydajności urządzeń mechanicznych czy też z jeszcze innego przedmiotu, który sobie wybrała.

Dokładnie rzecz biorąc, to Eli patrzył na odchodzącą dziewczynę, a Victor patrzył na niego, czując, jak coś skręca mu się w żołądku. Nie chodziło tylko o to, że Eli ukradł mu dziewczynę, co było już wystarczająco złe – ale także o to, że Angie ukradła mu Elia. Tego bardziej interesującego. Nie przystojniaka o idealnym uzębieniu i przyjaznym śmiechu, ale tego, który krył się za tą fasadą, błyszczącego intelektem ostrym niczym potłuczone szkło. Victor dostrzegł w tych lśniących kawałkach coś, co doskonale znał. Coś niebezpiecznego i głodnego. Gdy jednak w pobliżu znajdowała się Angie, Eli się maskował. Stawał się wtedy modelowym chłopakiem: czułym, uważnym i nudnym do porzygu. Pewnego razu Victor złapał się na tym, że w obecności Angie obserwuje przyjaciela i szuka jakichkolwiek oznak życia.

Upłynęło kilka minut. Jadalnia opustoszała i ucichła, aż wreszcie Victorowi skończyła się cierpliwość i kopnął Elia pod stołem. Tamten nieśpiesznie podniósł wzrok znad jedzenia.

– Taak?

– Dlaczego osoby PP?

Z twarzy Elia powoli zaczęła spęłzać maska fajnego chłopaka. Victor poczuł na ten widok ulgę, jak zawsze, gdy mroczna tożsamość współlokatora brała górę.

– Wierzysz, że tacy ludzie istnieją? – zapytał Eli, grzebiąc końcem łyżki w resztce zupy.

Victor zastanowił się chwilę, przeżuając kawałek kurczaka w sosie cytrynowym. PP. Osoby PonadPrzeciętne. Owszem, słyszał o nich, podobnie jak o innych fenomenach. Zdarzało mu się trafiać na internetowe strony tych, którzy wierzyli w ich istnienie, lub emitowane późną nocą programy, w których „eksperci” analizowali nieostre fotografie mężczyzny podnoszącego gołymi rękami samochód lub kobiety ogarniętej płomieniami bez szkody dla zdrowia. Słyszeć o osobach PP i wierzyć w ich istnienie to dwie różne rzeczy, a Victor nie potrafił wywnioskować z tonu rozmówcy, do którego obozu tamten się zalicza. Nie mógł również odgadnąć, do którego obozu Eli chciałby zaliczyć jego, co sprawiało, że jeszcze trudniej było mu odpowiedzieć na pytanie.

– No więc? – ponaglił go przyjaciel. – Wierzysz czy nie?

– Nie wiem – przyznał uczciwie Victor. – Jeśli to kwestia tego, czy wierzę...

– Od tego wszystko się zaczyna – odparł Eli. – Od wiary.

Victor się wzdrygnął. Tego jednego nie rozumiał: jak jego współlokator może polegać na wierze czy religii? Ze wszystkich sił starał się przejść nad tym do porządku dziennego, ale kwestia ta co jakiś czas pojawiała się w ich rozmowach niczym rafa. Eli najwyraźniej wyczuł jego skrępowanie.

– No dobrze, w takim razie od zdumienia – poprawił się. – Czy kiedykolwiek zdziwiło cię to do tego stopnia, że zaczęłaś się nad tym zastanawiać?

Victor zastanawiał się nad mnóstwem rzeczy: nad samym sobą (czy jest nienormalny czy też wyjątkowy? Lepszy czy gorszy?) i nad innymi ludźmi (czy są rzeczywiście tak głupi, na jakich wyglądają?). Zastanawiał się nad Angie – co by się stało, gdyby jej powiedział, co do niej czuje, i jak by to było, gdyby go

wybrała. Zastanawiał się nad życiem, ludźmi, nauką, czarami i Bogiem, a także nad tym, czy wierzy w którąkolwiek z tych rzeczy.

– Tak, zastanawiałem się – powiedział powoli.

– No dobrze – nie dawał za wygraną Eli. – Kiedy się nad czymś zastanawiasz, czy nie znaczy to, że część twojego umysłu chce w to uwierzyć? Wydaje mi się, że w życiu raczej próbujemy udowodnić istnienie pewnych rzeczy niż ich nieistnienie. Po prostu chcemy wierzyć.

– A ty chcesz wierzyć w superbohaterów – stwierdził Victor, z całych sił starając się nie używać oceniającego tonu. Mimo tych wysiłków jego usta skrzywiły się w lekkim uśmiechu. Miał nadzieję, że Eli się nie obrazi, że weźmie grymas za oznakę dobrego humoru – beztroski, nie szyderstwa – ale się przeliczył. Twarz rozmówcy stała się nieprzenikniona.

– Tak, jasne, świetnie, uważasz to za głupi pomysł, prawda? Dobrze, rozgryłeś mnie. Ta praca ni cholery mnie nie obchodzi. Chciałem tylko zobaczyć, czy Lyne się zgodzi na taki temat – rzucił Eli z nieszczerym uśmiechem, wstając od stołu. – To wszystko.

– Czekaj. - Victor usiłował go zatrzymać. – To nie wszystko.

– A ja mówię, że to wszystko!

Po czym Eli odwrócił się, rzucił pustą tacę na stos innych i wyszedł z kompleksu, zanim Victor zdążył wymyślić jakąkolwiek ripostę.



Victor zawsze nosił gruby flamaster w tylnej kieszeni spodni.

Gdy wędrował między bibliotecznymi regałami, szukając książek, które dałyby mu podstawę do pracy dyplomowej, korciło go, żeby go wyjąć. Nieudana rozmowa z Eliem wytrąciła go z równowagi i teraz chciał odnaleźć wewnętrzny spokój, swój osobisty stan zen, najlepiej poprzez powolne wykreślanie cudzych słów. Mimo to zdołał dotrzeć do działu medycznego bez incydentów i wybrać książkę o układzie nerwowym człowieka, dodając ją do znalezionej już wcześniej dzieła o psychologii. Wyszukawszy jeszcze kilka krótszych tekstów na temat nadnerczy i przewodzenia impulsów nerwowych, przeszedł do kontuaru, żeby je wypożyczyć. Starannie ukrywał przy tym palce, zabrudzone podczas pracy nad swoim projektem artystycznym, chowając je w kieszeniach lub pod krawędzią lady, gdy bibliotekarka przeglądała książki. W trakcie jego studiów w Lockland pojawiło się kilka skarg: książki zostały „uszkodzone” lub nawet „kompletnie zniszczone”. Bibliotekarka spojrzała na niego podejrzliwie ponad stosem woluminów, tak jakby zbrodnie przeciw księgozbiorowi miał wypisane na twarzy, a nie na palcach, lecz ostatecznie wprowadziła numery książek do rejestru wypożyczeń i wręczyła mu je z powrotem.

Victor wrócił do małego apartamentu, który dzielił z Eliem, i rozpakował torbę. Klęknął w sypialni i położył poznaczony pisakiem poradnik na dolnej półce, obok dwóch innych, które pokreślił, zmieniając tekst (na szczęście z biblioteki nie zażądano jeszcze zwrotu żadnej z nich). Publikacje o adrenalinie rzucił natomiast na biurko. Usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych, więc kilka minut później zajrzał do saloniku. Eli spoczywał bezwładnie na kanapie. Zdążył postawić stos książek i pozszywanych wydruków na niskim drewnianym stoliku obok, lecz gdy

zauważył Victora, sięgnął po kolorowe czasopismo i zaczął je przeglądać z udawanym znudzeniem. Tomy na stoliku dotyczyły różnych tematów: od funkcjonowania mózgu w warunkach silnego stresu poprzez zagadnienia związane z ludzką wolą i anatomią aż po reakcje psychosomatyczne... lecz zadrukowane kartki wyglądały całkiem inaczej. Victor podniósł jedną ze zszywek, usiadł w fotelu i pograżył się w lekturze. Eli lekko zmarszczył brwi, ale nie próbował go powstrzymać. Wydruki pochodziły z sieci: ze stron internetowych i rozmaitych forów. Żaden naukowiec nie potraktowałby ich jako wiarygodne źródła w pracy dyplomowej.

– Powiedz mi prawdę – zażądał Victor, rzucając kartki z powrotem na stół pomiędzy nimi.

– Prawdę o czym? – zapytał Eli z roztargnieniem. Victor wpatrywał się w niego uparcie, aż współlokator odłożył magazyn, wyprostował się, obrócił i postawił stopy na podłodze, przybierając taką samą pozycję. – Ponieważ sądzę, że być może istnieją naprawdę – odparł w końcu, kładąc nacisk na „być może”. – A ja chcę poważnie rozważyć taką możliwość.

Ta szczerza odpowiedź zaskoczyła Victora.

– Mów dalej – poprosił z najpoważniejszą miną, na jaką było go stać.

Eli przesunął palcem po grzbietach książek leżących na stosie.

– Popatrz na to w ten sposób: w komiksach superbohaterowie powstają dzięki naturze lub nauce. Mamy Supermana, który już taki się urodził, i Spider-Mana, który zyskał swoją moc w wyniku działania nauki. Nadążasz?

– Pewnie.

– Przeszukaj sieć pod kątem doniesień o osobach PP – tu Eli wskazał wydruki – i znajdziesz tę samą prawidłowość. Niektórzy ludzie utrzymują, że znani im PonadPrzeciętni urodzili się jako niezwykle osoby. W innych przypadkach świadkowie sugerują, że przyczyną były odpady radioaktywne, trucizna owadów albo jeszcze inne losowe wydarzenie. Powiedzmy, że zdołałeś znaleźć takiego człowieka i masz dowód na to, że istnieje, ale pojawia się pytanie: jak powstał? Urodził się taki? Czy ktoś go takim uczynił?

Victor obserwował, jak oczy Elia zaczynają błyszczeć, kiedy mówi o PonadPrzeciętnych, a głos mu się zmienia – staje się niższy i bardziej sugestywny. Mimika sugerowała jednocześnie, że mówca próbuje ukryć ekscytację tematem. W jego słowach dało się wyczuć żarliwość, w oczach – dostrzec fascynację, a w linii szczęki – ukrytą energię. Victor patrzył zauroczony, jak jego współlokator przechodzi transformację. Sam potrafił naśladować większość emocji tak, jakby faktycznie je przeżywał, ale jego umiejętności były ograniczone; wiedział, że nigdy nie będzie w stanie dorównać takiej żarliwości. Nawet nie próbował. Zachował spokój i słuchał, okazując szacunek i zainteresowanie, by sprowokować Elia do dalszych wynurzeń i nie zniechęcić go.

Albowiem Victor Vale za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, co ma do powiedzenia jego rozmówca. Potrzebował aż dwóch lat przyjaźni, by przebić się przez uroczą, cukierkową fasadę i odnaleźć kryjącą się za nią mroczną prawdę. A teraz, gdy siedzieli rozparci przy stoliku usłanym niskiej jakości wydrukami stron internetowych, prowadzonych przez dorosłych facetów mieszkających w suterenie pod domem własnych rodziców, wyglądało na to, że Eliot Cardale odnalazł Boga. Albo

nawet lepiej: wydawało się, że odnalazł Boga i chciał zachować to w tajemnicy, ale nie potrafił. Z emocji niemalże świecił własnym światłem.

– Aha – powiedział powoli Victor. – Załóżmy, że osoby PP rzeczywiście istnieją. Masz zamiar ustalić, jak to się dzieje, że powstają, tak?

Eli posłał mu pełen zachwytu uśmiech, którego pozazdrościłby mu najbardziej charyzmatyczny lider dowolnej sekty.

– Taki jest plan.

V

POPZREDNIEJ NOCY CMENTARZ MERIT

Łup.

Łup.

Łup.

– Jak długo siedziałeś w więzieniu? – zapytała Sydney, próbując zagaic rozmowę. Łomot łopat i niefrasobliwe nucenie Victora działały jej na nerwy.

– Za długo – odparł zwięźle.

Łup.

Łup.

Poczuła tępy ból w dłoniach trzymających łopatę.

– Czy to tam poznałeś Mitcha?

Mitch – który naprawdę nazywał się Mitchell Turner – wielki facet, czekał na nich w pokoju hotelowym. Nie dlatego, że nie lubił cmentarzy, jak im kategorycznie oświadczył. Nie, to dlatego, że ktoś musiał przecież zostać z Dolem, a poza tym było jeszcze sporo pracy do zrobienia. Mnóstwo pracy. Nie miało to nic wspólnego ze zwłokami.

Sydney uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak rozpaczliwie próbował znaleźć wymówkę. Poczuła się ciut lepiej na wspomnienie Mitcha, faceta o rozmiarach małego auta, który prawdopodobnie z łatwością podniósłby taki samochód, ale był tak wrażliwy na punkcie śmierci.

– Siedzieliśmy w jednej celi – odezwał się Victor. – W więzieniu jest zazwyczaj wielu złych ludzi i tylko kilku uczciwych. Mitch był jednym z nich.

Łup.

Łup.

– A ty jesteś jednym z tych złych? – zapytała, patrząc na niego bez mrugnięcia oczami o barwie bladego błękitu. Nie była pewna, czy odpowiedź cokolwiek jej da, ale czuła, że chce ją poznać.

– Niektórzy by tak powiedzieli – potwierdził.

Łup.

Dalej się na niego gapiła.

– Nie uważam, żebyś był złą osobą.

Victor kopał dalej.

– To wszystko kwestia perspektywy.

Łup.

– A co do więzienia... wypuścili cię? – zapytała cicho.

Łup.

Victor przerwał pracę, wbił łopatę w ziemię i podniósł na nią wzrok. Uśmiechnął się, co – jak zauważyła – oznaczało, że zaraz skłamię.

– Ależ oczywiście – odparł.

VI

TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ ZAKŁAD KARNY WRIGHTON

Ograniczenie wolności w więzieniu nie było tak ważne, jak czas, który instytucja ta zapewniła Victorowi.

Pięć lat w izolatce dało mu mnóstwo czasu na przemyślenia.

Cztery lata spędzone na oddziale ogólnym (gdzie przeniesiono go dzięki cięciom budżetowym i brakowi dowodów na to, że więzień Vale odbiega w jakikolwiek sposób od normy) pozwoliły mu poćwiczyć, wykorzystując pozostałych czterystu sześćdziesięciu trzech współosadzonych w charakterze obiektów badań.

A przez ostatnie siedem miesięcy planował dokładnie tę chwilę.

– Czy wiedziałeś, że kiedy pozbawisz kogoś strachu przed bólem, to tak, jakbyś pozbawił go lęku przed śmiercią? – zapytał Mitcha, przebiegając wzrokiem strony książki o anatomii wypożyczonej z więziennej biblioteki (Victor uważał za wyjątkowo głupie dostarczanie więźniom szczegółowych informacji o położeniu narządów ważnych dla życia, ale skoro władze były tak uprzejme, to czemu nie?). – W ten sposób we własnym mniemaniu stają się nieśmiertelni. Oczywiście to bujda, ale jak mówi porzekadło: wszyscy jesteśmy nieśmiertelni, dopóki nie okaże się inaczej.

– Coś w tym rodzaju – stwierdził Mitch pochłonięty czymś innym.

Mitcha osadzono w tej samej celi federalnego więzienia Wrighton. Victor bardzo go lubił, częściowo dlatego, że Mitcha kompletnie nie interesowały więzienne układy, a po części, ponieważ tamten był spryciarzem. Ludzie zwykle na to nie wpadali, zapewne w związku z rozmiarami Mitcha, ale Victor od razu zauważył tę jego cechę i postanowił w pełni ją wykorzystać. Teraz na przykład jego potężny przyjaciel próbował spowodować zwarcie w kamerze monitoringu, stosując w tym celu sreberko od gumy do żucia, papierosa i kawałek drucika, który Victor zdobył trzy dni wcześniej.

– Udało się – powiedział Mitch kilka chwil później.

Victor kartkował właśnie rozdział o układzie nerwowym człowieka. Odłożył książkę, a potem zgiął i rozprostował palce, kiedy na końcu korytarza pojawił się strażnik.

– Pan pozwoli? – zapytał uprzejmie, a powietrze wokół niego zawibrowało.

Mitch ogarnął wzrokiem celę i skinął głową.

– Owszem. Pan przodem.

VII

DWA DNI WCZEŚNIEJ NA DRODZE

Deszcz uderzał falami w przednią szybę samochodu. Lało tak intensywnie, że wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody, rozmazując ją tylko na szybie, ale ani Mitch, ani Victor się nie skarżyli. Samochód był kradziony; mieli wycucie i wybrali właściwe auto – jeździli nim już przez tydzień i ani razu ich nie zatrzymano, mimo że zwinęli je z parkingu oddalonego o kilka kilometrów od więzienia.

Minęli drogowskaz głoszący: „Merit – 37 km”.

Mitch prowadził, a Victor wpatrywał się w przemoczony świat przesuwany się za szybami. Szybkość upajała go – po dziesięciu latach spędzonych za kratami wszystko wydawało się dziać błyskawicznie. Czuł się wolny. Przez kilka pierwszych dni jeździli bez celu, chcąc się wyszaleć, zanim podejmą jakieś celowe działanie. Victor nie wiedział nawet, gdzie się znajdowali. Nie zdecydował jeszcze, od czego zacząć poszukiwania. Dziesięć lat wystarczyło, żeby szczegółowo zaplanować ucieczkę z więzienia. W ciągu godziny zdobyli nowe ubrania, w ciągu doby mieli pieniądze, ale po tygodniu Victor wciąż nie wiedział, gdzie zacząć szukać Elia.

Aż do tego przedpołudnia.

Na stacji benzynowej wziął do ręki „National Mark”, ogólnokrajową gazetę, i gdy ją kartkował, szczęście się do niego

uśmiechnęło. Dokładnie rzecz ujmując, uśmiechnęła się do niego osoba ze zdjęcia ilustrującego artykuł:

NIEUZBROJONY BOHATER RATUJE BANK

Bank znajdował się w Merit, wielkim mieście w połowie drogi pomiędzy ozdobionymi drutem kolczastym murami więzienia Wrighton a ozdobnym żelaznym ogrodzeniem uniwersytetu Lockland. Zmierzali teraz do Merit tylko z tego powodu, że nie mieli innego pomysłu. Poza tym w mieście na pewno było pełno ludzi, których Victor mógł wypytywać, przekonywać czy zmuszać do wyznań. Podnosząc złożoną stronę, uznał, że Merit wygląda obiecująco.

Kupił tamten egzemplarz „National Mark”, ale wyrwał z niego tylko tę jedną kartkę i włożył ją do teczki niemal z czcią. To był dobry początek.

Teraz zamknął oczy i oparł się o zagłówek, podczas gdy Mitch prowadził.

„Gdzie jesteś, Eli?” – zapytał w myślach.

„Gdzie jesteś... gdzie jesteś... gdzie jesteś... gdzie jesteś?”

Pytanie odbijało się echem w jego głowie. Zadawał je sobie codziennie przez dziesięć lat; czasem z roztargnieniem, czasem jednak tak intensywnie, że aż bolało. I to dosłownie – sprawiało mu fizyczny ból. Teraz rozparł się wygodnie na siedzeniu, podczas gdy świat przemykał za oknami auta. Nie pojechali autostradą – podobnie jak większość uciekinierów z więzienia byli na to za cwani. Dopuszczalna prędkość na drodze ekspresowej całkiem ich satysfakcjonowała. Victor pomyślał, że każde działanie jest lepsze niż brak działania... a potem oczy same mu się zamknęły.

Po pewnym czasie samochód podskoczył na wyboju, a Victor się obudził. Zamrugał i spojrzał przez okno na przydrożne drzewa znikające za nimi. Opuścił szybę do połowy, by poczuć szybkość, ignorując protesty Mitcha, któremu nie w smak był deszcz wpadający do wnętrza. Victora nie obchodziła pogoda ani stan siedzeń. Chciał poczuć szybkość. Zaczynało już zmierzchać. W szarzącym świetle dnia Victor dostrzegł niewyraźny kształt poruszający się przy jezdni. Mała postać z pochyloną głową i ramionami założonymi na piersi wlokła się wąskim poboczem. Minęli ją, zanim Victor zdążył coś powiedzieć.

– Mitch, cofnij kawałek.

– Po co?

Victor odwrócił twarz ku wielkiemu mężczyźnie za kierownicą.

– Nie każ mi prosić po raz drugi.

Mitch zastosował się do prośby. Zahamował i wrzucił wsteczny. Koła poślizgnęły się na mokrej nawierzchni, a potem złapały przyczepność. Znowu minęli ciemną postać, tym razem jadącą do tyłu. Mitch ruszył z powrotem, powoli, dostosowując tempo do pieszego. Victor opuścił do końca szybę, a deszcz wdarł się do auta.

– Wszystko w porządku? – zapytał, próbując przekrzyczeć szum ulewy. Postać nie odpowiedziała. Victor poczuł, jak coś wibruje na skraju jego świadomości. Cierpienie. Cudze cierpienie. – Zatrzymaj samochód – polecił i tym razem Mitch natychmiast posłuchał rozkazu.

Victor wysiadł, zapiął płaszcz pod szyję i zaczął iść w kierunku nieznanego. Był od niego o dwie głowy wyższy.

– Ktoś cię zranił – oznajmił postaci, która z bliska przypominała raczej tobołek mokrych szmat. Nie zdradziły mu tego ramiona skrzyżowane na piersi wędrowca ani ciemna plama na jednym rękawie, o ton ciemniejsza niż te pozostawiane przez krople deszczu, ani nawet gwałtowna reakcja postaci na widok jego wyciągniętej ręki. Victor wyczuł jej ból niczym wilk, który zwietrzył krew. Dostroił się do jej częstotliwości. – Stój – powiedział ostro i tym razem obca osoba zatrzymała się raptownie. Wokół nich lały się z nieba jednostajne, zimne strumienie deszczu. – Wsiadaj do samochodu!

Postać spojrzała na niego i mokry kaptur opadł jej z głowy na szczupłe ramiona, odsłaniając sklezione wilgocią blond włosy. Dziewczynka wbiła w niego harde spojrzenie jasnych błękitnych oczu spomiędzy smug rozmazanego tuszu i wojowniczo wysunęła szczękę. Nie była jednak w stanie oszukać Victora, który doskonale wyczuwał jej ból. Mogła mieć dwanaście, najwyżej trzynaście lat.

– No chodźże – ponaglił ją, wskazując samochód, który zatrzymał się za nimi. Dziewczynka tylko się na niego gapiła. – Masz jakąś alternatywę? Nie będzie gorzej niż teraz, zapewniam cię.

Kiedy nadal nie ruszyła się z miejsca, westchnął i wskazał na jej ramię.

– Pozwól mi to obejrzeć – poprosił i wyciągnął dłoń. Kiedy jego palce dotknęły rękawa kurtki, powietrze wokół nich zaiskrzyło, jak zwykle, a dziewczynka odetchnęła z ulgą. Potarła ramię. – Hej, przestań! – zaprotestował, odpychając jej rękę od rany. – Rana dalej tam jest, nie zagoiłem jej.

Przeniosła wzrok na jego dłoń i swój rękaw, a potem znów na niego popatrzyła.

– Bardzo mi zimno – wyznała.

– A mnie bardzo miło. Jestem Victor – przedstawił się. Nagrodziła ten żart skąpym, zmęczonym uśmiechem. – Co powiesz na to, żebyśmy teraz ukryli się przed deszczem?

VIII

POPZEDNIEJ NOCY CMENTARZ MERIT

– Nie uważam, żebyś był złą osobą – powtórzyła Sydney, przerzucając kolejną łopatę ziemi na trawę oświetloną blaskiem księżyca. – Ale Eli tak.

– Tak, Eli to zły człowiek.

– Ale nie poszedł do więzienia.

– Nie.

– Myślisz, że zrozumie wiadomość? – zapytała, wskazując na grób.

– O, tak – potwierdził. – A jeśli on nie zrozumie, to twoja siostra na pewno.

Dziewczynka poczuła, że na myśl o Serenie przewraca jej się w brzuchu. Zapamiętała siostrę jako dwie różne osoby, dwa obrazy zachodzące na siebie w taki sposób, że oba się zacierały, a kiedy starała się je sobie przypomnieć, kręciło jej się w głowie i brały ją mdłości.

Była Serena z czasów sprzed jeziora. Serena, która w dniu wyjazdu na uniwersytet klękła na podłodze przed młodszą siostrą – obie wiedziały, że zostawia Sydney w pustym, toksycznym domu – i która ocierała jej dłońią łzy z policzka, powtarzając w kółko: „Nie odchodzę na zawsze. Nie odchodzę na zawsze”.

I była też Serena z czasów po jeziorze, kobieta z pustymi oczami i nieszczerym uśmiechem, która samymi słowami potrafiła zmienić bieg wydarzeń. Ta, która zwabiła Sydney, wykorzystując w tym celu zwłoki, obiecując, że pokaże jej sztuczkę, i nagle smutniejąc, kiedy jej się to udało. Ta, która odwróciła się plecami, kiedy jej chłopak uniósł splotę.

– Nie chcę spotkać się z Sereną – oznajmiła dziewczynka.

– Wiem – odpowiedział Victor. – Ale ja chcę się spotkać z Eliem.

– Po co? – zapytała. – Przecież nie potrafisz go zabić.

– Możliwe... – Palce mężczyzny zacisnęły się na łopacie. – Ale gdybym nie spróbował, nie bawiłbym się nawet w połowie tak dobrze.

IX

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Kiedy Eli odbierał przyjaciela z lotniska na kilka dni przed początkiem semestru wiosennego, na jego twarzy igrał uśmiech, który zdenerwował Victora. Eli miał w zanadrzu tyle uśmiechów, ile smaków lodów sprzedają w dobrej lodziarni, a ten konkretny wyraźnie wskazywał, że coś ukrywa. Victor rozpaczliwie próbował nie okazywać zainteresowania, ale w rzeczywistości zżerała go ciekawość, więc robił dobrą minę do złej gry.

Całą przerwę w zajęciach Eli spędził na kampusie, prowadząc badania do swojej pracy dyplomowej. Angie narzekała na niego, ponieważ początkowo planował wyjechać razem z nią. Dziewczynie – jak przewidział Victor – niespecjalnie podobała się praca dyplomowa jej chłopaka, ani pod względem tematu, ani ilości czasu, jaką zajmowały niezbędne badania. Eli twierdził, że zdecydował się zostać w czasie przerwy na uczelni, żeby uspokoić profesora Lyne'a i udowodnić mu, że podchodzi do zadania poważnie. Victor zapłonął wewnętrznym oburzeniem, ponieważ w ten sposób Eli miał więcej czasu i zyskiwał przewagę nad innymi. Dlatego młody Vale oczywiście również złożył podanie o pozwolenie na badania podczas przerwy świątecznej, z tego samego powodu, co jego współlokator, ale odmówiono mu. Potrzebował całej siły

woli, by ukryć wściekłość; w głębi duszy pragnął wykreślić Elia ze swojego życia grubą czarną linią i przepisać je jako własne. Udało mu się jednak zareagować na fiasko swojego podania tylko wzruszeniem ramion i lekceważącym uśmiechem, a Eli obiecał, że bezzwłocznie go poinformuje, jeżeli poczyni jakieś postępy w interesujących ich obszarach. Tak właśnie powiedział, „ich”, nie „go”, co trochę uspokoiło Victora. Mimo to w czasie przerwy nie nadeszły żadne wieści; przyjaciel zadzwonił dopiero na kilka dni przed powrotem współlokatora na kampus i powiedział, że coś odkrył, ale odmówił rozmowy na ten temat przez telefon, w związku z czym Victor musiał poczekać kilka dni.

W pierwszej chwili chciał zmienić rezerwację na wcześniejszy lot (nie mógł się doczekać wyjazdu z domu rodziców, którzy najpierw nalegali na wspólne spędzenie Bożego Narodzenia, a gdy przyjechał, codziennie przypominali mu, jak bardzo się dla niego poświęcają, ponieważ w okresie gwiazdkowym ich promocyjne występy cieszyły się największą popularnością). Nie chciał jednak okazać zniecierpliwienia, toteż spędził ten okres, ze względu na własną pracę dyplomową, wgrzyzając się w zagadnienia związane z adrenaliną. W porównaniu z tematem Elia wydawały się one orzeźwiająco proste: przyczyna i skutek, a wszystko świetnie udokumentowane, zbyt dobrze, by stanowić jakiegokolwiek wyzwanie. Tak naprawdę jego praca polegała na przemieleniu danych i wypluciu ich w nowej postaci, profesjonalnie uporządkowanej i ujętej w eleganckie słowa, ale uwieńczonej wnioskami, które sam Victor uważał za mało inspirujące i po prostu nudne. Lyne określił jego pracę jako solidną, a nawet powiedział, że Victor bierze rozbieg do

rekordowego skoku. Victor nie chciał jednak skakać, jeśli Eli próbował latać!

Dlatego teraz, gdy wszedł do samochodu kolegi, jego palce ruszyły do tańca, wybijając niecierpliwie rytm na kolanie. Przeciągnął się, by je uspokoić, ale kiedy tylko wróciły na swoje miejsce, znów podjęły niezmordowany ruch. Spędził większość lotu, przykrywając zniecierpliwienie obojętnością i przygotowując na spotkanie z przyjacielem tak, by nie rzucić się na niego z wrzaskiem „Powiedz mi wszystko!”, ale teraz, kiedy siedzieli razem w samochodzie, jego maska zaczęła się rozpadać.

– No i? – zapytał, nieskutecznie próbując przybrać znudzony ton. – Co ustaliłeś?

Eli ścisnął mocniej kierownicę i skręcił w kierunku Lockland.

– Trauma – odparł.

– Co z nią?

– To jedyna wspólna cecha, jaką odkryłem we wszystkich przypadkach, nawet najślabiej udokumentowanych. Pod wpływem stresu ciała reagują na rozmaite sposoby. No wiesz, adrenalina i te rzeczy. Doszedłem więc do wniosku, że trauma potrafi chemicznie odmienić ciało w kierunku PonadPrzeciętności... – przerwał na chwilę, po czym podjął opowieść nieco szybciej niż poprzednio. – Problem polega na tym, że trauma to takie ogólne słowo, nieprawdaż? To cały gobelin, z którego próbuję wyodrębnić jedno włókno. Miliony ludzi przechodzą codziennie traumę, emocjonalną, fizyczną, jaką tylko chcesz. Gdyby chociaż drobna część z nich stawała się PonadPrzeciętna, i tak stanowiliby znaczną część populacji. W takim przypadku nie mówiłoby się o nich lekceważąco;

staliby się czymś więcej niż tylko hipotezą. Należeliby do otaczającej nas rzeczywistości. Wiedziałem, że musi być coś innego, jakiś szczegół, który mi umyka.

– Konkretny rodzaj traumy? Jak na przykład wypadek samochodowy? – zapytał Victor.

– Tak, dokładnie, poza tym, że nic nie wskazywało na żadną powszechnie występującą traumę. Nie było żadnego oczywistego schematu, żadnych wskaźników... przynajmniej z początku.

Słowa Elia zawisły między nimi. Victor już wcześniej najpierw ściszył, a potem całkiem wyłączył radio. Eli niemal podskakiwał z podniecenia na fotelu kierowcy.

– Ale potem... – ponaglił go Victor, zarazem podekscytowany i zażenowany własnym zainteresowaniem.

– Ale potem zacząłem kopać głębiej – wyjaśnił Eli – i dokopałem się do kilku przypadków, oczywiście nieoficjalnych. Cholernie trudno było mi znaleźć to gówno. Opisani tam ludzie nie przeżyli po prostu traumy, Vic. Oni umarli. Z początku tego nie zauważyłem, bo w dziewięciu przypadkach na dziesięć, kiedy taka osoba zmartwychwstaje, to nie jest nawet odnotowane jako DBŚ. Do diabła, połowa z tych ludzi w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że przeżyli DBŚ.

– Co to jest DBŚ?

Eli spojrzał na Victora z ukosa.

– Doświadczenie bliskie śmierci. Posłuchaj: co, jeżeli osoby PP nie powstają w wyniku zwykłej traumy? Co, jeżeli ich ciała reagują na największe możliwe cierpienie? Śmierć. Pomyśl! Mówimy tu o przeobrażeniu, które byłoby niemożliwe, gdyby w grę wchodziła tylko reakcja fizjologiczna lub tylko reakcja psychologiczna. Wymagałoby to ogromnego wyrzutu adrenaliny, strachu, świadomości umierania. Mówimy tu o potędze woli,

o triumfie umysłu nad materią, ale w rzeczywistości chodzi o reakcję i umysłu, i ciała. I umysł, i ciało odpowiadają na bezpośrednie zagrożenie śmiercią, a w przypadkach, kiedy oba te elementy są dość silne – a muszą takie być, tu chodzi o genetyczną predyspozycję i wolę przetrwania – to sądzę, że dostajemy przepis na osobę PP.

Victor słuchał tej przemowy, a jego myśli galopowały.

Zacisnął dłonie na kolanach.

Ta teoria miała sens.

Ta teoria miała sens, co więcej, była prosta i elegancka, a Victor czuł nienawiść, przede wszystkim dlatego, że sam powinien był na to wpaść! Powinien umieć sformułować taką hipotezę! To on pisał pracę dyplomową z adrenaliną w roli głównej. Jedyna różnica polegała na tym, że Victor badał tymczasowe stany, wywołane przez ten hormon, a Eli posunął się o krok dalej i zasugerował stałą zmianę. Na chwilę ogarnęła go wściekłość, ale ponieważ była bezproduktywna, zdołał zmienić ją w coś bardziej pragmatycznego i zajął się wyszukiwaniem słabych stron.

– No, powiedz coś, Vic.

Chłopak zmarszczył brwi i zaczął mówić, starając się używać tonu jak najbardziej wypranego z entuzjazmu:

– Eli, masz dwie znane zmienne, cała reszta to niewiadome. Nawet jeżeli ostatecznie ustalisz, że DBŚ i silna wola to niezbędne składniki, pomyśl, ile innych czynników może wchodzić w grę. Cholera, stworzenie osoby PP może wymagać spełnienia dziesięciu innych warunków z listy! A te dwa, które wyodrębniłeś, są zbyt ogólne. Samo tylko określenie „predyspozycja genetyczna” zawiera setki cech, z których może okazać się niezbędnych tylko kilka – albo wszystkie. Czy obiekt

powinien mieć naturalnie podniesione poziomy hormonów, czy hiperaktywne gruczoły? Czy znaczenie będzie mieć jego obecna kondycja fizyczna, czy wrodzone reakcje organizmu na zmianę? A co do stanu jego umysłu, Eli, to jakim cudem obliczysz czynniki psychologiczne? Co składa się na silną wolę? To filozoficzna puszka Pandory. Poza tym pozostaje cały margines elementu losowego.

– Nie wykluczam żadnego z tych czynników – zastrzegł Eli z nieco mniejszym entuzjazmem, parkując samochód. – Ta teoria pozwala na dodawanie kolejnych elementów bez zmiany dla końcowych wniosków. Ale może zamiast szukać dziury w całym, uczymy fakt, że dokonałem potencjalnie przełomowego odkrycia? Osoby PonadPrzeciętne powstają w wyniku przeżycia doświadczenia bliskiego śmierci. Powiedziałbym, że to kurewsko odlotowe!

– Ale to nie wystarczy – upierał się Victor.

– Czyżby? – warknął Eli. – To dopiero początek. To już coś! Każda teoria musi się od czegoś zacząć, Vic. Hipoteza DBŚ – koktajlu umysłowych i fizycznych reakcji na traumę – trzyma się kupy.

Kiedy Eli to mówił, w głowie Victora zaczęła kształtować się złośliwa i niebezpieczna myśl. Pomysł, jak nagiąć rzeczywistość i sprawić, żeby odkrycie Elia stało się odkryciem Victora... albo przynajmniej ich wspólnym osiągnięciem.

– Poza tym to tylko praca dyplomowa – ciągnął przyjaciel. – Próbuję znaleźć naukowe wyjaśnienie dla fenomenu osób PP, a nie stworzyć taką osobę!

Usta Victora drgnęły, a potem skrzywiły się w uśmiechu.

– A właściwie dlaczego nie? – zapytał triumfalnie.



– Ponieważ to samobójstwo – wyjaśnił Eli pomiędzy kęsami kanapki.

Siedzieli w KRUL. Ponieważ wiosenny semestr jeszcze się nie zaczął, w kompleksie było niemal pusto. Otwarte były tylko włoska jadłodajnia, cukierenka i kawiarnia.

– No cóż, tak, siłą rzeczy – przyznał Victor, popijając kawę. – Ale gdyby zadziało...

– Nie wierzę, że sugerujesz coś takiego – powiedział Eli, lecz w jego głosie kryło się coś więcej niż niedowierzanie. Ciekawość. Energia. Zapał, który przyjaciel wyczuł u niego już wcześniej.

– Powiedzmy, że masz rację – naciskał teraz Victor – i wszystko sprowadza się do prostego równania: doświadczenie bliskie śmierci, z naciskiem na słowo „bliskie”, do tego pewien poziom fizycznej wytrzymałości i silna wola...

– Ale przecież jeszcze niedawno powiedziałaś, że to wcale nie takie proste! Że musi być więcej czynników!

– Och, jestem przekonany, że istnieje ich więcej – zachnął się Victor, zadowolony, że zdołał skupić na sobie uwagę Elia. Lubił absorbować przyjaciela. – Nikt nie wie, ile. Jestem jednak skłonny przyznać, że ciało faktycznie potrafi zdziałać niewiarygodne rzeczy w sytuacji zagrożenia życia. Sam piszę o tym pracę, pamiętasz chyba? I może masz rację. Być może ludzkie ciało jest zdolne do zasadniczych zmian biochemicznych. Znamy przypadki, kiedy adrenalina dawała ludziom niemal nadludzkie możliwości, kiedy tego potrzebowali. Przebłyśki potęgi. Być może istnieje sposób, żeby zmienić człowieka na stałe, nie tylko na chwilę.

– Ależ to szaleństwo...

– Wcale tak nie myślisz. Przecież to twoja praca dyplomowa – stwierdził Victor, wpatrując się w kawę na dnie kubka. Skrzywił się. – Całkiem przypadkowo dostaniesz za nią najwyższą ocenę.

Eli zmrużył oczy.

– Moja praca miała być czysto teoretyczna...

– Och, naprawdę?! – zapytał Victor prowokacyjnie. – A co się stało z twoją wiarą?

Jego rozmówca obruszył się i już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy para smukłych ramion objęła go za szyję.

– Dlaczego moje chłopaki siedzą takie nastroszone?

Victor podniósł wzrok i zobaczył rude loki Angie, jej piegi i promienny uśmiech.

– Martwicie się, że już po świętach?

– Raczej nie – odparł.

– Cześć, Angie – powiedział Eli. Victor patrzył, jak przymyka oczy, przechyla się i całuje ją w hollywoodzkim stylu. Zaklął w myślach. Tak się starał, żeby wciągnąć kumpla w dyskusję, a teraz Angie jednym pocałunkiem rozproszyła skupionego dotąd na temacie pracy przyjaciela. Zirytowany, odsunął się od stołu.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Mam jeszcze sporo roboty – odparł. – Właśnie wróciłem, muszę się jeszcze rozpakować...

Umilkł, nie kończąc zdania. Angie nie zwracała już na niego uwagi. Zagłębiła dłonie we włosach Elia i oboje zatopili w namiętym pocałunku. W jednej chwili przestali go dostrzegać.

Victor odwrócił się i wyszedł.

X

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Victor przytrzymał drzwi apartamentu hotelowego, a Mitch wniósł ranną i przemoczoną Sydney. Tatuaze pokrywały niemal całą skórę tego wielkiego, tęgiego faceta z głową ogoloną na łyso. Był tak szeroki w barach, że Sydney swobodnie mieściła się w jego ramionach. Dziewczynka mogła chodzić, ale Mitch zdecydował, że łatwiej będzie mu ją nieść niż podtrzymywać. Niósł poza tym dwie walizki, które rzucił przy drzwiach.

– Myślę, że jakoś się tu pomieścimy – stwierdził radośnie, rozglądając się po luksusowym apartamencie.

Victor postawił na podłodze trzecią, dużo mniejszą walizkę, zdjął i odwiesił mokry płaszcz, po czym podciągając rękawy kazał Mitchowi zanieść dziewczynę do łazienki. Sydney się rozglądała. Hotel Esquire, położony w śródmieściu Merit, wydawał jej się oszczędnie umeblowany, do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, czy z pokoju nie wyrzucono większej części mebli. Złapała się na tym, że szuka na podłodze wyłobień pozostawionych przez nogi krzeseł czy kanapy. Podłoga była jednak wykonana z drewna lub czegoś, co wyglądało jak drewno, a łazienka wyłożona kamieniem i gładkimi ceramicznymi płytkami. Mitch postawił ją pod prysznicem w obszernej kabinie bez drzwi, o ścianach z marmuru, i zniknął.

Zadrżała z przejmującego zimna. Victor pojawił się kilka minut później, dźwigając naręczę losowo dobranych ubrań.

– Jedno z nich powinno na ciebie pasować – powiedział, rzucając ciuchy na blat koło umywalki. Zaczekał na zewnątrz, podczas gdy Sydney ściągała mokry strój i szukała nowego w stosie, który przyniósł, zastanawiając się, skąd pochodzi ta odzież. Wyglądało to tak, jakby Victor i Mitch obrabowali jakąś pralnię, ale rzeczy były suche i ciepłe, więc się nie skarżyła.

– Sydney – zawołała w końcu głosem stłumionym przez koszulę, którą właśnie zakładała przez głowę, i drzwi pomiędzy nimi. – Tak się nazywam.

– Miło mi! – odkrzyknął Victor z korytarza.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała, grzebiąc w poszukiwaniu innych rzeczy.

– Jak co zrobiłem? – odpowiedział pytaniem.

– Jak to zrobiłeś, że ból ustąpił?

– To... pewien dar.

– Dar, akurat – wymamrotała gorzko.

– Znasz kogokolwiek innego, kto miałby jakiś dar? – spytał przez drzwi.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, przerywana tylko szelestem towarzyszącym przekopywaniu się przez ubrania. Kiedy w końcu się odezwała, powiedziała tylko:

– Teraz możesz wejść.

Victor przekroczył próg łazienki. Sydney stała na środku, w zbyt dużych spodniach od dresu i nazbyt długiej koszulce na cieniotkich ramiączkach, ale na tę chwilę oba elementy stroju spełniały swoją funkcję. Kazał jej sięść na blacie i nie ruszać

się, a sam zaczął badać jej ramię. Oczyszczył je z zaschniętej krwi i zmarszczył czoło.

– O co chodzi? – zapytała.

– Masz ranę postrzałową – odparł.

– Oczywiście, że tak.

– Bawiłaś się bronią albo coś w tym rodzaju?

– Nie.

– Kiedy to się stało? – indagował dalej, delikatnie ściskając palcami jej nadgarstek.

– Wczoraj.

Z oczami utkwionymi w jej ramieniu spytał:

– Może mi wyjaśnisz, co tu się dzieje?

– A co masz na myśli?

– No więc tak, Sydney; masz kulę w ramieniu, twoje tętno jest zbyt powolne, jak na kogoś w twoim wieku, a temperaturę masz co najmniej o pięć stopni za niską.

Dziewczynka zeszywniała, ale nie odpowiedziała.

– Czy zraniono cię jeszcze gdzieś indziej?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Za chwilę zdejmę ci to... znieczulenie – uprzedził – żeby zobaczyć, czy nie masz innych urazów.

Skinęła krótko głową. Zacisnął dłoń trochę mocniej na jej ramieniu i tępy, przenikliwy chłód ustąpił miejsca cieplejszym, dotkliwym ukłuciom w całym ciele. W pierwszej chwili zachłysnęła się, ale wytrzymała i powiedziała mu, gdzie czuje największy ból. Patrzyła, jak ją badał, muskając leciutko, tak jakby bał się ją uszkodzić. Wszystko w nim wydawało się lekkie i jasne, niemal przezroczyste: skóra, włosy, oczy, dłonie

tańczące w powietrzu nad jej ciałem, dotykające jej tylko wtedy, kiedy było to niezbędne.

– No dobrze – powiedział Victor, gdy skończył ją bandażować i ponownie odebrał jej ból. – Poza raną od pocisku i skręconą kostką wydajesz się być w całkiem przyzwoitej formie.

– Och, tak, poza tymi drobiazgami – skomentowała oschle.

– Forma jest rzeczą względną – zastrzegł. – Przynajmniej żyjesz.

– Owszem.

– No to w końcu jak? Powiesz mi, co ci się stało?

– A co, jesteś doktorem? – skontrowała.

– Miałem zostać lekarzem... kiedyś, dawno temu.

– Dlaczego nie zostałeś?

Victor westchnął i oparł się o wieszak na ręczniki.

– Pohandlujemy? Odpowiedź za odpowiedź.

Sydney zawahała się, ale w końcu kiwnęła głową.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Trzynaście – skłamała, bo nienawidziła swojego prawdziwego wieku; w rzeczywistości była o rok młodsza. – A ty ile?

– Trzydzieści dwa. Co ci się stało?

– Ktoś próbował mnie zabić.

– To widać, ale dlaczego ktoś miałby chcieć cię zabić?

Pokręciła głową.

– Nie twoja kolej. Dlaczego nie zostałeś doktorem?

– Poszedłem do więzienia. Dlaczego ktoś próbował cię zabić?

Potarła goleń piętą, co oznaczało, że zaraz skłamię, ale Victor nie znał jej jeszcze wystarczająco dobrze, żeby to wiedzieć.

– Nie mam pojęcia. – Już miała spytać o więzienie, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. – Dlaczego mnie zabrałeś z drogi?

– Mam słabość do przybłędów – odparł. Jego następne pytanie ją zaskoczyło: – Czy masz jakiś dar, Sydney?

Po dłuższej chwili zaprzeczyła bez słów, kręcąc głową.

Victor opuścił wzrok, a ona zobaczyła, jak przez jego twarz przebiega cień, i przestraszyła się po raz pierwszy, od kiedy zatrzymał się przy niej samochód. Nie był to momentalny, wszechogarniający strach; poczuła raczej powoli rosnącą, stałą panikę, rozchodzącą się po całym ciele.

Wówczas jednak mężczyzna podniósł głowę. Cień zniknął z jego twarzy.

– Powinnaś teraz odpocząć, Sydney – stwierdził. – Zajmij pokój na końcu korytarza.

Odwrócił się i odszedł, zanim zdążyła mu podziękować.



Victor udał się do kuchni, oddzielonej od salonu tylko kamiennym kontuarem, i nalał sobie drinka. Od ucieczki z Wrighton uzbierali z Mitchem niezły zapas alkoholu, który jego wielki towarzysz przeniósł z samochodu do apartamentu. Dziewczynka kłamała, Victor doskonale to wiedział, a mimo to oparł się pokusie zastosowania swoich zwykłych metod. Była jeszcze dzieckiem, i to cholernie wystraszonym. Poza tym została już wystarczająco skrzywdzona.

Pozwolił Mitchowi zająć jedną z sypialni. Ten wielki facet i tak nie zmieściłby się na kanapie, a Victor nie sypiał wiele. Gdyby nawet się zmęczył, w zupełności wystarczyłaby mu

pluszowa sofa. W więzieniu nic nie wkurzało go bardziej: ani ludzie, ani jedzenie, ani nawet sam fakt, że jego wolność została ograniczona.

Tylko ta cholerna prycza.

Zabrał drinka i zaczął wędrować po udającym drewno laminacie hotelowej podłogi. Wyglądała nader realistycznie, ale nie skrzypiała pod stopami, a Victor wyczuwał betonową gładź pod spodem. Jego stopy spędziły dość czasu na więziennym betonie, żeby od razu rozpoznawać takie rzeczy.

Salon zamiast jednej ściany miał okna, sięgające od podłogi do sufitu, a na samym środku – podwójne balkonowe drzwi. Otworzył je i wyszedł na wąski pomost, siedem kondygnacji nad ziemią. Na zewnątrz było mroźno, a Victor z przyjemnością odetchnął zimnym powietrzem, opierając łokcie na zamrażniętej metalowej poręczy, pewnie trzymając drinka, mimo że szklanka w lodowatym powietrzu szybko ochłodziła się na tyle, by odmrozić mu dłoń. Nie żeby czuł przy tym jakikolwiek ból.

Patrzył na ulice i domy Merit. Nawet o tej godzinie miasto żyło, huczało i wibrowało. Ulicami przechadzali się ludzie, których potrafił wyczuć bez najmniejszego wysiłku, ale nawet w tej chwili, otoczony przez zimne, metaliczne, miejskie powietrze i miliony żywych, oddychających, czujących ciał, nie myślał o żadnym z nich. Jego wzrok spoczywał na budynkach, lecz umysł wędrował daleko poza ich panoramę.

XI

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

– No i jak? – zapytał Victor nieco później, jeszcze tego samego wieczoru. Wcześniej zdążył wychylić drinka, a nawet kilka. W kuchni mieli osobną półkę, pełną puszek z piwem i zawsze starannie uzupełnianą, a w szufladzie pod umywalką w łazience zapas mocniejszych alkoholi na gorsze dni. Albo właśnie na lepsze.

– Nie da się, w żaden sposób – oświadczył Eli. Dostrzegł szklankę w dłoni przyjaciela i udał się do łazienki, żeby też nalać sobie drinka.

– No, nie do końca! – zaprotestował Victor.

– Nie ma sposobu, żeby zapewnić wystarczającą kontrolę nad takim eksperymentem – sprecyzował Eli, biorąc spory łyk.

– Nie da się zagwarantować, że jego obiekt przeżyje, a co dopiero, że zacznie przejawiać PonadPrzeciętne umiejętności. Doświadczenia bliskie śmierci są właśnie takie – ocierają się o śmierć. To zbyt duże ryzyko.

– Ale gdyby się udało...

– Ale gdyby się nie udało...

– Moglibyśmy stworzyć takie warunki, żeby kontrolować eksperyment, Eli.

– Tak, ale nie wystarczająco precyzyjnie.

– Pytałeś mnie, czy chcę w coś uwierzyć. Tak, chcę. Chcę uwierzyć właśnie w to: że jest coś więcej – zadeklarował Victor i przełknął łyček whiskey. – Że możemy być czymś więcej. Do diabła, moglibyśmy stać się bohaterami!

– Równie dobrze moglibyśmy stać się trupami.

– To ryzyko, które podejmuje każdy, pozostając przy życiu.

Eli przeczesał palcami czuprynę. Wydawał się zbity z tropu i niepewny. Victor uwielbiał ten widok.

– To czysta teoria!

– Twoje dzieła, Eli, nie pozostaną w sferze teorii. Widzę w tobie wielkość! – Chłopak był bardzo dumny, że udało mu się tak dokładnie ubrać myśli w słowa, i to za pierwszym razem, tym bardziej, że miał już nieźle w czubie. Poczuł jednak, że powinien przestać gadać. Wolał, żeby ludzie nie wiedzieli, jak dokładnie ich obserwuje i naśladuje. – Widzę wielkość – powtórzył nieco ciszej.

– Wygląda na to, że masz dość.

Victor spojrzał w dół, na resztę bursztynowego płynu w szklance.

Chwile, które definiują całe nasze życie, nie zawsze są wyraźnie zapowiadane. Żaden transparent nie krzyczy „UWAGA, WYBOJE!”, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie ma liny, pod którą można się prześlizgnąć, którą się przekracza, paktu krwi do zawarcia ani oficjalnego listu na kredowym papierze. Taka chwila prawie nigdy nie trwa długo, ani nie wydaje się szczególnie znacząca. Między jednym łykiem whiskey a drugim Victor popełnił największą pomyłkę w życiu: wypowiedział jedno krótkie zdanie. Trzy słowa.

– Chcę być pierwszy.

Pomyślał o tym już w samochodzie, w drodze z lotniska, wówczas, gdy zapytał: „A właściwie dlaczego nie?”. Myślał o tym, kiedy jedli lunch, a potem podczas spaceru po kampusie z kawą w dłoni, myślał przez całą drogę do akademików, gdzie znajdowały się apartamenty studentów wyższych lat. Gdzieś między trzecią a czwartą szklaneczką whiskey pytajnik na końcu zdania zamienił się w kropkę. W sumie nie miał wyboru. Istniał tylko jeden sposób, by zostać kimś więcej niż tylko widzem w wielkim spektaklu Elia: stać się jednym z uczestników, a najlepiej – współautorów.

– Co masz przy sobie? – zapytał.

– A co masz na myśli?

Victor uniósł bladą brew, ani trochę nie rozbawiony tym pytaniem. Eli nie zażywał narkotyków, ale zawsze miał w kieszeni porcyjkę. To był najszybszy sposób na kampusie Lockland – i każdym innym, Victor mógł się o to założyć – żeby zarobić parę groszy albo zyskać kilku nowych przyjaciół. Eli najwyraźniej domyślał się, dokąd zmierza jego przyjaciel.

– O, nie.

Tymczasem Victor zanurkował do łazienki, po czym wyłonił się stamtąd z butelką whiskey, w której zostało jeszcze sporo alkoholu.

– No więc co masz? – zapytał znów.

– Nie!

Victor westchnął, dotarł do niskiego stolika, złapał kawałek papieru i nagryzmolił na nim parę słów: „Zobacz książki z dolnej półki”.

– Proszę – powiedział uprzejmie, wręczając notatkę Eliowi, który zmarszczył czoło. Vic wzruszył ramionami i wziął jeszcze jeden, spory łyk. – Długo się zastanawiałem, zanim wybrałem te

książki – objaśnił, dla zachowania równowagi trzymając się kanapy. – To poezja. I stanowią lepszy pożegnalny list samobójcy niż cokolwiek, co byłbym w stanie w tej chwili naskrobać.

– Nie – powtórzył Eli kolejny raz, ale nawet jemu wydawało się, że to słowo dobiega z oddali i brzmi kompletnie niewyraźnie. W jego oczach zapaliło się światełko, z każdą chwilą coraz jaśniejsze. – To się na pewno nie uda – powiedział, idąc mimo to do swojego pokoju, gdzie w szufladzie nocnego stolika trzymał tabletki.

Victor wstał z kanapy, opierając się ciężko o stół, i podążył za współlokatorem.



Pół godziny później na stoliku stały obok siebie pusta butelka po whiskey i pusta fiolka po środkach przeciwbólowych. Victor leżał zaś w łóżku tuż obok, zastanawiając się, czy jednak nie popełnił pomyłki.

Serce waliło mu jak młotem, zbyt szybko tłocząc krew przez tętnice i żyły. Świat zaczął mu się rozmywać przed oczami, więc je zamknął. To był błąd. Usiadł raptownie, pewny, że zaraz zwymiotuje, ale czyjeś ręce pchnęły go z powrotem na łóżko i przytrzymały.

– Nie ma mowy – ostrzegł go Eli, puszczając dopiero wówczas, gdy Victor przełknął i skupił się na podwieszanym suficie. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? – dodał, a potem powiedział coś jeszcze, coś o stawianiu oporu i silnej woli.

Victor słyszał głównie własny puls. Jak to możliwe, by jego serce waliło jeszcze szybciej? Nie zastanawiał się już, czy nie

popęłnił pomyłki – był tego pewny. To był najgorszy plan, jaki stworzył i postanowił zrealizować w ciągu dwudziestu dwóch lat swojego życia. Racjonalna, powoli znikająca część jego umysłu, ta, która badała zagadnienia związane z adrenaliną, bólem i strachem, podpowiadała mu, że obrał złą metodę. Nie powinien był popijać pochodnych amfetaminy butelką whiskey, nie powinien robić niczego, by stępić zmysły i znieczulić ból, by złagodzić ten proces, ale czuł się zdenerwowany... a właściwie przerażony. Powoli zapadał w odrętwienie, i bał się tego bardziej niż bólu, ponieważ oznaczało to, że może po prostu... zniknąć.

Zniknąć w odmętach śmierci, nawet tego nie zauważając.

To był błąd... błąd... błąd... ale głos, który mu to mówił, odpływał coraz dalej, a zastępowało go rozlewające się uczucie tonięcia...

To mogło się udać.

Zmusił się, by tak pomyśleć, mimo otępiającej jego umysł paniki. To mogło się udać, a gdyby tak się stało, chciał mieć szansę zdobycia nowej mocy, zdobycia dowodu na słuszność tej teorii. Chciał sam zostać dowodem! Gdyby się na to nie zdecydował, cała chwała przypadłaby Eliowi, a Victor byłby tylko bezimiennym partnerem, który przerzucał się pomysłami z autorem przełomowego odkrycia. Decyzja ta oznaczała jednak, że Victor stał się niezbędnym elementem eksperymentu, nierozzerwalnie związanym z teorią przyjaciela. Próbował liczyć panele na suficie, ale ciągle gubił się w obliczeniach. Mimo że serce waliło mu jak oszalałe, myśli ciągnęły się niczym gęsty syrop; nowe słowa napływały do umysłu, zanim stare zdążyły go opuścić. Liczby zaczęły się nakładać jedne na drugie, tracić ostrość. Wszystko stawało się nierówne, zamazane. Niepokoiły go również zdrętwiałe opuszki

palców. Czuł się tak, jakby jego ciało zaczęło wysysać resztki energii z najbardziej oddalonych części przed wyłączeniem systemu. Odrętwienie sprawiło, że minęły mu mdłości. Tylko przyśpieszające tętno ostrzegało go, że organizm przestaje działać.

– Jak się czujesz? – zapytał Eli, wychylając się z fotela, który przyciągnął w pobliże łóżka. Oczy mu lśniły, tańczyło w nich światło. Nie wydawał się przejęty ani przerażony, ale przecież to nie on miał za chwilę otrzeć się o śmierć.

Victor poczuł, że coś jest nie tak z jego ustami. Musiał się bardzo skoncentrować, żeby uformować słowa.

– Niespecjalnie – zdołał wymamrotać.

Umówili się, że będzie to wyglądać na stare, dobre przedawkowanie – z kilku powodów. Gdyby się nie udało, będzie to najłatwiej wyjaśnić. Poza tym Eli mógł zaczekać z wezwaniem pogotowia, aż zacznie być naprawdę źle. Jeśli Victor zbyt wcześnie trafi do szpitala, to nie będzie to doświadczenie bliskie śmierci, najwyżej bardzo nieprzyjemne.

Odrętwienie ogarniało coraz większe obszary ciała chłopaka. Teraz nie czuł już kończyn ani skóry na głowie.

Jego serce stanęło na ułamek sekundy, a potem ruszyło znowu, dużo szybciej, w wysoce niepokojący sposób.

Eli znów coś mówił, niskim, ponagającym głosem.

Za każdym razem, gdy Victor mrugał, trudniej mu było podnieść powieki, aż w pewnym momencie zdjął go na chwilę potworny lęk. Lęk przed śmiercią, lęk o Elia, lęk o wszystko, co mogło się zdarzyć. Lęk przed tym, że nic się nie stanie.

Wkrótce jednak odrętwienie wzięło górę i nie zwracał już na nic uwagi.

Serce znów się zatrzymało; w tym momencie powinien poczuć ból, jednak wypił zbyt wiele, by czuć cokolwiek. Zamknął oczy, by skupić się na walce ze śmiercią, ale zamiast tego zaczęła go pochłaniać ciemność. Słyszał, jak Eli do niego mówi; zapewne było to coś ważnego, ponieważ podnosił głos tak, jak nigdy przedtem. Victor tonął. Jego jaźń przesączała się przez skórę, łóżko i podłogę, zapadając w głęboką, ostateczną czerń.

XII

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Victor usłyszał, że coś pęka. Spojrzał w dół i odkrył, że ścisnął szklankę z alkoholem zdecydowanie za mocno. Teraz zaciskał dłoń na ostrych odłamkach, a spomiędzy jego palców ciekły strużki czerwieni. Otworzył pięść. Potłuczone szkło poleciało za balustradę, prosto w żywopłot okalający hotelową restaurację siedem kondygnacji niżej. Popatrzył na kawałki tkwiące wciąż w jego dłoni.

Nie czuł ich.

Wrócił do pokoju i stanął nad zlewem, wyciągając największe odłamki z ciała i patrząc, jak lśnią na nierdzewnej stali. Czuł się odrętwiały i niezdarny, nie potrafił wydobyć mniejszych fragmentów, więc zamknął oczy, odetchnął i dopuścił do siebie z powrotem ból. Po chwili jego dłoń zaczęła płonąć; poszczególne ukłucia, parzące niczym iskry, podpowiadały mu, gdzie jeszcze zostały kawałki szklanki. Skończył je wydobywać i zamarł w bezruchu, patrząc na swoją zakrwawioną dłoń, a płytkie fale cierpienia przepływały przez nadgarstek.

PonadPrzeciętny.

Słowo, od którego wszystko się zaczęło. Słowo, które zmieniło i zniszczyło cały jego świat.

Zmarszczył brwi i dopuścił do siebie jeszcze więcej bodźców, jak gdyby przesuwiał w głowie jakiś regulator. Ból wzmógł się i jeszcze zaostrzył, tak jakby jego dłoń, palce i przegub przebijały tępe igły. Przesunął wyimaginowany suwak jeszcze o ząbek w górę i się skrzywił. Igły ustąpiły miejsca płachcie cierpienia, okrywającej jednostajną torturą całe jego ciało, a tępe ukłucia zamieniły się w ostre dżganie, jak od setek noży. Dłonie zaczęły mu się trząść, ale nie przestawał podkręcać w umyśle poziom bólu. W końcu cały płonął, trząsł się z męki, aż dotarł do granicy wytrzymałości.

Kolana się pod nim ugięły i złapał zakrwawioną dłonią za krawędź blatu. Ból zniknął jak za wyłączeniem bezpiecznika, pozostawiając Victora w ciemności. Uspokoił się stopniowo; dłoń ciągle mu krwawiła i wiedział, że powinien skorzystać z apteczki, którą przynieśli z samochodu, by opatrzyć Sydney. Nie po raz pierwszy żałował, że nie może się zamienić umiejętnościami z Eliem.

Zanim jednak poszedł po apteczkę, wytarł krew z blatu i nalał sobie następnego drinka.

XIII

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ CENTRUM MEDYCZNE LOCKLAND

Ból pojawił się znikąd.

Nie ten ból, który Victor poznał później i nauczył się stosować w praktyce, ale proste, aż nazbyt ludzkie uczucie, takie, jakie mogło być następstwem nieumiejętnego przedawkowania.

Cierpienie i ciemność ustąpiły miejsca bólowi i kolorowym błyskom. Po chwili tortura się wzmogła, a błyski okazały się pochodzić ze szpitalnych lamp.

Eli siedział na krześle przy łóżku Victora, tak jak w ich apartamencie, z tą różnicą, że teraz w pobliżu nie było żadnych pigułek ani tabletek. Tylko pikające maszyny, cienkie prześcieradła i najgorsza migrena, jakiej Victor Vale doświadczył w całym swoim życiu, włączając w to pewne wakacje, kiedy zdecydował się obrabować barek rodziców, podczas gdy oni objeżdżali Europę, promując kolejną książkę. Eli pochylił głowę i złożył dłonie, tak jakby się modlił. Victor zaczął się zastanawiać, czy przyjaciel właśnie to robi, ale po chwili uznał, że warto mu przerwać.

– Nie czekałeś dość długo – wyszeptał, kiedy upewnił się, że Eli nie rozmawia już z Bogiem.

Tamten podniósł wzrok.

– Przestałeś oddychać. Prawie umarłeś.

– Prawie...

– Przykro mi – odparł Eli, przecierając oczy. – Nie mogłem już...

Victor opadł ciężko na łóżko. Zapewne powinien być wdzięczny: przerwanie eksperymentu zbyt wcześnie było lepsze niż przerwanie go za późno. A jednak... Zaczął dłubać paznokciem pod jednym z czujników przyklejonych do piersi. Gdyby próba rzeczywiście się powiodła, czy czułby się inaczej? Czy aparatura medyczna by oszalała? A może lampy zaczęłyby mrugać? Albo łóżko stanęło w ogniu?

– Jak się czujesz? – zapytał Eli.

– Jak ostatni kretyn, panie Cardale – rzucił Victor, a jego rozmówca skrzywił się, bardziej na dźwięk swojego nazwiska niż na ton.

Po trzech drinkach, zanim jeszcze zaczęły działać tabletki, podnieceni bliskim przełomem zdecydowali, że po udanym eksperymencie Eli zmieni nazwisko z Cardale na Ever. „Eli Ever” brzmiało dużo bardziej odłotowo, a superbohaterowie z komiksów nosili takie właśnie nazwiska – krótkie i wykorzystujące aliterację. W tamtym momencie wydawało im się to ważne. Chociaż raz Victor Vale miał w tym względzie przewagę nad przyjacielem, i chociaż była to mała, nieistotna rzecz, dotycząca wszak tylko słów, podobało mu się, że ma coś, czego Eli nie ma. Coś, czego Eli pragnie. Być może Eliota Cardale’a w rzeczywistości wcale to nie obchodziło, może chciał tylko zrobić przyjacielowi przyjemność, ale wyglądał na autentycznie dotkniętego, kiedy rozmówca zwrócił się do niego po nazwisku, a na tę chwilę Victorowi całkowicie to wystarczyło.

– Wiesz, myślałem... – zaczął Eli, pochylając się ku niemu. W jego ruchach dało się wyczuć ledwie powstrzymywane podniecenie. Wykręcał sobie dłonie, a jego nogi podrygiwały z lekka. Victor spróbował się skupić na tym, co Eli mówi, nie na języku jego ciała. – Sądzę, że następnym razem...

Przerwał, kiedy kobieta stojąca w drzwiach uprzejmie odchrząknęła. Nie była lekarzem, nie miała na sobie kitla, ale mała plakietka z nazwiskiem, przypięta nad lewą piersią, identyfikowała ją jako inne zagrożenie, o wiele większe.

– Victor? Nazywam się Melanie Pierce. Pracuję tutaj, w centrum medycznym Lockland, jako psycholożka.

Eli siedział tyłem do niej. Zmrużył oczy, ostrzegając Victora, który machnął dłonią, przekazując przyjacielowi, by się oddalił, a zarazem potwierdzając, że nie piśnie ani słowa o eksperymencie. Na tym musieli zakończyć rozmowę. Eli wstał i wymamrotał coś o tym, że musi zadzwonić do Angie, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Victorze. – Pani Pierce zwróciła się do niego powoli, kojącym tonem, przygładzając swoje mysie włosy, ułożone w sposób sugerujący, że pochodzi z Południa. Nie potrafił przypisać jej akcentu do żadnego regionu Stanów, ale używała wyraźnie protekcyjnego tonu. – Personel medyczny powiedział mi, że nie mógł się skontaktować z numerami oznaczonymi przez ciebie jako alarmowe.

„I dzięki Bogu”, pomyślał. Powiedział jednak:

– To znaczy z moimi rodzicami, tak? Są teraz w trasie.

– No cóż, w tych okolicznościach to ważne, żebyś wiedział, że...

– Nie próbowałem się zabić – przerwał jej. Częściowe kłamstwo. Skrzywiła usta w pobłażliwym uśmiechu. – Po

prostu impreza weszła mi trochę za mocno – dodał. Totalne kłamstwo.

Przechyliła głowę, a jej fryzura nie zmieniła przy tym kształtu.

– Nauka w Lockland jest stresująca. Musiałem się odprężyć – spróbował. Prawda.

Pani Pierce westchnęła.

– Wierzę ci – odpowiedziała. Kłamstwo. – Ale kiedy cię wypuścimy...

– Właśnie, kiedy?

Zacisnęła usta, a potem odparła:

– Jesteśmy zobowiązani zatrzymać cię na obserwacji przez siedemdziesiąt dwie godziny.

– Mam zajęcia.

– Musisz odpocząć.

– Muszę chodzić na wykłady.

– To nie podlega dyskusji.

– Nie próbowałem się przecież zabić!

Zmieniła ton. Jej głos brzmiał teraz mniej przyjaźnie, bardziej szczerze i niecierpliwie. Normalnie.

– W takim razie powiedz mi, co właściwie zrobiłeś!

– Popełniłem błąd – odparł Victor.

– Wszyscy popełniamy błędy – oświadczyła pani Pierce, a on nagle poczuł się gorzej. Być może był to efekt przedawkowania, a może szablonowego podejścia pani psycholog. Opadł ciężko na poduszkę i zamknął oczy, lecz ona nie przestawała mówić: – Kiedy cię wypiszemy, zanotuję w zaleceniach, żebyś spotykał się z uniwersyteckim psychologiem.

Victor jęknął. Pan Peter Marek. Wiecznie spocony facet z dwoma imionami, za to bez poczucia humoru.

– To naprawdę nie jest konieczne – wymamrotał ponuro. Jego rodzice wystarczająco często wypróbowywali na nim metody terapeutyczne, których sobie nie życzył.

Pani Pierce znów popatrzyła na niego protekcyjnie.

– A mnie się wydaje, że tak.

– Czy jeżeli się zgodzę, wypiszą mnie od razu?

– Jeśli się nie zgodzisz, nie będziesz mógł wrócić na uniwersytet. A tymczasem zostaniesz tu przez siedemdziesiąt dwie godziny i będziesz się widywał ze mną.

Kolejne kilka godzin Victor spędził, zastanawiając się, jak zabić nie siebie, lecz kogoś innego – a konkretnie panią Pierce. Ciekawe, czy gdyby jej to powiedział, uważałaby to za objaw powrotu do zdrowia. Szczerze w to wątpił.

XIV

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Victor niefrasobliwie kołysał szklanką z kolejnym drinkiem, trzymaną w niedawno zabandażowanej dłoni. Przemierzał hotelowy pokój od ściany do ściany i z powrotem, lecz zmęczenie nie nadchodziło. Zamiast tego marsz po apartamencie wydawał się ładować go nową energią, generując w jego umyśle coś w rodzaju szumów i trzasków. Nagle naszła go dzika chęć, by wrzasnąć lub rzucić szklanką o ścianę; zamknął oczy i opanował się, zmuszając nogi, by zrobiły coś, na co nie miały najmniejszej ochoty: zatrzymały się.

Staął nieruchomo, próbując stłumić energię, chaos i zakłócenia, a pozostawić wokół i wewnątrz siebie tylko ciszę i bezruch.

Podobne sytuacje zdarzały mu się w więzieniu; panika zwała się na niego jak spiętrzająca się na płyciźnie fala. Ciemność prowokowała go, sycząc „Skończ z tym!”. Ileż razy oparł się pokusie, by zniszczyć wszystko, nie rękami, lecz mocą pochodzącą z jego wnętrza? By zabić wszystkich naokoło?

Nie mógł sobie jednak na to pozwolić, ani wtedy, ani teraz. Jedynym sposobem wydostania się z izolatki było przekonanie więziennego personelu, że jest ponad wszelką wątpliwość normalnym, pozbawionym jakiegokolwiek specjalnej mocy człowiekiem oraz że nie stanowi dla strażników i obsługi

zagrożenia większego niż jakikolwiek z pozostałych czterystu sześćdziesięciu trzech osadzonych. Czasem jednak, gdy w pojedynczej celi zapadała ciemność, pokusa unicestwienia wszystkiego i wszystkich stawała się obezwładniająca. Zniszcz to wszystko, zabij wszystkich, a potem wyjdź stąd.

Teraz, podobnie jak wtedy, zatrzymał się i uspokoił, zamknął w sobie, z całych sił próbując zapomnieć, że w ogóle dysponuje mocą, którą może wykorzystać przeciw innym, gdyby nasza go ochota. Teraz, podobnie jak wówczas, kazał swojemu ciału i umysłowi uspokoić się, zamrzeć. W końcu – podobnie jak wiele razy przedtem – gdy zamknął oczy i ucichł, w uszach zabrzmiało mu słowo przypominające, dlaczego nie może sobie pozwolić na wybuch; słowo brzmiące jak wyzwanie. Imię.

XV

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ CENTRUM MEDYCZNE LOCKLAND

Eli usiadł ciężko na krześle przy łóżku Victora i rzucił plecak na pokrytą laminatem szpitalną podłogę. Victor właśnie zakończył ostatnią sesję terapii, podczas której razem z panią Pierce badali jego relacje z rodzicami, których psycholożka – jak można się było spodziewać – uwielbiała. Opuściła salę z mocnym poczuciem, że poczynili znaczne postępy po tym, jak Victor obiecał jej książkę z autografami państwa Vale. On zaś został w łóżku z bólem głowy i skierowaniem na co najmniej trzy spotkania z uniwersyteckim psychologiem Lockland. W zamian za podpisaną książkę rodziców wynegocjował obniżenie wyroku z siedemdziesięciu dwóch godzin do czterdziestu. Teraz zaś walczył ze szpitalną bransoletką identyfikacyjną, nie mogąc zdjąć jej z ręki. Eli nachylił się, wyjął scyzoryk i jednym pociągnięciem przeciął materiał z dziwnego tworzywa, ni to papieru, ni to plastiku. Victor potarł nadgarstek, wstał i się skrzywił. Doświadczenie bliskie śmierci, jak się okazało, nie było niczym przyjemnym. W całym ciele odczuwał teraz jednostajny, tępy ból.

– Gotów do wyjścia? – zapytał Eli, zarzucając plecak na ramię.

– Boże, tak – odparł żywo Victor. – Co masz w środku?

Eli się uśmiechnął.

– Zacząłem myśleć – powiedział, gdy szli przez sterylne korytarze – o tym, że teraz moja kolej.

Victor poczuł nagły ucisk w klatce piersiowej.

– Hmm?

– To było doprawdy pouczające doświadczenie – wyjaśnił przyjaciel. Victor wymamrotał coś niezycliwie, lecz Eli ciągnął:

– Gorzała to zły pomysł, podobnie jak prochy przeciwbólowe. Ból i strach nieodłącznie towarzyszą panice, a panika wywołuje wydzielanie adrenaliny i innych substancji wspomagających walkę lub ucieczkę, co zresztą świetnie wiesz.

Victor uniósł brew. Tak, świetnie to wiedział. Gdy był pijany, nic go to jednak nie obchodziło.

– Niewiele jest sytuacji – kontynuował Eli, gdy przechodzili przez automatyczne drzwi na zewnątrz, w chłodne powietrze dnia – w których potrafimy wywołać u obiektu badań wystarczającą panikę, zachowując jednocześnie dość kontroli. W większości przypadków te dwa elementy wzajemnie się wykluczają, a przynajmniej nie zachodzą jednocześnie. Im więcej kontroli, tym mniej okazji do panikowania, i tak dalej.

– Ale co masz w plecaku?

Dotarli do samochodu i Eli rzucił to, co wzbudzało taką ciekawość przyjaciela, na tylne siedzenie.

– Wszystko, czego nam potrzeba – powiedział i szeroko się uśmiechnął. – No, może z wyjątkiem lodu.



„Wszystko, czego nam potrzeba” oznaczało tuzin autostrykawek z epinefryną, znanych powszechnie jako epipeny, lub krócej, peny, i dwa razy tyle jednorazowych

ogrzewaczy, takich jakich używają zimową porą myśliwi i kibice piłkarscy. Eli złapał trzy epipeny i położył je na kuchennym stole obok stosu ogrzewaczy, a potem cofnął się o krok, wskazując Victorowi to wszystko triumfalnym gestem, tak jakby zapraszał go na ucztę. Kilka worków lodu leżało koło zlewu, a ściekające z nich strumyczki skondensowanej pary wodnej tworzyły na podłodze małą kałużę. Kupili lód po drodze do akademika.

– Zwinąłeś je skądś? – zapytał Victor, podnosząc jedną autostrzykawkę.

– Wypożyczyłem w imię nauki – poprawił go Eli, podnosząc hermetyczną torebkę i przypatrując się blaszce aktywującej ogrzewacz. – Od pierwszego roku kręcę się po szpitalu w Lockland. Nikt nawet nie mrugnął, jak je brałem.

Victora znów zaczęła boleć głowa.

– Dzisiaj wieczorem? – upewnił się nie po raz pierwszy, od kiedy Eli przedstawił mu plan.

– Tak, dzisiaj – potwierdził przyjaciel, wyjmując mu z dłoni epipena. – Myślałem też, żeby rozpuścić epinefrynę w roztworze soli fizjologicznej i poprosić cię, żebyś wstrzyknął mi to dożylnie, ale ten sposób jest wolniejszy niż epipeny i zależny od krążenia. Poza tym, biorąc pod uwagę naturę naszego eksperymentu, pomyślałem, że lepiej będzie wykorzystać rozwiązanie przyjazne użytkownikom.

Victor rozważył plan. Epipeny faktycznie były łatwe w użyciu, ale masaż serca przy reanimacji – trudniejszy i bardziej szkodliwy. Victor przeszedł kurs pierwszej pomocy i orientował się intuicyjnie w budowie ludzkiego ciała, mimo to eksperyment wciąż był ryzykowny. Ani wstępne szkolenia przed studiami medycznymi, ani wrodzone umiejętności nie były

w stanie przygotować żadnego studenta do tego, co chcieli teraz zrobić Eli i Victor. Zabicie kogoś było łatwe, lecz przywrócenie go do życia wymagało czegoś więcej niż staranne obliczenia i znajomość medycyny. Eksperyment przypominał raczej gotowanie niż pieczenie. Do upieczenia potrawy wystarczała wiedza na temat kolejności działań, natomiast do gotowania trzeba być kimś w rodzaju artysty, a ponadto mieć wyczucie – i łut szczęścia. A biorąc pod uwagę, co chcieli zrobić – potrzebowali go naprawdę sporo!

Eli wziął dwa epipeny ze stołu i ułożył sobie na dłoni. Victor powiódł wzrokiem od autostrzykawek ku ogrzewaczom, a potem workom z lodem. Takie proste narzędzia... czy to możliwe, żeby to było aż tak łatwe?

Victor wrócił do rzeczywistości, ponieważ przyjaciel coś do niego powiedział.

– Co? – zapytał.

– Robi się późno – powtórzył Eli, wskazując okno nad zlewem, przez które było widać gasnące światło dnia. – Lepiej się zbierajmy.



Victor zagarnął palcami lodowatą wodę i się wzdrygnął. Za nim Eli starannie rozciął ostatni worek i wysypał jego zawartość do wanny. Lód z pierwszych worków pękał i zaczynał się topić, ale po chwili woda w wannie zrobiła się na tyle zimna, by kostki przestały się rozpuszczać. Victor wycofał się do umywalki i pochylił nad nią z trzema epipenami w dłoni.

Powtórzyli sobie wcześniej kilka razy kolejność działań. Victorowi trzęsły się lekko dłonie. Złapał za blat koło umywalki,

by się uspokoić, a tymczasem Eli ścigał dzinsy, sweter i koszulę, odsłaniając plecy pokryte rzędami ledwie widocznych blizn – starych, wyglądających niczym cienie dawnych ran. Victor widział je już wcześniej, ale nigdy o nic nie pytał. Teraz, kiedy było całkiem prawdopodobne, że będzie to ich ostatnia rozmowa, pozwolił, by ciekawość wzięła górę. Próbował dobrać słowa możliwie delikatnie, ale okazało się to niepotrzebne, ponieważ Eli sam podjął temat.

– Zrobił mi to ojciec, kiedy byłem jeszcze mały – powiedział cicho. Victor wstrzymał oddech. Przez ponad dwa lata Eli ani razu nie wspomniął swoich rodziców. – Był pastorem – dodał. Wydawało się, że jego głos dobiega z daleka, ale Victor zauważył, z jakim naciskiem wypowiedział słowo „był”. Czas przeszedł. – Chyba nigdy ci o tym nie opowiadałem.

Victor nie wiedział, co powiedzieć, więc zareagował najbanalniej, jak się dało.

– Bardzo mi przykro...

Eli odwrócił się i wzruszył ramionami, a blizny na plecach wygięły się zgodnie z jego ruchem.

– Ten problem już dawno się rozwiązał.

Podszedł do wanny i spojrzał na lśniącaą taflę wody, opierając się kolanami o kafelki obramowania. Victor obserwował go z mieszanką przejęcia i zainteresowania.

– Boisz się? – spytał.

– Jestem przerażony – przyznał Eli. – A ty nie byłeś?

Victor przypominał sobie mgliście ukłucie strachu, niczym oparzenie płonącaą zapałką, która zamigotała i zgasła, kiedy zaczęły działać whiskey i pigułki. Wzruszył ramionami.

– Chcesz drinka? – zapytał. Eli pokręcił głową.

– Alkohol rozszerza naczynia i przyspiesza przepływ krwi, Vale – powiedział ze wzrokiem utkwionym w lodowatej wodzie. – A nie o to mi w tej chwili chodzi.

Victor zastanawiał się, czy przyjaciel faktycznie zdobędzie się na to, czy też zimno zdejmie mu z twarzy cały urok, odsłaniając oblicze zwykłego chłopaka. W wannie zamontowano uchwyty, znajdujące się teraz pod powierzchnią lodowej kaszy, a przed obiadem poćwiczyli na sucho, tym bardziej, że żaden z nich nie był szczególnie głodny. Eli wszedł do pustej wanny, złapał za uchwyty i zaparł się stopami o drugi koniec wanny. Victor sugerował użycie sznura lub czegoś innego, czym można byłoby przywiązać Elia do wanny, ale ten odmówił. Victor nie był pewny, czy wynikało to z brawury, czy też z obawy o stan organizmu w razie niepowodzenia eksperymentu.

– Jestem gotów, możemy zaczynać, kiedy tylko chcesz – powiedział, próbując rozładować napięcie. Gdy jednak Eli nie zareagował, nie zaszczycił go nawet cieniem uśmiechu, Victor sięgnął na szafkę, gdzie spoczywał jego laptop z zamkniętą pokrywą. Włączył odtwarzacz muzyki i nacisnął „start”, zalewając małe, wykafelkowane pomieszczenie dźwiękami ciężkiego rocka.

– Lepiej wyłącz to gównno, kiedy będziesz badał mi tętno – odezwał się Eli.

A potem zamknął oczy. Jego usta poruszały się bezgłośnie, a mimo że ręce zwisały mu po bokach, Victor domyślił się, że przyjaciel odmawia modlitwę. Zafascynowało go to: jak ktoś, kto za chwilę będzie odgrywał Boga, może się do niego modlić? Eli najwyraźniej nie przejmował się tą sprzecznością.

Kiedy otworzył oczy, Victor zapytał:

– Co mu powiedziałeś?

Eli przełożył bosą stopę nad krawędzią wanny, patrząc cały czas na jej zawartość.

– Złożyłem życie w jego ręce.

– No cóż – powiedział szczerze Victor. – Miejmy nadzieję, że ci je odda.

Eli przytaknął i wziął głęboki oddech – a jego przyjaciel przysiągłby, że dosłyszał przy tym lekkie drżenie – po czym wszedł do wanny.



Victor przysiadł na brzegu wanny, trzymając w dłoni drinka, i spojrzał na ciało Eliota Cardale'a.

Eli nie krzyczał. Cierpienie było wypisane na każdym z czterdziestu trzech mięśni jego twarzy, o których uczono Victora na anatomii, ale pozwolił sobie tylko na cichy jęk, kiedy jego ciało dotknęło lodowatej wody. Victor zamoczył jedynie palce, a ziąb posłał iskrę bólu przez całe ramię. Nienawidził przyjaciela za opanowanie i niemal – niemal! – miał nadzieję, że Eli nie zniesie tego doświadczenia. Że załamię się, da za wygraną, Victor będzie musiał pomóc mu wstać z wanny, poda drinka, potem obaj siądą i pogadają o swoich nieudanych próbach, a później, kiedy upłynie już dość czasu, będą się śmiali z cierpienia, przebytego w imię nauki.

Victor pociągnął kolejny łyk. Twarz Elia przybrała bardzo niezdrowy, sinobiaławy odcień.

W sumie trwało to krócej, niż się spodziewał. Eli przestał się poruszać kilka minut wcześniej. Victor wyłączył muzykę, ale ciężki rytm kołatał mu się pod czaszką, aż zdał sobie sprawę, że to jego serce tak wali. Zanurzył dłoń w lodowej kąpieli, by

poszukać tętna towarzysza – tłumiąc sapnięcie, kiedy przejmujący chłód ukąsił jego skórę – lecz nie poczuł ani jednego uderzenia. Zdecydował się jednak poczekać jeszcze kilka minut i w tym czasie nalał sobie drinka. Jeśli Eli zdoła z tego wyjść, nie będzie mógł oskarżyć Victora o zbyt ni pośpiech.

Kiedy stało się oczywiste, że ciało zanurzone w przerażająco zimnej wodzie nie wróci samodzielnie do świata żywych, Victor odstawił szklankę i wziął się do pracy. Najtrudniej było wyciągnąć Elia z wanny, ponieważ był wyższy od Victora, poza tym cały zeszywniał, no i był zanurzony w lodowatej wodzie. Po kilku próbach, którym towarzyszyło sporo cichych przekleństw (Victor był dość spokojnym człowiekiem, który pod presją zaczynał zachowywać się jeszcze spokojniej, dzięki czemu rówieśnicy odnosili wrażenie, że wie co robi, nawet gdy nie wiedział), wy dostał się z powrotem na kafelki. Ciało Elia uderzyło za nim o podłogę z budzącym mdłości łomotem. Victor zadrżał. Stosując się do instrukcji przyjaciela, zostawił w spokoju epipeny i sięgnął najpierw po koce i ogrzewacze. Szybko wytarł ciało do sucha, a potem aktywował ogrzewacze i umieścił je w najważniejszych miejscach: na głowie, karku, na nadgarstkach i w kroczu. Ta część planu wymagała szczęścia. Victor musiał zdecydować, w której chwili ciało ogrzeje się do tego stopnia, by zacząć ręczną reanimację. Zbyt wcześnie, a ciało będzie jeszcze za zimne, co oznaczało, że zastrzyk epinefryny będzie zbyt wielkim obciążeniem dla serca i pozostałych narządów. Zbyt późno, a upłynie za dużo czasu, co z kolei znaczyło, że Eli może być martwy zbyt długo, by przywrócić go do życia.

Victor włączył ogrzewanie łazienkowe, mimo że był już nieźle spocony, i chwycił trzy epipeny z blatu. Trzy sztuki zawierały maksymalną dozwoloną dawkę, więc wiedział, że jeśli serce nie ruszy po trzecim zastrzyku, będzie za późno. Położył je za sobą na kafelkach, a po chwili poprawił tak, by leżały równolegle z fugami, co dało mu poczucie kontroli nad sytuacją. Następnie zaczął czekać, sprawdzając co kilka chwil temperaturę ciała przyjaciela, nie termometrem, ale wnętrzem dłoni. Podczas ćwiczeń przed eksperymentem okazało się, że nie mają termometru, a wówczas Eli w wybuchu zniecierpliwienia uparł się, żeby Victor mierzył na wyczucie. Mogło się to okazać ostatnim gwoździem do trumny, jednak Eli wierzył w umiejętności przyjaciela: wszyscy w Lockland uważali, że Victor ma naturalne, wrodzone zdolności medyczne, że jest w stanie bez wysiłku zrozumieć ludzkie ciało. Prawdę mówiąc, Victora kosztowało to sporo wysiłku, lecz był również dobry w zgadywaniu. Ciało działało jak maszyna, tyle że wszystkie jej części, każdy element na każdym poziomie, od mięśni i kości do komórek i reakcji chemicznych, opierały się na akcji i reakcji. Victor uchodził za kogoś, kto potrafi odnaleźć w tym wszystkim sens.

Kiedy Eli wydał mu się dość ciepły, rozpoczął reanimację. Masowane i uciskane ciało rozgrzewało się powoli, dzięki czemu nie przypominało już w dotyku lodów, a zwykłe ludzkie zwłoki. Skrzywił się, kiedy pod jego splecionymi dłońmi trzasnęła kość, ale nie przerwał masażu. Wiedział, że jeśli żebra nie odłamią się od mostka, będzie to oznaczać, że nie naciskał dość mocno ani dość głęboko, by dotrzeć do serca. Po kilku seriach zrobił przerwę, sięgnął po pierwszego epipena i wbił go w nogę Elia.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy.

Brak reakcji.

Znów zaczął uciskać klatkę piersiową, starając się nie myśleć o łamanych żebrach i tym, że Eli wyglądał na całkowicie, bezapelacyjnie martwego. Ramiona Victora płonęły. Oparł się pokusie zerkania na telefon komórkowy, który wypadł mu z kieszeni, gdy walczył, by wydobyć Elia z wanny. Zamknął oczy i dalej liczył, naciskając splecionymi pięściami wciąż i wciąż, masując serce przyjaciela.

Nic to nie dawało.

Victor wziął następnego epipena i zagłębił jego końcówkę w udzie Elia.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy.

Wciąż nic.

Po raz pierwszy tego wieczoru Victor poczuł w ustach gorzki smak paniki. Przełknął i wrócił do masażu serca. Słyszał tylko swój głos, odliczający półgłosem kolejne sekundy i minuty, oraz puls – jego własny, nie Elia! – a także dziwny odgłos własnych dłoni uderzających o ciało przyjaciela, gdy desperacko próbował ponownie uruchomić jego serce.

Próbował i nie udawało mu się to.

Victor zaczął tracić nadzieję. Kończyły mu się strzykawki z epinefryną i najwyraźniej kończyło mu się szczęście. Został tylko jeden epipen. Victor chwycił go trzęsącą się dłonią, uniósł, po czym zatrzymał się wpół gestu. Przed nim, bezwładnie rozciągnięte na kafelkach, leżało bez życia ciało Eliota Cardale'a. Tego samego, który pojawił się przed jego drzwiami na początku drugiego roku z walizką w dłoni i uśmiechem na

ustach. To był Eli, który wierzył w Boga, lecz ukrywał we wnętrzu monstrum – tak jak Victor, tylko lepiej. Eli, któremu wszystko uchodziło na sucho, który wślizgnął się w jego życie, ukradł dziewczynę, czołową lokatę na roku oraz głupie pozwolenie na badania podczas przerwy świątecznej. Eli, który mimo tego wszystkiego znaczył dla Victora tak wiele.

Przełknął jeszcze raz i wbił ostatniego epipena między żebra martwego przyjaciela.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy.

Nic.

I wtedy, gdy Victor się poddał i właśnie sięgał po telefon, Eli przejmująco westchnął.

XVI

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Victor usłyszał za sobą człapanie bosych stóp, kiedy Mitch wszedł do pokoju. Zobaczył masywną postać odbitą w lśniącej szybie, i wyczuł go za sobą tak jak innych ludzi; tak jakby wszyscy, włącznie z nim, znajdowali się pod wodą, a każdy ich ruch wzbudzał fale.

– Znów wędrujesz? – zapytał Mitch, łapiąc wzrok Victora w odbiciu.

Mitch często używał tego określenia jeszcze w więzieniu, gdy zastał Victora gapiącego się między kratami z lekko zmrużonymi oczami, tak jakby tamten próbował przejrzeć mury na wylot i dostrzec z wielkiej odległości... coś. Coś ważnego.

Teraz Victor mrugnął, spuścił wzrok z okna i upiornego odbicia Mitcha na podłogę z laminatu udającego drewno. Słuchał, jak przyjaciel oddala się do kuchni, cicho otwiera lodówkę i wyjmuje z niej karton mleka czekoladowego. Był to jedyny napój, jakiego pragnął Mitch, od kiedy opuścił celę, ponieważ w zakładzie karnym Wrighton nie mieli takich luksusów. Victor uniósł brew, ale ostatecznie nic nie powiedział. Powinno się tolerować takie kaprysy, poza tym pobyt w więzieniu rodził w ludziach różne pragnienia. Szczegóły zależały już od człowieka.

Victor też czegoś chciał.

Chciał patrzeć, jak Eli broczy krwią.

Mitch oparł łokcie na kontuarze i wypił swoje mleko w milczeniu. Victor sądził, że zaraz po ucieczce jego współtowarzysz będzie miał własne plany, że będzie chciał spotkać się z ludźmi, jednak wówczas potężny mężczyzna spojrzał tylko na Victora nad maską skradzionego samochodu i zapytał:

– Dokąd teraz?

Jeżeli nawet miał jakąś przeszłość, to najwyraźniej wolał od niej uciec, a jednocześnie Victor był skłonny dać mu cel tej ucieczki. Lubił sprawiać, żeby ludzie czuli się użyteczni.

W końcu przeniósł wzrok z odbicia Mitcha na nocny pejzaż Merit. Kostki lodu w jego niemal pustej szklance brzęknęły, gdy obrócił ją w dłoni. Dotrzymywali sobie z Mitchem towarzystwa od dłuższego czasu i każdy z nich wiedział, kiedy ten drugi chce pogadać, a kiedy – tylko pomyśleć. Jedyne problem polegał na tym, że Victor częściej wolał myśleć, a Mitch – rozmawiać. Teraz Victor wyczuwał, że jego towarzysz zaczyna się niespokojnie wiercić; najwyraźniej milczenie mu doskwierało.

– Co za widok! – powiedział więc, wskazując szklanką w kierunku okna.

– Ano, niezły – potwierdził Mitch. – Dawno nie widziałem czegoś takiego. Mam nadzieję, że w następnym miejscu też będą takie okna.

Victor znów skinął głową z roztargnieniem. Oparł czoło o chłodną szybę. Nie mógł się zmusić do myślenia o „następnym miejscu”, ani o tym, co będzie potem. Zbyt długo myślał o tym, co było „teraz”. Czekał na to „teraz”. Jedyne „potem”, jakie był sobie w stanie wyobrazić, dotyczyło krótkiego spotkania sam na sam z Eliem. Wizje te mijały jednak szybko.

Mitch ziewnął.

– Na pewno dobrze się czujesz, Vic? – zapytał, odstawiając karton z mlekiem do lodówki.

– Cudownie. Dobranoc.

– ...branoc – mruknął Mitch, wracając do sypialni.

Victor obserwował w szybie odbicie wychodzącego mężczyzny, a potem znów wpatrzył się w ciemne sylwetki budynków za oknem. Jego oczy odbijały się w szybie niczym dwie jasne, upiorne plamy. Odwrócił się od panoramy miasta i dokończył drinka.

Na stoliczku obok skórzanej kanapy leżała teczka, z której wystawało kilka luźnych kartek. Z jednej z nich patrzyła czyjaś twarz, z prawym okiem i policzkiem zasłoniętym przez skrzydełko teczki. Victor odstawił puste naczynie na stolik i otworzył ją, odsłaniając resztę twarzy. To była strona z egzemplarza „National Mark”, który kupił tego ranka.

NIEUZBROJONY BOHATER RATUJE BANK

Poniżej widniał artykuł o młodym, lecz niezmiernie odważnym człowieku, który znalazł się we właściwym czasie i miejscu, a potem zaryzykował życie, by zatrzymać uzbrojonego bandytę w lokalnym oddziale banku.

„W banku Smith&Lauder, jednym z ważniejszych punktów na mapie północnej, finansowej dzielnicy Merit, doszło wczoraj do nieudanego napadu. Na scenie pojawił się nieuzbrojony bohater, który stanął pomiędzy zamaskowanym napastnikiem a pieniędzmi. Mężczyzna ten, który pragnie zachować swoje nazwisko w tajemnicy, powiedział władzom, że zauważył kilka

przecznic od banku podejrzenie zachowującego się człowieka, a przeczucie kazało mu podążyć za nim. Przed bankiem podejrzany założył maskę i wkroczył do środka, zanim obserwujący go bohater zdążył podejść wystarczająco blisko. Okazując wyjątkową odwagę, młody człowiek wszedł za bandytą do banku. Według klientów i pracowników, uwięzionych w placówce, napastnik z początku wydawał się nieuzbrojony, ale potem wypalił z bliżej nieokreślonej broni w lustrzany sufit, zasypując odłamkami wszystkich obecnych. Następnie obrał za cel bankowy skarbiec, lecz przeszkodziło mu przybycie naszego bohatera. Z relacji kierownika banku wynika, że bandyta wycelował w interweniującego przybysza, następnie zaś wybuchł chaos. Padły strzały, a w zamieszaniu pracownikom i klientom udało się uciec z budynku. Gdy na miejscu zjawiała się policja, było już po wszystkim. Napastnik, zidentyfikowany później jako przeżywający trudności finansowe Barry Lynch, został zabity, ale młody człowiek nie odniósł żadnych obrażeń. To mógł być zły dzień, jednak zakończył się dobrze dzięki wyjątkowej odwadze jednego z obywateli Merit. Miasto jest wdzięczne swojemu bohaterowi”.

Victor, tak jak miał w zwyczaju, zaczernił większość artykułu. Pozostały tylko pojedyncze słowa:

„W [REDAKTOWANE] jednym z [REDAKTOWANE] punktów
[REDAKTOWANE]
nieuzbrojony [REDAKTOWANE] bohater,
[REDAKTOWANE]
w [REDAKTOWANE] tajemnicy,
[REDAKTOWANE]

przeczcucie

wyjatkową

odwagę,

nieuzbrojony,

w

zamieszaniu

nie

odniósł

żadnych

obrażeń.

dzięki

godnej

podziwu

odwadze

”.

Wykreślanie tekstu uspokoiło Victora, ale nawet taka zmiana w treści artykułu nie mogła ukryć faktu, że brakowało w nim kilku ważnych informacji. Przede wszystkim sam napastnik, Barry Lynch. Na prośbę Victora Mitch powęszył trochę w okolicy. Mimo że nie udało im się zebrać zbyt wielu informacji, ustalili, że Barry posiadał pewne cechy osoby PP. Nie tylko przeżył doświadczenie bliskie śmierci, ale w poprzednich miesiącach był kilka razy aresztowany, za każdym razem za rabunek z użyciem niezidentyfikowanej broni. Gliny nigdy jej nie znalazły, więc wypuszczały go z aresztu. Victor zastanawiał się, czy bronią nie był czasem sam Barry.

Zdjęcie bohatera z banku okazało się jeszcze bardziej intrygujące niż informacje o potencjalnym PonadPrzeciętnym. Młody człowiek poprosił o zachowanie jego nazwiska w tajemnicy, ale nie oznaczało to całkowitej anonimowości, zwłaszcza dla dziennikarzy. Pod artykułem zamieszczono więc

gruboziarnistą fotografię mężczyzny odwracającego się od aparatów fotoreporterów, rzucającego jednak w ich kierunku ostatnie, niemal zarozumiałe spojrzenie.

Jego radosnej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną. Ten sam uśmiech, pełen młodzieńczej dumy, posyłał swego czasu Victorowi. Dokładnie ten sam uśmiech.

Wyglądało na to, że Eliot Cardale przez ostatnie dziesięć lat ani trochę się nie postarzał.

XVII

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIwersytet LOCKLAND

Eli odetchnął łapczywie kilka razy, trzymając się za pierś. Otworzył z trudem oczy i zamrugał, próbując złapać ostrość. W końcu ogarnął wzrokiem łazienkę, koce leżące na podłodze, a potem skupił wzrok na Victorze.

– Cześć... – powiedział słabo.

– Cześć – odparł Victor, wciąż jeszcze trzęsąc się z panicznego strachu. – Jak się czujesz?

Eli zamknął oczy i powoli pokręcił głową.

– Ja... ja nie wiem... Może... dobrze... Tak myślę.

„Dobrze”? Z połamaną – tak na oko – połową żeber Eli czuł się „dobrze”?! Victor po swoim eksperymencie był kompletnie skonany, a nawet gorzej. Zdawało mu się, że każde włókno w każdym mięśniu zostało naderwane, skręcone lub stłuczone. Ale przecież Victor nie umarł, prawda? Nie tak, jak Eli. Siedział i patrzył, czekając i upewniając się, że Eliot Cardale jest już tylko zimnym trupem. Może to był wstrząs... albo trzy zastrzyki epinefryny? Tak, to musiało być to. Jednak... nawet po przeżyciu wstrząsu i w najwyższym stopniu niezdrowej dawki adrenaliny Eli czuł się... „dobrze”?!

– Dobrze? – zapytał Victor na głos. Tamten wzruszył ramionami. – Czy mógłbyś... – Victor nie był pewny, jak dokończyć to pytanie.

Jeżeli ich absurdalna teoria była prawdziwa i Eli w jakiś sposób uzyskał PonadPrzeciętne zdolności dzięki temu, że umarł i powrócił do życia, to czy sam by o tym wiedział? Eli odgadł, o co chodziło przyjacielowi.

– No wiesz, nie podpalam niczego siłą woli, nie powoduję też trzęsień ziemi, ani niczego takiego. Ale nie jestem martwy – powiedział, a jego głos lekko zadrżał z ulgi.

Gdy tak siedzieli na stosie mokrych koców na zalanej wodą podłodze łazienki, cały eksperyment wydał im się kompletnie idiotyczny. Jak mogli tyle zaryzykować? Eli odetchnął głęboko i zaczął gramolić się na nogi. Victor chciał go podtrzymać, ale przyjaciel odtrącił pomocną dłoń.

– Powiedziałem, że czuję się dobrze! – rzucił.

Wyszedł z łazienki, starannie omijając wzrokiem wannę, i zniknął w swoim pokoju w poszukiwaniu ciuchów. Victor po raz ostatni zanurzył dłoń w lodowatej wodzie i wyciągnął korek. Kiedy skończył sprzątać, Eli zjawił się z powrotem w korytarzu, ubrany, i zaczął krytycznie przeglądać się w lustrze.

W pewnej chwili stracił równowagę i musiał oprzeć się o ścianę.

– Chyba muszę iść... – zaczął. Victor uznał, że teraz usłyszy „do lekarza”, ale Eli spojrzał jego odbiciu w lustrze prosto w oczy, uśmiechnął się, chociaż nie był to jego najlepszy uśmiech, i dokończył: – ...napić się czegoś mocniejszego.

Victor również zdołał skrzywić usta w uśmiechu.

– Całkiem niezły pomysł.



Eli uparł się, żeby wyjść na miasto.

Victor uważał, że równie dobrze mogą się upić w zaciszu apartamentu, ale ustąpił przyjacielowi. Eli dopiero co doświadczył traumy i wydawał się trwać przy swojej decyzji o wyjściu, tak jakby chciał upewnić się, że żyje. Teraz zaś obaj byli bliscy urznięcia się w sztok – a przynajmniej Victor. Eli wyglądał na wyjątkowo trzeźwego, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę olbrzymią ilość pochłoniętego przez niego alkoholu. Zataczali się teraz, idąc ulicą, która jakże dogodnie biegła z lokalnego baru prosto do akademika, co sprawiało, że nie musieli korzystać z samochodu.

Mimo że mieli co czcić, obaj za wszelką cenę unikali tematu zakończonego właśnie eksperymentu i tego, ile szczęścia miał Eliot – a w rzeczywistości ile go mieli obaj. Żaden nie palił się, by o tym rozmawiać, a wobec braku objawów PonadPrzeciętności – chyba że przyjąć za nie ponadprzeciętny fart – żaden nie miał powodu, żeby się chwalić. Jeżeli już, to raczej dziękować szczęśliwym gwiazdom, co też robili po drodze do domu, szcudrze wznosząc ku nim wyimaginowane pełne kieliszki. Wylewali niewidzialny trunek na beton chodnika w ofierze składanej ziemi, Bogu, losowi, czy też dowolnej sile, która pozwoliła im zabawić się i przeżyć, by dowiedzieć się, że ich hipoteza nie sprawdziła się w praktyce.

Mimo że z nieba zaczęły padać płatki śniegu, Victorowi było ciepło. Cieszył się życiem do tego stopnia, że z radością powitał ostatnie ukłucia bólu, jaki odczuwał po swoim DBŚ. Eli uśmiechał się marzycielsko w nocne niebo, aż w pewnym momencie zszedł z chodnika... a raczej: spróbował zejść. Potknął się jednak i wylądował na czworakach w zaspie brudnego śniegu, poznaczonej śladami opon i rozbitym szkłem. Syknął, szarpnął się w bok, a wówczas Victor zobaczył krew,

plamę czerwieni, wsiąkającej w brudnoszary śnieg na jezdni. Eli wstał z kolan i usiadł na krawężniku, przechylając dłoń do światła najbliższej latarni, żeby obejrzyć ranę, w której lśniły pozostałości porzuconej butelki po piwie.

– Auć – jęknął Victor, pochylając się nad przyjacielem, żeby zerknąć na rozcięcie, i niemal tracąc przy tym równowagę. Złapał się latarni, a tymczasem Eli cicho zaklął i wydobył największy odłamek.

– Myślisz, że trzeba to będzie szyć?

Wyciągnął zakrwawioną dłoń ku Victorowi, tak jakby tamten mógł dojrzeć coś więcej i ocenić jej stan lepiej niż on sam. Victor skrzywił się i już miał odpowiedzieć z całą stanowczością, na jaką było go stać w tej sytuacji, kiedy stało się coś niezwykłego.

Rozcięcie na dłoni Elia zaczęło się zamykać.

Świat, kołyszący się Victorowi przed oczami, zatrzymał się raptownie. Płatki śniegu zawisły nieruchomo w powietrzu, podobnie jak obłoki pary z ich oddechów. Wszystko przestało się poruszać, poza gojącą się w przyspieszonym tempie raną.

Eli musiał to poczuć, bo położył sobie dłoń na kolanach. Obaj wpatrywali się w biegnące od kciuka do małego palca rozcięcie, które zaczęło samo się zblizniać. Po kilkunastu sekundach krwawienie ustało, a krew, która zdążyła dotąd wyciec, zaschła na skórze... a potem rana stała się blizną, po chwili zaledwie zmarszczką i...

Rozcięcie zniknęło całkowicie.

Sekundy rozciągnęły się w godziny, gdy do obu przyjaciół docierało, że udało im się osiągnąć coś nadzwyczajnego.

A nawet PonadPrzeciętnego.

Eli potarł kciukiem świeżo wygojoną skórę na dłoni, ale to Victor odezwał się pierwszy, a kiedy to zrobił, ton jego głosu i treść wypowiedzi idealnie pasowały do sytuacji.

– Oż kurwa!



Victor wpatrywał się w miejsce, gdzie krawędź dachu ich akademika przesłaniała zachmurzone niebo. Za każdym razem gdy zamykał oczy, czuł, że się przewraca, coraz niżej i niżej ku chodnikowym płytom, więc usiłował nie mrugać, koncentrując się na miejscu, w którym budynek dotykał chmur.

– Idziesz? – zapytał Eli.

Trzymał drzwi, niemal podskakując w miejscu z niecierpliwości, by wrócić do apartamentu i znaleźć coś, czym mógłby się zranić. Oczy płonęły mu zapałem. Victor nie miał mu tego za złe, ale wolałby nie spędzać nocy na patrzeniu, jak Eli się tnie. Obserwował to już przez całą drogę do domu; pozostawiali za sobą w śniegu czerwone kropki krwi, która zdążyła wysączyć się z rany przed zagojeniem. Widział już kiedyś taką umiejętność u innych osób PP. Eli potrafił teraz regenerować się w PonadPrzeciętnym tempie. Kiedy obudził się z martwych, nie wykazując żadnych nadnaturalnych zdolności, Victor poczuł ulgę. Teraz jednak, kiedy w drodze do akademika musiał patrzeć, jak przyjaciel popisuje się nową mocą, ulga ustąpiła miejsca falom lęku. Zostanie zepchnięty do roli drugoplanowego pomocnika, protokolanta, zapomnianego współpracownika.

O, nie!

– Vic, idziesz, czy nie?

Ciekawość i zazdrość zżerały go w jednakowych proporcjach, a jedynym sposobem, by stłumić je obie, by opanować żądzę krwi (a przynajmniej próbę zranienia Elia), było pozostanie samemu.

Pokręcił głową i zatrzymał się jak wryty, kiedy świat nie przestał się kołysać.

– Idź – powiedział, krzywiąc usta w uśmiechu, który nijak nie korespondował z chłodem jego oczu. – Idź się pobawić ostrymi rzeczami. Muszę się przespacerować – wyjaśnił i zszedł ze schodów, potykając się dwa razy na trzech stopniach.

– A będziesz w stanie chodzić, Vale?

Victor ponaglił rozmówcę ruchem dłoni.

– Przecież nie siadam za kierownicę. Muszę tylko odetchnąć świeżym powietrzem.

Z tymi słowami odwrócił się i odmaszerował w ciemność, myśląc tylko o dwóch rzeczach.

Pierwsza była prosta: oddalić się szybko jak najdalej od Eliota Cardale'a, zanim Victor zrobi mu coś, czego potem pożałuje.

Druga kwestia była dużo trudniejsza, a jego ciało protestowało na samą myśl, ale nie miał wyboru.

Musiał zaplanować swoje następne samobójstwo, a potem zmartwychwstanie.

XVIII

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

„Chcę uwierzyć właśnie w to: że jest coś więcej. Że możemy być czymś więcej. Do diabła, moglibyśmy zostać bohaterami!”

Victor wstrzymał oddech, wpatrując się w niezmienną twarz Elia na fotografii w gazecie. Nosił w pamięci obraz przyjaciela sprzed dekady, który pasował do zdjęcia w „National Mark” idealnie, niczym kserokopia. Była to praktycznie ta sama twarz... tyle że właśnie nie. Lata odcisnęły swoje piętno na Victorze tak jak na każdym człowieku; zahartowały go, ale upływ czasu dotknął w pewien sposób również Elia. Nie wydawał się ani o dzień starszy niż dziesięć lat wcześniej, jednak arogancja, obecna w uśmiechu, który często pojawiał się na jego twarzy w Lockland, ustąpiła miejsca okrucieństwu. Tak jakby maska, którą nosił przez wiele lat, ostatecznie spadła, a to, co się pod nią ukrywało, stało się w pełni widoczne.

Tymczasem Victor, który tak znakomicie potrafił analizować różne rzeczy, by zorientować się, jak działają – i jak działa on sam – patrzył na zdjęcie i czuł się wewnętrznie rozdarty. Nienawiść? To byłoby za proste. Czuł się związany z Eliem poprzez krew, śmierć i naukę. Byli do siebie podobni, teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Victor tęsknił za Eliem: chciał go zobaczyć – i napawać się jego cierpieniem.

Chciał spojrzeć mu prosto w oczy, kiedy zapłonie w nich ból. Chciał zwrócić na siebie jego uwagę.

Eli był niczym wbity w ciało, nieustannie drażniący cierń. Victor potrafił znieczulić wszystkie nerwy i niczego nie czuć, ale kompletnie nie umiał poradzić sobie z urazą wobec Cardale'a. Najgorsze było to, że kiedy przestawał cierpieć, pozostawało tylko to: dławiąca potrzeba, by coś rozwalić, skrzywdzić kogoś, a nawet zabić. Spływała na niego niczym gęsty syrop, pokrywający go grubą warstwą, dopóki w ataku paniki nie cofnął znieczulającego efektu.

Teraz, kiedy był tak blisko, cierń wydawał się ranić go coraz głębiej. Co robił Eli tu, w Merit? Dziesięć lat to długi okres, przez dziesięć lat człowiek może się ukształtować od nowa, całkowicie zmienić. Victor był tego pewien, bo sam uległ takim zmianom. A co z Eliem? Kim się stał?

Oparł się nagłej pokusie, by spalić zdjęcie, podrzeć je na strzępy, tak jakby zniszczenie papieru mogło wyrządzić jakąś krzywdę Eliowi, chociaż oczywiście nie mogło. Nic nie mogło zranić tamtego. Victor usiadł więc i odsunął od siebie stronę z gazety jak najdalej poza zasięg własnych dłoni, żeby go nie kusiło.

„National Mark” nazwał Elia „bohaterem”.

To słowo sprawiło, że Victor parsknął śmiechem. Nie tylko dlatego, że wydało mu się absurdalne, ale także w związku z pytaniem, jakie narzucało się przy tej okazji. Jeśli Eli faktycznie był bohaterem, a Victor planował go powstrzymać, to czy nie czyniło go to złoczyńcą?

Pociągnął łyk alkoholu, odchylił głowę ku oparciu kanapy i zdecydował, że jakoś to zniesie.

XIX

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIwersytet LOCKLAND

Gdy następnego dnia Victor wrócił z zajęć, zastał Elia siedzącego przy kuchennym stole i rozcinającego skórę na rękę. Eli miał na sobie te same dresowe spodnie i koszulę, co zeszłego wieczoru, kiedy Victor powrócił w końcu ze spaceru, dużo trzeźwiejszy i z zaczątkiem nowego planu. Teraz wziął batona, powiesił plecak na oparciu kuchennego krzesła i ciężko na nim siadł. Zdjął opakowanie z batonika i próbował zignorować nagły spadek apetytu, wywołany tym, co robił Eli.

– Nie powinieneś dzisiaj kręcić się po szpitalu? – zapytał Victor.

– To nie jest nawet świadome – wymruczał tamten, skupiony na czymś innym, płytko nacinając sobie przedramię. Rana goiła się od razu po przejściu ostrza, a krew pojawiała się i znikwała, tak jakby to była jakaś chora sztuczka iluzjonisty. – Nie mogę powstrzymać tkanki przed zabliznianiem...

– Och, biedaku – zadrwił Victor chłodno. – A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu... – powiedział, unosząc batonik.

Eli uniósł nóż.

– Taki jesteś delikatny?

Victor wzruszył ramionami.

– Łatwo mnie zdekoncentrować – wyjaśnił. – Wyglądasz strasznie. Spałeś w ogóle? Jadłeś coś?

Tamten zamrugał i odłożył ostrze.

– Raczej myślałem.

– W ten sposób ciało za długo nie pociągnie.

– Myślałem o tej zdolności. O regeneracji – wyjaśnił Eli, a oczy mu zabłyśły. – Dlaczego ze wszystkich potencjalnych mocy otrzymałem właśnie tę? Może to nie jest losowy proces? Może istnieje jakaś zależność między charakterem danej osoby a PonadPrzeciętną umiejętnością, którą może uzyskać? Może jest ona odbiciem psychiki takiego człowieka? Próbuję zrozumieć, w jaki sposób to – tu podniósł swoją zakrwawioną, lecz nie noszącą śladu obrażeń rękę – odzwierciedla mnie. Dlaczego On miałby mi dać akurat...

– On?! – przerwał mu z niedowierzaniem Victor. Nie był w nastroju na rozmowy o Bogu, na pewno nie dzisiaj rano. – Zgodnie z tezą twojej pracy dyplomowej – ciągnął – uzyskałeś ten talent dzięki wydzielaniu adrenaliny i pragnieniu przeżycia. Nie dzięki Bogu. To nie boskość, Eli, to nauka i ślepy traf.

– Może faktycznie masz trochę racji, ale kiedy wchodziłem do tej kąpieli, złożyłem swoje życie w Jego dłonie...

– Nie! – przerwał mu obcesowo Victor. – Złożyłeś je w moje dłonie!

Eli umilkł, ale zaczął bębnić palcami po stole. Po kilku chwilach powiedział wreszcie:

– Teraz potrzebuję pistoletu.

Victor, który właśnie ugryzł kolejny kęs batonika, niemal się nim udławił.

– A po co?!

– Jak to? Żeby rzetelnie przetestować szybkość regeneracji. Przecież to oczywiste.

– Oczywiście! – powtórzył Victor. Dokończył przekąskę, a tymczasem Eli wstał od stołu, by nalać sobie wody. – Słuchaj, ja też o tym myślałem.

– O czym? – zapytał Eli, opierając się o kontuar.

– O tym, że teraz moja kolej.

Eli uniósł brew.

– Przecież już próbowałeś.

– O mojej następnej próbie – uściślił Victor. – Dzisiaj wieczorem chcę spróbować jeszcze raz.

Rozmówca przechylił głowę i zmierzył go wzrokiem.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Dlaczego nie?

Eli się zastanowił.

– Wciąż widzę na twoim nadgarstku odcisk po szpitalnej bransoletce – powiedział w końcu. – Poczekaj przynajmniej, aż się lepiej poczujesz.

– Właśnie że czuję się znakomicie. Dużo lepiej niż przedtem. Czuję się wspaniale. Czuję się jak pączek róży, lśniący w promieniach słońca.

W rzeczywistości Victor Vale czuł się dużo gorzej. Bolały go mięśnie, krew w żyłach wydawała się płynąć ospale, a od chwili, gdy otworzył oczy i zobaczył fluorescencyjną biel szpitalnych lamp, prześladował go nieustanny, bezlitosny ból głowy.

– Daj sobie trochę czasu, żeby wydobrzeć, okej? – poprosił Eli. – A potem pogadamy o kolejnej próbie.

Jego głos brzmiał szczerze, lecz Victorowi nie spodobał się ten ton – spokojny, rozważny i ostrożny. Takiego tonu używają ludzie, kiedy chcą komuś przekazać „nie”, ale żeby go nie urazić, mówią „oczywiście, tylko nie teraz”. Coś było nie tak.

Tymczasem Eli skoncentrował się już z powrotem na nożach, ignorując Victora.

Ten zacisnął zęby i powstrzymał się przed niewybrednym przekleństwem, a potem ostentacyjnie wzruszył ramionami.

– Świetnie – oznajmił, zarzucając plecak na ramię. – Może i masz rację? – dodał, a potem ziewnął i posłał przyjacielowi leniwy uśmiech. Eli odpowiedział mu uśmiechem, a Victor odwrócił się i poszedł do swojego pokoju.

Po drodze zgrabnie ściągnął ze stołu epipena, a potem zamknął za sobą drzwi.



Victor nienawdził głośnej muzyki niemal tak samo, jak tłumów pijanych gości. Na tej imprezie było i jedno, i drugie, a obie te rzeczy było mu trudno znieść tym bardziej, że sam był nieznośnie trzeźwy. Ani kropli alkoholu, nie tym razem. Chciał – musiał – zachować ostrość widzenia, zwłaszcza jeżeli planował to zrobić sam. Eli zapewne wciąż siedział w ich apartamencie, rozcinając sobie skórę, przekonany, że Victor siedzi we własnym pokoju, strzelając focha albo się ucząc (lub też jedno i drugie). Tymczasem Victor właśnie opuścił apartament, tyle że przez okno.

Czuł się przy tym tak, jakby znów miał piętnaście lat i wykradał się wieczorem na szkolną imprezę, podczas gdy rodzice siedzieli w salonie, śmiejąc się z bezmyślnej papki serwowanej w telewizji – zakładając, że musiałyby się wykradać z domu w tajemnicy przed rodzicami, czy też przed kimkolwiek, kto akurat byłby w domu i mógłby go przyłapać.

Victor przemknął między bawiącymi się, którzy na ogół go nie zauważali, chociaż ci, którzy go dostrzegli, nie mieli nic przeciwko jego obecności. Niektórzy przyglądali mu się baczniej, głównie z tego powodu, że rzadko pojawiał się na takich imprezach. Na ogół zachowywał status outsidera z wyboru, korzystając z osobistego uroku, by nawiązywać kontakty towarzyskie tylko wówczas, kiedy tego potrzebował. Najczęściej jednak wolał stać i obserwować rozwój wydarzeń z daleka, a większości studentów najwyraźniej to odpowiadało.

Tym razem jednak przeciskał się między ciałami tańczących w rytm muzyki na parkiecie klejącym się od rozlanych drinków, z epipenem w wewnętrznej kieszeni i przyklejoną do niego karteczką „Użyj mnie”. Otoczony przez światła, hałaśliwą muzykę i ciała, Victor czuł się tak, jakby zawędrował do innego świata. Czy tak właśnie bawili się normalni studenci ostatniego roku? Pili i tańczyli, z ciałami wczepionymi w siebie niczym kawałki układanki, przy muzyce tak głośnej, że tonęła w niej każda samodzielna myśl? Angie zabrała go na parę imprez na pierwszym roku, ale tamte wyglądały inaczej. Nie pamiętał z nich muzyki ani piwa, tylko jej twarz. Victor mrugnął i wspomnienie zniknęło. Spoconą dłonią chwycił plastikowy kubek i wylał jego zawartość do najbliższej doniczki z więdnącą rośliną. Trzymając coś w ręku, czuł się tu pewniej.

W pewnej chwili znalazł się na balkonie, patrząc w dół, na zamarznięty staw, leżący za siedzibą studenckiego bractwa. Widok ten sprawił, że cały się zatrząsł. Zdawał sobie sprawę z tego, że w celu osiągnięcia najlepszego efektu powinien naśladować Elia, odtwarzając skuteczny scenariusz, ale nie potrafił. A może nie chciał? W każdym razie musiał zastosować własny sposób.

Odepchnął się od barierki i wrócił do wnętrza budynku, by znów zacząć krążyć między pokojami. Rozglądał się przy tym bacznie. Zdumiało go, jak wiele ma możliwości popełnienia samobójstwa, a jednocześnie jak bardzo są one ograniczone, jeżeli chce zyskać pewność, że go odratują.

Jednego był pewien: nie mógł opuścić imprezy, nie spróbowałszy kolejnego podejścia. Nie było mowy, by wrócił do apartamentu i oglądał przez resztę wieczoru przyjaciela radośnie piłującego sobie rękę oraz z zachwytem obserwującego swoją nową zdolność, która przecież przyszła mu tak łatwo! Victor postanowił, że nie będzie stał z boku, piał z zachwytem i notował złotych myśli Elia.

Victor Vale nie da się zepchnąć na pierdolony drugi plan.

W trakcie trzeciego okrążenia domu udało mu się załatwić dość kokainy, by – jak sądził – wywołać zatrzymanie akcji serca (nie był pewien, ponieważ nigdy wcześniej nie zażywał tego narkotyku). Musiał zrobić zakupy u trzech różnych osób, ponieważ każda z nich miała tylko kilka działek.

Podczas czwartego okrążenia, próbując uspokoić się na tyle, by w końcu użyć kokainy, usłyszał coś, czego wolałby nie słyszeć. Otworzyły się frontowe drzwi – muzyka grała tak głośno, że nie mógł zarejestrować samego dźwięku, ale stał akurat na schodach i poczuł nagły chłodny powiew – a potem jakaś dziewczyna pisnęła radośnie i wykrzyknęła:

– Eli! Udało ci się dotrzeć!

Victor zaklął cicho i wycofał się po schodach na górę. Przeciskając się między ciałami tańczących, dosłyszał swoje imię. Przedarł się przez nich i dotarł do podestu na piętrze, a potem znalazł wolną sypialnię z własną łazienką. W połowie pokoju zatrzymał się: jedną ze ścian zajmowała biblioteczka,

a na samym środku jednej z półek dostrzegł własne nazwisko, wypisane wielkimi literami.

Wyciągnął z półki gruby poradnik i otworzył okno. Szósta książka z dziewięciotomowej serii o emocjonalnej akcji i reakcji przebiła ciężką warstwę śniegu z satysfakcjonującym łupnięciem. Victor zamknął okno i podążył do łazienki.

Rozłożył na umywalce swój ekwipunek.

Po pierwsze – komórka. Napisał esemesa do Elia, ale go nie wysłał, i odłożył telefon na bok. Po drugie – autostrzykawka z adrenaliną. Nie miał zamiaru ochładzać ciała, więc liczył, że jeden zastrzyk wystarczy. I tak przeżyje potworne tortury, ale nie było sposobu, by tego uniknąć, jeżeli chciał osiągnąć zamierzony efekt. Położył epipena obok telefonu. Po trzecie – koka. Usypał z niej zgrabny stosik i zaczął dzielić ją na kreski kartą hotelową znalezionej w tylnej kieszeni spodni – pamiątką po zimowej wycieczce, na którą wyciągnęli go rodzice. Mimo że większość dzieci wychowywanych tak jak on sięgnęłaby po narkotyki, Victor nigdy nie miał skłonności do ćpania. Poznał jednak kolejne etapy uzależnienia w teorii, a to dzięki zdrowej diecie złożonej z telewizyjnych kryminałów. Teraz zaś podzielił kokainę na siedem równych kresek, po czym wyciągnął z portfela banknot dolarowy i zwinął go w wąską rurkę. Tak jak w telewizji.

Spojrzał w lustro.

– Chcesz żyć – powiedział swojemu odbiciu. Victor w lustrze wyglądał na nieprzekonanego. – Musisz to przeżyć – powiedział. – Musisz!

A potem wziął głęboki oddech i schylił się nad pierwszą kreską.

Nagle znikąd wyłoniło się czyjeś ramię, owinęło mu wokół gardła i pociągnęło ku ścianie naprzeciwko umywalki. Victor odzyskał równowagę i wyprostował się w samą porę, by zobaczyć, jak Eli zmiata dłonią prosto do umywalki kokainę wartą co najmniej kilkaset dolarów.

– Co, do kurwy nędzy? – wysyczał Victor, próbując ją uratować, okazał się jednak zbyt wolny. Biała od kokainy dłoń Elia jeszcze raz odepchnęła go i przyszpiliła do ściany, pozostawiając jasny ślad na jego czarnej koszuli.

– „Co, do kurwy nędzy?” – powtórzył zaskakująco spokojnie Eli. – „Co, do kurwy nędzy?”

– Miało cię tu nie być.

– Ludzie zauważyli, że w końcu pojawiłeś się na jakiejś imprezie. Ellis przysłał mi esemesa, jak się tylko pojawiłeś, a potem Max zawiadomił mnie, że wykupujesz całą kokę w okolicy. Masz mnie za idiotę? Coś ty sobie myślał? – rzucił Eli. Wolną ręką złapał telefon z umywalki i przeczytał gotów do wysłania tekst. Wydał dziwny dźwięk, przypominający śmiech, lecz jego palce zacisnęły się mocniej wokół szyi Victora. Cisnął komórkę do brodzika, gdzie rozleciała się na kilka części. – A gdybym nie usłyszał sygnału? – zapytał i puścił Victora. – Co wtedy?

– Wtedy byłbym martwy – odparł Victor z udawanym spokojem. Jego wzrok na moment spoczął na epipenie. Eli zauważył to; zanim jego przyjaciel zdążył zareagować, złapał autostrzykawkę i wbił ją we własną nogę. Zacisnął zęby i syknął tylko, kiedy zawartość epipena wlała się do jego krwiobiegu, a po sekundzie dotarła do płuc i serca, ale po chwili się pozbierał.

– Próbuje cię tylko chronić – powiedział, rzucając zużyty zasobnik za siebie.

– Och, mój bohaterze! – Victor jęknął ironicznie. – A teraz się odpierdol.

Eli zmierzył go wzrokiem.

– Nie zostawię cię tu samego.

Victor objął spojrzeniem umywalkę za plecami rozmówcy, której brzeg wciąż jeszcze był obsypany kokainą.

– Idź na dół, tam się spotkamy – powiedział uspokajająco, wskazując jednym gestem koszulę, umywalkę i telefon. – Muszę to wszystko ogarnąć.

Eli nie ruszył się z miejsca.

Victor uniósł wzrok i chłodno popatrzył mu prosto w oczy.

– Nie mam przy sobie nic więcej – zastrzegł, a potem dodał z upiornym uśmiechem: – Obszukaj mnie, jeśli chcesz.

Eli roześmiał się, chociaż zabrzmiało to bardziej jak kaszel, ale potem twarz mu złagodniała.

– Tak się tego nie da zrobić, Vic.

– Skąd wiesz? Tylko dlatego, że łód zadziałał jeden jedyny raz? To nie znaczy, że coś innego nie mogłoby...

– Nie chodzi mi o metodę. Mam na myśli towarzystwo – wyjaśnił, kładąc czystą dłoń na ramieniu Victora. – Nie możesz zrobić tego sam. Przyrzeknij mi, że tego nie zrobisz.

Tamten wytrzymał jego spojrzenie.

– Nie zrobię tego.

Eli wyszedł do sypialni, rzucając w przelocie:

– Masz pięć minut.

Victor słuchał, jak dźwięki z imprezy wdzierają się do łazienki, gdy Eli otworzył drzwi, a potem ponownie cichną. Podeszedł do umywalki i przeciągnął po niej dłonią. Jej wnętrze

stało się śnieżnobiałe. Zaciśnął pięść i walnął nią w lustro. Pękło – jedna, długa, idealna linia przez sam środek – ale nie rozleciało się na kawałki. Kostki jego dłoni zapulsowały bólem. Powiódł ręką obok umywalki, szukając na ślepo ręcznika, by wytrzeć pozostałą kokainę. Trafił na coś palcami, a wówczas przez jego palce przebiegł ostry, bolesny impuls. Szarpnął się i odwrócił: w ścianie tkwiło gniazdko, obok którego ktoś przyczepił samoprzylepną kartkę z napisem: „Uszkodzone! Nie dotykać! Serio!!!”.

Wykrzykniki dopisała najwyraźniej inna osoba, czerwonym, grubym mazakiem.

Victor zastanowił się, wciąż jeszcze czując mrowienie w palcach.

A potem czas się zatrzymał. Powietrze zamarło mu w płucach, woda przestała się lać do umywalki, tumany śniegu za oknem znieruchomiały – zupełnie jak poprzedniego wieczoru pod uliczną latarnią, gdzie usiadł Eli, tyle że tym razem to nie była jego dłoń, a ręka Victora, ćmiąca bólem po porażeniu.

Wpadł na nowy pomysł. Pozbierał części komórki z brodzika i poskładał je z powrotem w całość, a potem napisał wiadomość. Owszem, przyrzekł, że nie zrobi tego sam, i miał zamiar dotrzymać obietnicy... ale nie potrzebował również pomocy Elia.

„Ratunku!” – napisał, a potem dodał jeszcze adres siedziby bractwa.

I nacisnął „Wyślij”.

XX

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Za drzwiami drugiej sypialni Sydney Clarke zwinęła się w kłębek w gnieździe uwitym z pościeli. Słuchała kroków Victora w pokoju obok, powolnych, cichych i miarowych niczym spadające krople. Słyszała, jak tłucze się szkło, woda płynie z kranu, a potem kroki znów wracają: tap, tap, tap. Potem przeszedł ciężkim krokiem Mitch, a po chwili dotarła do niej stłumiona konwersacja; przez ścianę nie słyszała poszczególnych słów, tylko sam ton. Mitch wrócił do swojej sypialni i wówczas zapadło milczenie. Zamiast miarowego tap, tap, tap – dziwaczna cisza.

Sydney nie ufała ciszy. Życie nauczyło ją, że to coś złego. Niedobra, nienaturalna, martwa rzecz. Usiadła na dziwnym łóżku, w dziwnym hotelu, spojrzała przelotnie w kierunku korytarza i nadstawiła uszu niepewna, co kryje się za drzwiami i panującą za nimi ciszą. Niczego jednak nie słyszała, więc w końcu wyslizgnęła się z łóżka w zbyt dużych skradzionych spodniach od dresu i przemknęła bosą ze swojego pokoiku do przestronnego salonu.

Zabandażowana ręka Victora spoczywała teraz na oparciu kanapy stojącej frontem do okien. Jego palce obejmowały bezwładnie szklankę z ostatnim łyżkiem płynu, który składał

się już głównie ze stopniałego lodu. Sydney po cichu okrążyła kanapę.

Victor spał.

Nie wyglądał na zrelaksowanego, ale oddychał płytko i miarowo.

Sydney przycupnęła na krzesło i przyglądała się mężczyźnie, który ją ocalił (choć w sumie to ocaliła się sama), a w każdym razie znalazł ją i zabrał ze sobą. Zastanawiała się, kim jest i czy powinna się go obawiać. Wiedziała, że nie należy kierować się lękiem – a mimo to nie można ufać nikomu. Nie bała się przecież swojej siostry, Sereny, ani jej nowego chłopaka (a przynajmniej nie bała się go wystarczająco), i patrzcie tylko, jak to się skończyło.

Została postrzelona.

Podciągnęła stopy na krzesło i siedziała skulona, patrząc, jak Victor śpi, tak jakby zmarszczki na jego czole, które nie znikają nawet we śnie, mogły zdradzić wszystkie jego tajemnice.

XXI

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Na pierwszym roku, zanim jeszcze Eli pojawił się na kampusie, Victor pociągał Angie. Pod wieloma względami stanowili swoje przeciwieństwa – ona nie brała niczego na poważnie, a on niczego nie lekceważył – ale mieli o wiele więcej cech wspólnych: oboje byli młodzi, niebezpiecznie inteligentni i brakowało im cierpliwości do rówieśników, którzy wyrwali się nagle spod kurateli rodziców i reagowali na to tak samo jak większość młodych ludzi na całym świecie. Oboje potrzebowali kogoś, kto ich zrozumie, i miejsca, dokąd mogliby uciec od niepożądanych sytuacji i niepożądanych ludzi.

Pewnego dnia, siedząc przy stoliku w KRUL, opracowali podstawowy kod komunikacyjny.

„Ratunku!”

Niepisana umowa zakładała, że będą używać go oszczędnie, ale za to zawsze będą go honorować. Najpierw ratujemy, potem zadajemy pytania. Esemes z tym hasłem i adresem oznaczał, że jedno z nich potrzebuje drugiego, by wykaraskać się z niepożądanego sytuacji: imprezy, sesji naukowej albo niechcianej randki. Victor nigdy nie dostąpił zaszczytu randki z Angie, chcianej lub nie, chyba że uznać za taką pośpieszny posiłek po ocaleniu drugiej osoby – co często im się zdarzało. Spędzali wtedy wieczór w barze z burgerami tuż koło kampusu,

dzieląc się shake'ami. On wolał czekoladowe, lecz ona zawsze zamawiała jakąś straszliwą mieszankę smaków z polewami, toteż zwykle w końcu było mu już wszystko jedno. I tak nigdy nie pamiętał smaku shake'a tylko to, jak od chłodnego napoju usta Angie robiły się czerwieńsze, a ich nosy niemal się dotykały, kiedy próbowali pić z jednego kubka w tej samej chwili. Victor dostrzegał wówczas w jej oczach zielone cętki. Podczas tych spotkań jadł palcami frytki i opowiadał jej o idiotach, których spotkał na uczelni, a ona śmiała się, wydobywała łyżeczką resztki shake'a i relacjonowała Victorowi żenującą randkę, wdając się w szczegóły. Przewracał wtedy oczami i myślał, jak sam postąpiłby na miejscu tamtego faceta oraz jak bardzo był mu wdzięczny za to, że tamten – wszystko jedno, kto – skłonił Angie Knight do wołania o pomoc.

A wówczas on, Victor, mógł ją uratować.

„Ratunku!”

Minęło półtora roku, od kiedy Victor ostatni raz pomyślał o wykorzystaniu tego kodu. Było to jeszcze przed przybyciem Elia – i na pewno zanim Eli i Angie stworzyli nierozzerwalną całość. Mimo to teraz przybyła mu na ratunek.

Zajechała swoim niedużym autkiem na parking koło siedziby bractwa, dokładnie tam, gdzie czekał Victor, na wpół zszedłszy, na wpół wypadłszy z tego samego okna, przez które chwilę wcześniej wyrzucił książkę rodziców. Przez jeden króciutki moment po tym, jak wsiadł do samochodu i zanim jeszcze zaczął jej wszystko wyjaśniać, wszystko było znów tak jak na pierwszym roku: tylko ich dwoje, uciekających przed nieudanym wieczorem. Bardzo chciał, żeby pojechali do tego samego baru z burgerami, gdzie usiedliby w zacisznym miejscu, przy swoim starym stoliku, on powiedziałby jej, że imprezy

nadal są takie nudne, jak przedtem, ona by się roześmiała i jakimś cudem to naprawiłoby wszystko.

Wtedy jednak Angie zapytała, gdzie jest Eli, i magiczny moment minął. Victor zamknął oczy i poprosił ją, żeby zawiozła go do laboratoriów wydziału inżynierii.

– Przecież są zamknięte! – zaprotestowała, mimo to jednak skręciła w ich kierunku.

– A ty masz kartę do czytnika.

– O co tu chodzi?

Wtedy zaskoczył sam siebie: powiedział jej całą prawdę. Wiedziała o pracy dyplomowej Elia, ale teraz Victor zrelacjonował jej najnowsze odkrycia, podkreślając rolę DBŚ. Opowiedział o swoim pragnieniu, by sprawdzić hipotezę, i o planie eksperymentów. Zataił tylko – przynajmniej na razie – to, że Eli poddał się takiej próbie i wyszedł z niej zwycięsko. Trzeba przyznać, że Angie słuchała z zapartym tchem. Prowadziła, zaciskając dłonie na kierownicy, aż zbieleły jej kostki, z zaciśniętymi ustami, i pozwalała Victorowi się wygadać. Skończył dokładnie w chwili, kiedy parkowała pod laboratoriami. Do tego momentu nie wypowiedziała ani słowa. Wyłączyła silnik i zwróciła twarz ku Victorowi.

– Czyś ty kompletnie oszalał? – zapytała.

Cierpko się uśmiechnął.

– Nie sędzę.

– Czekaaj, czyli tak... – Krótko ścięte rude włosy okalały jej twarz, zaróżowioną od mrozu. – Uważasz, że jeżeli umrzesz, a potem wrócisz z tamtej strony, zmienisz się w... kogo, w jednego z X-Menów?

Victor zaśmiał się, ale wypadło to nieszczególnie, bo zaschło mu w gardle.

– Miałem nadzieję na Magneto – przyznał. Próba rozładowania atmosfery kompletnie się nie udała: na twarzy Angie wciąż widniała mina wyrażająca coś pomiędzy przerażeniem a skrajną irytacją. – Słuchaj – powiedział, trzeźwiejąc raptownie – wiem, że to brzmi jak opowieść szaleńca...

– Oczywiście, że tak, bo to jest kompletnie szalone. Nie pomogę ci w tym.

– Nie chcę umrzeć!

– Zaraz, przed chwilą powiedziałeś, że tak.

– Och, no jasne. Nie chcę pozostać martwy.

Przetarła oczy, oparła czoło na kierownicy i jęknęła.

– Potrzebuję cię, Angie. Jeżeli mi nie pomożesz...

– Nawet nie próbuj odwracać kota ogonem w ten sposób!

– ...to skończy się na tym, że znów spróbuję sam...

– Jak to: „znów”?!

– ...i zrobię coś tak głupiego, że już się nie pozbieram.

– Możemy ci załatwić pomoc.

– Nie mam skłonności samobójczych.

– Nie, masz skłonności do urojeń!

Victor oparł potylicę o podgłówek. W jego kieszeni zawibrował telefon. Eli. Zignorował to, wiedząc, że prawdopodobnie za chwilę przyjaciel się połączy i zadzwoni do dziewczyny. Nie miał wiele czasu, a z pewnością nie tyle, żeby przekonać ją, by mu pomogła.

– Dlaczego nie możesz po prostu... – wymamrotała Angie w kierownicę – ...nie wiem... może przedawkować? Zrobić to jakoś łagodniej?

– Ból jest ważnym elementem – wyjaśnił Victor, krzywiąc się w myślach. Więc nie była zirytowana tym, że próbuje sobie

zrobić krzywdę, lecz tym, że ją w to wciąga? – Ból i strach – dodał. – To dwa decydujące czynniki. Cholera, Eli zabił się w wannie z lodem.

– Cooo?!

Ponury, triumfujący uśmiech przemknął przez jego twarz. W końcu zagrał tą kartą. Doskonale wiedział, że Eli jeszcze nie przyznał się swojej dziewczynie do eksperymentu. Na to właśnie liczył Victor. Została zdradzona przez najbliższą osobę! Wyskoczyła z samochodu, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie bezwładnie. Victor również wysiadł i obszedł auto, brodząc w zaspach. Przez zaparowane okna widział jej telefon, leżący na fotelu kierowcy, z migającą czerwoną diodą – ktoś próbował się dodzwonić do Angie. Victor przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Kiedy to zrobił? – spytała.

– Wczoraj wieczorem.

Spojrzała na śnieżną zaspę zalegającą na betonie obok samochodu.

– Ależ... wpadłam do was dzisiaj rano, Vic. Wyglądał normalnie.

– Zgadza się, ponieważ eksperyment wypalił. To działa.

Jęknęła.

– Zwariowałeś. To czyste szaleństwo.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Dlaczego miałby...

– Naprawdę nic ci nie powiedział? – zdziwił się obłudnie Victor, trzęsąc się z zimna w cienkiej kurtce.

– Ostatnio był jakiś dziwny... – wymamrotała, a potem otrząsnęła się ze zgrozy. – Ale to, o co mnie prosisz... to kompletny absurd. To będzie tortura!

– Angie...

Spojrzała na niego z oczami płonącymi gniewem.

– Nie wierzę ci. A co, jeżeli się nie uda?

– Uda się.

– A co, jeżeli tak się nie stanie?!

Telefon zawibrował mu wściekle w kieszeni.

– Nie może – powiedział najspokojniej, jak potrafił w tej sytuacji. – Wziąłem tabletkę.

Uniosła pytająco brwi.

Zaczął wyjaśniać:

– Razem z Eliem wyizolowaliśmy składniki adrenaliny, które działają w sytuacjach bliskich śmierci. Zsyntetyzowaliśmy je i dostaliśmy pigułki działające jak zapalnik, jak zewnętrzny akumulator przy zapalaniu silnika.

Wszystko było kłamstwem, ale Victor zauważył, że wywarło to na Angie wrażenie. Tylko to mogło ją przekonać: osiągnięcie naukowe, nawet kompletnie fikcyjne. Dziewczyna zakłęła i schowała dłonie do kieszeni kurtki.

– Kurwa, ale zimno – wymamrotała, kierując się ku frontowym drzwiom budynku. Victor wiedział, że w laboratorium również będzie miał problem. Wszędzie wisiały kamery systemu monitorującego. Jeżeli coś poszłoby źle, zostałyby nagranie. – Gdzie jest teraz Eli? – zapytała, przeciągając kartę przez czytnik. – Jeżeli siedzicie w tym we dwóch, dlaczego jesteście tu ze mną sam?

– Och, rozkoszuje się swoim boskim statusem – odparł gorzko, podążając za nią przez następne drzwi, zabezpieczone kodem wprowadzanym z klawiatury, i sprawdzając, czy pod sufitem nie świecą na czerwono diody kamer. – Słuchaj, musisz tylko użyć prądu, żeby mnie wyłączyć, a potem włączyć mnie z powrotem. Pigułka załatwi resztę.

– Badam elektryczność i jej wpływ na urządzenia, Vic, nie na ludzi.

– Ciało jest urządzeniem – powiedział cicho.

Wprowadziła ich do jednego z laboratoriów elektrotechnicznych i nacisnęła włącznik. Pod sufitem zabłyśły lampy. Wzdłuż jednej ze ścian stała aparatura: rozmaite urządzenia wyglądające jak wyposażenie sali operacyjnej albo warsztatu inżyniera. Na sali stało mnóstwo stołów, długich i wąskich, ale wystarczająco dużych, by zmieściło się na nich ludzkie ciało. W tym momencie wyczuł, że Angie się waha.

– Musimy to zaplanować – powiedziała niepewnie. – Daj mi parę tygodni, a może będę umiała przerobić aparaturę tak, żeby...

– Nie – przerwał jej Victor, kierując się ku maszynom. – To musi być dzisiaj wieczorem. – Jego zdecydowanie wyraźnie ją przeraziło, ale zanim zdążyła zaprotestować, w przypiływie natchnienia rozwinął wcześniejsze kłamstwo. – Powiedziałem ci przecież, że wziąłem tabletkę. To jest jak włącznik, którego działanie zależy od tego, w jakim stanie znajduje się ciało – wytłumaczył, wytrzymując jej powątpiewające spojrzenie, a w duchu dziękując, że Angie nie wie na temat adrenaliny nawet połowy tego, co na temat obwodów elektrycznych. – Jeżeli nie zrobię tego szybko... – skrzywił się boleśnie dla lepszego efektu – ta pigułka mnie zabije.

Zbladła jak ściana.

Victor wstrzymał oddech.

Jego telefon znów zawibrował.

– Ile mamy czasu? – zapytała w końcu.

Ruszył ku niej, udając, że noga załamuje się pod nim z udawanego wysiłku. Złapał się krawędzi stołu

z nieprzyjemnym grymasem i złowił jej przestraszony wzrok, a tymczasem bzyczenie w jego kieszeni ucichło.

– Kilka minut.



– To kompletne wariactwo – powtarzała szeptem Angie, przywiązuując nogi Victora do stołu. Obawiał się, że nawet teraz, kiedy maszyny wokół nich rozgrzewały się z szumem, a ona krępowała jego kostki gumowaną taśmą, dziewczyna może jeszcze się wycofać, więc zgiął się wpół, udając, że cierpi.

– Victor – powiedziała pośpiesznie. – Victor, wszystko w porządku? – W jej głosie zabrzmiała panika i ból, a on musiał zwalczyć pokusę, by zakończyć spektakl, uspokoić ją i obiecać, że wszystko będzie dobrze.

Zamiast tego skinął głową i wycedził:

– Pośpiesz się!

Szybko zacisnęła węzły wokół kostek, po czym pokazała mu pokryte gumą uchwyty na stole, które mógł złapać. Aureola rudych loków wokół głowy Angie zawsze wyglądała jak naelektryzowana, ale tego wieczoru jej włosy unosiły się niemal pionowo. Victor pomyślał, że dziewczyna wygląda przepięknie, olśniewająco. Taką ją właśnie zapamiętał z pierwszego spotkania.

Było wówczas ciepło, jak na wrzesień, więc twarz miała zarumienioną, a wszechobecna wilgoć sprawiła, że jej czupryna wydawała się poruszać niemal samodzielnie. Spojrzał wtedy znad podręcznika i zobaczył ją, stojącą w wejściu do KRUL, z teczką trzymaną kurczowo przed sobą niczym tarcza. Jej wzrok wędrował po sali, szacując, oceniając wystrój i ludzi, aż

wreszcie spoczął na Victorze, siedzącym przy stole z książką, i jej twarz rozświetlił uśmiech. Nie lśniła wewnętrznym światłem niczym stuwatowa żarówka, ale raczej promieniowała łagodnym blaskiem, idąc przez całą salę i siadając bez jednego słowa naprzeciwko niego. Pierwszego dnia w ogóle nie rozmawiali, spędzili tylko godzinę blisko siebie. Później Angie twierdziła, że nadawali oboje na tej samej częstotliwości.

– Victor! – jej głos przywrócił go do rzeczywistości. Stół pod plecami wydawał mu się wyjątkowo zimny. – Chcę, żebyś wiedział jedno – powiedziała, zaczynając mocować czujniki do jego piersi – nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczę.

Zadrżał pod jej dotykiem.

– Wiem.

Jego płaszcz i koszula wisiały na krześle, a przy nich spoczywała zawartość kieszeni. Obok kluczy i portfela leżał wyciszony telefon. Niebieska i czerwona dioda migotały wściekle, sygnalizując, że ma nowe wiadomości tekstowe i nagrania na poczcie głosowej.

Victor uśmiechnął się ponuro. Za późno, Eli. Teraz moja kolej.

Angie stała koło maszyny, obgryzając paznokcie jednej dłoni, a drugą trzymając na zestawie kontrolki. Aparatura bzyczała, brzęczała i migła lampkami. Victor nie znał tego języka, ale efekt wydawał mu się przerażający.

Chwyciła coś i podeszła do stołu. To był kawałek gumy.

– Wiesz, co robić – powiedział Victor, zaskoczony własnym spokojem. Całe jego ciało drżało z przerażenia. – Zaczynaj od niskich wartości, a potem idź w górę.

– Wyłączyć i włączyć – wyszeptała, a potem przysunęła mu do ust podłużną gumę. – Zagryź.

Victor odetchnął głęboko, zmusił się do otwarcia ust. Gumowa rolka spoczęła między zębami, a palce mocno chwyciły gumowe uchwyty. Potrafił tego dokonać. Jeżeli Eli wytrzymał eksperyment, to Victorowi też może się udać.

Angie wróciła na swoje stanowisko przy maszynie. Ich wzrok się spotkał i na moment wszystko inne zniknęło – laboratorium, huczące maszyny, istnienie osób PP, Eli i wszystkie te lata, od kiedy ostatnio dzielili się shake’iem. Victor poczuł szczęście na myśl, że Angie teraz na niego patrzy. Że widzi właśnie jego.

A potem zamknęła oczy i przesunęła suwak o jeden ząbek. Od tego momentu Victor mógł myśleć już tylko o przenikającym go, wszechobecnym bólu.



Victor spoczywał bezwładnie na stole, oblany zimnym potem.

Nie był w stanie oddychać.

W końcu spazmatycznie zaczerpnął powietrza, oczekując, że teraz nastąpi przerwa, że dostanie chwilę, żeby się pozbierać. Podświadomie spodziewał się, że Angie się rozmyśli, przestanie, da za wygraną.

Tymczasem dziewczyna przesunęła regulator jeszcze dalej.

Mdłości minęły, teraz ogarnęło go pragnienie, by wrzasnąć z bólu. Wgryzł się w gumową rolkę, myśląc, że w końcu zęby nie wytrzymają, a mimo to jęknął. Pomyślał, że Angie to usłyszy i wyłączy maszynę... ale suwak powędrował ząbek wyżej.

I znowu.

I jeszcze raz.

Victor pomyślał, że teraz zemdleje, ale zanim to się stało, dziewczyna znów podwyższyła napięcie. Spazm bólu zawrócił go z tej drogi; znów leżał na stole w laboratorium, z którego nie mógł uciec.

Ból trzymał go na miejscu.

Ból spętał go i przenikał teraz każdy nerw w jego ciele.

Próbował wypluć gumę, ale nie mógł otworzyć ust. Złapał go szczękościsk.

Suwak powędrował jeszcze wyżej.

Za każdym razem, gdy Victor myślał, że to już koniec skali, że ból nie może się wzmóc, było jeszcze gorzej, i jeszcze raz, i znowu, aż usłyszał własny wrzask, wydobywający się z ust mimo gumowego knebla. Czuł, że nerwy w jego ciele nie wytrzymują tortury, i pragnął, żeby się już skończyła. Za wszelką cenę chciał zakończyć tę mękę.

Błagał Angie, by przestała, ale gumowa rolka w ustach tłumiała jego słowa. Regulator znów przesunął się w górę, a powietrze wypełnił trzask elektrycznych wyładowań przypominający pęknięcie lodu albo darcie papieru.

A potem ciemność zamknęła się wokół niego w ułamku sekundy, a on przywitał to z ulgą, bo oznaczało, że ból się skończy, lecz jednocześnie nie chciał umrzeć, więc w obawie przed ciemnością oznaczającą śmierć szarpnął się gwałtownie do tyłu.

Poczuł, że wrzeszczy na całe gardło.

Angie popchnęła suwak w górę.

Victor poczuł, że łapie go skurcz. Dłonie, trzymające za uchwyty, zapłonęły żywym ogniem.

Suwak znów poszedł wzwyż.

Po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie wierzy w Boga.

Suwak znów powędrował...

Serce zatrzymało się na sekundę, zawahało i ruszyło znów, dwukrotnie szybciej.

Suwak znów...

Usłyszał, jak maszyna włącza ostrzegawczy sygnał, a potem rozbrzmiewa główny alarm.

Suwak...

I wtedy wszystko zastygło.

XXII

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Sydney obserwowała, jak zmarszczki na twarzy Victora się pogłębiają. Mężczyzna musiał o czymś śnić.

Było późno. Za sięgającymi podłogi oknami rozpościerała się ciemność – o ile w takim mieście można było mówić o ciemności – a dziewczynka stanęła i patrzyła na nią przez chwilę. Już miała wrócić do łóżka, gdy dostrzegła kawałek papieru i nagły chłód ściał jej krew w żyłach.

Na kanapie obok Victora leżał artykuł wyrwany z gazety. Uwagę Sydney zwróciły w pierwszej chwili grube, czarne linie, którymi przekreślono tekst, ale potem dostrzegła zdjęcie poniżej. Żebra zacisnęły jej się wokół serca i płuc, raptownie i boleśnie, aż na chwilę straciła dech w piersiach. Znów poczuła się, jakby tonęła – zobaczyła koszyk piknikowy niesiony przez siostrę odzianą w zimowy płaszcz, a w uszach zabrzmiało jej wołanie Sereny, która kazała jej się pośpieszyć, zanim cały lód stopnieje pod cienką, kruchą warstwą szronu i śniegu, co zresztą w końcu się stało. Gdy Sydney zacisnęła powieki, nie ogarnęła jej jednak lodowata woda jeziora, a o rok późniejsze wspomnienie pola, połaci zmrożonej trawy, krzyku siostry i dźwięku strzału, odbijającego się echem w jej uszach.

Dwa różne dni, dwie różne śmierci, nakładające się na siebie w jej umyśle, mieszające razem. Mrugnęła, otrząsając się ze

wspomnień, ale ze zdjęcia wciąż spoglądały na nią ten sam człowiek. Nie mogła oderwać od niego oczu. Instynktownie wyciągnęła dłoń, przechylając się nad Victorem, chcąc złapać kawałek papieru i śmiejącego się mężczyznę na fotografii.

Wówczas bardzo szybko zdarzyło się kilka różnych rzeczy.

Palce Sydney chwyciły stronę z gazety, ale gdy unosiły papier, jej przedramię musnęło kolano Victora. Zanim zdążyła się odsunąć, czy choćby przenieść ciężar ciała, jego dłoń wystrzeliła naprzód, zaciskając się niczym imadło na jej nadgarstku. Oczy miał otwarte, lecz puste. Ból rozdarł bez ostrzeżenia jej ramię i całe drobne ciało, płynąc powalającą falą. To było gorsze niż tonięcie, gorsze niż postrzał, gorsze niż wszystko, co spotkało ją w życiu do tej pory. Poczowała ból każdym, nawet najmniejszym nerwem, a w tej sytuacji pozostało jej już tylko jedno.

Wrzasnęła na całe gardło.

XXIII

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Kiedy Victor odzyskał przytomność, okazało się, że ból jeszcze nie minął, a nawet się wzmógł. Krzyknął przeraźliwie.

Angie szamotała się z jego dłońmi, próbując oderwać je od uchwytów. Poderwał się gwałtownie ze stołu, łapiąc się za głowę. Dlaczego przez jego ciało wciąż płynął prąd? Ból nacierał na niego jak fala, jak ściana, w gryzając się w jego mięśnie i serce. Czuł się tak, jakby skóra pękała mu na całym ciele. Angie coś mówiła, lecz Victor nie słyszał jej słów, koncentrując się na wszechogarniającej torturze. Skulił się na stole i zdusił w gardle kolejny krzyk.

Dlaczego wciąż przeżywał takie męczarnie?! Dlaczego ból nie ustępował?

I nagle, jak za popchnięciem dźwigni, mordercze uczucie zniknęło, a Victor nie czuł już kompletnie nic. Maszyny naokoło raptownie się wyłączyły, światelka na ich pokrywach zgasły. Angie wciąż coś do niego mówiła, jej dłonie przesuwwały się po jego kostkach, rozwiązując taśmy, ale on jej nie słyszał. Wpatrywał się we własne dłonie i zastanawiał nad nagłym poczuciem pustki, tak jakby elektryczność wypruła z niego wszystkie nerwy.

Pozostawiła pustą skorupę.

„Gdzie zniknął ból?” – zastanawiał się teraz. „Czy powróci?”

Nagle okazało się, że nie jest w stanie nawet przypomnieć sobie, co czuł kilka chwil temu, przywołać tego odczucia ani nawet jego wspomnienia. Kiedy próbował to zrobić, dźwignia znów przeskoczyła i w pomieszczeniu z powrotem pojawiła się energia, trzeszcząca niczym radiowe zakłócenia. Usłyszał jej brzęczenie w powietrzu, a potem... rozległ się krzyk. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy dobiega z jego gardła, ale nie, ból minął, przeszedł, znajdował się teraz poza Victorem, wibrując tuż nad powierzchnią jego skóry, lecz jej nie dotykając.

Oszołomiony całą sytuacją, powoli próbował się zorientować w sytuacji. Nic go nie bolało, więc kto krzyczał? I wtedy czyjeś ciało osunęło się na podłogę obok stołu, na którym siedział, coś w jego umyśle nagle przeskoczyło i zaczął funkcjonować na normalnych obrotach.

Angie. Nie! Zeskoczył ze stołu i zobaczył, że wije się na podłodze, wciąż krzycząc z bólu. Pomyślał „Stop!”, lecz elektryczna wibracja wydawała się narastać wokół niego. „Stop!” Dziewczyna przycisnęła dłonie do mostka.

Próbował ją podnieść, ale zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej, więc odskoczył od niej, zmieszany i spanikowany. „To brzęczenie!” – pomyślał. Musi je wyłączyć. Zacisnął powieki i spróbował sobie wyobrazić suwak, regulator napięcia w jakimś niewidzialnym urządzeniu. Starał się uspokoić, usunąć wszystkie odczucia. Z zaskoczeniem odkrył, jak łatwo mu to przychodzi mimo panującego wokół chaosu. A potem zdał sobie sprawę z tego, jaka potworna cisza zapadła w laboratorium. Otworzył oczy. Angie na podłodze wygięła się w łuk, z odchyloną głową, otwartymi oczami i chmurą rudych

włosów. Brzęczenie w powietrzu cichło powoli, przeszło w nikłe mrowienie, a potem znikło... ale wówczas było już za późno.

Na podłodze leżały zwłoki Angie Knight.

XXIV

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

W apartamencie hotelowym zapanował chaos.

Victor przyszedł do siebie, wyrwany ze snu, w którym przeżywał jeszcze raz wydarzenia z laboratorium uniwersyteckiego. Wrzask Angie w jego głowie i krzyk Sydney w uszach zlały się w jeden głos, pełen cierpienia. Zaraz, Sydney? Nigdzie jej nie widział, natomiast jego samego przyciskało do kanapy olbrzymie cielsko Mitcha, który najwyraźniej trząsał się z bólu, lecz nie odpuszczał. Pokój wokół nich huczał od wibracji.

– Wyłącz to! – zażądał Mitch stłumionym głosem, a Victor w końcu się dobudził. Zmrużył oczy, wibracja ustała, a Mitch się rozluźnił; najwyraźniej źródło bólu zniknęło. Puścił ramiona Victora i opadł ciężko na fotel.

Victor zaczerpnął powietrza, wypuścił je, żeby się uspokoić, przesunął dłonią po twarzy i włosach, i dopiero wtedy skoncentrował uwagę na Mitchu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Mitch wyglądał na zmęczonego, nieco naburmuszonego, ale nietkniętego. Nie pierwszy raz musiał interweniować w ten sposób. Victor zdawał sobie sprawę, że kiedy śniły mu się koszmary, zawsze cierpiał ktoś inny.

– U mnie tak – odparł tamten – ale nie wiem, jak u niej – dodał, wskazując na dziewczynkę w za dużych spodniach od dresu. Spojrzenie Victora powędrowało ku Sydney, która siedziała na podłodze, kompletnie oszołomiona. W chwili, kiedy zorientował się w sytuacji, odciął im możliwość odczuwania bólu, a przynajmniej ograniczył ją, na ile był w stanie, więc wiedział, że fizycznie nie ucierpiała. Wyglądała jednak na wstrząśniętą. Poczucie winy, o którym niemal zapomniał przez dziesięć lat więzienia, dało mu mocnego kuksańca.

– Przepraszam – powiedział cicho. Wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Zamiast tego podniósł się i poszedł w kierunku łazienki. – Mitch! – zawołał przez ramię. – Dopilnuj, żeby poszła do łóżka!

I z tymi słowami zamknął za sobą drzwi.

XXV

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Victor nie podjął reanimacji, nawet nie próbował. Wiedział, że powinien przynajmniej podjąć próbę pomocy Angie, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było pozostawianie dowodów swojej obecności na miejscu zbrodni. Sam nie mógł w to uwierzyć; aż się wzdrygnął na myśl, że potrafi w takiej chwili zachowywać się tak racjonalnie. Po sekundzie uderzył go także dobór słów. „Miejsce zbrodni”. Poza tym potrafił wyczuć, że dziewczyna nie żyje. Nie miała żadnej energii, nie płynął przez nią żaden prąd.

Wtedy zrobił jedyną rzecz, o której był w stanie pomyśleć: zadzwonił do Elia.

– Vale? Gdzie jesteś, do cholery?! – W tle rozległo się trzaśnięcie drzwiami od samochodu. – Jeżeli myślisz, że to śmieszne...

– Angie nie żyje.

Victor nie był pewien, czy będzie w stanie to powiedzieć, ale słowa same uformowały mu się w ustach i wydobyły z nich, zanim potrafił się powstrzymać. Spodziewał się, że po drodze zranią go w gardło i język, ale nic takiego się nie stało. Wiedział, że powinien wpaść w panikę, lecz czuł się odrętwiały, a uczucie to uspokajało go. Zastanawiał się, czy śmierć dziewczyny tak nim wstrząsnęła, że nic nie czuł i był w stanie spokojnie mówić

z jej zwłokami u stóp, czy też powód był inny. Słuchał milczenia po drugiej stronie, aż Eli się odezwał.

– Jak?! – jęknął.

– To był wypadek – zastrzegł Victor, manewrując komórką tak, by móc założyć z powrotem koszulę. Musiał po nią przejść nad ciałem Angie, ale starannie ominął je wzrokiem.

– Coś ty zrobił?

– Pomagała mi przy eksperymencie. Miałem pomysł, udało się, ale...

– „Udało się”? Co masz na myśli? – zapytał Eli zimno.

– Chodzi o to... że tym razem się udało – wypalił Victor.

Pozwolił, by słowa te wybrzmiały w słuchawce. Eli najwyraźniej zrozumiał, bo zamilkł i słuchał uważnie. Victor przyciągnął jego uwagę i bardzo mu się to podobało, jednak zaskoczyło go, że Eli wydawał się bardziej zainteresowany jego eksperymentem niż Angie. Ta dziewczyna potrafiła trzymać jego potwory na wodzy, zawsze wchodziła im w drogę i odrywała ich uwagę od naprawdę ważnych spraw – prawda? Victor spojrzał na jej ciało, oczekując, że ogarnie go poczucie winy, takie jak wcześniej, kiedy skłamał na temat adrenalinowej pigułki, ale nie poczuł nic. Zastanawiał się, czy Eli odczuwał podobną obojętność, gdy budził się na podłodze łazienki, tak jakby wszystko było prawdziwe, ale nic nie miało znaczenia.

– Powiedz mi, co właściwie się stało – zażądał Eli, tracąc wreszcie cierpliwość.

Victor rozejrzał się po sali: stół, taśmy do krępowania kostek, maszyny, które tak niedawno wibrowały życiem, a teraz wyglądały, jakby się spaliły lub wywaliły bezpieczniki. Całe laboratorium tonęło w półmroku.

– Gdzie jesteś? – rzucił tamten, gdy Victor nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– W laboratorium – wyjaśnił. – Próbowaliśmy...

Ból pojawił się znikąd. Tętno Victora przyśpieszyło, powietrze wokół niego zawibrowało, a sekundę później chłopak zgiął się wpół. Cierpienie otaczało go, przenikało, wpijało się w skórę, kości i każdy najmniejszy mięsień pomiędzy nimi.

– Co próbowaliście zrobić? – zapytał groźnie Eli.

Victor złapał za krawędź stołu, zagryzając wargi, żeby nie krzyknąć. Ból był potworny, jakby wszystkie mięśnie naraz złapał skurcz. Tak jakby znów rażono go prądem. „Stop!”, pomyślał. „Stoop!”, powtórzył błagalnie. W końcu, tak jak przedtem, wyobraził sobie regulator bólu i przestawił go na zero, a wówczas męka się skończyła.

Puls mu zwolnił, powietrze znów stało się jasne i przejrzyste i nie czuł już absolutnie nic. Stał oszołomiony, dysząc. Nieco wcześniej musiał upuścić telefon na podłogę. Sięgnął trzęsącą się dłonią i uniósł go z powrotem do ucha.

W słuchawce było słychać krzyk Elia:

– Zostań tam! Nie wiem, co zrobiłeś, ale zostań tam. Słyszysz? Nie ruszaj się z miejsca!

Być może Victor posłuchałby go, gdyby nie usłyszał w tle delikatnego kliknięcia.

Stacjonarna linia telefoniczna w ich apartamencie należała do uniwersytetu. Słuchawka zawieszona na ścianie telefonu zawsze wydawała taki dźwięk, gdy podnosiło się ją z widełek. Teraz, gdy Eli rozmawiał z nim przez komórkę i kazał mu zostać na miejscu, a Victor próbował założyć płaszcz, dosłyszał w tle kliknięcie. Uniósł brwi. Delikatne „klik”, a potem trzy tony, trzy cyfry wybrane z klawiatury. 9-1-1. Numer alarmowy.

– Nie ruszaj się z miejsca – powtórzył Eli. – Już tam jadę.

Victor przytaknął gorliwie, zapominając, jak łatwo było mu skłamać, kiedy nie spoglądał Eliowi prosto w oczy.

– Okej – potwierdził. – Czekam tutaj.

A potem się rozłączył.

Skończył zakładać płaszcz i objął laboratorium spojrzeniem. Nieźle namieszał. Gdyby nie zwłoki, nikt nie uznałby pomieszczenia za miejsce zbrodni, ale wygięte w męczarniach ciało Angie świadczyło o tym, że śmierć raczej nie była naturalna. Wyjął chusteczkę higieniczną z pudełka stojącego w rogu i wyczyścił uchwyty na stole, opierając się pokusie, by potraktować podobnie wszystkie przedmioty na tej sali. Gdyby nigdzie nie znaleziono żadnych odcisków, to dopiero sugerowałoby zbrodnię! Wiedział, że na pewno zostawił gdzieś ślady, mimo że był tak ostrożny. Przypuszczał również, że został nagrany przez kamery monitoringu. Zająłby się tym wszystkim, ale nie miał już czasu.

Victor Vale wyszedł z laboratorium i puścił się biegiem.



Idąc do apartamentu – liczył na rozmowę z Eliem i chciał, by tamten dobrze go zrozumiał – zastanawiał się nad swoją znakomitą kondycją fizyczną. Emocje związane z zabójstwem i pościgiem wywołały u niego adrenalinowy odłot, a do tego nie czuł bólu. Wówczas jednak, stojąc na światłach, spojrzał w dół i zobaczył, że z dłoni leci mu krew. Musiał o coś zaczepić, ale tego nie poczuł. I to nie tak, jak ludzie, którzy w przyływie adrenaliny ignorują drobne skaleczenia – nie czuł kompletnie nic! Spróbował znów wywołać wokół siebie dziwne wibracje

i obniżyć próg bólu chociaż troszeczkę, żeby sprawdzić jak naprawdę się czuje, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu, gdy zgięty w pół musiał chwycić się latarni.

A więc w rzeczywistości czuł się kiepsko.

Faktycznie zdawało mu się, że umarł i ożył – po raz kolejny. Dłonie bolały go od kurczowego trzymania uchwytów na stole, zastanawiał się również, czy nie złamał żadnych kości. Gdy zatrzymał się pod latarnią, przez chwilę jęczał każdy mięsień w jego ciele, a głowa bolała go tak, jakby dopadła go ciężka grypa. Kiedy chodnik zaczął mu się kołysać przed oczami, przerzucił regulator z powrotem na zero. Ból zniknął jak zdmuchnięty. Odetchnął, dał sobie chwilę, by się opanować i stanąć prosto. Nie czuł nic, a w tej sytuacji było to optymalne rozwiązanie. „Nic” oznaczało znakomite samopoczucie. Odchylił głowę i się zaśmiał. Nie szalonym śmiechem zwariowanego naukowca. Nawet niespecjalnie głośno.

Brzmiało to raczej jak coś pomiędzy cichym kaszlem a zdumionym westchnieniem.

Gdyby nawet zaśmiał się głośniejszym, nikt by go nie usłyszał, ponieważ w tym momencie zawyły policyjne syreny.

Dwa radiowozy zatrzymały się przed nim z piskiem opon. Ledwie zdążył zarejestrować ich obecność, a został rzucony na betonowy chodnik i skutny. Na głowę założono mu czarny worek, a potem poczuł, że wpychają go na tylne siedzenie radiowozu.

Worek był w dotyku całkiem interesujący, lecz Victor bardzo nie lubił, kiedy ktoś zakrywał mu oczy. Samochód skręcił, a jego rzuciło w bok; bez bodźców wzrokowych i z wyłączonym czuciem nie potrafił dostosować się do warunków i niemal upadł. Kierowca wydawał się specjalnie brać zakręty tak szybko.

Victor zdał sobie sprawę, że potrafiłby zareagować i stawić im opór nie dotykając ich nawet palcem – ani nawet nie widząc ich na oczy – ale się powstrzymał.

Gdyby skrzywdził policjantów podczas jazdy, naraziłby się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Brak bólu nie oznaczał, że nie mógłby umrzeć podczas wypadku, więc skoncentrował się na tym, by się opanować. Biorąc pod uwagę wszystko, co się do tej pory stało, zachowanie spokoju wydało mu się zadziwiająco łatwe. Trochę go to niepokoiło: fakt, że pod nieobecność bólu, jego umysł nie wpada w panikę, był zarazem fascynujący i irytujący. Gdyby Vic nie siedział ze skutymi dłońmi z tyłu radiowozu, z pewnością chciałby zanotować tę obserwację i wykorzystać ją w pracy dyplomowej.

Samochód znów ostro zakręcił, a Victor uderzył bokiem w drzwi i zaklął, nie tyle z bólu, co z przyzwyczajenia. Obręcze kajdanek wpijały mu się w nadgarstki, a kiedy poczuł, że po palcach cieknie mu coś ciepłego i mokrego, zdecydował się znów obniżyć próg bólu. Całkowite wyeliminowanie odczuwania mogło doprowadzić do poważnej kontuzji, a przecież nie był Eliem, żeby się uleczyć. Spróbował coś poczuć. Tylko troszeczkę...

Sapnął raptownie i oparł się czołem o fotel przed sobą. Gorący ból rozdarł mu przeguby w miejscach, gdzie wbiła się w nie stal kajdanek, i szybko zaczął się wzmagać. Zacisnął szczęki i spróbował się opanować... a po chwili również wyregulować czucie tak, by odnaleźć równowagę. Odczucia zmysłowe były zniuansowane; nie jak zero i jeden, raczej jak całe spektrum, regulator z setką stanów pośrednich, nie prosty guzik do włączania i wyłączania. Zamknął oczy – mimo że na głowie miał worek – i znalazł miejsce między całkowitym

odrętwieniem i zwyczajnym bólem. Teraz nadgarstki raczej go uwierały, tak jakby tylko zeszywniały.

Przygotował się na to, że poznanie wszystkich subtelności tego regulatora zajmie mu trochę czasu.

W końcu samochód się zatrzymał, ktoś otworzył drzwi, a potem go wyprowadził.

– Możecie zdjąć ten worek? – zapytał w ciemno. – Nie musicie czasem odczytać mi praw? Czy coś przegapiłem?

Kierujący nim człowiek popchnął go w prawo, a jego ramię zawadziło o mur. Czyżby to byli ochroniarze z kampusu? Usłyszał, jak otwierają się drzwi, i wyczuł, że wszystko naokoło brzmi inaczej. W tym pomieszczeniu prawie nie było mebli, a ściany wydawały się gładkie – odbijały echo kroków. Szurnęło odstawiane krzesło, ktoś usadził na nim Victora, odpiął kajdanki z jednej z jego rąk i spiął je z powrotem, przewlekłszy łańcuch przez ucho w metalowym stole. Kroki oddaliły się i całkiem ucichły.

Trzasnęły zamykane drzwi.

W pokoju zapadła cisza.

Po dłuższej chwili drzwi się otworzyły. Ktoś podszedł do niego i w końcu zdjął mu z głowy worek. Pokój był bardzo, bardzo jasny, a naprzeciwko Victora usiadł właśnie facet: postawny brunet z niezadowoloną miną. Victor rozejrzał się po pokoju, który był mniejszy i bardziej obskurny, niż sobie wcześniej wyobrażał. Drzwi zamknięto z zewnątrz, więc jakakolwiek próba ucieczki była skazana na niepowodzenie.

– Panie Vale, nazywam się Stell i jestem oficerem śledczym.

– Myślałem, że takie worki zakłada się tylko szpiegom i terrorystom w kiepskich filmach sensacyjnych – odparł Victor,

patrząc wymownie na kawałek czarnego materiału leżący między nimi. – Czy to w ogóle legalne?

– Nasi funkcjonariusze są dobrze wyszkoleni. Oczekujemy, że zrobią wszystko, by zapewnić sobie ochronę – powiedział śledczy Stell.

– Och, czyli mój wzrok jest zagrożeniem?

Stell westchnął.

– Panie Vale, wie pan, co oznacza określenie „osoba PP”?

Na dźwięk tego słowa Victor poczuł, że przyśpiesza mu tętno, a powietrze naokoło niego zaczyna delikatnie wibrować, ale zmusił się do zachowania spokoju i przytaknął.

– Słyszałem o nich.

– A wie pan, co się dzieje, kiedy ktoś krzyknie: „Uwaga, PonadPrzeciętny!”?

Victor pokręcił głową.

– Za każdym razem, kiedy ktoś dzwoni na numer alarmowy i użyje tego słowa, muszę wstać z łóżka i pofatygować się na komisariat, żeby sprawdzić, co jest grane. Nie ma znaczenia, czy to głupi żart jakiegoś dzieciaka, czy brednie bezdomnego, muszę przyjąć, że to poważne zgłoszenie.

Victor zmarszczył brwi.

– W takim razie bardzo mi przykro, że ktoś zmarnował pański czas, proszę pana.

Stell przetarł oczy.

– Czyżby, panie Vale?

Jego rozmówca zaśmiał się nerwowo.

– Czy pan jest poważny? Ktoś powiedział panu, że jestem PonadPrzeciętny – oczywiście Victor doskonale wiedział, kto – a pan tak od razu mu uwierzył? Niby jakie mam umiejętności,

do diabła? – zapytał i wstał, ale kajdanki przytrzymały go przy stole.

– Proszę usiąść, panie Vale – rzucił oschle Stell, udając, że przegląda leżące przed nim papiery. – Student, który zadzwonił ze zgłoszeniem, niejaki pan Cardale, powiedział także, że przyznał się pan do zamordowania koleżanki, Angeli Knight. – Jego oczy błysnęły niechęcią. – W tej sytuacji, nawet gdybym chciał przymknąć oko na domniemaną PonadPrzeciętność, chociaż nie twierdzę, że tak zrobię, muszę potraktować kwestię zwłok cholernie poważnie. Tym bardziej ze względu na to, co znaleźliśmy w laboratorium elektrotechnicznym Lockland. Pytam więc raz jeszcze: czy cokolwiek z tego jest prawdą?

Victor usiadł i odetchnął głęboko kilka razy. Potem pokręcił głową.

– Eli musiał być pijany.

– Czyżby? – śledczy Stell wydawał się nieprzekonany.

Victor patrzył, jak kropla krwi spada z jego nadgarstka na stół. Wpatrywał się uparcie w to samo miejsce i liczył kolejne krople: raz... dwa... trzy...

– Byłem w laboratorium, kiedy Angie zmarła – wyznał, wiedząc, że monitoring łatwo tego dowiedzie. – Musiałem się ewakuować z imprezy, a ona przyjechała i zabrała mnie stamtąd. Nie chciałem jechać do domu, potem Angie powiedziała, że musi jeszcze coś zrobić... wie pan, zaczęliśmy już pisać prace dyplomowe... więc poszedłem z nią na wydział inżynierski. Zostawiłem ją w laboratorium samą na kilka minut, tylko po to, żeby przynieść sobie coś do picia, a kiedy wróciłem... zobaczyłem, że leży na podłodze i zadzwoniłem do Elia.

– A nie na numer alarmowy?

– Byłem przerażony! I zrozpaczony.

– Nie wygląda pan na zrozpaczonego.

– Nie, teraz jestem wstrząśnięty i wkurzony! A poza tym przykuty do stołu. – Victor podniósł głos, ponieważ wydawało mu się, że nadszedł odpowiedni moment. – Niech pan posłucha: Eli był pijany i może nadal jest. Powiedział, że to moja wina. Próbowałem mu wyjaśnić, że to musiał być atak serca, a może jakaś awaria sprzętu, przecież Angie zawsze bawiła się z napięciem, ale nie chciał słuchać. Powiedział, że wzywa policję, więc poszedłem do domu, żeby z nim pogadać. No i po drodze zgarnęli mnie policjanci – dokończył, uniósł wzrok na funkcjonariusza i rozłożył dłonie w bezradnym geście. – A co do tego gadania o PonadPrzeciętnych, to nic nie wiem, tak samo jak pan. Eli pracował zbyt ciężko. Wie pan, że pisze pracę dyplomową o osobach PP? Powiedział panu o tym? Ma na ich punkcie obsesję. To paranoik. Nie śpi, nie je, tylko opracowuje te swoje teorie.

– Nie – powiedział Stell zza stołu, notując sobie coś. – Pan Cardale nie wspomniał nam o tych okolicznościach.

Skończył pisać i odłożył długopis.

– To jakiś koszmar – wyznał Victor. – Nie jestem mordercą i nie jestem PonadPrzeciętny. Jestem studentem i wybieram się na medycynę.

Przynajmniej to ostatnie było prawdą.

Stell spojrzął na zegarek.

– Zatrzymamy pana na noc w areszcie śledczym, do wyjaśnienia – oznajmił. – Tymczasem pošlę kogoś do pana Cardale'a, żeby sprawdził poziom alkoholu w jego krwi i odebrał od niego pełne zeznanie. Jeżeli rano dostaniemy dowód, że jego świadectwo jest niewiarygodne i żadne poszlaki nie łączą pana

ze śmiercią Angeli Knight, wypuścimy pana. Mimo to wciąż będzie pan podejrzanym, rozumiemy się? Tylko tyle mogę panu w tej chwili zaproponować. Podoba się to panu?

Nie, Victorowi wcale się to nie podobało, ale musiał się z tym pogodzić. Do celi odprowadzono go już bez worka na głowie, więc policzył starannie, ilu policjantów pracuje na komisariacie, ile drzwi musieli przejść w drodze do aresztu i ile czasu to zajęło. Victor zawsze podchodził do kłopotów bardzo metodycznie, niezależnie od ich kalibru. Tym razem wydawały się naprawdę poważne. Kolejne kroki do rozwiązania problemu, od najprostszych obliczeń do ucieczki z komisariatu, pozostawały takie same. Chodziło o to, by rozeznąć się w sytuacji i wybrać najlepsze rozwiązanie. Teraz na przykład znajdował się w celi. Była mała i kwadratowa, a do kompletu miała kraty i drugiego faceta, dwukrotnie starszego od Victora, który śmierdział tytoniem i szczynami. Strażnik usiadł na końcu korytarza i zagłębił się w gazecie.

Najbardziej oczywiste wyjście sprowadzało się do zabicia współwięźnia, wezwania strażnika, po czym zabicia również jego. Jeśli nie, pozostawało mu zaczekać do rana z nadzieją, że Eli oblał test alkomatem, że pole widzenia kamer monitoringu w laboratorium obejmuje tylko korytarz i że Victor nie pozostawił tam żadnych obciążających dowodów.

Wybór najlepszego rozwiązania w gruncie rzeczy zależał od tego, jak rozumie się słowo „najlepsze”. Victor zbadał faceta, spoczywającego bezwładnie na pryczy obok, i wziął się do roboty.



Wybrał okreśną drogę do domu.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca ogrzewały świat, muskając również zaschniętą krew na jego przegubach, otartych kajdankami. Pocieszał się, że przynajmniej tym razem nikogo nie zabił, a nawet czuł dumę na myśl, że zdołał się opanować. Myślał przez chwilę, że zamordował nałogowego palacza, którego umieszczono z nim w celi, ale facet jeszcze oddychał, przynajmniej kiedy Victor ostatni raz sprawdzał jego stan, chociaż szczerze mówiąc, nie miał ochoty zbytnio się do niego zbliżyć. Teraz, wracając do domu, poczuł na twarzy lepki strumyczek. Dotknął miejsca pod nosem i popatrzył na palce, splamione świeżą czerwienią. Wytarł więc twarz rękawem i zanotował w pamięci, by na przyszłość bardziej uważać. Tej nocy zmusił się do wielkiego wysiłku, zwłaszcza że najpierw umarł.

Spać. Gdyby mógł się przespać, z pewnością by mu to pomogło. Ale sen musiał poczekać.

Najpierw będzie musiał poważnie rozmówić się z Eliem.

XXVI

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Victor stał na środku łazienki i czekał, aż świat wokół niego się uspokoi. Słyszał, że za drzwiami Mitch prowadzi Sydney z powrotem do jej sypialni, mamrocząc przeprosiny w imieniu Victora. Nie powinni byli jej zabierać z drogi, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że okaże się bardzo przydatna. Miała swoje tajemnice, a on zamierzał je poznać. Niezależnie od wszystkiego nie chciał jej jednak skrzywdzić. Był dumny z tego, jak nad sobą panuje, lecz mimo wszelkich wysiłków nie kontrolował swojej mocy w pełni podczas snu. Właśnie z tego powodu nie sypiał w ogóle, a jeżeli już, to bardzo krótko.

Przemył zimną wodą dłonie i twarz, czekając, aż słaba elektryczna vibracja ucichnie. Kiedy tak się nie stało, wciągnął ją w głąb siebie, krzywiąc się, gdy brzęczenie przepłynęło z zewnątrz do jego wnętrza – kości i mięśni. Złapał za krawędź granitowego blatu przy umywalce, gdy jego ciało uziemiało ładunek elektryczny. Kilka długich chwil później drżenie minęło, a Victor uniósł głowę, zmęczony, ale na nowo kontrolujący swoją moc.

Spojrzał w oczy swojemu odbiciu w lustrze i zaczął odpinać koszulę, odsłaniając jedną po drugiej blizny po pociskach z pistoletu Elia. Przesunął po nich palcami, dotykając trzech miejsc, gdzie został postrzelony. Wyglądało to, jakby chciał się

przeżegnać. Jedna kula utknęła mu pod żebrami, druga nad sercem, a trzecia właściwie trafiła go w plecy, ale z tak bliskiego dystansu, że przeszła na wylot. Zapamiętał dokładnie ich umiejscowienie, żeby – kiedy spotka Elia – móc odpłacić mu pięknym za nadobne. Cholera, gdyby pociski utkwily w ciele tamtego, istniała szansa, że będzie musiał zagoić ciało wokół nich. Ta myśl sprawiła Victorowi pewną przyjemność.

Być może dzięki tym bliznom zyskał sobie szacunek w więzieniu, ale kiedy w pełni zintegrował się z tamtejszą społecznością, nikt już nie zwracał na nie uwagi. Poza tym Victor odkrył inne sposoby zapewnienia sobie najwyższej pozycji w hierarchii zakładu karnego Wrighton, od lekkiego dyskomfortu, odczuwanego przez tych, którzy czymś mu się narazili, do natychmiastowego bólu sprawiającego, że wili się w męczarniach u jego stóp – ale tego ostatniego środka używał oszczędnie. Ponadto potrafił nie tylko powodować ból – umiał go również usuwać. Nauczył się odbierać go innym ludziom i potrafił to wykorzystać. Czasem zdumiewało go, do czego potrafią posunąć się ci, którzy chcą uniknąć cierpienia. Victor stał się dealerem narkotyku, którego tylko on potrafił dostarczyć. Pod pewnymi względami więzienie było całkiem przyjemnym miejscem.

Mimo to widmo Elia prześladowało go nawet tam, psując mu uciechę, uporczywie wciskając się do umysłu, szepcząc w jego głowie i zakłócając spokój. Po dziesięciu latach oczekiwania nadeszła wreszcie kolej Victora, by dostać się do głowy Elia i poczynić w niej spustoszenia.

Zapiął z powrotem koszulę i blizny zniknęły – z widoku, ale nie z jego pamięci.

XXVII

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Victor podciągnął się na parapet swojego apartamentu, gratulując sobie w duchu, że nie domknął okna, a także że mieszkali na parterze, toteż musiał pokonać tylko wysokość równą kilku stopniom, prowadzącym z ulicy do wejścia do budynku. Balansował przez chwilę na parapecie, grzejąc się w porannym słońcu, i nasłuchiwał dźwięków płynących z wnętrza. Za oknem było cicho, ale Victor wiedział, że Eli jest w środku; wyczuwał go.

Poczuł przyjemny dreszcz na myśl o tym, co nastąpi za chwilę, ale był to tylko chwilowy przyływ emocji. Serce nie zaczęło mu walić w panice, co w sumie było niepokojące. Victor zastanowił się: nieobecność bólu oznaczała brak strachu, co z kolei prowadziło do zlekceważenia konsekwencji działania. Wiedział, że ucieczka z aresztu była złym pomysłem, podobnie jak to, co właśnie zamierzał zrobić. Zły pomysł, a może nawet jeszcze gorszy. Potrafił teraz zdobyć się na autorefleksję i podziwiać sposób, w jaki jego umysł znajdował wyjście z sytuacji, nie przejmując się ostrożnością i preferując rozwiązania natychmiastowe, impulsywne i gwałtowne – podobnie jak okaleczony człowiek preferuje swoją zdrową nogę. Victor zawsze czuł, że takie sposoby go pociągają, ale powstrzymywało go sumienie, wskazujące różnicę między

dobrem a złem... a może to, jak rozróżniali je inni ludzie? Teraz jednak... wszystko stało się proste. Proste i eleganckie.

Zatrzymał się na chwilę przed lustrem i przygłodził włosy, zniesmaczony swoim wyglądem po nocy spędzonej w laboratorium, a potem w areszcie. Popatrzył w oczy swojemu odbiciu i przekonał się, że są jeszcze jaśniejsze, tak jakby zmiana w jego umyśle wywarła wpływ również na ich barwę. Przywołał na usta chłodny, obcy uśmiech, niemal arogancki – ale nie przeszkadzało mu to, a nawet mu się podobało. Tak mógłby się uśmiechnąć Eli.

Victor wyszedł ze swojego pokoju i ostrożnie ruszył korytarzem w kierunku kuchni. Na stole leżał zestaw noży i notatnik otwarty na stronie wypełnionej w połowie starannym pismem Elia i śladami krwi. Sam Eli siedział na kanapie w saloniku, z opuszczoną głową, tak jakby się modlił albo o czymś myślał. Victor zatrzymał się na chwilę, by na niego popatrzeć. Wydało mu się dziwne, że Eli nie potrafi wyczuć jego obecności, tak jak Victor wyczuwał ludzi wokół siebie. Być może było to związane z tym, że przyspieszone gojenie było umiejętnością skierowaną do wewnątrz. „Zaabsorbowany sobą do szpiku kości”, pomyślał Victor, biorąc duży nóż przejeżdżając końcem ostrza po stole. Rozległ się głośny, piszczący zgrzyt.

Eli zerwał się z kanapy jednym płynnym ruchem.

– Vic.

– Jestem rozczarowany – oznajmił Victor.

– Co ty tu robisz?

– Zakapowałeś mnie.

– Zabiłeś Angie... – słowa uwięzły Eliowi w gardle, a emocje w jego głosie zaskoczyły rozmówcę.

– Kochałeś ją? – zapytał Victor. – Czy jesteś po prostu wściekły, że ci ją odebrałem?

– Była prawdziwą, żywą osobą, a nie rzeczą! A ty ją zamordowałeś.

– To był wypadek – skwitował tamten, podnosząc nóż ze stołu. – Zadzwoń na policję i powiedz im, że jestem PonadPrzeciętny. A ja cię nie wydałem, chociaż mogłem. – Podrapał się po głowie końcem noża. – Dlaczego powiedziałeś im coś tak głupiego? Orientowałeś się, że mają specjalnego oficera, który wkracza do akcji, jeżeli pojawia się podejrzenie o PonadPrzeciętność? Facet nazywa się Stell. Wiedziałeś o tym?

– Jesteś wkurzony – odparł Eli i odsunął się czujnie, cały czas tyłem do ściany. – Odłóż nóż. I tak nie możesz mnie zranić.

Victor uśmiechnął się: to zabrzmiało jak wyzwanie. Ruszył naprzód, a Eli instynktownie próbował odskoczyć, ale ściana była za blisko i Victor go dopadł.

Nóż wszedł w ciało jak w masło. Było łatwiej, niż się spodziewał, zupełnie jak podczas sztuczki iluzjonisty: w jednej chwili ostrze lśniło w świetle dnia, a w następnej zniknęło, pograżając się w brzuchu Elia po rękojeść.

– Wiesz, z czego sobie zdałem sprawę? – wysyczał Victor i pochylił się ku niemu. – Kiedy siedziałeś na ulicy pod latarnią i wyciągałeś szkło z dłoni? Nie możesz się uleczyć, dopóki nie wyjmę noża! – Przekręcił go w ranie, a Eli jęknął. Nogi się pod nim ugięły i zaczął zsuwać się po ścianie, ale Victor przytrzymał rękojeść. – Nie użyłem nawet jeszcze mojej nowej sztuczki – powiedział. – Nie jest tak efektowna jak twoja, ale dość skuteczna. Chcesz ją poznać?

Nie czekał na odpowiedź. Powietrze wokół niego zawibrowało. Nie przejmował się nawet wyimaginowanym

regulatorem. Więcej! Tylko na tym mu teraz zależało. Iść na całość. Eli wrzasnął, a dźwięk jego głosu wprowadził Victora w zachwyty. Nie był to jednak zachwyty nad pięknem słonecznego dnia i cudownego życia, to był zachwyty kogoś, kto zdał sobie sprawę, że może karać innych. Że może ich kontrolować. Eli zdradził go, więc zasłużył na nieco cierpienia. Spokojnie, zagoi się. Kiedy to się skończy, nie zostanie mu nawet blizna. Victor mógł tylko go postraszyć. Puścił nóż i patrzył, jak ciało osuwa się bezwładnie na podłogę.

– Zanotuj sobie do pracy dyplomowej – powiedział, obserwując, jak jego przyjaciel łapie powietrze. – Myślałeś, że nasze umiejętności są odbiciem naszej natury, że to Bóg bawi się lustrami, ale się myliłeś. Nie chodzi o Boga. Chodzi o nas. O sposób, w jaki myślimy. O umysł dość silny, by utrzymać nas przy życiu. By zawrócić nas z tamtej strony. Chcesz się dowiedzieć, skąd to wiem? – Victor obejrzał się na stół, szukając nowych, ostrych przedmiotów. – Gdy umierałem, myślałem tylko o jednym: o bólu – wyjaśnił, przesuwając jednocześnie regulator w swojej głowie. Eli zaczął krzyczeć. – A właściwie o tym, jak bardzo chcę go powstrzymać.

Teraz obniżył poziom bólu i słyszał, jak wrzaski Elia cichną. Sięgnął ku stołowi, przeglądając leżące na nim noże, kiedy pokój eksplodował nagłym, nieznośnie głośnym hukiem. W gipsowej ścianie pół metra od niego pojawiła się dymiąca dziura. Victor odwrócił się z powrotem i ujrzał Elia trzymającego się jedną dłonią za brzuch, a drugą – celującego do niego z pistoletu. Nóż leżał na podłodze w całkiem satysfakcjonującej kałuży krwi, a Victora zdęła naukowa ciekawość: ile czasu zajmie Eliowi pełna regeneracja? Wówczas

jednak rozległ się drugi strzał. Kula przeleciała dużo bliżej głowy Victora, który zmarszczył brwi.

– Potrafisz w ogóle tego używać? – zapytał, przesuwając kciukiem po długim, cienkim ostrzu. Dłoń trzymająca pistolet strasznie się trzęsła.

– Angie nie żyje... – Eli sapnął.

– Ależ tak, wiem o tym...

– ...ale ty też. – To nie była groźba. – Nie wiem, kim jesteś, ale na pewno nie Victorem. Jesteś czymś, co wpełzło mu pod skórę. Diabłem, który schował się w jego ciele.

– Auć – powiedział Victor i z jakiegoś powodu wydało mu się to bardzo zabawne. Parsknął niepowstrzymanym śmiechem. Eli patrzył na to z obrzydzeniem, a Victor nabrał ochoty, żeby pchnąć go jeszcze raz. Pomacał dłonią za sobą w poszukiwaniu najbliższego noża, patrząc, jak palce Elia zaciskają się na kolbie pistoletu.

– Jesteś czymś innym – powtórzył tamten. – Victor umarł.

– Obaj umarliśmy, Eli. I obaj powstaliśmy z martwych.

– Nie, nie... Nie sędzę. Nie całkiem. Coś jest nie tak. Czegoś brakuje. Coś zniknęło. Nie czujesz tego? Bo ja tak – wyrzucił z siebie Eli, a w jego głosie zabrzmiało autentyczne przerażenie. Victor był rozczarowany. Miał nadzieję, że może Eli czuje taki spokój, jak on sam, ale najwyraźniej tak nie było.

– Może i masz rację – powiedział powoli, gotów przyznać, że również czuje się inaczej. – Ale jeżeli mnie czegoś brakuje, to tobie także. Życie składa się z kompromisów. A może myślałeś przedtem, że skoro składasz życie w dłonie Boga, to pozostawi cię takim, jakim byłeś, tyle że lepszym?

– Tak zrobił! – zawył Eli i pociągnął za spust.

Tym razem nie chybił. Victor poczuł uderzenie i spojrzał w dół: miał w koszuli dziurę. Poczuł ulgę na myśl, że zdążył całkowicie odebrać sobie możliwość czucia bólu. Dotknął tego miejsca i spojrzał na swoje palce, usmarowane czerwienią. Przemknęła mu przez głowę myśl, że to chyba złe miejsce na postrzał.

Westchnął, patrząc wciąż na koszulę.

– Nie masz czasem o sobie zbyt wysokiego mniemania?

Eli podszedł o krok. Rana w jego brzuchu już się zagoiła, a na twarz wróciły naturalne kolory. Victor wiedział, że musi go zagadać.

– Przyznaj – powiedział – że też czujesz się inaczej. Śmierć zawsze coś ze sobą zabiera. Co zabrała tobie?

Eli znów podniósł pistolet.

– Strach.

Victor zdobył się na ponury uśmiech. Eli stał z zaciśniętymi ustami, trzymając pistolet w drżących dłoniach.

– A ja widzę, że wciąż się boisz.

– Nie boję się – odparł tamten. – Po prostu mi przykro.

Strzelił po raz kolejny. Siła uderzenia odrzuciła Victora o krok. Zacisnął palce na najbliższym nożu i machnął nim, tnąc wyciągnięte ramię Elia. Pistolet upadł z trzaskiem na podłogę, a jego właściciel rzucił się do tyłu, by uniknąć kolejnego ciosu.

Victor chciał za nim podążyć, jednak świat rozmazał mu się przed oczami... na sekundę. Mrugnął, próbując odzyskać ostrość widzenia.

– Może i potrafisz się znieczulić – powiedział Eli – ale nie powstrzymasz w ten sposób upływu krwi.

Victor usiłował do niego podejść, lecz pokój się przechylił. Chwycił się stołu i dostrzegł na podłodze mnóstwo krwi. Nie był pewien, czy to tylko jego krew. Gdy uniósł wzrok, Eli stał naprzeciwko. A potem, w jednej chwili Victor już leżał. Spróbował się podnieść, stanął na czworakach, ale nie potrafił zmusić ciała, by dźwignęło się wyżej. Ramię osłabło i znów padł jak długi, tracąc ostrość widzenia.

Eli coś mówił, lecz Victor nie potrafił rozróżnić poszczególnych słów. Usłyszał jednak szurnięcie przesuwanego po podłodze pistoletu, a potem szcęk odciąganego kurka. Coś walnęło go w plecy, niczym wielka, miękka pięść, a wówczas ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Oczy zaczęła mu zasnuwać ciemność, której tak pożądał, leżąc na stole w laboratorium, kiedy ból stał się nie do zniesienia.

Gęsta ciemność.

Zaczął się w nią zapadać, słysząc, jak Eli krząta się po pokoju, wzywa przez telefon pogotowie. Mówił do słuchawki głosem pełnym paniki, lecz Victor – mimo że widział coraz gorzej – dostrzegł, że jego twarz jest spokojna i opanowana. Zobaczył jeszcze, jak tamten gdzieś odchodzi, a potem wszystko zniknęło.

XXVIII

DWA DNI WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Mitch zaprowadził Sydney z powrotem do jej sypialni i zamknął za nią drzwi. Przez kilka chwil stała w ciemności, oszołomiona wspomnieniem zdjęcia w gazecie, niedawnego bólu i martwych, jasnych oczu Victora, zanim ocknął się ze snu. Zadrzała. Przez ostatnie dwa dni wiele się wydarzyło: poprzednią noc spędziła pod wiaduktem, wciśnięta między dwa betonowe elementy, które wydawały się zapewniać ochronę przed wilgocią. Zima ustąpiła miejsca chłodnej, mokrej wiośnie. W dniu, kiedy ją postrzelono, zaczął padać deszcz i padał od tamtej pory nieprzerwanie.

Schowała dłonie w rękawy kradzionej bluzy. Własna skóra wydała jej się dziwna w dotyku. Przedtem ramię paliło ją żywym ogniem, którego centrum była rana po kuli, a potem... nagle prąd wyłączono. Odbierała to właśnie w ten sposób, tak jakby przewód, którym podłączono ją do źródła tortur, został przecięty, a w miejsce bólu pojawiło się mrowiące odrętwienie. Potarła ramię, czekając, aż wróci jej czucie. Nie lubiła drętwoty; to uczucie kojarzyło jej się z zimnem, a tego nienawidziła.

Przycisnęła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Victor nie dawał znaku życia, drzwi od łazienki dalej były zamknięte. W końcu mrowienie ustąpiło, a wówczas wczołgała się z powrotem na zbyt wielkie łóżko w dziwnym, obcym hotelu, zwinęła się

w kłębek i spróbowała zasnąć. Na początku sen jednak nie nadchodził i wtedy – w momencie słabości – pożałowała, że nie ma tu z nią Sereny. Siostra przysiadłaby na brzegu łóżka i głaskałaby ją po głowie, twierdząc, że ten gest ucisza niespokojne myśli. Sydney zamknęłaby oczy i pozwoliła, żeby wszystko ucichło, najpierw jej umysł, a potem cały świat, aż wreszcie dotyk siostry pozwoliłby jej usnąć. Pozbierała się jednak, oplotła palcami hotelową kołdrę i przypomniała sobie, że Serena – przynajmniej ta, która potrafiła ją uśpić – odeszła. Ta myśl była jak chluśnięcie zimną wodą. Puls znów jej przyśpieszył, więc zdecydowała, że nie będzie już myśleć o Serenie. Zamiast tego spróbowała sztuczki z liczeniem, której nauczyła jej jedna z opiekunek. Nie liczyła jednak wzwyż, ani w dół, do zera, tylko odliczała do dwóch, przy każdym wdechu i wydechu: raz-dwa, raz-dwa. Cicho i miarowo, niczym bijące serce, dopóki hotelowy pokój nie odpłynął gdzieś daleko, a Sydney zasnęła.

A kiedy już tak się stało, śniła o wodzie.

XXIX

ROK WCZEŚNIEJ BRIGHTON COMMONS

Sydney Clarke umarła chłodnego marcowego dnia.

Stało się to tuż przed lunchem, z winy Sereny.

Siostry Clarke wyglądały identycznie, pomijając fakt, że Serena była starsza o siedem lat i prawie dwadzieścia centymetrów wyższa. Podobieństwo wynikało po części z genetyki, a po części z uwielbienia Sydney dla starszej siostry. Ubierała się jak Serena, zachowywała się jak Serena i była niemal pod każdym względem jej miniaturową wersją. Cieniem, zniekształconym przez wiek, nie przez słońce. Miały takie same błękitne oczy i blond włosy, lecz Serena kazała Sydney obciąć je nieco krócej, żeby ludzie się nie gapili. Wyglądały prawie identycznie.

Mimo tego podobieństwa nie przypominały prawie swoich rodziców, którzy zresztą rzadko przebywali tak blisko sióstr, żeby dało się ich porównać. Serena opowiadała Sydney, że ci ludzie w ogóle nie byli ich rodzicami, że dziewczynki zostały wyrzucone na brzeg morza w niebieskiej łódeczce, która przyplłynęła z jakiegoś odległego miejsca... albo że zostały znalezione w przedziale pierwszej klasy międzynarodowego ekspresu... albo że przemycili je szpiedzy. Jeśli zaś Sydney kwestionowała te opowieści, Serena upierała się, że jej młodsza siostrzyczka była wtedy za mała, żeby cokolwiek pamiętać.

Sydney była niemal pewna, że były to tylko fantazje, ale nie do końca; Serena potrafiła świetnie opowiadać, a jej historie zawsze wypadały bardzo przekonująco (używała określenia „historie” wtedy, gdy ktoś inny powiedziałby, że to kłamstwo).

To Serena wpadła na pomysł, żeby wyjść na zamarznięte jezioro i urządzić tam piknik. Robiły tak co roku, zaraz po imprezie sylwestrowej, kiedy jezioro w samym środku Brighton Commons zamarzło na kość, ale po wyjeździe Sereny na uniwersytet tradycja się urwała. Dlatego w tym roku mogły to zrobić dopiero w pewien długi marcowy weekend, pod koniec wiosennej przerwy między semestrami i na kilka dni przed dwunastymi urodzinami Sydney. Spakowały w końcu lunch i wyruszyły na łód. Serena narzuciła na siebie koc piknikowy niczym pelerynę i uraczyła młodszą siostrę najnowszą opowieścią o tym, jak doszło do tego, że noszą nazwisko Clarke. W tej historii występowali superbohaterowie i piraci, lecz Sydney nie zwracała na nią większej uwagi, koncentrując się raczej na tym, by jak najlepiej zapamiętać swoją siostrę i wracać do tych wspomnień, kiedy Serena znów wyjedzie na studia. Doszły do miejsca, które starsza z sióstr uznała za środek jeziora, rozłożyły tam koc, zdjęty z jej ramion, i zaczęły wyładowywać z kosza rozmaite zapasy znalezione w spiżarni.

Problem polegał jednak na tym, że w marcu (inaczej niż w styczniu albo lutym) było, owszem, zimno, lecz grubość lodu na jeziorze znacznie się zmniejszała. Chwile przedwiosennego ciepła, zdarzające się w ciągu dnia, potrafiły roztopić lodową pokrywę. Nikt nie zauważyłby, że w którymś miejscu skorupa jest cieńsza, dopóki by się pod nim nie załamała.

W pewnym momencie tak się właśnie stało.

Pęknięcia na lodzie były z początku delikatne i nie było ich widać pod cienką warstwą śniegu, kiedy siostry rozkładały swój piknikowy ekwipunek, lecz w chwili, kiedy usłyszały trzask lodu, było już za późno. Serena właśnie zaczęła opowiadać kolejną historię, kiedy pokrywa pod nimi ustąpiła i obie znalazły się nagle w ciemnej, na wpół zamarznętej wodzie.

Zimno pozbawiło Sydney tchu. Serena nauczyła ją pływać, lecz jej nogi zaplątały się w opadający na dno koc, ciągnąc ją za sobą w toń. Lodowata woda kęsała ją w skórę i oczy. Próbowwała płynąć w górę, ku powierzchni i wierzgającym nogom siostry, ale bez rezultatu. Wciąż tonęła, wciąż próbowała się wydostać, aż w końcu – zapadając coraz głębiej i głębiej, dalej i dalej od Sereny – myślała tylko o jednym: „Wróć, wróć, wróć...”. A potem świat wokół niej zaczął zamarać i stało się tak zimno, że znikła i ta jedna myśl, pozostawiając tylko ciemność.

Później dowiedziała się, że Serena faktycznie po nią wróciła, że wyciągnęła ją z lodowatej głębin na topniejący lód – a potem upadła koło niej i zemdląca.

Ktoś dostrzegł ciała na lodowej tafli.

Kiedy przybyła pomoc, Serena ledwie oddychała, jej tętno zwolniło, ale serce uparcie wykonywało kolejne uderzenia – aż się zatrzymało – a skóra Sydney była bladolina, niczym u marmurowego posągu, i równie nieruchoma. Uznano, że obie dziewczyny zmarły na miejscu, ale ponieważ praktycznie obie były zamarznęte, nie można było oficjalnie ogłosić zgonu. Ratownicy zabrali siostry Clarke do szpitala, by ogrzać ich ciała.

Wtedy wydarzył się cud. Topielice powróciły z martwych! Ich serca znów zaczęły bić, najpierw jednej, potem drugiej wrócił

oddech. Obudziły się, usiadły, przemówiły i wedle wszystkich objawów ożyły.

Był tylko jeden problem.

Sydney nie dało się ogrzać. Czuła się całkiem nieźle jak na kogoś zmartwychwstałego, lecz jej tętno było zbyt wolne, a temperatura ciała zbyt niska. Podśluchiwała rozmowę lekarzy, którzy stwierdzili, że z takimi wynikami powinna leżeć w śpiączce. Z tego względu uznano ją za zbyt słabą, żeby mogła opuścić szpital.

Zupełnie inaczej wyglądała sprawa Sereny. Sydney sądziła, że starsza siostra zachowuje się dziwnie, bardziej kapryśnie niż zwykle, ale wszyscy poza nią – lekarze, pielęgniarki, psycholog, nie mówiąc już o ich rodzicach, którzy skrócili zagraniczną wycieczkę, gdy dowiedzieli się o wypadku – wydawali się nie dostrzegać zmiany. Serena skarżyła się na bóle głowy – więc dostała środki przeciwbólowe. Nie odpowiadały jej warunki w szpitalu – więc wypisano ją do domu, tak po prostu. Sydney z tej samej podsłuchanej rozmowy dowiedziała się, że stan jej siostry również nie jest zadowalający, ale kiedy Serena wstała i powiedziała, że chce już wyjść ze szpitala, odsunęli się i pozwolili jej na to. Wcześniej również potrafiła postawić na swoim, ale nigdy w ten sposób – nigdy bez walki.

– Wychodzisz? Już? – Sydney siedziała na łóżku, a Serena stała w drzwiach sali w normalnym ubraniu. Miała w dłoniach pudełko.

– Nie mogę przegapić zajęć. A poza tym nienawidzę szpitali, Syd – oświadczyła. – Wiesz o tym doskonale.

Oczywiście, Sydney to wiedziała. Sama też nie znosiła szpitala.

– Nie rozumiem. Puszczają cię, tak bez niczego?

– Na to wygląda.

– To powiedz im, żeby mnie też puścili.

Serena stanęła koło szpitalnego łóżka i przesunęła dłonią po głowie siostry.

– Musisz tu jeszcze trochę zostać.

Wola walki nagle opuściła Sydney. Dziewczynka odkryła, że z przekonaniem potakuje, mimo że po policzkach płyną jej łzy. Serena wytarła je kciukiem i powiedziała:

– Przecież nie odchodzę na zawsze!

Wówczas Sydney przypomniawszy sobie, jak tonęła w głębinie i tak bardzo chciała, by siostra po nią wróciła. Dlatego teraz zapytała:

– Czy pamiętasz, co sobie myślałaś w jeziorze? Kiedy łódź się załamała?

Serena uniosła brew.

– To znaczy o czym myślałam poza „O kurwa, ale zimno!”? – zapytała, a jej siostrzyczka prawie się uśmiechnęła. Serenie nawet nie drgnęły usta. Zdjęła dłoń z twarzy Sydney. – Pamiętam tylko, że myślałam: „Nie! O nie, nie w ten sposób!” – odparła i położyła na stoliku przy łóżku trzymane w dłoni pudełko. – Sto lat, Syd.

Potem wyszła z sali i ze szpitala, a Sydney została. Prosiła, żeby ją wypisano, lecz lekarze odmawiali. Błagała, jęczała i przysięgała, że świetnie się czuje – mimo to się nie zgodzali. Miała urodziny i nie chciała ich spędzać sama w takim miejscu. Nie mogła tu zostać, lecz oni uparcie mówili „nie”.

Jej rodzice tylko na chwilę wyrwali się z pracy i szybko musieli wyjść.

Na odchodnym obiecali jej, że to potrwa tylko tydzień. Zostań tu jeszcze przez tydzień.

Sydney nie miała wyboru – została.



Nienawidziła wieczorów w szpitalu.

Na jej piętrze było zbyt cicho i spokojnie. Ogarniał ją wtedy paniczny strach, że już nigdy stąd nie wyjdzie, że nigdy nie wróci do domu. Zapomną o niej i spędzi tu resztę życia, paradując w takiej samej spranej piżamie jak wszyscy inni chorzy, wtapiając się w grupę bezimiennych pacjentów i pielęgniarek, a jej rodzina będzie mieszkała gdzieś w wielkim świecie poza murami szpitala, podczas gdy ona wyblaknie jak wspomnienie, jak koszula, która trafiła do pralki zbyt wiele razy. Serena wydawała się wiedzieć, czego potrzebowała jej siostra: Sydney znalazła w pudełku od niej fioletowy szalik o barwie intensywniejszej niż jakiegokolwiek inne z ubrań w jej walizeczce.

Dlatego zawsze nosiła go przy sobie; owijała go wokół szyi, mimo że nie czuła chłodu (to znaczy według lekarzy była chłodna, ale sama nie potrafiła tego stwierdzić) i zwiedzała okolicę. Przemierzała szpitalne skrzydło, ciesząc się momentami wolności, kiedy pielęgniarki przymykały oko na jej wycieczki. Widziały ją, ale jej nie zatrzymywały, a wówczas czuła się jak Serena, przed którą rozstępowało się morze. Kiedy obeszła już całe piętro trzy razy, wspięła się po schodach kondygnację wyżej. Ściany pomalowano tam na inny odcień beżu. Zmiana była tak nieznaczna, że goście tego nie zauważali, lecz Sydney wpatrywała się w ścianę na swoim oddziale dość długo, żeby odróżnić ich kolor od dziesięciu tysięcy innych.

Piętro wyżej leżeli poważniej chorzy. Sydney wyczuła to, jeszcze zanim dosłyszała kaszel czy dostrzegła wytaczane z sali samojezdne nosze, nakryte pojedynczą płachtą. Śmierdziało tu mocniejszymi środkami do dezynfekcji. Ktoś na jednej z sal krzyknął, a wówczas pielęgniarka przetaczająca nosze pozostawiła je na korytarzu i pośpieszyła w kierunku źródła krzyku. Sydney podążyła za nią, żeby zobaczyć, o co tyle hałasu.

Mężczyźnie w tej sali coś się bardzo nie podobało, lecz dziewczynka nie rozumiała, co i dlaczego. Stała na korytarzu i próbowała coś dostrzec, lecz w pomieszczeniu zaciągnięto kurtynę, dzieląc je na dwie części i zasłaniając widok od strony drzwi. Sydney nie mogła podejść, bo nosze blokowały jej drogę. Przechyliła się nad nimi i zadrżała.

Płachta, która na nich leżała, przykrywała coś jeszcze: czyjeś ciało. Kiedy się o nie otarła, poruszyło się. Sydney odskoczyła i zatkała sobie usta, żeby nie krzyknąć. Stała, przyciśnięta plecami do beżowej ściany, przenosząc wzrok z pielęgniarek krzątających się po sali na ciało pod płachtą na noszach. Drgnęło ponownie. Owinęła dłonie końcami fioletowego szalika. Czuła się, jakby znów ogarnęła ją lodowata toń, ale tym razem – inna. To nie była zimna woda w jeziorze. To był strach, mrozący krew w żyłach.

– Co ty tu robisz? – zapytała pielęgniarka w stroju łączącym mdłe odcienie zieleni i beżu. Sydney nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, więc tylko wskazała palcem. Kobieta wzięła ją za nadgarstek i pociągnęła korytarzem do wyjścia.

– Nie – odezwała się w końcu dziewczynka. – Popatrz!

Pielęgniarka westchnęła i spojrzała na płachtę, która dokładnie w tym momencie znów się poruszyła.

W szpitalnym korytarzu zabrzmiał wrzask przerażonej kobiety.



Sydney zapisano na terapię.

Lekarze twierdzili, że dzięki niej dziewczynka poradzi sobie z traumą po tym, jak zobaczyła zwłoki (mimo że w gruncie rzeczy ich nie widziała), a Sydney w pierwszej chwili chciała odmówić, lecz gdy po jej samodzielnej wycieczce piętro wyżej okazało się, że zamykają ją w sali i zagraża jej śmiertelna nuda, zmieniła zdanie. Nie zdradziła jednak nikomu, że dotknęła trupa na sekundę przedtem, zanim wrócił do świata żywych.

Nazwali to cudem.

Sydney roześmiała się na tę wieść, głównie dlatego, że podobnie określano jej powrót z martwych.

A potem zaczęła się zastanawiać, czy ktoś przypadkiem nie dotknął również jej zwłok.



Po tygodniu temperatura ciała Sydney wciąż nie wróciła do normy, ale stan dziewczynki pod każdym względem wydawał się stabilny, więc lekarze ostatecznie zgodzili się wypisać ją ze szpitala następnego dnia. Wieczorem wyslizgnęła się z sali i zeszła na sam dół, do kostnicy, by przekonać się, czy to, co wydarzyło się na korytarzu, było naprawdę cudem, szczęśliwym przypadkiem, czy też miała z tym coś wspólnego.

Pół godziny później w pośpiechu wybiegła z kostnicy upaprana krwią, czując głębokie obrzydzenie, ale za to potwierdziwszy hipotezę.

Sydney Clarke potrafiła wskrzeszać umarłych.

XXX

DZIEŃ WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Sydney obudziła się rano następnego dnia w zbyt dużym łożu dziwnego hotelu, przez chwilę nie wiedząc, gdzie i kiedy się znajduje, a także jak się czuje. Mrugnęła kilka razy, odpędzając sen, i wówczas przypomniała sobie wszystkie szczegóły: deszcz, samochód i dwóch osobliwych mężczyzn, którzy rozmawiali teraz za drzwiami.

Szorstki ton Mitcha i gładszy, niższy głos Victora wydawały się przesączać przez ściany pokoju. Usiadła, zeszywniała i głodna, potem wstała, poprawiła za duże spodnie od dresu spadające jej z bioder i wreszcie wyruszyła w poszukiwaniu jedzenia.

Mężczyźni stali w kuchni. Mitch nalewał sobie kawę i mówił do Victora, który z roztargnieniem wykreślał kolejne linijki artykułów w kolorowym magazynie. Gdy wchodziła, Mitch podniósł na nią wzrok.

– Jak tam twoje ramię? – zapytał Victor, zaczerniając kolejne słowa.

Nie bolało jej, czuła tylko, że jest nieco sztywne. Pomyślała, że powinna mu za to podziękować.

– Świetnie – odparła.

Victor odłożył flamaster i popchnął ku niej po kontuarze torbę bajgli. W kącie kuchni stało kilka innych siatek

z zakupami spożywczymi. Skinął głową w ich kierunku.

– Nie wiem, co zwykle jadasz, więc...

– Dam sobie radę – przerwała mu, opanowując uśmiech. Wzięła bajglę i przesunęła torbę z powrotem po kontuarze, aż ta zatrzymała się tuż przy okładce magazynu Victora. Patrząc, jak zamazuje kolejnie linie tekstu, przypomniała sobie artykuł z poprzedniego wieczoru i zdjęcie, które pod nim widniało. To po nie sięgała, kiedy mężczyzna się obudził. Jej wzrok powędrował w kierunku kanapy. Wyrwanej strony już tam nie było.

– Coś nie tak?

Pytanie wyrwało ją z zamyślenia. Victor stał z łokciami na kontuarze i luźno splecionymi dłońmi.

– Wczoraj wieczorem leżał tam artykuł ze zdjęciem. Gdzie on jest? – zapytała.

Victor zmarszczył czoło, lecz wysunął stronę spod magazynu i uniósł ją tak, żeby mogła zobaczyć fotografię.

– Ten?

Sydney poczuła, jak ogarnia ją drżenie.

– Po co ci jego zdjęcie? – zapytała, wskazując na ziarnisty obraz człowieka pod fragmentem w większości zacernionego tekstu.

Victor powoli okrążył kontuar i uniósł wyrwaną stronę tak, że znalazła się pomiędzy nimi – przed twarzą dziewczynki.

– Znasz go? – zapytał, a jego oczy rozbłyły nieprzyjemnie. Sydney potwierdziła. – Skąd?

Przełknęła ślinę.

– To on mnie postrzelił.

Victor schylił się ku niej i spojrzał jej prosto w oczy – z bardzo bliska.

– Opowiedz mi, co dokładnie się tam zdarzyło.

XXXI

ROK WCZEŚNIEJ BRIGHTON COMMONS

Sydney opowiedziała siostrze o tym, co stało się w kostnicy, a Serena się uśmieła.

Nie był to jednak radosny chichot, uprzejmy śmieszek, ani nawet rechot, mówiący: „O rany, moja siostra walnęła się w główkę albo coś jej się zwiduje po podtopieniu”. Za tym śmiechem kryło się coś, co sprawiło, że Sydney się zdenerwowała.

Potem Serena powiedziała jej – spokojnie i cicho (co powinno dać dziewczynce do myślenia, ponieważ jej starsza siostra nigdy nie była ani spokojna, ani cicha) – żeby nie mówiła nikomu, ale to nikomu innemu o wydarzeniach w kostnicy, o ciele na szpitalnym korytarzu, ani też o niczym, co choćby powierzchownie mogłoby zasugerować komuś, że doszło do wskrzeszenia martwego człowieka. Ku swojemu zaskoczeniu Sydney dotrzymała tajemnicy. Od tej pory nie miała ochoty rozmawiać na te tematy z nikim poza Sereną, a ta najwyraźniej nie chciała wykorzystać w żaden sposób wiedzy o umiejętnościach siostry.

Dlatego Sydney zrobiła jedyną rzecz, jaka jej pozostała: zaczęła naukę w gimnazjum i próbowała nie dotykać żadnych zwłok. Udało jej się wytrwać do końca roku szkolnego, a potem do końca wakacji. Tymczasem Serena jakoś przekonała władze

uniwersytetu do sfinansowania jej wycieczki do Amsterdamu i w ogóle nie pojawiła się w domu. Kiedy Sydney się o tym dowiedziała, tak się wściekła, że chciała powiedzieć albo nawet pokazać komuś, co potrafi, tylko po to, by zrobić siostrze na złość... a jednak się opanowała. Serena zawsze dzwoniła w porę, tak jakby wyczuwała, kiedy Sydney traci cierpliwość. Rozmawiały wówczas o niczym, wypełniając czas banalnymi „jak się masz?“, „co u starych?“ i „jak tam w szkole?“, lecz Sydney mimo to tęskniła za głosem siostry. Za każdym razem, gdy wyczuwała, że rozmowa ma się ku końcowi, prosiła Serenę, żeby ta przyjechała do domu, ale starsza siostra zawsze odpowiadała: „Nie, nie tym razem“, a Sydney czuła się samotna i zagubiona, aż Serena dodawała: „Ale przecież nie odchodzę na zawsze. Nie odchodzę na zawsze“. Z jakiegoś powodu dziewczynka za każdym razem jej wierzyła.

Ta prosta, niewzruszona wiara nie dawała jej jednak szczęścia. Jesienią Sydney zaczęła tracić nadzieję, niedługo potem nadeszło Boże Narodzenie, a Serena się nie zjawiła. Z jakiegoś powodu ich rodzice – którzy zawsze upierali się przy tym, by cała rodzina spędzała to święto razem, tak jakby przy tej okazji dało się nadrobić zaległości z pozostałych trzystu sześćdziesięciu czterech dni – nie mieli nic przeciwko temu i ledwie zauważyli brak starszej córki. Sydney jednak odczuła go boleśnie.

Nic więc dziwnego, że gdy Serena w końcu zadzwoniła i zaprosiła ją do siebie, dziewczynka nie zastanawiała się długo.



– Przyjedź do mnie i zostań na jakiś czas – zaproponowała Serena. – Zabawimy się razem!

Unikała młodszej siostry przez blisko rok. Sydney nadal ścinała włosy na krótko, kierując się niejasnym poczuciem uległości wobec Sereny, a może tylko nostalgią, ale nie była szczęśliwa, mimo że serce skoczyło jej w piersi, gdy usłyszała propozycję. Nienawidziła siebie za to, że wciąż tak ubóstwia starszą siostrę.

– Mam przecież szkołę – powiedziała ostrożnie.

– No to przyjedź w czasie wiosennych wakacji – naciskała Serena. – Możesz zostać na dłużej, urządzimy ci urodziny. Mama i tato nie znają się na imprezach. I tak zawsze planowałam takie okazje za nich. To ode mnie dostajesz najlepsze prezenty.

Sydney aż się zatrzęsała, przypominając sobie, jak wyglądały jej poprzednie urodziny. Serena jakby czytała jej w myślach.

– Tu, w Merit, jest cieplej. Posiedzimy sobie na dworze i odetchniemy. Dobrze ci to zrobi – kusiała.

Jej głos był jednak zbyt słodki. Sydney powinna była się zorientować. Potem już doskonale wiedziała, czym to grozi, ale wówczas jeszcze nie. Tymczasem właśnie wtedy miało to znaczenie.

– Okej – powiedziała w końcu, próbując ukryć podekscytowanie. – Pewnie, że bym chciała przyjechać.

– No i pięknie! – w głosie Sereny zabrzmiała szczerą radość. Sydney niemal widziała, jak jej siostra się uśmiecha, więc sama również się uśmiechnęła. – Aha, chciałabym, żebyś kogoś poznała, jak przyjedziesz – dodała Serena niezobowiązującym tonem.

– Kogo? – zapytała jej młodsza siostra.

– Przyjaciela.

XXXII

KILKA DNI WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET MERIT

Serena serdecznie uściskała siostrę.

– Patrzcie państwo! – powiedziała, wciągając ją do mieszkania. – Ale wyrosłaś!

Prawdę mówiąc Sydney prawie wcale nie urosła. Może ze dwa centymetry od czasu wypadku na jeziorze. Nie chodziło jednak tylko o jej wzrost. Wszystko rosło wolniej: paznokcie Sydney i jej włosy... powoli, jak topniejący lodowiec.

Gdy Serena żartobliwie wspomniała o jej wciąż krótkich włosach, Sydney stwierdziła, że taki styl jej się spodobał, sugerując, że fryzura nie ma już nic wspólnego z Sereną. Mimo to rzuciła się siostrze na szyję, a kiedy tamta odwzajemniła uścisk, Sydney poczuła się tak, jakby łącząca je kiedyś bliskość powróciła. Serce zaczęło jej topnieć... aż ktoś za nimi uprzejmię odchrząknął. Mężczyzna.

– Och, Sydney – powiedziała Serena, odrywając się od siostry. – Poznaj Elia.

Uśmiechnęła się, wymawiając jego imię. Chłopak – na oko kolega z uczelni – siedział na fotelu w apartamencie Sereny, jednym z tych, które zwykle rezerwowano dla studentów ostatniego roku. Na dźwięk swojego imienia wstał i podszedł do nich. Był przystojny i dobrze zbudowany, miał również mocny uścisk dłoni. Jego piwne oczy lśniły szelmowsko, niemal tak,

jakby był wstawiony. Sydney poczuła, jakby coś w nim przyciągało jej wzrok.

– Cześć, Eli – przywitała się.

– Sporo o tobie słyszałem – odparł.

Sydney nic na to nie odpowiedziała, bo Serena nigdy nie mówiła o Eliu, aż do ich ostatniej rozmowy przez telefon, a nawet wówczas wspomniała tylko o „przyjacielu”. Sądząc po tym, jak na siebie patrzyli, nie była to do końca prawda.

– No dobra – oznajmiła Serena. – Rozpakuj się, a potem wszyscy lepiej się poznamy.

Gdy dziewczynka się zawahała, siostra ściągnęła jej torbę z ramienia i poszła do pokoju, zostawiając ją sam na sam z Eliem. Dlaczego Sydney poczuła nagle, że traci grunt pod nogami? Ten chłopak wydawał się niebezpieczny; zagrożenie wydawało kryć się w jego uśmiechu i tym, jak leniwie się poruszał. Usiadł z powrotem na fotelu i pochylił się ku niej nad poręczą.

– Czyli jesteś w drugiej klasie gimnazjum?

Sydney przytaknęła.

– A ty? Na drugim roku? – zapytała. – Razem z Sereną?

Eli uśmiechnął się.

– Właściwie to jestem na ostatnim roku.

– Od dawna chodzisz z moją siostrą?

Uśmiech chłopaka zgasł jak zdmuchnięta świeca.

– Lubisz zadawać pytania.

Sydney zmarszczyła brwi.

– To żadna odpowiedź.

Serena wróciła do pokoju ze szklanką oranżady dla siostry.

– No i jak tam, dogadujecie się? – zagaiła, a wówczas okazało się, że Eli znów się uśmiecha, tak szeroko, że Sydney zaczęła

się zastanawiać, czy nie rozbolą go policzki. Przejęła szklanekę, a Serena usiadła obok Elia i przytuliła się do niego, tak jakby deklarowała swoją lojalność. Sydney sączyła oranżadę i patrzyła, jak chłopak całuje włosy jej siostry, obejmując ją ramieniem.

– No dobra – powiedziała w końcu Serena, przyglądając się badawczo siostrze. – Eli chciałby zobaczyć twoją sztuczkę.

Jej młodsza siostra niemal udławiła się napojem.

– Ale ja... ja nie...

– Daj spokój, Syd – naciskała Serena. – Możesz mu zaufać!

Sydney poczuła się jak Alicja w Krainie Czarów, tak jakby oranżada miała przyczepioną karteczkę z napisem „wypij mnie” i pokój zaczynał się teraz kurczyć, a może to ona rosła – w każdym razie nagle ogarnęła ją klaustrofobia. Brakowało jej przestrzeni i powietrza. A może to ciastko sprawiało, że Alicja rosła? Nie mogła sobie przypomnieć...

Cofnęła się o krok.

– O co chodzi, siostrzyczko? Przecież tak chciałaś mi to pokazać?

– Ale powiedziałaś, że mam nie...

Serena zmarszczyła czoło.

– No to co? A teraz mówię inaczej! – Uwolniła się z objęć Elia, wstała i podeszła do siostry, obejmując ją czule. – Nie przejmuj się, Syd – wyszeptała jej do ucha. – On jest taki sam jak my.

– My? – zapytała Sydney, również szeptem.

– Och, nie powiedziałam ci? – zagruchała Serena. – Ja też potrafię robić sztuczkę.

Sydney odsunęła się od niej.

– Co? Kiedy? Jaką sztuczkę? – wyjąkała. Teraz domyślała się, z jakiej przyczyny Serena roześmiała się tamtego wieczoru,

kiedy usłyszała o wskrzeszaniu zmarłych. Miała swoją tajemnicę. Ale dlaczego nic jej nie powiedziała? Dlaczego czekała aż do teraz?

– O nie, nie – powiedziała Serena, kiwając żartobliwie palcem. – Coś za coś. Ty pokażesz nam swoją sztuczkę, a my pokażemy ci nasze.

Przez dłuższą chwilę Sydney nie wiedziała, czy ma uciekać, czy czuć ulgę, że nie jest już sama... że ona, Serena i Eli mają ze sobą coś wspólnego. Starsza siostra objęła jej twarz dłońmi.

– Pokaż nam swoją moc – powiedziała znowu, jedwabistym, powolnym głosem.

Sydney wbrew sobie wzięła głęboki oddech i skinęła głową na zgodę.

– Dobrze – powiedziała. – Ale musimy najpierw znaleźć zwłoki.



Eli przytrzymał otwarte drzwi od strony pasażera.

– Panie przodem.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Sydney, gramoląc się do środka.

– Na wycieczkę – odparła Serena.

Usiadła za kierownicą, a Eli zajął miejsce z tyłu, tuż za Sydney. To też się jej nie spodobało: on mógł ją widzieć, a ona jego – nie. Serena roztargnionym tonem zaczęła wypytywać ją o Brighton Commons, a tymczasem zabudowania kampusu za oknami samochodu ustąpiły miejsca mniejszym i rzadziej rozmieszczonym budynkom.

– Dlaczego nie wróciłaś do domu? – zapytała Sydney półgłosem. – Tęskniłam za tobą. Potrzebowałam cię. Obiecałaś, że nie odejdziesz na zawsze, a mimo to...

– Nie ma co drażnić – przerwała jej Serena. – Liczy się tylko to, że jestem tu i teraz, razem z tobą.

Wyjechali poza granice miasta, między pola uprawne.

– Ale się zabawimy! – dodał Eli z tyłu. Sydney zadrżała. – Prawda, Sereno?

Dziewczynka zerknęła na starszą siostrę i z zaskoczeniem dostrzegła cień na jej twarzy, gdy ta wymieniła spojrzenia z Eliem we wstecznym lusterku.

– Prawda – odparła w końcu.

Wjechali w węższą drogę, pełną dziur.

Samochód ostatecznie zatrzymał się na granicy łąki i lasu. Eli wysiadł pierwszy i po chwili prowadził je już w trawie, sięgającej mu do kolan. W końcu zatrzymał się i spojrzał pod stopy.

– Jesteśmy na miejscu.

Sydney popatrzyła tam, gdzie on, i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Leżały tam zwłoki, ukryte w trawie i niewidoczne z daleka.

– Nie tak łatwo zdobyć martwego człowieka – powiedział Eli beztrąsko. – Trzeba się wybrać do kostnicy, na cmentarz... albo postarać się o niego samemu.

– Co ty opowiadasz?!

Roześmiał się.

– No coś ty, Syd, nie bądź głupia.

– Eli kręci się często po szpitalu – wyjaśniła Serena. – Ukradł ciało z kostnicy.

Sydney przełknęła z wysiłkiem ślinę. Martwy człowiek miał na sobie ubranie. Czy zmarli w szpitalnych chłodniach nie byli nadzy?

– Co tu robi ten trup? – zapytała. – Dlaczego nie mogliśmy po prostu iść do kostnicy?

– Ależ, Sydney – zachnął się Eli. Nie podobało jej się, w jaki sposób wymawia jej imię, tak jakby coś ich łączyło. – Tam są jeszcze inni ludzie. I nie wszyscy z nich są martwi.

– Aha, no to po co jechaliśmy przez pół godziny na jakieś zadupie? – odszczeknęła. – Czy koło uczelni nie ma żadnych łąk albo porzuconych budynków? Dlaczego jesteście tak dale...

– Sydney – przerwał jej głos Sereny, przecinający chłodne marcowe powietrze niczym nóż. – Przestań jęczeć.

Przestała. Kolejna skarga uwięzła jej w gardle. Przetarła oczy, rozmazując makijaż, który pracownice nałożyła sobie jeszcze w taksówce wiozącej ją na uniwersytet Merit. Chciała wyglądać na dorosłą i zrobić wrażenie na siostrze... ale teraz wcale nie czuła się dojrzała. Teraz chciała tylko zwinąć się w kłębek albo wypełznąć chyłkiem z własnej skóry i ukryć się daleko stąd. Ponieważ jednak było to niemożliwe, stała nieruchomo i patrzyła na zwłoki mężczyzny w średnim wieku, myśląc o tym, kiedy ostatni raz dotykała martwego ciała (nie liczyła chomika w szkole, ponieważ nikt się nie zorientował, że gryzoń zdechł, a poza tym był mały, puchaty i nie miał ludzkich oczu). Wspomnienie kostnicy, zimnej martwej skóry pod jej palcami... Dreszcz, jakby połknęła łyk lodowatej wody, tak duży, że drżenie przeniknęło ją całą. Trudniej było ich z powrotem uśmiercić. Spanikowała, gdy kobieta w prosektorium próbowała zejść ze stołu. Sydney nie przemyślała wcześniej, co zrobi, kiedy już kogoś ożywi, więc

złapała narzędzie, które leżało najbliżej – skalpel z zestawu do sekcji – i wbiła je w pierś kobiety. Tamta szarpnęła się i po chwili opadła bezwładnie na metalowy blat. Najwyraźniej wskrzeszanie zmarłych nie oznaczało, że nie można ich znów zabić.

– No i? – powiedział Eli, wskazując ciało takim gestem, jakby wręczał Sydney prezent, a ona nie okazała należytej wdzięczności.

Spojrzała na siostrę, szukając odpowiedzi, ale w trakcie spaceru z samochodu do zwłok Serena się zmieniła. Wydawała się pełna napięcia, a czoło miała zmarszczone, czego zawsze starała się unikać, ponieważ – jak twierdziła – nie wyglądałaby ładnie ze zmarszczkami. Teraz zaś spoglądała z rozmysłem gdzie indziej. Sydney odwróciła się więc ku trupowi i ostrożnie uklękła koło niego.

Nie widziała, co dokładnie robi, by przywrócić zmarłych do życia. Na ile była w stanie stwierdzić, nie budzili się jako zombie, ale też i nie obserwowała wskrzeszonych przez dłuższy czas, z wyjątkiem chomika, przy czym nie była pewna, czy chomik-zombie zachowywałby się inaczej niż normalne zwierzątko. Przyczyna zgonu nie miała znaczenia. Mężczyzna na noszach w szpitalu najwyraźniej zmarł na atak serca. Kobiecie w kostnicy usunięto już część narządów wewnętrznych. Kiedy jednak Sydney ich dotknęła, nie wrócili jako chodzące trupy, ale ożyli. Znów byli zdrowi. Żywi. Byli ludźmi. Do tego – jak odkryła w kostnicy – równie śmiertelnymi jak przed zgonem. Fascynowało ją to, aż przypomniała sobie, że tamtego dnia nad jeziorem, gdy pochłaniała ją lodowata woda, a ona próbowała złapać nogę Sereny i spóźniła się o ułamek sekundy, a potem

powtarzała „Wróć, wróć, wróć” – tak bardzo chciała dostać drugą szansę.

I właśnie to dawała teraz nieżywym ludziom. Drugą szansę.

Jej palce na chwilę zawisły nad torsiem martwego mężczyzny, tak jakby zastanawiała się, czy rzeczywiście zasłużył na wskrzeszenie, lecz potem skarciła się w myślach. Kimże była, żeby osądzać ludzi lub decydować o tym, czy przywrócić im życie, czy nie? Czy to, że mogła to zrobić, oznaczało, że zawsze powinna?

– Czekamy – ponaglił ją uprzejmie Eli.

Sydney przełknęła ślinę i z pewnym oporem dotknęła palcami ciała. Z początku nic się nie stało, więc przez głowę przemknęła jej paniczna myśl, że teraz, kiedy wreszcie może pokazać Serenie, co umie, nie uda jej się to. Panika jednak błyskawicznie minęła, gdy kilka sekund później poczuła, że przez jej ciało przepływa dreszcz, niczym po zanurzeniu w lodowatej wodzie, a ciało mężczyzny pod jej palcami zadrżało. Otworzył oczy i usiadł tak gwałtownie, że Sydney zatoczyła się i klapnęła z impetem w trawę. Przed chwilą martwy, teraz żywy, rozejrzał się wokoło, zdeorientowany i gniewny, aż jego wzrok zatrzymał się na Eliu. Twarz mężczyzny wykrzywiła wściekłość.

– Co się, do cholery sta...

Strzał z pistoletu rozległ się tak blisko, że Sydney zadzwoniło w uszach. Wskrzeszony chwilę wcześniej mężczyzna upadł z powrotem na trawę z niewielką czerwoną dziurką między oczami. Martwy. Eli opuścił broń.

– Imponujące, Sydney – orzekł. – To naprawdę niebywały dar.

Jego udawana wesołość i sztuczny uśmiech zniknęły, jak starte gumką. Dzięki temu stał się trochę mniej straszny, bo do

tej pory bała się potwora ukrytego w jego oczach, który teraz przestał się w końcu chować. Jednak pistolet w jego dłoni i sposób, w jaki go trzymał, był wystarczająco przerażający.

Sydney wstała. Naprawdę wolałaby, żeby odłożył spluwę. Serena cofnęła się o kilka metrów i teraz wierciła czubkiem buta w kępce zmarzniętej trawy.

– Hm, dziękuję? – powiedziała niezdecydowanie Sydney. Zaczęła się cofać przez trawę, tak jakby jej stopy same podjęły decyzję o ucieczce. – Pokażesz mi teraz swoją sztuczkę?

Niemal się roześmiał.

– Obawiam się, że nie jest tak widowiskowa jak twoja – odparł, a potem znów uniósł pistolet, tym razem celując prosto w nią.

Sydney nie czuła się zaskoczona ani wstrząśnięta. Uznała, że Eli po raz pierwszy postąpił szczerze. Zgodnie ze swoją naturą. Nie bała się śmierci. Nie myślała o tym. Przecież już raz umarła. Wszystko to nie oznaczało, że była gotowa na taką sytuację. Z zaskoczeniem i smutkiem zwróciła się – nie do niego, lecz do ukochanej siostry:

– Serena? – zapytała cicho, tak jakby tamta nie zauważyła, że jej nowy chłopak celuje z pistoletu do Sydney. Serena odwróciła się jednak od niej z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Chciałbym, żebyś wiedziała – oznajmił Eli, a jego palce zacisnęły się na kolbie broni – że traktuję to jako smutny obowiązek. Nie mam wyboru.

– Tak, masz wybór – wyszeptała dziewczynka.

– Twoja moc jest zła. Jesteś zagrożeniem dla...

– Ja? Zagrożeniem? To nie ja trzymam pistolet!

– Nie – przyznał Eli – ale twoja broń jest gorsza. Twoje zdolności są przeciwne naturze! Rozumiesz, Sydney? Przeciwnie. Naturze. Przeciwnie Bogu. A to, co zaraz zrobię – dodał, celując starannie – posłuży wyższemu celowi.

– Czeka! – krzyknęła Serena, odwracając się nagle. – Może nie musimy...

Za późno.

Teraz wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

Sydney poczuła uderzenie i ból, którym towarzyszył ogłuszający huk.

Krzyk Sereny kupił jej chwilę, dosłownie ułamek sekundy; kiedy zobaczyła, jak palce Elia ściągają spust, rzuciła się w bok, sięgając po gałąź. W tym momencie broń wypaliła. Sydney chwyciła gałąź i zamachnęła się nią na Elia, zanim jeszcze poczuła krew ściekającą po ramieniu. Zdołała wytrącić mu pistolet z dłoni, odwróciła się na pięcie i ruszyła do ucieczki. Dotarła do skraju lasu, zanim padły kolejne strzały. Gdy przedzierała się między drzewami, wydawało jej się, że słyszy, jak siostra ją woła, ale tym razem aż za dobrze wiedziała, że nie powinna słuchać zwodniczego głosu Sereny.

XXXIII

DZIEŃ WCZEŚNIEJ HOTEL ESQUIRE

Victor stał bez ruchu, jak posąg, słuchając opowieści Sydney.

Kiedy skończyła, zapytał:

– Czy to już wszystko? – chociaż doskonale wiedział, że nie, że Sydney ocenzurowała relację. Obserwował, jak za każdym razem, kiedy opowiada o swojej mocy, starannie formułuje zdania, żeby nie powiedzieć za dużo. Ostatecznie przyznała tylko, że ma jakąś PonadPrzeciętną zdolność, że Eli, nowy chłopak jej siostry, zażądał demonstracji, a potem próbował ją za to zabić, a dokładniej – wykonać egzekucję. „Egzekucję”, dokładnie tego słowa użyła – i to wszystko. Egzekucje PonadPrzeciętnych? Umysł Victora pracował na najwyższych obrotach. W co się bawił Eli? Czy byli jeszcze inni PP? Musieli być. Afera w banku z Barrym Lynchem: jak to się z tym wszystkim wiązało? Czy Eli zaaranżował tę sytuację, by zabić człowieka w biały dzień?

Bohater? Prychnął bezgłośnie. Dziennikarz „National Mark” aż się ślinił, żeby nazwać Elia bohaterem. Przez chwilę Victor uwierzył nagłówkowi. Chętnie zagrałby czarny charakter, gdyby Eli faktycznie był bohaterem. Teraz, kiedy wychodziły na jaw nowe fakty na temat jego starego przyjaciela, prawda okazała

się o wiele mroczniejsza, a Victor mógł rozkoszować się rolą równoprawnego przeciwnika, oponenta, nieprzyjaciela.

– Tak, to wszystko – skłamała Sydney, a Victora wcale to nie rozgniewało.

Nie miał ochoty zrobić jej krzywdy i wydrzeć torturami całej prawdy – nie winił jej za wahanie. Przecież poprzednim razem, kiedy ujawniła komuś swoje zdolności, niemal umarła. Poza tym, mimo że nie powiedziała mu wszystkiego, to zdradziła ważną informację: Eli nie tylko był blisko. Był w Merit, tu i teraz – a przynajmniej jeszcze półtora dnia temu. Victor oparł łokcie na kontuarze, obserwując dziewczynkę, z którą zetknął go los.

Nigdy nie wierzył w przeznaczenie. Na jego gust takie rzeczy za bardzo trącały wiarą w bóstwa, siłę wyższą i zawieszenie ludzkiej siły sprawczej. Nie, jego świat funkcjonował w kategoriach prawdopodobieństwa, a Victor przyznawał, że ślepy traf odgrywa w nim ważną rolę, lecz starał się zachować kontrolę, kiedy tylko to możliwe. Nawet on jednak musiał przyznać, że tym razem los uśmiechnął się do niego. Gazeta, dziewczynka, miasto... Gdyby był tak religijny jak Eli, mógłby pomyśleć, że to Bóg skierował go na tę ścieżkę i dał mu misję. Nie chciał co prawda posuwać się za daleko z akceptacją boskich wyroków, lecz doceniał ten gest poparcia.

– Sydney... – odezwał się, próbując stłumić ekscytację i zachować spokój, którego wcale nie czuł. – Jak się nazywa uczelnia twojej siostry?

– To tutejszy uniwersytet. Uniwersytet Merit. Po drugiej stronie miasta. Strasznie wielki.

– A ten apartament, w którym zatrzymała się twoja siostra – pamiętasz, jak się tam dostać?

Sydney zastanowiła się, skubiąc w zamyśleniu bajgła.

Victor oparł się mocniej o kontuar.

– To ważne.

Kiedy dziewczynka się nie poruszyła, chwycił ją za ramię, kładąc dłoń na ranie postrzałowej. Zabrał jej wcześniej ból, ale chciał, żeby przypomniawsza sobie – zarówno to, co zrobił Eli, jak i to, co potrafił zrobić on, Victor. Zamarła, gdy jej dotknął, a tymczasem on odciągnął kołnierzyk koszuli tak, by mogła zobaczyć jedną z trzech blizn pozostawionych przez kule z pistoletu Elia.

– Próbował zabić nas oboje – uświadomił jej, po czym puścił ją i poprawił kołnierzyk. – Mieliśmy szczęście, ale ilu innych PonadPrzeciętnych go nie miało? A jeżeli go nie powstrzymamy, to ilu innych PonadPrzeciętnych jeszcze zabije?

Sydney otworzyła szeroko błękitne oczy, wpatrując się w niego bez mrugnięcia.

– Pamiętasz, gdzie mieszka twoja siostra?

Mitch po raz pierwszy zabrał głos w tej rozmowie.

– Nie pozwolimy Eliowi, żeby cię znowu skrzywdził – odezwał się znad szklanki mleka czekoladowego. – Zapamiętaj to sobie.

Victor otworzył laptopa Mitcha i wywołał mapę kampusu. Odwrócił komputer ekranem ku niej.

– Pamiętasz, gdzie to było?

Po dłuższej chwili Sydney skinęła głową.

– Wiem, jak tam dojechać.



Sydney trzęsła się przez całą drogę.

Nie miało to nic wspólnego z zimnym marcowym porankiem, natomiast wiele ze strachem. Siedziała z przodu na fotelu pasażera i wskazywała kierunek. Mitch prowadził, Victor siedział z tyłu i bawił się czymś ostrym. Sydney rzuciła okiem raz czy dwa, i zobaczyła, że to wymyślny nóż motylkowy, który można otwierać i zamykać jednym ruchem nadgarstka. Odwróciła się do przodu i objęła kolana. Za oknami przemykały kolejne ulice, te same, które widziała kilka dni wcześniej z taksówki, wiozącej ją do Sereny... i z samochodu siostry, wiozącego ich na łąkę pod lasem.

– Skręć w prawo – poleciła, opanowując z wysiłkiem szcęknięcie zębów. Palce powędrowały do miejsca na ramieniu, przez które przeszedł pocisk. Zamknęła oczy, ale wówczas zobaczyła siostrę, poczuła wokół siebie jej ramiona, zimno szklanki z oranżadą w dłoni i dostrzegła na sobie wzrok Elia, kiedy Serena powiedziała: „Pokaż nam swoją moc”. A potem łąka, ciało, huk strzału, las i... Zdecydowała, że woli otworzyć oczy. – Jeszcze raz w prawo – powiedziała.

Victor na tylnym siedzeniu otwierał i zamykał nóż. Sydney przypomniawszy sobie, jak bardzo nie podobało się jej, kiedy Eli zajął miejsce za nią; niemal czuła na sobie wówczas ciężar jego wzroku. Nie miała jednak nic przeciwko, jeżeli z tyłu siedział Victor.

– To tutaj – powiedziała.

Samochód zwolnił, a potem zatrzymał się przy krawężniku. Sydney wyjrzała przez okno na apartamentowce, stojące wzdłuż wschodniej krawędzi kampusu. Wszystkie wyglądały tak samo, co było nie w porządku. Może świat powinien zareagować jakoś na wydarzenia ostatnich kilku dni i zmienić się tak samo jak ona? Chłodne powietrze owiało jej twarz, a wtedy mrugnęła

i zdała sobie sprawę z tego, że Victor przytrzymuje dla niej otwarte drzwi. Mitch stał już na chodniku wiodącym ku apartamentom, kopiąc grudkę betonu.

– Idziesz? – zapytał Victor.

Nie mogła zmusić swoich stóp, żeby ruszyły z miejsca.

– Sydney, popatrz na mnie – powiedział, kładąc dłonie na dachu samochodu i pochylił się nad nią. – Nikt cię już nie skrzywdzi. A wiesz, dlaczego? – Pokręciła głową, a on się uśmiechnął. – Ponieważ ja skrzywdzę ich pierwszy. – Otworzył drzwi szerzej. – A teraz wysiadka.

I Sydney wysiadła.



Dziwnie wyglądali, pukając do drzwi pod numerem 3A: Mitch, wytatuowany, potężny, górujący nad pozostałą dwójką; Victor, ubrany od stóp do głów w czerń, ale nie jak złodziej, raczej jak modny paryżanin, wymuskany i elegancki; no i Sydney, stojąca pomiędzy nimi w niebieskich legginsach i obszernym czerwonym płaszczu. Ciuchy pojawiły się tego ranka, jeszcze ciepłe, niczym z suszarki do prania. Pasowały na nią trochę lepiej niż poprzedni zestaw; szczególnie podobał jej się płaszcz.

Zapukali grzecznie kilka razy, a potem Mitch wydobył z kieszeni kurtki zestaw wytrychów i już miał ich użyć, mruczając coś o tym, jak łatwo będzie otworzyć zamki w tych drzwiach, kiedy ktoś otworzył je od środka.

Patrzyła na nich dziewczyna w różowo-zielonej piżamie, a jej mina dobitnie wskazywała, co myśli o wyglądzie całej trójki.

Nie była to jednak Serena. Serce Sydney stanęło na sekundę.

– Sprzedajecie ciasteczka? – zapytała dziewczyna w piżamie. Mitch się roześmiał.

– Czy znasz Serenę Clarke? – odpowiedział pytaniem Victor.

– Taa, pewnie – odparła tamta. – Oddała mi tę chatę, ledwie wczoraj. Powiedziała, że już jej nie potrzebuje, a ja właśnie pożarłam się ze współlokatorką, więc Serena pozwoliła mi zająć ten lokal już do końca roku. I tak kończę studia, dzięki Bogu. Rzygam już tą pierdoloną szkółką.

Sydney odchrząknęła.

– Wiesz może, gdzie teraz jest?

– Pewnie ze swoim chłopakiem. Nieźle ciacho, ale poza tym kutafon, szczerze mówiąc. To jeden z tych, co przysysają się do dziewczyny i marnują jej czas...

– Wiesz może, gdzie mieszka ten facet? – przerwał jej Victor.

Dziewczyna pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Nie. Od kiedy zaczęli się spotykać jakieś pół roku temu, wydawała się raczej dziwna. Prawie jej nie widywałam. A wcześniej byłyśmy nierozłączne, jak filmy i czekolada na ciepło w czasie miesiączki. Potem pojawił się ten koleś i nagle bum! Eli to, Eli tamto...

Sydney i Victor zeszywnieli na dźwięk tego imienia.

– Więc nie masz pojęcia – przerwał jej ponownie Victor – gdzie możemy ich znaleźć?

Dziewczyna znów wzruszyła ramionami.

– Merit to wielkie miasto, ale wczoraj widziałam Serenę na wykładzie, właśnie wtedy dała mi klucze, więc nie mogła wyjechać nigdzie daleko. – Przenosząc wzrok pomiędzy trójką przybyszów, trafiła w końcu na Sydney. – O, wyglądasz całkiem

podobnie do niej. Jesteś jej młodszą siostrą? Tą, jak jej tam, Shelly?

Sydney już otwierała usta, ale Victor ją ubiegł.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi – wyjaśnił, trzymając Sydney za ramię i wycofując się korytarzem. Mitch podążył za nimi.

– Dobra, jakbyście ich spotkali – zawołała za nimi dziewczyna – podziękujcie Serenie za miejscówkę. A Eliowi powiedzcie, że totalnie ssie!

– Da się zrobić! – odkrzyknął przyjaźnie Victor i cała trójka odmaszerowała do samochodu.



– To beznadziejne – wyszeptała Sydney, siadając na kanapie.

– Chwila, moment – zaprotestował Mitch. – Tydzień temu myśleliśmy, że Eli może być w dowolnym miejscu na świecie. Teraz, dzięki tobie, wiemy już, że jest w konkretnym mieście.

– Jeżeli jeszcze tu jest – zauważyła posępnie.

Victor chodził w tę i z powrotem wzdłuż kanapy.

– Jest tutaj – powiedział.

Czuł rozczarowanie, tkwiące głęboko pod skórą niczym cień. A było tak blisko. Chciało mu się wyjść na ulicę i wykrzykiwać imię swojego starego przyjaciela tak długo, aż tamten się ujawni. To byłoby jednak zbyt łatwe. Szybkie, skuteczne... i kompletnie głupie. Victor potrzebował sposobu, by wywabić Elia, samemu pozostając w cieniu. Zmniejszył dystans, dzielący go od tamtego, lecz przed ostateczną konfrontacją chciał go wyprzedzić o krok. Musiał znaleźć sposób, by to Eli przyszedł do niego.

– Co teraz? – spytał Mitch.

Victor popatrzył na niego.

– Sydney nie była pierwszym celem i założę się, że nie ostatnim. Możesz odpalić wyszukiwanie w sieci?

Mitch zacisnął swoje olbrzymie pięści, aż strzeliły stawy.

– Czego szukamy?

– Chcę znaleźć potencjalne osoby PP. Sprawdzić, czy są inni, których dopadł, i tacy, których jeszcze nie znalazł.

– Martwisz się o ich bezpieczeństwo? – zapytał Mitch.

Victor myślał raczej o użyciu ich w charakterze przynęty, ale nie powiedział tego na głos. Nie przy Sydney.

– Ogranicz wyszukiwanie do ostatniego roku, obszaru tego stanu i szukaj wyraźnych wskaźników – polecił, próbując przypomnieć sobie pracę dyplomową Elia. Jej autor rzucił kiedyś uwagę czy dwie na temat wskaźników, kiedy akurat przyszło mu to do głowy. – Szukaj policyjnych protokołów, ocen z miejsca pracy, zapisów ze szkół, uczelni i szpitali. Zwróć uwagę na ślady doświadczeń bliskich śmierci; zapewne zostaną sklasyfikowane pod hasłem „trauma”. Zwłaszcza jeżeli w następstwie tych wydarzeń pojawi się psychiczna niestabilność, dziwne zachowania, urlopy zdrowotne. Niezgodności w zapisach u czubków, niewyjaśnione zjawiska w raportach policyjnych... – Przerwał i znów zaczął chodzić po pokoju. – A jak już przy tym jesteśmy, zdobądź dane z uczelni Sereny Clarke, w tym jej plan zajęć. Jeżeli Eli w jakiś sposób się do niej przywiązał, być może łatwiej będzie nam znaleźć go poprzez nią.

– Czy te dane z uczelni nie są chronione? – zapytała Sydney.

Mitch posłał jej promienny uśmiech, położył na kontuarze laptopa, otworzył go i włączył.

– Mitchell – odezwał się Victor. – Powiedz Sydney, za co siedziałeś.

– Hakerstwo komputerowe – oznajmił tamten radośnie.

Sydney roześmiała się.

– Poważnie? Myślałam, że jesteś raczej jednym z tych facetów, którzy urywają komuś rękę, żeby zatłuc go nią na śmierć.

– Zawsze byłem taki duży – powiedział Mitch urażonym tonem. – To nie moja wina – dodał i znów zacisnął pięści, aż trzasnęło. Jego dłonie były większe od klawiatury.

– A tatuaże?

– Czasem dobrze jest odstraszać samym wyglądem.

– Ale Victor nie odstrasza wyglądem!

– Zależy, kto się czego boi. Victor doskonale sprząta ludzi.

Victor nie słuchał. Wciąż chodził po pokoju.

Eli był blisko. Eli znajdował się w tym samym mieście... a przynajmniej tak było do niedawna. Co, do cholery, potrafiła zrobić siostra Sydney, że uważał ją za tak cenną? Jeżeli Eli prowadził czystkę wśród PonadPrzeciętnych, dlaczego oszczędził Serenę? Mimo wszystko młody Vale był z tego zadowolony. Dzięki niej Eli pozostał w Merit, a Victorowi bardzo to odpowiadało. Tymczasem wielkie paluchy Mitcha śmigają nad klawiaturą laptopa. Na jego lśniącem ekranie pojawiały się kolejne okna. Victor cały czas przemierzał pokój. Nie potrafił przestać. Wiedział, że wyszukiwanie zajmie pewien czas, ale powietrze wokół niego wibrowało, a on nie potrafił zatrzymać swoich stóp, zmusić się do bezruchu, uspokoić się... nie teraz, kiedy Eli ostatecznie znalazł się w jego zasięgu. Potrzebował wolności.

Musiał koniecznie odetchnąć świeżym powietrzem.

XXXIV

DZIEŃ WCZEŚNIEJ CENTRUM MERIT

Sydney wyszła za nim na ulicę.

Victor zauważył ją dopiero, kiedy minęli następną przecznicę. Obejrzał się i dostrzegł ją, a ona przystanęła czujnie, dygocząc ze strachu, tak jakby przyłapał ją na złamaniu jakiejś zasady. Tymczasem Victor wskazał pobliski bar i odezwał się:

– Chcesz coś do picia?

– Naprawdę sądzisz, że znajdziemy Elia? – zapytała kwadrans później. Szli razem ulicą, on z kubkiem kawy, ona – pijąc gorące kakao.

– Tak – potwierdził Victor.

Nie rozwinął jednak tematu. Minęło kilka chwil. Sydney niespokojnie kręciła głową; było jasne, że chciała z nim pogadać.

– Co z twoimi rodzicami? – zapytał w końcu. – Chyba zauważą, że cię nie ma?

– Myślą, że jestem z Sereną. Pojechałam do niej na tydzień – powiedziała, dmuchając, żeby ostudzić napój. – A poza tym są w podróży – dodała i spojrzała na Victora, po czym skupiła się na swoim kubku. – Kiedy rok temu byłam w szpitalu, zostawili mnie tam samą. Musieli wracać do pracy. Zawsze ta zakichana praca. Podróżują przez czterdzieści tygodni w roku. Miałam

opiekunkę, ale zwolnili ją, ponieważ stłukła wazon, wyobraź sobie. Poświęcili sporo czasu, żeby znaleźć nowy wazon, taki sam, bo najwyraźniej była to najważniejsza rzecz w całym domu, ale byli zbyt zajęci, żeby znaleźć nową opiekunkę, więc w końcu stwierdzili, że nie potrzebują jej w ogóle. Rozumiesz, samodzielność, przygotowanie do dorosłego życia, te sprawy – wyrzuciła z siebie jednym tchem, aż zabrakło jej oddechu. Victor nie odzywał się, pozwalając jej się wygadać. Kilka chwil później dodała, już spokojniej: – Nie sądzę, żeby moi rodzice byli w tej chwili największym problemem.

Victor aż za dobrze wiedział, jak wygląda życie w takiej rodzinie, więc wolał zapomnieć o temacie. Udało mu się to, ale nie na długo. Skręcili za róg i wyszli prosto na wystawę księgarni, na której wielki plakat reklamował najnowszą książkę państwa Vale, w sprzedaży już od czerwca.

Victor się skrzywił. Nie rozmawiał z rodzicami od blisko ośmiu lat. Najwyraźniej posiadanie syna skazanego prawomocnym wyrokiem – a w każdym razie takiego, który nie okazywał chęci resocjalizacji, zwłaszcza za pomocą „systemu Vale’ów” – niekorzystnie wpływało na ich rynkowy wizerunek. Victor co prawda zauważył, że ten fakt nie powinien zaszkodzić sprzedaży, ponieważ mogliby zyskać nową, niszową grupę czytelników, kupujących książki z niezdrowej ciekawości, ale jego rodzice nie wydawali się przekonani. Nie martwiło go to zbyt, tym bardziej, że przez blisko dziesięć lat nie musiał oglądać wystaw księgarni. Trzeba oddać państwu Vale, że przysłali synowi do izolatki cały zestaw swoich poradników. Uznał go za świetny prezent, dawkując sobie ich zamazywanie, tak żeby książek wystarczyło na dłużej. Gdy w końcu przeniesiono go na oddział ogólny, odkrył, że w więziennej

bibliotece znajduje się komplet dzieł rodziców, i zaczął je poprawiać na swój sposób, aż władze zakładu karnego Wrighton się połapały i odmówiły mu dostępu do wypożyczalni.

Teraz wszedł do księgarni, a Sydney za nim, i kupił egzemplarz najnowszej książki, zatytułowanej Uwolnij się! Pod spodem widniał podtytuł: (z celi własnego niezadowolenia), co wydawało się dość oczywistą uszczypliwością. Victor kupił również garść czarnych flamastrów ze stojaka przy kasie i zapytał Sydney, czy czegoś sobie życzy, lecz pokręciła głową i mocniej ścisnęła kubek z kakao. Wyszli z powrotem przed księgarnię. Victor zmierzył wzrokiem wystawowe okno, obawiał się jednak, że nie wystarczy mu mazaków, a poza tym nie chciał, żeby ktoś oskarżył go o wandalizm, więc ostatecznie z najwyższą niechęcią pozostawił wystawę nietkniętą. „Jaka szkoda”, myślał odchodząc. Na środku wystawowego okna widniał cytat z poradnika Vale’ów, wydrukowany w powiększeniu i naklejony od środka na szybie. Fragment ten pełen był pretensjonalnych zdań – najbardziej podobało mu się „Nie pozwól zrujnować sobie życia, zamykając się we własnoręcznie zbudowanym więzieniu!”. Poza tym uważał, że cytat wyglądałby lepiej, gdyby zaczernił go po swojemu, pozostawiając tylko: „Potrafimy ■■■ zrujnować ■■■ wszystko, czego ■■ się ■■■ dotkniemy”.

Spacerowali dalej po centrum Merit. Victor nie wyjaśnił Sydney, o co chodziło z książką, a ona nie pytała. Dobrze się czuł na świeżym powietrzu, tym bardziej że napój w kubku smakował zdecydowanie lepiej niż najlepsza więzienna kawa, jaką był w stanie załatwić, stosując przekupstwo i ból. Sydney dmuchała na kakao, ogrzewając drobne dłonie jego ciepłem.

– Dlaczego próbował mnie zabić? – zapytała cicho.

– Tego jeszcze nie wiem.

– Po tym, jak pokazałam mu, co potrafię, chciał mnie zastrzelić. Powiedział, że to smutny obowiązek i że nie ma wyboru. Dlaczego miałby zabijać PonadPrzeciętnych? Przecież sam się przyznał, że jest jednym z nich?

– Tak, to prawda. Eli jest PonadPrzeciętny.

– A jaką ma moc?

– Przekonanie o własnej nieomyślności – zadrwił Victor, ale kiedy zobaczył, że Sydney najwyraźniej nie zrozumiała gorzkiego żartu, dodał pośpiesznie: – Umie się uzdrawiać, i to instynktownie. Myślę, że uważa tę moc za nieskalaną, wręcz boską. Praktycznie rzecz biorąc, nie może jej użyć, żeby skrzywdzić kogoś innego.

– Nie – odparła Sydney. – W tym celu używa raczej broni.

Victor zachichotał.

– A co do przyczyny, dla której uważa pozbywanie się innych PonadPrzeciętnych za swój smutny obowiązek – uzupełnił – to podejrzewam, że ma to coś wspólnego ze mną.

– Dlaczego? – wyszeptwała.

– To długa historia – powiedział Victor znużonym głosem. – I dość nieprzyjemna. Minęło dziesięć lat, od kiedy miałem przyjemność snuć filozoficzne dyskusje z naszym wspólnym przyjacielem, ale gdybyś kazała mi zgadywać, powiedziałbym, że Eli wierzy w swoją misję, za którą uważa chronienie ludzi przed takimi jak my. Swego czasu oskarżył mnie o to, że jestem diabłem w ludzkiej skórze, a konkretnie w skórze Victora.

– Powiedział, że moje zdolności są przeciwne naturze – zauważyła Sydney. – A potem jeszcze raz to powtórzył. I dodał, że również przeciw Bogu.

– Przyjemniaczek z tego Elia, no nie?

Pora lunchu właśnie minęła i ludzie niemal co do jednego zniknęli z ulic, wracając do biur. Victor tymczasem wydawał się prowadzić ich coraz dalej i dalej od tłumów, ku bocznym, spokojniejszym ulicom.

Kilka minut później odezwał się:

– Sydney, jeżeli nie masz ochoty, nie musisz mi szczegółowo opowiadać o swojej PonadPrzeciętnej umiejętności, ale chciałbym, żebyś coś zrozumiała. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pokonać Elia, jednak to niełatwy przeciwnik. Dzięki swojej mocy wydaje się niemal niezwyciężony, a mimo szaleństwa to całkiem sprytny gość. Ma nade mną sporą przewagę, więc tym trudniej mi wygrać. To, że wie, co potrafisz, a ja tego nie wiem, stawia mnie w gorszej pozycji. Rozumiesz to?

Sydney zwolniła kroku i skinęła głową, ale nie powiedziała ani słowa. Victor z całych sił powstrzymywał się, żeby nie chwycić jej za rękę i nie zmusić do mówienia, na szczęście chwilę później jego cierpliwość doczekała się nagrody. Przechodząc obok bocznej alejki, usłyszeli cichy skowyt. Sydney cofnęła się, a Victor podążył za nią i po chwili zobaczył to, co ona.

Na mokrym betonie leżał wielki, czarny pies, jęcząc bezsilnie. Victor ukląkł przy nim i przesunął palcem po jego grzbiecie, a wówczas skowyt ucichł. Teraz zwierzę dyszało już tylko, trzęsąc się z przerażenia, ale przynajmniej nic go nie bolało. Victor wstał, marszcząc brwi, jak zwykle, kiedy nad czymś intensywnie rozmyślał. Pies wyglądał na zmasakrowanego, tak jakby wpadł pod samochód, a potem zdołał dowlec się jeszcze do końca alejki, gdzie upadł i już się nie podniósł.

Sydney kucnęła przy psie, głaszcząc jego krótką, czarną sierść.

– Po tym, jak Eli mnie zranił – powiedziała cichym, łagodnym głosem, tak jakby mówiła do umierającego psa, a nie do Victora – przysięgam, że już nigdy nie użyję mojej mocy. Nie przy kimś – uściśliła. Przełknęła z wysiłkiem ślinę i popatrzyła na Victora. – Zabij go.

Uniósł brew.

– Czym, Sydney?

Posłała mu przeciągłe, twarde spojrzenie.

– Proszę, Victor, zabij tego psa – powtórzyła.

Rozejrzał się naokoło. Alejka poza nimi była pusta. Westchnął i wyciągnął pistolet tkwiący dotąd z tyłu za paskiem. Wygrzebał z kieszeni tłumik i nakręcił go na lufę, spoglądając ponad nim na dyszącego psa.

– Odsuń się – polecił, a ona posłuchała. Victor starannie wycelował i nacisnął spust jeden jedyny raz. To był dobry strzał. Pies przestał się poruszać, a Victor odwrócił się i ruszył z powrotem, odkręcając tłumik. Kiedy Sydney nie podążyła za nim, obejrzał się przez ramię: znów klęczała nad psem, przesuając pieśczośliwie dłońmi po jego zakrwawionej sierści i zmiażdżonych żebrach. W pewnej chwili zastygła. Chmura pary z jej oddechu zawisła przed ustami, a twarz skrzywiła się w grymasie bólu.

– Sydney... – zaczął, lecz reszta zdania zamarła mu w gardle, gdy ogon psa się poruszył. Lekko zamiótł po mokrym betonie, w jedną stronę, a potem w drugą. Następnie ciało napięło się... kości z trzaskiem wróciły na swoje miejsce, klatka piersiowa napełniła się oddechem, żebra odzyskały naturalną krzywiznę, a łapy wyprostowały. Zwierzę usiadło. Sydney wycofała się,

tymczasem pies wstał i popatrzył na nich, machając radośnie ogonem. Był olbrzymi! I całkiem żywy.

Victor patrzył na to oniemiały. Do tej pory miał tylko ogólne pojęcie, jak znaleźć Elia na podstawie wskaźników i własnej dedukcji, ale teraz, gdy obserwował, jak wskrzeszone stworzenie mruga, ziewa i oddycha, zaczął obmyślać konkretny plan. Sydney spojrzała ostrożnie w jego kierunku, a on uśmiechnął się triumfalnie.

– Patrzcie tylko – powiedział. – To dopiero dar!

Sydney pogładziła psa po łbie, znajdującym się niemal na wysokości jej oczu.

– Możemy go zatrzymać?



Victor rzucił płaszcz na kanapę, gdy Sydney i pies wmaszerowali do apartamentu.

– Czas wysłać wiadomość Eliowi Everowi – ogłosił, rzucając zakupiony nieco wcześniej poradnik Vale'ów na kontuar, aż łupnęło.

– Skąd, do cholery, wzięliście tego psa? – spytał Mitch.

– To mój pies – oznajmiła Sydney.

– Czy to krew?

– Zastrzeliłem go – wyjaśnił Victor mimochodem, grzebiąc w papierach.

– A dlaczego to zrobiłeś? – zainteresował się Mitch, zamykając laptopa.

– Ponieważ umierał.

– To dlaczego teraz nie jest martwy?

– Ponieważ Sydney go wskrzesiła.

Mitch odwrócił się i zmierzył wzrokiem mikrą blondynkę, stojącą na środku ich hotelowego salonu.

– Że co, proszę?

Spuściła wzrok.

– Victor nazwał go Dol – powiedziała.

– Jednostka bólu – uzupełnił Victor.

– No cóż, to przerażająco stosowne imię – ocenił Mitch. – Możemy się cofnąć do momentu, w którym Sydney go... wskrzesiła?! I co masz na myśli, mówiąc, że czas wysłać wiadomość Eliowi?

Victor znalazł to, czego szukał, i popatrzył na promienie zachodzącego słońca wpadające przez wysokie okna, jakby próbując ocenić, ile czasu dzieli go od zapadnięcia zmroku.

– Kiedy chcę przyciągnąć czyjąś uwagę – powiedział – macham, krzyczę, albo wystrzeliwuję racę – zależy od odległości i innych warunków. Za daleko albo za cicho – i adresat mnie nie zobaczy i nie usłyszy. Nie miałem dotychczas wystarczająco jasnej racy, tak żeby przyciągnąć jego uwagę, chyba że wystąpiłbym sam. To by zadziało, ale straciłbym przewagę wynikającą z zaskoczenia. Teraz, dzięki Sydney, znalazłem idealny sposób i treść – dodał. Uniósł artykuł wyrwany z „National Mark” oraz znalezione przez Mitcha informacje na temat Barry’ego Lyncha, rzekomego bandyty, którego napad na bank udaremnił ponoć Eli. – Będziemy potrzebowali łopat.

XXXV

POPZREDNIEJ NOCY CMENTARZ MERIT

Łup.

Łup

Łup.

Łopata trafiła w drewno i utknęła.

Victor i Sydney odgarnęli ostatnią grudę ziemi i rzucili łopaty na trawę obok rozkopanej mogiły. Victor ukląkł i otworzył wieko trumny. Wewnątrz leżały świeże, dobrze zachowane zwłoki mężczyzny po trzydziestce. Miał ciemne, zaczesane do tyłu włosy, wąski nos i blisko osadzone oczy.

– Cześć, Barry – przywitał się z nim Victor.

Sydney nie mogła oderwać oczu od trupa. Wydawał jej się jakby... bardziej nieżywy, niżby chciała. Zastanawiała się, jakiego koloru będą jego oczy, kiedy je otworzy.

Przez chwilę milczeli, niemal z szacunkiem, a potem Victor położył jej dłoń na ramieniu.

– No! – powiedział, wskazując na zwłoki. – Do roboty!



Trup zadrżał, otworzył oczy i usiadł... a przynajmniej spróbował.

– Cześć, Barry – powtórzył Victor.

– Co... do... cholery... – wymamrotał Barry, odkrywając, że dolna część jego ciała, mniej więcej dwie trzecie, znajduje się pod zamkniętą połową wieka trumny, na którym spoczywał but Victora.

– Czy jesteś może znajomym Elia Cardale'a? Ach, zapomniałem, teraz występuje pod nazwiskiem Ever. Eli Ever.

Barry najwyraźniej dopiero zaczynał ogarniać wszystkie szczegóły swojej nowej sytuacji. Jego wzrok przeskoczył z trumny na ścianę rozkopanego grobu i dalej – na blondyna, który właśnie zadał mu pytanie, a potem na dziewczynkę w błękitnych legginsach, siedzącą nad brzegiem wykopu. Nogi dyndały jej w środku. Sydney patrzyła w dół z zaskoczeniem i odrobiną rozczarowania. Nie spodziewała się, że oczy Barry'ego będą po prostu piwne. Miała nadzieję na zielone.

– Pierdolony Ever – rzucił Barry, waląc pięścią w wieko trumny. Działo się z nim coś dziwnego: na ułamek sekundy zniknął, a potem znów się pojawiał, jak migocząca, przerywana projekcja holograficzna. Za każdym razem, kiedy to robił, powietrze wokół niego lekko syczało, tak jakby rozlegała się stłumiona, odległa eksplozja. – Powiedział, że to próba! Żeby mnie przyjąć do Ligi Bohaterów czy innej gównianej organizacji...

– Chciał, żebyś obrabował bank i w ten sposób udowodnił, że jesteś bohaterem? – Głos Victora ociekał sceptycyzmem. – I co się potem stało?

– A jak to wygląda, dupku? – zapytał Barry, wskazując na swoje ciało. – Zabił mnie przecież! Skurwiel wchodzi w samym środku pokazu, który sam kazał mi przygotować, i do mnie strzela!

A więc Victor miał rację, napad na bank był ustawiony. Eli zaaranżował to tak, żeby wyglądało na zabójstwo w obronie ludzi i mienia. Musiał przyznać, że to całkiem pomysłowy sposób na wykręcenie się od morderstwa.

– To znaczy, że nie żyję, tak? Czy jaja sobie ze mnie robicie?

– Nie żyłeś do niedawna – wyjaśnił uprzejmie Victor. – Teraz, dzięki mojej przyjaciółce Sydney, jesteś trochę mniej martwy.

Barry zaczął kląć, na czym świat stoi. Migotał przy tym i trzeszczał niczym pałeczka zimnych ogni.

– Coś ty narobiła?! – wrzasnął na Sydney. – Popsułaś mnie!

Dziewczynka zmarszczyła brwi, podczas gdy mężczyzna dalej błyskał i przygasał, rozświetlając wnętrze rozkopanego grobu przedziwnym światłem, podobnym do fotograficznego flesza. Nigdy przedtem nie wskrzesiła PonadPrzeciętnego i nie wiedziała, czy wszystkie kawałki układanki trafiły z powrotem na swoje miejsce.

– Spieprzyłaś moją moc, ty mała...

– Mamy dla ciebie pracę – przerwał mu Victor.

– Spierdalaj! Czy wyglądam, jakbym szukał jakiejś roboty? Chcę wyjść z tej jebanej trumny!

– Sądzę, że akurat tą pracą będziesz zainteresowany.

– Pierdol się. Jesteś Victor Vale, tak? Ever opowiadał mi o tobie, kiedy próbował mnie zwerbować.

– Jak miło, że pamięta – oświadczył Victor, lecz jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Taa, myślisz, że jesteś wielki i wszechmocny, bo możesz sprawiać ból i takie tam? No to ja się ciebie nie boję! – krzyknął Barry i ponownie zamigotał. – Łapiesz? Wypuść mnie, a pokażę ci, co to znaczy ból!

Sydney patrzyła, jak dłoń Victora zaciska się w pięść i poczuła, jak powietrze wokół niej wibruje, ale Barry najwyraźniej nic nie czuł. Coś tu było nie tak. Zrobiła wszystko, jak trzeba, dała mu drugą szansę, ale nie powrócił do życia w takim samym stanie jak zwykli ludzie, a przynajmniej nie całkiem. Powietrze przestało wibrować, a facet w trumnie zarechotał głośno.

– Ha, widzisz? Twoja mała dziwka coś spierdoliła, no nie? Nie czuję ani ukłucia. Nie możesz mi nic zrobić!

Na te słowa Victor nagle się wyprostował.

– Och, oczywiście, że mogę – powiedział uprzejmie. – Mogę zamknąć wieko, zasypać grób z powrotem i odejść. Hej, ty – zawołał do Sydney, która wciąż bujała nogami na brzegu rozkopanej mogiły. – Kiedy nieumarły znowu umrze?

Z początku Sydney chciała wyjaśnić Victorowi, że wskrzeszeni przez nią ludzie nie są „nieumarli”, tylko po prostu „żywi”, i o ile jej wiadomo – stają się całkiem normalnymi śmiertelnikami, no, może poza drobnym problemem z nerwami... ale doskonale wiedziała, do czego zmierza i co chce usłyszeć. Dlatego spojrzała na Barry’ego Lyncha i wzruszyła teatralnie ramionami.

– Nie widziałam, żeby któryś z nich wykorkował ponownie sam z siebie, więc pewnie nigdy – odparła.

– To dość długo – zauważył obojętnie Victor. Klątwy i okrzyki wściekłości Barry’ego stopniowo cichły. – A może to przemyślisz? Wrócimy za parę dni i pogadamy? – zapytał Victor. Sydney rzuciła mu łopatę, trącając przy tym grudę ziemi, która spadła i rozleciała się w locie, bębniąc w wieko trumny niczym deszcz.

– Dobra! Czekał, czekał, czekał – zajęczał błagalnie Barry, próbując wydostać się z trumny i przekonując się, że nogi mu uwięzły. Chwilę przed wskrzeszeniem Victor przybił mu spodnie do wnętrza pudła, zresztą na wniosek Sydney, która stwierdziła, że lepiej się zabezpieczyć. Teraz Barry panikował, migotał i biadolił, aż Victor wsadził mu ostrze łopaty pod brodę i uśmiechnął się złowieszczo.

– Czyli co? Rozumiem, że przyjmujesz tę robotę?

XXXVI

POPZREDNIEJ NOCY HOTEL ESQUIRE

– Co tam się stało, Sydney?

Victor starał się usunąć świeżą ziemię z butów, tupiąc mocno, kiedy szli po schodach do apartamentu (nie lubił używać wind), a dziewczynka skakała obok niego co drugi stopień.

– Dlaczego Barry nie wrócił do świata żywych z PonadPrzeciętnymi umiejętnościami?

– Nie wiem – wydyszała z wysiłkiem, zmęczona wspinaczką po schodach. – Próbowałam coś wymyślić, ale... Może to dlatego, że PonadPrzeciętni już mieli swoją drugą szansę?

– Czy ożywiając go, czułaś coś innego? Spróbuj sobie przypomnieć – naciskał Victor.

Skinęła głową.

– Działo się coś dziwnego. Normalnie jest tak, jakbym wyczuwała nitkę, coś, za co mogę złapać, ale u Barry'ego trudno mi było cokolwiek znaleźć, a kiedy już złapałam, cały czas mi się wyślizgiwała. Słabo ją czułam.

Victor milczał, aż doszli na siódme piętro.

– Gdybyś musiała znów tego spróbować... – zaczął z pytającą intonacją, lecz nie dokończył, bo stanęli przed drzwiami apartamentu. Ze środka dobiegły ich głosy, niskie i naglące. Victor wyjął zza pleców pistolet, przekręcił klucz i otworzył

drzwi szeroko. Ujrzeni tylko wytatuowaną głowę Mitcha, siedzącego na kanapie przed telewizorem. To właśnie z niego dochodziły głosy. Na ekranie leciał czarno-biały film. Victor westchnął, rozluźnił napięte ramiona i odłożył broń. Powinien był wiedzieć, że nic się nie dzieje, wyczuć nieobecność innych ludzi w pokoju. Złożył tę pomyłkę na karb zmęczenia. Sydney prześlizgnęła się obok niego do wnętrza apartamentu, a ludzie na ekranie w eleganckich garniturach kłócili się dalej ściszonymi głosami. Klasyczne filmy były konikiem Mitcha. Victor wiele razy załatwiał przeprogramowanie telewizora w więziennej świetlicy, zwykle pokazującego programy sportowe lub stare sitcomy, na czarno-białe starocie. Podobało mu się, że ten wielki, zwałisty facet miał tak nieoczywiste hobby. Dzięki temu Mitch był wyjątkowo interesującym człowiekiem.

Sydney zdjęła buty przy wejściu, a potem poszła obmyć ręce z cmentarnej ziemi i pozbyć się wszechogarniającego odoru śmierci. Kiedy przechodziła, olbrzymi czarny pies spojrzał na nią z miejsca koło kanapy, uderzając ogonem w podłogę. Po ożywieniu psa, a przed wyprawą na cmentarz po Barry'ego, Victor zdążył oczyścić sierść Dola z krwi i brudu, toteż zwierzę wyglądało teraz niemal normalnie. Dol wstał i powoli poszedł za Sydney.

– Cześć, Vic! – zawołał Mitch, przyjaźnie machając dłonią, lecz nie odrywając wzroku od wyfraczonych mężczyzn na ekranie. Koło niego leżał laptop z podłączoną małą, nowiutką drukarką, której nie było tam, kiedy wychodzili na cmentarz.

– Nie wziąłem cię na etat, żebyś grzała kanapę, Mitch – odezwał się Victor, przechodząc do kuchni.

– Znalazłeś Barry'ego?

– Tak jest – odparł Victor, nalał sobie szklankę wody i oparł się ciężko o kontuar, obserwując bąbelki uciekające z naczynia.

– Zgodził się doręczyć twoją wiadomość?

– Tak.

– No to gdzie jest? Przecież nie puściłeś go wolno?!

– Oczywiście, że nie – potwierdził Victor i się uśmiechnął. – Na noc odstawiłem go z powrotem do rezerwy.

– To dość okrutne.

Victor wzruszył ramionami i wypił łyk wody.

– Wypuszczę go rano, żeby wykonał swoje zadanie. A ty czym się zajmowałeś? – zapytał, przechylając szklankę w kierunku Mitcha. – Przykro mi, że przerywam oglądanie Casablanki dla tak przyziemnych spraw, ale...

Olbrzymi mężczyzna wstał i przeciągnął się.

– Jesteś gotowy na najbardziej zdumiewający przypadek dobrych i złych wiadomości, jaki w życiu widziałem?

– Dawaj.

– Komputer dalej wyszukuje – uprzedził Mitch, po czym uniósł teczkę. – A tu mamy to, co znalazł do tej pory. Kartoteka każdej z tych osób jest dość bogata, żeby były prawdopodobnymi kandydatami na PonadPrzeciętnych.

Victor wziął teczkę i zaczął rozkładać na kontuarze jej zawartość, w sumie osiem kartek.

– To ta część z dobrymi wiadomościami – podpowiedział Mitch.

Victor popatrzył na wydruki. Każda z nich zawierała wykradzone z serwerów dane – imiona, nazwiska, daty urodzenia, opinie medyczne, podsumowujące kolejne przypadki: opisy traumy, notatki psychologów i psychiatrów, policyjne protokoły czy recepty na leki antypsychotyczne

i przeciwbólowe. Wypreparowana, czysta informacja, burzliwe życiorysy sprowadzone do kilkunastu linijek tekstu. Obok każdej notatki widniała fotografia: mężczyzna przed sześćdziesiątką. Ładna brunetka. Nastolatek. Wszystkie zdjęcia zrobiono z ukrycia: osoby na zdjęciach patrzyły w różne strony, lecz nigdy wprost na fotografa. Wszystkie przekreślono na krzyż grubym, czarnym mazakiem.

– O co chodzi z tymi skreśleniami? – zapytał Victor.

– To ta zła wiadomość. Wszyscy nie żyją.

Victor spojrzał na Mitcha ostro.

– Wszyscy, co do jednego?

Mitch popatrzył ze smutkiem na wydruki.

– Wygląda na to, że miałeś rację co do sposobu działania Elia. Aha, gdybyś chciał wiedzieć, to tylko przypadki z Merit i okolic. Kiedy zaczęły wyskakiwać pierwsze wyniki wyszukiwania, zapuściłem następne, rozszerzając parametry na ostatnie dziesięć lat i większość kraju. Nie drukowałem tych rezultatów, bo było ich za dużo, ale układają się w pewien wzór.

Victor skupił się z powrotem na ośmiu kartkach. Nie mógł oderwać wzroku od grubych, czarnych iksów na zdjęciach. Zapewne powinien się czuć odpowiedzialny za sprowadzenie na świat potwora i za wszystkie trupy, jakie to monstrum po sobie pozostawiło – przecież to przez niego Eli stał się tym, kim teraz był; to Victor ponaglał go, by sprawdził swoją hipotezę w praktyce; to on reanimował Elia i on odebrał mu Angie – ale gdy patrzył w twarze na fotografiach, czuł tylko cichą radość i satysfakcję. Od początku miał rację co do przyjaciela. Tamten mógł prawić kazania o diable w skórze Victora, ale leżące na kontuarze wydruki stanowiły dowód na to, że Eli również był zły.

– Ten facet sieje zniszczenie – oznajmił Mitch, po czym podniósł dużo cieńszy plik papierów, leżący dotąd koło drukarki, i rozłożył je na kontuarze obok poprzednich. – Tu mam dla ciebie jeszcze trochę dobrych wieści – wyjaśnił.

Na Victora patrzyły ze zdjęć trzy osoby, również nieświadome tego, że ktoś je sfotografował. Czwarta kartka właśnie wysuwała się z cicho brzęczącej drukarki. Kiedy maszyna skończyła drukować, Mitch spauzował film i dołożył ostatni arkusz do pozostałych. Żadne ze zdjęć nie zostało przekreślone.

– Ci ludzie wciąż żyją?

Mitch przytaknął.

– Póki co, tak.

W tym momencie do salonu ponownie weszła Sydney, w dresach i T-shircie, a za nią Dol. Victorowi przyszło na myśl, że być może ci, których wskrzesiła, czują do niej przywiązanie... a może to tylko zwykła psia wierność? Poza wszystkim Dolowi najwyraźniej podobało się, że stojąc, może spojrzeć Sydney niemal prosto w oczy. Pogłaskała go nieuważnie po głowie i wyjęła z lodówki puszkę napoju. Wspięła się na wysoki barowy stół, stojący przy kontuarze, i chwyciła puszkę dłońmi.

Victor poskładał tymczasem wydruki z danymi dotyczącymi zmarłych i odłożył je na bok. Uważał, że Sydney nie musi się z nimi zapoznać – a w każdym razie jeszcze nie teraz.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Skinęła głową.

– Zawsze czuję się po tym dziwnie. Zimno mi.

– Nie wolałabyś w takim razie czegoś ciepłego do picia? – zaproponował Mitch.

– Nie. Wolę trzymać tę puszkę. Wiem wtedy, że jestem cieplejsza niż napój prosto z lodówki.

Mitch wzruszył ramionami. Sydney nachyliła się i spojrzała na cztery wydruki, podczas gdy laptop wciąż wyszukiwał dalsze dane pasujące do zadanego wzorca.

– Czy wszyscy są PonadPrzeciętni? – zapytała szeptem.

– Niekoniecznie – odparł Victor. – Może będziemy mieli szczęście i jedno czy dwoje z nich faktycznie okaże się kimś takim.

Przebiegł wzrokiem po zestawieniu informacji obok fotografii. Troje z potencjalnych kandydatów było młodych, czwarty – sporo od nich starszy. Sydney sięgnęła po jedną z kartek, zawierającą profil niejakiej Beth Kirk, dziewczyny o jasnobłękitnych włosach.

– Skąd mamy wiedzieć, kogo najpierw znajdzie? Od czego zaczniemy?

– Wyszukiwanie nie powie nam nic więcej – zastrzegł Mitch.

– Musimy zgadnąć. Wybierz jedną z tych osób i miejmy nadzieję, że dotrzemy do niej przed Eliem.

Victor pokręcił głową.

– Nie ma takiej potrzeby. Teraz to nie takie ważne – wyjaśnił.

Dziewczyna z błękitną fryzurą nic a nic go nie obchodziła, cała reszta znalezionych osób również. Bardziej interesowało go to, co mówiła o postępowaniu Elia lista martwych PonadPrzeciętnych, niż to, co mieli do zaproponowania żywi. Uważał ich tylko za przynętę, za kogoś, kogo można wykorzystać, by zwabić przeciwnika, ale Sydney – jej dar i wiadomość, jaką mógł dzięki niemu przekazać – sprawiła, że ci PonadPrzeciętni nie byli mu już potrzebni do realizacji planu.

Sydney wydawała się oburzona jego odpowiedzią.

– Ale przecież musimy ich ostrzec!

Victor wyłuskał profil Beth Kirk z jej dłoni i położył kartkę na kontuarze, zdjęciem do dołu.

– Wolisz ich ostrzec – zapytał łagodnie – czy raczej ocalić?

Gniew zniknął z twarzy Sydney, kiedy uświadomiła sobie, o co pyta Victor.

– Stracimy czas, uganiając się za ofiarami, a nie za mordercą. A kiedy Eli otrzyma naszą wiadomość, nie będziemy musieli za nim gonić.

– Dlaczego? – spytała zaintrygowana.

Usta Victora drgnęły.

– Ponieważ to on zacznie polować na nas.

2

PONADPRZECIĘTNY DZIEŃ

I

TEGO RANKA COLLEGE TERNIS

Eli Ever siedział z tyłu sali, oglądając słoje drewna w ławce przed sobą i czekając, aż wykład z historii dobiegnie końca. Odbywał się na sali wykładowej, a właściwie auli college'u Ternis, ekskluzywnej prywatnej uczelni, położonej pół godziny od granic miasta Merit. Trzy rzędy przed nim i dwa miejsca na lewo siedziała dziewczyna z błękitnymi włosami, nosząca imię Beth. Na tle innych wybryków współczesnej mody włosy nie wyglądały wcale dziwnie, lecz Eli dowiedział się, że Beth zaczęła farbować je na ten kolor po tym, jak całkowicie zbieleły. Fryzura posiwiła jej wskutek traumy, tak głębokiej, że niemal ją zabiła. Praktycznie rzecz biorąc, tak właśnie się stało: Beth była martwa przez cztery i pół minuty.

Mimo to teraz siedziała tutaj, pilnie notując to, co mówił prowadzący na temat wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, wojny hiszpańsko-amerykańskiej lub II wojny światowej – Eli nie był pewien tematu wykładu ani dokładnego okresu, jakiego miał dotyczyć – a błękitne kosmyki zasłaniały jej twarz, opadając na kartkę z notatkami.

Eli nie znosił historii, tymczasem wszystko wskazywało na to, że program nauczania nie zmienił się zbyt wiele od dziesięciu lat, kiedy sam musiał ją zdawać. Na uniwersytecie Lockland był to jeden z wielu obowiązkowych przedmiotów; najwyraźniej

władze uczelni uznały, że każdy student powinien spuchnąć od wiedzy jak balon. Eli gapił się w sufit, potem na wyświetlane na ekranie notatki profesora, częściowo odręczne, częściowo drukowane, następnie znów na błękitną czuprynę Beth, wreszcie na zegarek. Wykład dobiegał końca. Tętno mu przyspieszyło, gdy wyciągał z torby cienkie dossier przygotowane przez Serenę. Zawierało między innymi boleśnie szczegółowy opis wypadku, jakiemu uległa błękitnowłosa, naprawdę tragicznego – Beth przeżyła go jako jedyna – i historię jej rekonwalescencji. Musnął palcami fotografię dziewczyny, zastanawiając się, skąd pochodzi zdjęcie. Podobał mu się jej naturalny kolor włosów sprzed wypadku.

Zegar tykał. Eli wsunął akta Beth z powrotem do torby i poprawił na nosie parę okularów w grubych oprawkach z zerowymi szklami, nie korekcyjnymi. Zauważył wcześniej, że na kampusie college’u Ternis panuje taka moda, i postanowił ją naśladować. Potrafił oczywiście dostosować swój wygląd do dowolnego wieku, ale style się zmieniały, niemal zbyt szybko, by za nimi nadążyć. Beth mogła się wyróżniać, jeżeli chciała, lecz Eli robił wszystko, żeby wtopić się w otoczenie.

Profesor, dzięki Bogu, zakończył wykład o kilka minut wcześniej i życzył wszystkim udanego weekendu. Zaszurały odsuwane krzesła, studenci podnieśli torby i plecaki. Eli wstał i wyszedł z auli na korytarz za błękitnowłosą dziewczyną, niesiony ludzką falą. Kiedy dotarli do drzwi wyjściowych, przytrzymał je przed nią. Podziękowała mu, założyła kobaltowoniebieski kosmyk za ucho i ruszyła przez kampus.

Eli podążył za nią.

Idąc, pomacał z przyzwyczajenia kieszeń w kurtce, gdzie zwykle nosił pistolet, lecz była pusta. W dossier Beth znalazł

dość informacji, by zrezygnować z czegokolwiek metalowego, co podlegało przyciąganiu magnetycznemu, więc zostawił broń w schowku wewnątrz samochodu. Musiał to zrobić starym sposobem; nie miał nic przeciwko temu. Nieczęsto pozwalał sobie na tak osobiste zaangażowanie, ale nie mógł zaprzeczyć, że w zabiciu kogoś gołymi rękami było coś prostego i satysfakcjonującego.

College Ternis był małą uczelnią, jedną z tych przytulnych prywatnych szkół, składających się z budynków w rozmaitych stylach, połączonych ścieżkami biegnącymi przez bujnie zadrzewiony park. Eli i Beth szli teraz jedną z szerszych alejek, przecinających cały kampus. Znajdowało się na niej dość studentów, by skutecznie zamaskować szpiegowskie zapędy Elia. Podążał za dziewczyną, zachowując bezpieczny dystans, z przyjemnością wciągając do płuc rześkie wiosenne powietrze i ciesząc się pięknem popołudniowego nieba, widocznego między pierwszymi zielonymi liśćmi. Jeden z nich spadł z drzewa prosto na błękitne włosy śledzonej. Wciągając rękawiczki na dłonie, Eli podziwiał kontrast zieleni i błękitu podkreślający intensywność obu kolorów.

Kiedy byli już prawie na parkingu, Eli przyśpieszył kroku, zmniejszając dystans pomiędzy nimi, aż miał Beth w zasięgu ręki.

– Hej! – zawołał, udając zadyszkę. Dziewczyna zwolniła i obejrzała się, ale dalej szła przed siebie. Po chwili znalazł się tuż obok niej. – Jesteś Beth, prawda?

– Tak – przyznała. – Chodzimy razem na wykłady z historii do Phillipsa.

Eli był obecny tylko na dwóch ostatnich, ale za każdym razem upewnił się, że go zauważyła.

– Pewnie, że tak – przyświadczył, przywołując na twarz swój najlepszy studencki uśmiech, po czym przedstawił się: – Jestem Nicholas. – Podobało mu się to imię. Najczęściej używał jednego z trzech: Nicholas, Frederic lub Peter. To były poważne imiona, noszone w przeszłości przez władców, zdobywców i królów.

Szli teraz razem z Beth przez parking, między rzędami samochodów, a budynki college’u malały w tle za ich plecami.

– Słuchaj, miałbym małą prośbę – zagaił Eli.

– A o co? – zapytała Beth, zakładając niesforny kosmyk włosów z powrotem za ucho.

– Na wykładzie chyba bujałem w obłokach – przyznał z udawaną skruchą – i kompletnie przegapiłem moment, kiedy profesor podawał listę dodatkowych lektur. Zapisłaś ją może?

– Jasne – powiedziała. Właśnie dotarli do jej samochodu.

– Dzięki – powiedział, przygryzając wargę. – Wiesz, na auli było sporo ciekawszych rzeczy niż tablica...

Beth zachichotała nieśmiało, postawiła torbę na masce, rozpięła ją i sięgnęła do wnętrza.

– Wszystko jest lepsze niż tablica – powiedziała, wyciągając notatnik.

W chwili, gdy odwracała się ku niemu z zapiskami, złapał ją za gardło, przyciskając jednocześnie do samochodu. Zachłysnęła się, a Eli zacisnął dłoń mocniej. Upuściła notatnik i wpiła paznokcie w jego twarz, zrzucając okulary w grubych oprawkach i żłobiąc głębokie szramy na policzkach. Poczuł, że cieknie mu po nich krew, ale nie przejmował się tym kompletnie. Samochód za nią zaczął się kołysać, próbowała zgnać metalową karoserię, ale była zbyt niedoświadczona, a samochód – za ciężki. Poza tym kończyło jej się powietrze w płucach, a wraz z nim – wola walki.

Swego czasu Eli przed każdą egzekucją rozmawiał z PonadPrzeciętnymi, próbując logicznie przekonać ich do swojego punktu widzenia, uzasadnić konieczność swojego działania, tak by zrozumieli, dlaczego umierają. Byli przecież już martwi, obrócenii w popiół; pozory życia nadawała im jakaś mroczna, lecz niezbyt silna energia. Nie słuchali go jednak, więc w końcu zdecydował, że zastąpi słowa czynami. Zrobił wyjątek dla siostrzyczki Sereny i proszę, co mu to dało. Dlatego tym razem nie zamierzał strzępić języka.

Przycisnął dziewczynę do samochodu i czekał cierpliwie, aż jej ruchy zwolnią, osłabną, a w końcu ciało zwiśnie bezwładnie. Stał kompletnie nieruchomo i delektował się tą chwilą; momentem, który nadchodził za każdym razem, kiedy światło – powiedziałby „światło życia”, ale to nie byłoby w porządku; nie „życia”, ale czegoś, co tylko je udawało – znikało z ich oczu. Chwila spokoju i pewności, że światu została przywrócona równowaga. Nienaturalne stało się z powrotem naturalne.

Chwila minęła. Eli oderwał dłonie w rękawiczkach od gardła dziewczyny i patrzył, jak jej zwłoki osuwają się po zniekształconej karoserii na betonową nawierzchnię, a błękitne włosy w nieładzie zasłaniają twarz. Przeżegnał się. Tymczasem wściekle czerwone zadrapania na jego policzku zablizniły się i zagoiły, pozostawiając pod zaschniętą krwią gładką, czystą skórę. Klęknął, by podnieść z betonu swoje fałszywe okulary, leżące tuż koło ciała. Kiedy poprawiał je na nosie, zadzwoniła komórka. Wyłowił wibrujący telefon z kieszeni.

– Tu Liga Bohaterów – powiedział do słuchawki. – W czym mogę pomóc?



Spodziewał się, że usłyszy śmiech Sereny – „Liga Bohaterów” była ich prywatnym żartem – ale głos po drugiej stronie był śmiertelnie poważny i ponad wszelką wątpliwość męski.

– Pan Ever? – zapytał rozmówca.

– Kto mówi?

– Funkcjonariusz Dane z policji Merit. Dostaliśmy zgłoszenie o trwającym właśnie napadzie. Bank Tidings Well, na rogu Piątej i Harbor.

Eli zmarszczył czoło.

– Mam własną pracę, panie Dane. Czy sugeruje pan, że policja chce, żebym zrobił coś za nią? Skąd pan ma ten numer? Mieliśmy się porozumiewać inną drogą.

– Dziewczyna. To ona dała mi pana numer – odparł tamten. W tle rozległa się eksplozja, aż w słuchawce zatrzeszczało.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Tak właśnie jest – wyjaśnił funkcjonariusz Dane. – Napastnik jest PonadPrzeciętny.

Eli potarł czoło.

– Macie przecież specjalne plany na taką okazję? Uczą was tego gdzieś tam na szkoleniu? Nie mogę za każdym wkraczać i...

– To, że jest PonadPrzeciętny, nie stanowi problemu, panie Ever.

– W takim razie powiedz mi, człowieku – wycedził Eli – co nim jest?

– Napastnik został zidentyfikowany jako Barry Lynch. Pan... to znaczy... Z tego, co nam wiadomo, powinien być martwy.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Już jadę – rzucił Eli. – Czy to wszystko?

– Właśnie nie. Facet się awanturuje. Wywrzaskuje pańskie nazwisko. Mamy go zastrzelić?

Eli stanął przy swoim samochodzie.

– Nie. Nie zabijajcie go, dopóki się tam nie zjawię – powiedział i zakończył połączenie.

Otworzył drzwi i wsiadł, naciskając jednocześnie przycisk szybkiego wybierania. W słuchawce odezwał się głos dziewczyny, ale natychmiast jej przerwał.

– Mamy problem. Barry wrócił.

– Oglądam to właśnie w telewizji. Myślałam, że...

– Tak, zabiłem go. Był całkiem nieżywy.

– W takim razie jak...

– Jak może właśnie obrabiać bank na rogu Piątej i Harbor? – rzucił, odpalając silnik. – Jakim cudem nagle nie jest martwy? Doskonałe pytanie. Któż też mógłby wskrzesić Lyncha, ach, któż?

Po drugiej stronie zapadła cisza. W końcu Serena odezwała się:

– Powiedziałeś mi, że ją zabiłeś.

Eli zacisnął dłonie na kierownicy.

– Bo tak mi się wydawało!

A przynajmniej taką miał nadzieję.

– Tak samo ci się wydawało, że zabiłeś Barry'ego?

– Nie, jestem pewny, że go załatwiłem, dużo bardziej pewny niż w sprawie Sydney. Barry był ostatecznie, niezaprzeczalnie martwy.

– Powiedziałeś mi, że za nią pobiegłeś. Powiedziałeś mi, że ją wykończy...

– Pogadamy o tym później – uciał. – Teraz muszę jechać do banku i zabić Barry’ego Lyncha jeszcze raz. Tym razem na dobre.



Telefon wyslizgnął się z dłoni Sereny i wylądował na łóżku, a ona z powrotem odwróciła głowę w kierunku hotelowego telewizora, pokazującego na żywo sceny sprzed banku. Mimo że najważniejsze wydarzenia rozgrywały się w środku, a kamery znajdowały się na ulicy, za szeroką żółtą taśmą, sytuacja wywoływała zrozumiałe podniecenie. Przecież zaledwie tydzień wcześniej napad na bank Smith&Lauder został szczegółowo opisany w gazetach. Nieuzbrojony bohater wyszedł ze strzelaniny bez jednego draśnięcia, a napastnika wyniesiono z banku w czarnym worku.

Nic dziwnego, że teraz opinię publiczną bulwersował widok bandyty żywego i w doskonałej formie, dokonującego następnej zbrodni. Jego nazwisko pojawiało się wciąż od nowa na pasku biegnącym u dołu ekranu. Wytluszczone litery ogłaszały: „Barry Lynch żyje*** Barry Lynch żyje*** Barry Lynch żyje”.

Co oznaczało, że Sydney również. Serena nie miała najmniejszych wątpliwości, że do tej dziwnej, niepokojącej sytuacji doszło dzięki jej siostrze.

Łyknęła kawy, nieco zbyt gorącej, i skrzywiła się lekko, kiedy napój sparzył ją w gardło, ale nie przestawała. Przywykła do tego, że nieożywione obiekty nie były posłuszne jej woli. Nie miały przecież umysłów ani uczuć. Nie mogła nakazać kawie, by ta jej nie parzyła, ani nożom, żeby jej nie kaleczyły. Ludzie, trzymający przedmioty, należeli do niej, ale same przedmioty –

już nie. Znów wypić łyżeczek kawy, a jej wzrok padł na telewizor, pokazujący zdjęcie rzekomo zmarłego PonadPrzeciętnego, wypełniające połowę ekranu.

Dlaczego Sydney to zrobiła?

Eli zapewnił Serenę, że jej siostra nie żyje. Ostrzegając go, żeby nie kłamał, a on spojrzał jej prosto w oczy i powiedział, że zastrzelił Sydney. I chyba nie było to kłamstwo... a może jednak? Przecież stała niedaleko, kiedy naciskał spust. Zacisnęła gniewnie usta. Eli coraz lepiej potrafił opierać się jej mocy i znajdować w niej słabe punkty. Przejęzyczenia, przeoczenia, niedopowiedzenia, opóźnienia. Takie próby stawiania oporu nawet jej się podobały, ale myśl o Sydney – żywej, rannej i przebywającej gdzieś w mieście – sprawiła, że zaparło jej dech w piersi.

Wszystko miało wyglądać inaczej.

Serena zamknęła oczy i przywołała z pamięci wspomnienie tamtego dnia: łąka, ciało i przerażona twarz jej siostry. Sydney starała się, jak mogła, żeby wyglądać na dzielną, ale nie potrafiła ukryć strachu, nie przed Sereną, która znała każdy szczegół jej twarzy, która tyle razy siedziała przy niej na łóżku, wygładzając dłonią skrzywione ze strachu usta. Serena nie powinna się była odwracać ani wołać siostry. Powiedziała sobie po raz kolejny, że dziewczyna na łące nie była jej siostrą. Serena wiedziała, że dziewczynka, wyglądająca tak jak Sydney, tak naprawdę nią nie była – podobnie jak ona sama nie była prawdziwą Sereną. Jednak tuż przed tym, gdy Eli pociągnął za spust, wszystko to wydało jej się nieważne; Sydney wydawała się mała, przerażona i bardzo żywa, a Serena kompletnie zapomniała, że w rzeczywistości jest całkiem inaczej.

Otworzyła z powrotem oczy, tylko po to, by zobaczyć pulsujący napis na pasku: „Barry Lynch żyje*** Barry Lynch żyje*** Barry Lynch żyje”. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor.

Eli stwierdził, że takie rozwiązanie jest najlepsze. Nazywał PonadPrzeciętnych „cieniami”, ponieważ wyglądali według niego tak jak ludzie, z których powstał, lecz w środku byli całkiem szarzy. Serena właśnie tak to widziała. Od chwili, kiedy obudziła się w szpitalu, czuła się tak, jakby brakowało jej czegoś kolorowego, jasnego i... pełnego życia. Eli powiedział jej, że brakujący element to jej dusza; utrzymywał, że on sam jest inny, a Serena pozwoliła mu tak myśleć. Gdyby chciała, przekonałaby go, że jest inaczej, a on by w to uwierzył.

A co, jeżeli miał rację? Myśl o utracie duszy sprawiła, że Serena poczuła nieokreślony smutek, lecz gdy wyobraziła sobie biedną, małą Syd, pustą i nieczułą, niemal ją zabolowało. Tak, Eli miał chyba rację, twierdząc, że odsyła PonadPrzeciętnych na tamten świat wyłącznie z miłosierdzia. Było jej dużo trudniej, gdy Sydney stanęła w drzwiach, zaróżowiona od chłodu, z jasnoniebieskimi oczami, które wciąż wyglądały na pełne życia. Kiedy szli ku łące, Serena zawahała się, zwiedziona głosem w swojej głowie, który powtarzał w kółko: „A co, jeśli tak nie jest?”.

Eli utrzymywał, że Sydney grzeszy podwójnie: nie tylko sama stała się PonadPrzeciętna, co jest nienaturalne i złe, ale posiadała także moc deprawowania innych, zatruwania ich poprzez wypełnianie ich ciał czymś, co wydawało się duszą, ale w rzeczywistości nią nie było. Może Serena dostrzegła w oczach Sydney właśnie to? Fałszywe światło, które wzięła za płomień życia, duszę siostry?

Może.

Niezależnie od tego, co ją powstrzymało, naprawdę się wówczas zawahała, a teraz jej siostra – zjawa, która wyglądała tak jak ona – żyła i najwyraźniej znajdowała się w tym samym mieście. Serena włożyła płaszcz i ruszyła na poszukiwanie Sydney.

II

TEGO RANKA HOTEL ESQUIRE

Victor zmywał z siebie ostatnie okruchy cmentarnej ziemi, rozkoszując się gorącą wodą z hotelowego prysznica. Barry Lynch okazał się zaskakująco skłonny do współpracy, kiedy Victor odwiedził go na cmentarzu. Wrócił tam przed świtem, usunął kilkudziesięciocentymetrową warstwę ziemi, którą przykrył trumnę Lyncha, żeby grób w razie czego wydawał się przypadkowym przechodniom pusty, i wyłamał wieko. Powitał go przerażony wzrok Barry'ego. Ból i strach są nierozłączne – tę lekcję Victor wykuł na blachę jeszcze na studiach w Lockland – ale cierpienie może przybrać wiele form. Może i nie mógł zranić Barry'ego fizycznie, lecz nie oznaczało to, że nie dało się go torturować. Lynch ze swojej strony najwyraźniej zrozumiał przesłanie. Victor uśmiechnął się i pomógł wskrzeszonemu mężczyźnie wyjść z trumny, mimo że dotyk dziwnie bladej skóry przejmował go wstrętem. Następnie przekazał mu notkę i wysłał do roboty. Victor uważał, że Barry z pewnością zastosuje się do wskazówek, ale żeby się ostatecznie upewnić, zrobił jeszcze jedno. Kiedy się pożegnali, zrobił kilka kroków, po czym udał, że coś mu się przypomniało, zawołał tamtego i powiedział mu:

– Ta dziewczynka, Sydney, która cię wskrzesiła, może w każdej chwili zmienić zdanie. Pstryknie palcami i padasz jak mucha. A właściwie jak trup. Chcesz się przekonać? – zapytał,

wyciągając z kieszeni telefon i udając, że wybiera numer. – To naprawdę cwana sztuczka.

Barry zbladł jeszcze bardziej i pokręcił głową, a wtedy Victor wyprowadził go w drogę.

– Hej, Vale! – głos Mitcha dotarł do niego przez ścianę łazienki. – Wyłaź już i chodź tutaj!

Zakręcił szybko prysznic.

– Victor!

Mitch wykrzykiwał jeszcze jego imię minutę później, kiedy wyszedł na korytarz, wycierając głowę ręcznikiem. Słońce świeciło przez wysokie okna, tak jasno, że Victor się skrzywił. Było co najmniej południe, więc jego wiadomość powinna pokonać już większą część drogi do adresata.

– Co się dzieje? – zapytał Victor z niepokojem, lecz gdy zobaczył szeroko uśmiechniętą twarz Mitcha, odprężył się. Cokolwiek tamten zrobił, był z tego dumny. Sydney również wyszła ze swojej sypialni, a za nią Dol, leniwie machając ogonem.

– Chodź i zobacz – powiedział Mitch i wskazał na wydruki rozłożone na kuchennym kontuarze. Victor westchnął. Było ich teraz kilkanaście, lecz był pewny, że większość okaże się fałszywymi tropami. Najwyraźniej nie potrafili określić kryteriów wyszukiwania wystarczająco dokładnie. Spędził poprzedni wieczór i większość nocy, przeglądając kolejne kartki, zastanawiając się, jak, u licha, Eli to zrobił: czy sprawdzał każdy ślad, czy też zauważył coś, o czym Victor nie miał pojęcia. Teraz, na jego oczach, Mitch zaczął odwracać kartki tekstem do dołu, zakrywając jeden profil po drugim, aż zostały tylko trzy. Jeden z nich należał do błękitnowłosej dziewczyny, drugi do starszego człowieka – Victor przeglądał jego dane

poprzedniej nocy – ale trzeci był nowy, tusz na kartce jeszcze nie wysechł.

– Oto obecna lista celów Elia – oznajmił triumfalnie Mitch.

Victor mrugnął, przestąpił z nogi na nogę i zaczął wystukiwać na kontuarze niecierpliwy rytm.

– Jak do tego doszedłeś?

– Wspaniała sprawa. Przestań na chwilę spacerować, to ci opowiem.

Victor zmusił się, by stać nieruchomo.

– Dawaj – zażądał, przeglądając nazwiska i zdjęcia.

– No więc tak: przeglądam sobie wzorzec wyszukiwania – zaczął Mitch – i za każdym razem kończę z aktami policji. Tej tutaj, w Merit. No to myślę sobie: a może gliniarze już mają własną bazę danych, co nie? Może moglibyśmy porównać ją z naszą? Wspominałeś kiedyś, że dawno temu jeden z nich, czy tam ktoś, wiedział o PonadPrzeciętnych. No to mówię, halo, może po prostu pożyczę sobie ich dane, zamiast przedzierać się przez całą sieć, tak jak dotychczas – rozumiesz, potrafiłbym to zrobić, tyle że to zabiera sporo czasu – ale co, jeśli odwalili za mnie część roboty? Więc zaczynam grzebać w bazie danych osób podejrzanych policji z Merit. I tu coś przyciąga mój wzrok. Jako dzieciak uwielbiałem te łamigłówki, w których trzeba wskazać ileś tam różnic. Rozwalałem je błyskawicznie. W każdym razie...

– Są jakoś oznaczeni – podsumował Victor, obejmując wydruki wzrokiem.

Mitch momentalnie oklapł.

– Chłopie, ty to umiesz ukraść człowiekowi puentę. Ale tak... a ja ułatwiłem wam odgadnięcie, jak – powiedział i wydał wargi,

udając śmiertelną obrazę. – Odwróciłem część kartek. Łatwo dostrzec wzór, kiedy ma się wszystko podane na talerzu...

– Jak oznaczeni? – zapytała Sydney, stając na palcach, by spojrzeć na kartki.

– Patrz – powiedział Victor, wskazując na nie. – Co ci wszyscy ludzie mają wspólnego?

Syd zmrużyła oczy, wpatrując się w profile, ale nic nie dostrzegła.

– Drugie imię – podpowiedział.

Dziewczynka odczytała je na głos:

– Elise. Elington. Elissa. W każdym z nich ukryto imię „Eli”!

– Dokładnie tak – przyznał Mitch. – Zostały wyraźnie oznaczone, i to w taki sposób, żeby nawiązać do naszego starego przyjaciela, Elia. Co oznacza...

– ...że działa ramię w ramię z gliniarzami – dokończył Victor.
– Tutaj, w Merit.

Sydney wpatrzyła się w zdjęcie dziewczyny z błękitnymi włosami.

– Skąd wiecie, że to prawda? – spytała. – A może to tylko zbieg okoliczności?

Mitch był bardzo z siebie zadowolony.

– Odrobiłem pracę domową i sprawdziłem tę hipotezę, wyciągając ich stare akta. Dane podejrzanych, którzy zmarli, dziwnym zbiegiem okoliczności trafiły wszystkie do cyfrowego kosza na śmieci, co tak przy okazji przyciąga uwagę samo w sobie. Dopasowałem jednak całkiem sporo z nich do egzekucji Elia z ostatnich czterech miesięcy – oznajmił, kładąc na stole teczkę z profilami zmarłych PonadPrzeciętnych. – W tym twojego starego znajomego Barry’ego Lyncha. Tego samego, którego odkopywaliście zeszłego wieczoru.

Victor znów zaczął spacerować.

– A potem znalazłem jeszcze lepszą rzecz – dodał Mitch. – Oznaczone profile wprowadzał do bazy zawsze jeden z dwóch policjantów – powiedział i popukał w prawy górny róg strony: – Funkcjonariusz Frederick Dane... albo oficer śledczy Mark Stell.

Victorowi na chwilę zapało dech w piersi. Stell. Jakie były szanse, że trafi na tego samego faceta, który dziesięć lat wcześniej kazał go aresztować? Który pełnił służbę w wydziale PP w Lockland? Tego samego, który osobiście odeskortował Victora, dochodzącego do siebie po wielokrotnym postrzale, do izolatki zakładu karnego Wrighton? To śledztwo Stella oraz zeznania Elia sprawiły, że Victor spędził pięć lat w samotności. Oczywiście oficjalnie nie ogłoszono go PonadPrzeciętnym, tylko nadano mu status wyjątkowo niebezpiecznego dla siebie i innych. Dopiero kiedy przez pół dekady całą siłą woli powstrzymywał się od zadawania komukolwiek bólu, przeniesiono go na oddział ogólny.

– Słuchasz mnie? – zapytał Mitch.

Victor przytaknął z roztargnieniem.

– Ci, którzy oznaczają profile, mieli albo przez cały czas mają kontakt z Eliem.

– Właśnie tak.

Victor wzniosł w powietrzu toast szklanką czystej wody, lecz jego myśli szybowwały gdzieś daleko.

– Brawo, Mitch! – powiedział, po czym zwrócił się do Sydney: – Jesteś głodna?

Dziewczynka najwyraźniej nie słuchała. Wzięła do ręki teczkę z profilami zmarłych osób PP i przeglądała je, pochłonięta zawartością, aż zatrzymała się na dłuższą chwilę.

Victor spojrział jej przez ramię i zobaczył, co ją tak zainteresowało. Na zdjęciu widniały znajome blond włosy i bladobłękitne oczy, a pod nim biegł podpis: Sydney Elinor Clarke.

– Na drugie imię mam Marion – powiedziała cicho. – A on myśli, że nie żyję.

Victor pochylił się nad nią i wyciągnął kartkę. Złożył ją na cztery, wsunął do kieszeni swojej koszuli i mrugnął porozumiewawczo.

– Jeszcze trochę, a zmieni zdanie – odparł, znacząco pokazując na zegarek. – Jeszcze troszeczkę.

III

TEGO RANKA BANK TIDINGS WELL

Eli zaparkował półtorej przecznicy od żółtej taśmy, odgradzającej miejsce zbrodni, i poprawił na nosie okulary z zerowymi szklami, zanim wysiadł. Gdy przemykał na tyły banku, unikając obiektywów fotoreporterów oraz tłumy niezdrowo zaciekawionych widzów, zauważył, że napad najwyraźniej dobiegł już końca. Gapie trwali na posterunku, światła policyjnych kogutów migały, ale poza tym panował względny spokój – nie było słychać syren, strzałów ani krzyków. To mu wystarczyło, żeby wstępnie zorientować się w sytuacji.

Zesztywniał, kiedy zobaczył śledczego Stella, mimo że Serena przysięgała, że może bezpiecznie kontaktować się z tym policjantem. Stell przybył do Merit kilka miesięcy wcześniej, by zbadać serię morderstw popełnionych w tym rejonie (będących oczywiście dziełem Elia). Nawet zapewnienia Sereny nie rozwiały ostatecznie wątpliwości Elia dotyczących lojalności śledczego. Stell, teraz już o szpakowatej czuprynie i z pionową zmarszczką na czole, przywitał go za budynkiem i sam uniósł taśmę, umożliwiając mu przejście. Eli znów poprawił okulary na nosie. Były ociupinkę za duże i cały czas mu zjeżdżały.

– Ale z ciebie Clark Kent – zażartował cierpko Stell.

Eli nie był w nastroju do takich dowcipów.

– Gdzie on jest?

– Nie żyje – odparł śledczy i poprowadził przybysza do banku.

– Powiedziałem przecież, że chcę go żywego!

– Nie miałem wyboru. Zaczął strzelać, czy jak tam to nazywacie, i to na oślep, tak jakby celownik mu się rozregulował. Nie potrafiłem go inaczej powstrzymać, żeby nie narozrabiał.

– Jakież cywilne ofiary?

– Nie, kazał wszystkim wyjść – wyjaśnił Stell. Dotarli do ledwie rozróżnialnego kształtu ludzkiego ciała, przykrytego czarną płachtą. Policjant trącił je nogą. – Media chcą wiedzieć, dlaczego szaleniec, który powinien być martwy, wchodzi z bronią do banku, ale nie próbuje go obrabować ani nie bierze zakładników, tylko wywała wszystkich na ulicę, strzela w powietrze i przez cały ten czas wrzeszczy, żeby dać mu niejakiego Elia Evera.

– Nie powinienesz być pozwolić, żeby opisali to, co stało się w zeszłym tygodniu.

– Nie powstrzymam dziennikarzy od opisywania tego, co widzą, Eli. Poza tym to ty chciałeś z tego zrobić wielką demonstrację.

Eliowi nie spodobał się ton śledczego. Nigdy mu się nie podobał, zwłaszcza ta wojownicza nuta, która tak często pojawiała się w rozmowach między nimi.

– Owszem, potrzebowałem czegoś takiego – rzucił teraz. Nie chciał przyznać, że za tą decyzją kryło się coś więcej – że chciał, by jego wyczyn obejrzała jak największa widownia. To na pewno był pomysł Sereny, ale szybko się do niego przekonał.

– Demonstracja to jedna sprawa – zauważył Stell. – Ale czy naprawdę potrzebujesz przedstawienia?

– W ten sposób zamaskowałem morderstwo – przypomniał mu Eli i odkrył czarną płachtę. – Skąd miałem wiedzieć, że facet zmartwychwstanie? – dodał z wyrzutem. Piwne oczy Barry’ego Lyncha patrzyły na niego tępo z martwej twarzy. Słyszał, że inni policjanci kręcący się naokoło szepczą coś do siebie, zastanawiając się, kim jest ten facet i co tu robi. Pochylił się nad ciałem, próbując wyglądać jak jeszcze jeden tajny agent.

– Kazałeś mi się tu przywlec po nic – powiedział półgłosem. – Facet jest martwy.

– Och, wybacz, ale już raz go zabiłeś, tydzień temu, pamiętasz? – zadrwił Stell i dodał: – Poza tym teraz zostawił do ciebie liścik.

Wręczył Eliowi przezroczystą plastikową torebkę, w której znajdował się pogięty kawałek papieru. Eli wyjął go i ostrożnie rozwinął.

Na kartce widniały narysowane patykowate postacie. Dwoje ludzi podających sobie dłonie: chudy mężczyzna w czerni i dziewczynka, o połowę od niego mniejsza, z krótkimi włosami i wielkimi oczami. Głowę miała lekko przechyloną, a na jej ramieniu narysowano małą czerwoną kropkę. Trzy podobne kropki, nie większe niż znaki przestankowe, znaczyły pierś mężczyzny. Jego usta zaznaczono cienką, prostą kreską, co nadawało mu ponury wyraz twarzy.

Pod rysunkiem znajdowało się jedno zdanie: „Zaprzyjaźniłem się z kimś”.

Victor.

– Wszystko w porządku?

Eli mrugnął, czując dłoń policjanta na ramieniu. Odsunął się, złożył papier i wsunął go do kieszeni, zanim ktokolwiek

mógł mu w tym przeszkodzić lub zaprotestować.

– Pozbądź się ciała – polecił Stellowi. – Tym razem je spal.

Wrócił tą samą drogą, nie zatrzymując się ani na chwilę, aż wsiadł bezpiecznie do samochodu. Siedząc za kierownicą w bocznej uliczce, dotknął kieszeni, w której schował rysunek. Poczuł, że zaczyna boleć go żołądek. Wracały wspomnienia sprzed lat...

Victor podniósł nóż ze stołu. „Zadzwońeś na policję i powiedziaeś im, że jestem PonadPrzeciętny. A ja cię nie wydałem, chociaż mogłem. Dlaczego powiedziaeś im coś tak głupiego? Orientowaeś się, że mają specjalnego oficera, który wracza do akcji, jeżeli pojawia się podejrzenie o PonadPrzeciętność? Facet nazywa się Stell. Wiedziaeś o tym?”

„Jesteś wkurzony”, odparł wówczas Eli i się odsunął. „Odłóż nóż. I tak mnie nie możesz zranić.”

Victor się uśmiechnął. Wyglądał jak ktoś obcy. Eli próbował odskoczyć, ale ściana była za blisko. Nóż wbił się w jego żołądek. Poczuł, jak czubek ostrza dociera od wewnątrz do skóry pleców. Ból był ostry i nieustanny. Ciągnął się bez końca, zamiast błysnąć pojedynczym impulsem i zgasnąć, rozpuścić się bez śladu.

„Wiesz, z czego sobie zdałem sprawę?” – wysyczał Victor. „Kiedy siedziaeś na ulicy pod latarnią i wyciągaeś szkło z dłoni? Nie możesz się uleczyć, dopóki nie wyjmę noża!” Przekreślił go w ranie, a ból eksplodował przed oczami Elia tysiącem kolorów. Jęknął. Nogi się pod nim ugięły i zaczął zsuwać się po ścianie, ale Victor przytrzymał rękojeść.

„Nie użyłem nawet jeszcze mojej nowej sztuczki”, powiedział. „Nie jest tak efektowna jak twoja, ale dość skuteczna. Chcesz ją

poznać?”

Eli oprzytomniał. Przełknął gwałtownie ślinę i wykręcił numer Sereny, jednocześnie wrzucając bieg. Skręcił w stronę hotelu. Kiedy odebrała, nie czekał, aż się odezwie.

– Pojawił się poważny problem.

IV

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Tego chłodnego poranka Eli Ever usiadł na stopniach przed swoim apartamentem i przeczesał palcami włosy, zanim zdał sobie sprawę, że dłonie ma całe we krwi. Otaczały go żółte policyjne taśmy, zbyt jasne w przyćmionym świetle zimowego świtu. Migające czerwone i niebieskie światła odbijały się od pokrytej lodem ziemi. Za każdym razem, kiedy na nie spojrzał, musiał mrugać przez kilka minut, by pozbyć się irytujących powidoków.

– Może nam pan to opowiedzieć jeszcze raz? – poprosił go młody gliniarz.

Eli dotknął żołądka. Echo zadanego mu bólu wróciło, mimo że skóra już dawno się zabiłiła. Zatarł dłonie i patrzył, jak płatki zaschniętej krwi spadają w śnieg zalegający na chodniku. Nadając głosowi rozpaczliwy ton (choć nie był pewny, jak się właściwie czuje), po raz kolejny zrelacjonował policjantowi wydarzenia ubiegłego wieczoru: zaczynając od telefonu spanikowanego Victora, przyznającego się do zamordowania Angie, aż do jego nagłego przybycia z pistoletem w dłoni do ich apartamentu. Eli nie wspominał w zeznaniu o nożach; zdążył je wyczyścić i odłożyć na swoje miejsce w szufladzie jeszcze przed przybyciem policji. Przedziwna sprawa, jak jego mózg potrafił ominąć rodzącą się panikę, rozkazując dłoniom i stopom robić

to, co konieczne, podczas gdy w innym zakątku umysłu ktoś przeraźliwie krzyczał w reakcji na obraz najlepszego przyjaciela podziurawionego kulami i leżącego na podłodze salonu. Eli czuł, że coś z jego umysłu zniknęło: to strach, jak powiedział Victorowi, to strach, który spłynął z niego wraz z lodowatą kąpielą i zniknął w odpływie wanny.

– A więc zdołał pan wyłuskać broń z ręki pana Vale’a – powiedział policjant. Słowa „wyłuskać” użył wcześniej Eli, nie żaden z funkcjonariuszy.

– Zeszłego lata chodziłem na kurs samoobrony – zełgał. – To nie takie trudne.

Potem wstał, chwiejąc się, cały pokryty krwią, starannie zasłaniając ramionami brzuch, by ukryć dziurę od noża w koszuli. Dwóch innych policjantów już go o nią pytało, ale powiedział im, że miał dużo szczęścia. Sam nie wiedział, jak ostrze mogło ominąć jego ciało, ale najwyraźniej jakimś cudem tak się stało – patrzcie państwo, dziura w koszuli, brak dziury w Eliu. Na szczęście gliniarzy bardziej zainteresował wykrwawiający się na podłodze Victor niż magiczna sztuczka drugiego chłopaka. „Co za szczęściarz”, wymamrotał jeden z policjantów, a Eli nie był pewny, czy mówią o nim, czy też o Victorze, któremu póki co udało się uniknąć śmierci.

– A potem strzeliłeś do niego. Trzy razy.

– Byłem zrozpaczony. Facet właśnie zabił moją dziewczynę! – wykrzyknął Eli. Zastanawiał się, czy to kwestia wstrząsu – czy to dlatego śmierć Angie nie zaboląta go tak, jak wbicie noża prosto w trzewia? Chciał, żeby go to obchodziło, chciał tego tak bardzo, lecz między tym, co czuł, a tym, co chciałby czuć, ziała olbrzymia wyrwa, przestrzeń, z której wycięto coś ważnego. Przepaść ta cały czas rosła. Powiedział Victorowi, że pozbył się

strachu, jednak nie do końca była to prawda: Eli nadal się bał. Bał się pustej przestrzeni w swoim wnętrzu.

– A potem? – ponaglił go policjant.

Eli potarł oczy.

– A potem rzucił się na mnie. Spanikowałem. Nie wiedziałem, co robić. Próbowiałem go nie zabić – wyznał. Przełknął z wysiłkiem ślinę, żałując, że nie ma szklanki wody. – Słuchajcie, czy mogę się umyć? – zapytał, pokazując swoje zniszczone ubranie. – Muszę zobaczyć Angie... to znaczy jej ciało – poprawił się. Funkcjonariusz zapytał o to swojego zwierzchnika, który wyraził zgodę. Karetka dawno odjechała, apartament nadawał się już tylko do posprzątania. Policjant przytrzymał taśmę, żeby Eli mógł przejść.

Przez cały salon biegł szlak czerwonych śladów. Chłopak zatrzymał się i popatrzył na nie. Wspomnienie walki pojawiło się w jego umyśle, równie silne, jak policyjne światła na zewnątrz. Zmusił się, by przejść do łazienki, a gdy już się tam znalazł, wśród luster odbijających go z każdej strony, wybuchnął zdławionym skowytem, chorym na wpół śmiechem, na wpół płaczem. Koszulę miał uwalaną we krwi... i spodnie. I twarz. I włosy. Po chwili z całych sił próbował z siebie zetrzeć ciemnoczerwone plamy, szorując ramiona niczym lekarz po operacji. Jego ulubiona koszula, jasnoczerwona, w której wyglądał według Victora jak dojrzały pomidor, była kompletnie zniszczona.

Victor. Victor się mylił. Mylił się w każdym calu.

„Jeżeli mnie czegoś brakuje, to tobie także. Życie składa się z kompromisów. A może myślałeś przedtem, że skoro składasz życie w dłonie Boga, to pozostawi cię takim, jakim byłeś, tyle że lepszym?”

– Tak zrobił – powiedział głośno Eli do umywalki. Tak zrobił. Tak chciał. Tak musiał. Czymkolwiek była pusta przestrzeń w jego wnętrzu, istniała tam z jakiegoś powodu. By go wzmocnić. Musiał w to uwierzyć.

Umył twarz i polewał włosy wodą ze złączonych w miseczkę dłoni, dopóki nie zniknęła z nich cała czerwień. Założył świeże ciuchy i już miał przemknąć z powrotem pod żółtą taśmą, przegradzającą drzwi wejściowe, kiedy pochwycił końcówkę rozmowy pomiędzy dwójką młodszych policjantów:

– Tak, śledczy Stell jest już w drodze.

Eli zatrzymał się, po czym wycofał z powrotem do wnętrza apartamentu.

„Orientowałeś się, że mają specjalnego oficera, który wkracza do akcji, jeżeli pojawia się podejrzenie o PonadPrzeciętność? Facet nazywa się Stell. Wiedziałeś o tym?”

Odwrócił się i poszedł do tylnych drzwi. Okazało się, że stoi w nich potężny gliniarz.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – zapytał. Eli powoli skinął głową.

– Frontowe drzwi są zagrodzone taśmą – wyjaśnił. – A ja próbuję nie pętać się wszystkim pod nogami.

Wielki policjant kiwnął głową i się odsunął. Eli przeszedł przez drzwi na małe podwórko, kiedy do tamtego gliny dołączył drugi, młodszy. „Nie wyglądam na winnego”, powiedział sobie Eli w myślach. „Jeszcze nie”.

To Victor był winny. Victor, którego znał, nie żył. Zastąpiło go coś chłodnego i bezwzględnego. Pokręcona, gwałtowna wersja dawnego Victora. Nigdy nie był dobrym człowiekiem, ani szczególnie miłym; zawsze potrafił odezwać się ostro. Ta

ostrość, jej metaliczny błysk zawsze przyciągał Elia – ale sam nigdy nie stał się kimś takim. Mordercą. Monstrum. Przecież Victor zabił Angie! Jak? Jak to się stało? Sprawił, że cierpiała? Jak to możliwe? Część jego umysłu, specjalizująca się w medycynie, próbowała rozwikłać tę zagadkę. Atak serca? Czy ból powodował krótkie zwarcie, tak jak prąd? Czy ciało się wówczas wyłączało? Czy jego funkcje zamierały? Zacisnął dłonie, wbijając w nie paznokcie. To była Angie, nie żaden naukowy eksperyment. Osoba, w dodatku taka, która sprawiała, że czuł się lepszy, zdrowszy, która utrzymywała jego umysł na powierzchni, kiedy zaczynał tonąć. O co więc chodziło? A może to Angie była brakującym elementem? Czy nie byłoby fajnie sprawić, żeby zamiast części samego siebie zniknęła jakaś inna osoba? Ale nie, to nie było to. Angie pomagała mu, tak jak zawsze, ale czuł tę wyrwę w sobie. Jeszcze zanim umarła. Wcześniej niż umarł on sam. Uczucie – czy raczej jego brak – pojawiała się w przebłyskach, niczym chmura przepływająca nad głową. Od chwili, gdy obudził się na podłodze łazienki, jej cień utrzymywał się nad nim, jak znak, że coś zmieniło się na gorsze.

„Nie »gorsze«, poprawił się. „Teraz wszystko jest nie gorzej, lecz inaczej”.

Wsiadł do samochodu, gratulując sobie, że zostawił go wcześniej dwie przecznice dalej (gdzie było mniejsze prawdopodobieństwo otrzymania mandatu za nieprawidłowe parkowanie) i ruszył z miejsca. Przejechał koło laboratoriów, zwalniając tylko na tyle, by tam również dostrzec żółtą policyjną taśmę, znaczącą szlak zniszczenia za Victorem, oraz skupisko karetek i radiowozów. Jechał dalej. Musiał jak najszybciej

dostać się na wydział medyczny. Musiał znaleźć profesora Lyne'a.



Eli przekroczył próg automatycznych drzwi i wszedł do wspólnego hallu trzech połączonych budynków wydziału medycznego z pustym plecakiem zwisającym z ramienia. Ściany hallu miały obrzydliwy, jasnożółty kolor. Eli nie wiedział, dlaczego ktoś uparł się, żeby pomalować laboratoria na tak odrażający odcień. Może po to, żeby przyzwycząić studentów do równie paskudnych barw w większości szpitali, gdzie w przyszłości mieli pracować, a może ze względu na fałszywy pogląd, że „jasny” oznacza „czysty”. W każdym razie kolor ścian sprawiał, że miejsce to wydawało się kompletnie pozbawione życia. Eli pochylił głowę i ukrył twarz, wchodząc po schodach, aż dotarł do gabinetu, gdzie spędzał większość wolnego czasu w trakcie przerwy świątecznej. Na drzwiach przykręcono tabliczkę z nazwiskiem profesora Lyne'a, wypisanym błyszczącymi, metalowymi literami. Eli nacisnął klamkę – zamknięte. Pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby je otworzyć, i znalazł spinacz do papieru. Jeżeli udawało się gościom w serialach, mogło się udać również tutaj. Ukląkł przy drzwiach.

Zanim Victor wrócił na uczelnię, Eli opowiedział o swoim odkryciu profesorowi, który najpierw traktował je sceptycznie, ale potem, w miarę jak przybywało dowodów – z coraz większym zaciekawieniem. Jesienią Eli cieszył się, że udało mu się zwrócić na siebie uwagę naukowca, lecz teraz, gdy zyskał jego szacunek, czuł się bez porównania lepiej. Jego badania, które

stały się z czasem badaniami ich obu, obrały dzięki Lyne'owi nowy kierunek: od określenia hipotetycznych cech istniejących osób PP – włącznie z przejściem DBŚ oraz jego fizycznymi i psychologicznymi konsekwencjami – do potencjalnego systemu ich lokalizowania. Stopniowo odkryli coś w rodzaju zespołu cech stanowiących podstawę do wyszukania ich za pomocą analizy danych osobowych. Przynajmniej w tym kierunku szły badania, dopóki nie zjawił się Victor i nie zasugerował, że mogą zamiast tego zacząć tworzyć PonadPrzeciętnych. Eli nigdy nie zwierzał się profesorowi z tych planów, prawdę mówiąc, nie miał nawet okazji. Po nieudanej próbie Victora za bardzo zajmowały go przygotowania do jego własnej, a po jej sukcesie – bo to był sukces, jeśli spojrzeć na sprawę całościowo – wolał nie rozpowszechniać tej informacji. Obserwował, jak zainteresowanie Lyne'a rośnie – od prostej ciekawości aż do fascynacji. Eli aż za dobrze wiedział, jak to wygląda, i dlatego miał powód, by nie ufać profesorowi.

Teraz był zadowolony, że zachował nowe odkrycie dla siebie. W ciągu niecałego tygodnia jego badania zabiły Angie, zrujnowały życie Victora (o ile jeszcze żył) i nieodwracalnie zmieniły jego własne. Mimo że najbardziej ponure i destrukcyjne aspekty jego pracy dyplomowej ujawniły się z winy Victora, Eli zrozumiał, w jakim kierunku prowadzi to wszystko... i wiedział, co powinien teraz zrobić.

– Mogę w czymś pomóc?

Eli przeniósł wzrok z zamka, którego forsowanie szło mu jak po grudzie, na woźnego, opartego na miotle i sceptycznie przyglądającego się wysiłkom z użyciem wyprostowanego spinacza. Wydusił z siebie zażenowany śmiech i wstał.

– Mam nadzieję że tak. Boże, co ze mnie za idiota. Zostawiłem teczkę w gabinecie mojego promotora, profesora Lyne'a. Potrzebuję jej do pracy dyplomowej – powiedział zbyt szybko, tak jak aktorzy w serialach, którzy chcą dać do zrozumienia widzom, że ich postać kłamie. Dłonie mu się spociły. Przerwał na chwilę, zmuszając się do regularnego oddychania. – Może go pan przypadkiem widział? – Wdech, wydech. – Mogę chwilę poczekać – Wdech, wydech. – Przy okazji odpocznę po raz pierwszy od paru tygodni – dodał. Przerwał i sprawdził, czy woźny kupił jego historię.

Starszy człowiek po dłuższej chwili wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi.

– Nie widziałem go jeszcze dzisiaj, ale powinien się zaraz zjawić. A tak na przyszłość – dodał na odchodnym – do otwarcia zamka potrzeba dwóch spinaczy.

Eli uśmiechnął się z autentyczną ulgą, podziękował, wszedł i starannie zamknął za sobą drzwi. Westchnął cicho i wziął się do roboty.

Zdarza się, że zaawansowana nauka potrafi w cudowny sposób usprawnić i ułatwić nasze życie. Współczesna technologia zapewnia maszyny, które potrafią wyprzedzać ludzki umysł o kilka kroków, proponując eleganckie rozwiązania i plany na każdą ewentualność: plan B, C i D, jeżeli plan A nie wypali.

Są jednak również takie sytuacje, kiedy do wykonania zadania wystarczy śrubokręt i fizyczna siła. Eli przyznał sam przed sobą, że nie było to specjalnie kreatywne ani estetycznie satysfakcjonujące, ale za to bardzo skuteczne. Wyniki ich badań znajdowały się w dwóch miejscach: w niebieskiej teczce,

w trzeciej szufladzie szafki stojącej przy ścianie (Eli wyjął ją i schował do plecaka) oraz na komputerze profesora Lyne'a.

Pozbył się danych z komputera najprostszą znaną metodą: wymontował z niego twardy dysk i zmiażdżył go obcasem, a resztki włożył do plecaka. Planował wrzucić wszystkie materiały do najbliższego pieca krematoryjnego lub rozdrabniacza do drewna, tak by mieć pewność, że nic z nich nie zostanie. Miał nadzieję, że profesor nie przechowywał gdzie indziej jeszcze jednej kopii.

Eli zmontował komputer z powrotem, starając się zamaskować fakt, że urządzenie pozbawiono twardego dysku. Zapiął plecak i zarzucił go na ramię, wyszedł na korytarz i właśnie zamykał drzwi do gabinetu, kiedy dobiegł go kaszel. Odwrócił się: stał za nim sam profesor, trzymając w jednej dłoni kubek z kawą, a w drugiej – teczkę. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Dłoń Elia wciąż spoczywała na klamce.

– Dzień dobry, panie Cardale.

– Wycofuję moją pracę dyplomową – powiedział Eli bez żadnego wstępu.

Lyne uniósł brew.

– W takim razie nie ukończy pan studiów.

Chłopak poprawił plecak i przepchnął się koło niego.

– Nie obchodzi mnie to.

Profesor podążył za nim.

– Eli, o co chodzi? Co się dzieje?

Byli sami w korytarzu. Eli odpowiedział, nie zwalniając kroku:

– To się musi skończyć. Już, teraz. To była pomyłka.

– Ależ... przecież dopiero zaczynamy – zaprotestował Lyne. Eli popchnął drzwi na klatkę schodową i przeszedł przez nie,

a profesor podążył za nim. – Co z wszystkimi twoimi odkryciami? I co z tymi, których możemy dokonać wspólnie? Odmienią świat!

Eli odwrócił się ku niemu.

– Ale nie na lepsze – odparł. – Nie możemy tego kontynuować. Dokąd to doprowadzi? Umożliwimy odnalezienie PonadPrzeciętnych i co dalej? Zostaną odizolowani, zbadani, poddani wiwisekcji, ktoś wyjaśni w końcu ich fenomen, a potem zdecyduje, że czas skończyć badania, a zacząć produkcję! – Żołądek skręcił mu się w korkociąg. Tak właśnie by było, prawda? On sam był najlepszym dowodem. Skusiły go olśniewające perspektywy, olbrzymi potencjał, szansa, by udowodnić istnienie zamiast nieistnienia.

Czy zastanowił się przy tym chociaż raz nad konsekwencjami?

– Czy to by było aż takie złe? – zapytał Lyne. – Stworzenie kogoś PonadPrzeciętnego?

– Nie są PonadPrzeciętni – rzucił Eli. – Są kompletnie nienaturalni! – A on ponosił za to odpowiedzialność. Victor miał rację, Eli odegrał Boga, mimo że prosił tylko o Jego pomoc. A Bóg w swojej łaskawości i wszechmocy ocalił życie Elia, lecz zniszczył wszystko, co się z nim wiązało. – Nie dam nikomu narzędzi, żeby stworzyć ich więcej. Ta droga prowadzi do zniszczenia.

– Nie rób scen, chłopcze.

– Postanowione. Skończyłem z tym – odparł Eli, obejmując kurczowo pasek plecaka. Lyne zmrużył oczy.

– A ja nie – oświadczył, kładąc dłoń na ramieniu chłopaka i zaciskając palce na pasku. – Mamy zobowiązanie wobec nauki, panie Cardale. Badania muszą być kontynuowane,

a odkrycia tej rangi powinny zostać ogłoszone publicznie. Odmawiając ich światu, zachowuje się pan samolubnie!

Szarpnął gwałtownie za pasek, ale Eli przytrzymał plecak. Po chwili szarpanina zmieniła się w gwałtowną walkę. W pewnym momencie chłopak odepchnął Lyne'a i przyparł do poręczy, a tamten walnął go łokciem w wargę, rozcinając ją. Eli otarł krew i wyrwał w końcu plecak z uścisku Lyne'a, dopiero po chwili orientując się, że profesor już o niego nie walczy. Stał z szeroko otwartymi oczami, a Eli – jeszcze zanim zdał sobie sprawę, co tamten właśnie zobaczył – poczuł, że skóra na jego wardze zrasta się i zabliznia, by po chwili rozcięcie było już tylko wspomnieniem.

– Ty... – powiedział profesor ze zdumieniem, które po chwili zmieniło się w radość. – Zrobiłeś to. Jesteś jednym z nich! – Było widać, jak na dłoni, o czym myśli: eksperymenty, publikacje, prasa, sława. – Jesteś Ponad...

Lyne nie miał szansy skończyć zdania. Eli popchnął go gwałtownie na schody. Ostatnie słowo zmieniło się w nieartykułowany krzyk, przzerwany nagle przez pierwsze z serii uderzeń. Profesor spadł, odbijając się od kolejnych stopni, aż jego ciało z trzaskiem wylądowało na półpiętrze.

Eli patrzył na nieruchomy kształt, pragnąc poczuć przerażenie... ale tak się nie stało. I znów dała o sobie znać pusta przestrzeń, oddzielająca to, co powinien odczuwać, od tego, co faktycznie czuł. Wydawała się z niego bezgłośnie drwić, kiedy patrzył na Lyne'a. Nie był pewny, czy chciał zepchnąć profesora ze schodów, czy tylko go od siebie odepchnąć, ale teraz nie miało to większego znaczenia. Mleko już się rozlało.

– To był pomysł Victora, żeby sprawdzić hipotezę w praktyce – usłyszał własny głos, idąc w dół po schodach. –

Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby ulepszyć metodę, ale zadziałała. Dlatego wiem, czym to pachnie, i muszę to powstrzymać – wyjaśnił. Lyne drgnął, otworzył usta i wydał dźwięk pośredni pomiędzy jękiem a westchnieniem. – Muszę to powstrzymać, bo wiem, że to działa. I jest nienaturalne – dodał Eli, zatrzymując się na półpiętrze obok swojego nauczyciela. – Umarłem, błagając o siłę potrzebną, by przeżyć... i moja prośba została spełniona, ale nie za darmo. Profesorze, to zawsze jest wymiana, jak w handlu, z Bogiem albo z diabłem. Zapłaciłem za ten dar życiem moich przyjaciół. Każdy PonadPrzeciętny sprzedał część siebie i nigdy już jej nie odzyska. Rozumie pan? – zapytał, klękając przy starszym mężczyźnie. Palce tamtego zadrgały. – Nie pozwolę nikomu innemu zgrzeszyć równie ohydnie przeciw naturze – dodał. Z dziwną, uspokajającą pewnością wiedział, co musi zrobić. Złapał Lyne'a jedną dłonią za potylicę, drugą za szczękę. – Te badania umrą razem z nami. – Co powiedziawszy, jednym mocnym szarpnięciem skrzył profesorowi kark. – A w każdym razie z panem – dodał cicho.

Oczy Lyne'a lśniły pustką. Eli delikatnie opuścił jego głowę na podłogę, uwolnił dłonie i wstał. Nastąpiła chwila idealnej ciszy, niemalże takiej jak w kościele, moment spokoju. Eli czuł się... spełniony, po raz pierwszy w życiu do tego stopnia wyciszony i w zgodzie z samym sobą. Po raz pierwszy, od kiedy zmartwychwstał.

Przeżegnał się.

A potem wrócił na górę po schodach, zatrzymując się tylko na sekundę, by objąć spojrzeniem zwłoki, leżące ze zgiętą, złamaną szyją. Wyglądało to – dość wiarygodnie – na upadek po potknięciu. Kubek z kawą pozostawił zawartość na schodach i stłukł się na dole, a jego szczątki leżały teraz koło ciała. Eli

starannie unikał wdepnięcia w rozlany napój podczas schodzenia i wchodzenia. Wytarł dłonie o dżinsy i podniósł plecak z podłogi, lecz nie potrafił zmusić się, by opuścić klatkę schodową. Stał i czekał, czekał, czekał, aż pojawi się przerażenie, mdłości, poczucie winy... ale nic takiego się nie stało. Czuł tylko spokój.

Wówczas w budynku zadzwonił dzwonek i magiczna chwila minęła bezpowrotnie. Eli pozostał na klatce schodowej sam na sam z trupem profesora. Nagle dotarło do niego, że powinien stamtąd uciekać, ile sił w nogach.



Szedł przez parking, myśląc intensywnie nad tym, co powinien teraz zrobić. Spokój, który czuł na klatce, zastąpiła kipiąca energia. Jakiś głosik w jego umyśle szeptał: „Biegnij!”. Nie czuł się winny, nie panikował – myślał chłodno i precyzyjnie o przetrwaniu. Dotarł do samochodu, wsunął kluczyk w zamek i wówczas usłyszał za sobą kroki.

– Panie Cardale.

„Biegnij!” – zawył głos w głowie Elia, czysty i kuszący, ale coś innego powstrzymało go przed ucieczką. Przekręcił kluczyk w drzwiach, zamykając je z cichym stuknięciem.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, odwracając się ku mężczyźnie, wysokiemu, dobrze zbudowanemu brunetowi.

– Nazywam się Stell, jestem oficerem śledczym. Pan przyjechał czy wyjeżdża?

Eli wyciągnął kluczyk z zamka.

– Przyjechałem. Pomyślałem, że powinienem powiedzieć profesorowi Lyne o Victorze. Współpracowali dość blisko.

– Pójdę z panem.

Eli skinął głową, zrobił krok ku budynkowi uniwersytetu, po czym zatrzymał się.

– Zostawię to tutaj – oświadczył, otwierając drzwi i wrzucając plecak wraz z zawartością na tylne siedzenie. – Nie czuję się dzisiaj na siłach, żeby iść na zajęcia.

– Przykro mi z powodu pańskiej straty – stwierdził automatycznie Stell.

Eli liczył kroki na drodze do wydziału medycznego. Dotarł do trzydziestu czterech, gdy usłyszał syreny i spojrzał z udawanym zaskoczeniem. Stell za jego plecami zaklął i przyśpieszył kroku.

Potem znaleźli ciało Lyne'a.

„Biegnij, biegnij, biegnij! Uciekaj!” – syczał głos w głowie Elia, w tej samej tonacji i rytmie, co syreny radiowozów.

Faktycznie, pobiegł, ale w kierunku budynku, a nie do samochodu. Nogi poprowadziły go do wejścia, a potem do wnętrza, za ratownikami z karetki, biegnącymi ku klatce schodowej. Kiedy zobaczył ciało, wydał z siebie dźwięk, jakby się dławił. Stell odciągnął go na bok, a Eli pozwolił, by nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i upadł na kolana, aż łupnęło. Skrzywił się, mimo że sińce, które wykwitły na kolanach, pod spodniami, po chwili zniknęły.

– No, wstańże, synu – powiedział Stell, stawiając go na nogi. Eli nie mógł oderwać wzroku od sceny przed nim. Wszystko rozgrywało się tak jak powinno, jak musiało. Pomyślał, że wszystkie wątki zbiegają do pomyślnego zakończenia... dopóki nie zobaczył opartego o ścianę woźnego, obserwującego otoczenie ze zmarszczonym czołem, tak jakby rozwiązywał zagadkę.

„Cholera!” – pomyślał Eli, ale musiał powiedzieć to na głos, ponieważ Stell pociągnął go za sobą i odparł:

– Rzeczywiście, cholera. Chodźmy stąd.

Zbyt wiele śmierci, zbyt szybko jedna po drugiej. Wiedział, że za chwilę stanie się podejrzany. Musiało tak być. „Biegnij!” – podpowiadał głos w jego głowie, coraz bardziej nagłaco, wręcz błagalnie, szarpiąc jego nerwy. Nie mógł jednak tego zrobić. Gdyby pobiegł, zaczęliby go gonić.

Dlatego pozostał na miejscu. W gruncie rzeczy odegrał rolę ofiary całkiem niezłe – zdruzgotany, wściekły, cierpiący, lecz nade wszystko skłonny do współpracy.

Kiedy śledczy Stell wspomniał, że wszyscy naokoło Elia nie żyją lub są bliscy śmierci, chłopak postarał się wyglądać na załamane. Wyjaśnił więc, że Victor był zazdrosny, zarówno o dziewczynę, jak i o pozycję na roku. Victor Vale zawsze znajdował się o krok za nim i w końcu nie wytrzymał. Wiadomo, tak się zdarza.

Gdy Stell zapytał Elia o jego pracę dyplomową, ten opowiedział, że owszem, wymyślił temat, który po pewnym czasie zagarnął Victor. Za jego plecami dogadał się z profesorem Lyne'em i zaczął pracować nad tym samym. Wówczas Eli wspiął się na wyżyny aktorstwa: pochylił się i powiedział policjantowi, że Victor przez ostatnie kilka dni nie był sobą. Zachowywał się inaczej, dziwnie, nienaturalnie, więc jeśli przeżyje – bo nadal pozostawał na OIOM-ie – powinni na niego bardzo uważać.

Eli będzie musiał zrezygnować z pracy dyplomowej, to oczywiste w świetle przeżytej traumy. O tak, trauma. To słowo prześladowało go przez całe przesłuchanie i spotkania z władzami uniwersytetu, które nastąpiły potem. W ich wyniku przeniesiono go do pojedynczego uczelnianego apartamentu.

Trauma. Słowo, które pomogło mu złamać szyfr i ustalić, skąd biorą się osoby PonadPrzeciętne. Trauma stała się czymś w rodzaju przepustki. Gdyby tylko wiedzieli, jak wielką traumę przeżył! Na szczęście nie mieli o tym pojęcia.

Stanął na środku nowego lokum i rzucił plecak (policjanci nie wpadli na pomysł, żeby go przeszukać) na podłogę za sobą. Po raz pierwszy w życiu był sam, naprawdę sam, od kiedy wyszedł z imprezy w poszukiwaniu Victora. Dopiero teraz zamknęła się luka pomiędzy tym, co powinien czuć, a tym, co naprawdę czuł. Łzy pociekły mu po policzkach i osunął się na podłogę.

Ukląkł i wyszeptał do pustego pokoju:

– Dlaczego to wszystko się dzieje? – Nie był pewien, czy ma na myśli nagły, przerażający smutek, zabójstwo Lyne’a, śmierć Angie, zmianę Victora, czy też to, że on sam znajduje się w środku tego wszystkiego – nietknięty.

Nietknięty. Właśnie tak, dokładnie. Chciał siły, błagał o nią, kiedy lodowata woda wysysała ciepło i życie z jego ciała, a zamiast niej dostał to – odporność. Stał się niezwyciężony. Dlaczego?

„Osoby PonadPrzeciętne istnieją wbrew naturze. Jestem PonadPrzeciętny, więc muszę być nienaturalny”. Tak nakazywała myśleć logika, ale z jakiegoś powodu rozumowanie to nie brzmiało właściwie. Naprawdę, nie brzmiało tak. W głębi serca Eli wiedział, z dziwną, niewytłumaczalną pewnością, że PonadPrzeciętni w istocie rzeczy istnieją wbrew naturze. Nie powinni istnieć w ogóle. Był jednak równie pewien, że on sam nie jest nienaturalny, a w każdym razie – nie tak jak inni PP. Odmienny, owszem, bez wątplenia, ale nie nienaturalny. Wrócił

myślami do tego, co powiedział na klatce schodowej. Słowa same płynęły mu z ust.

„To zawsze jest wymiana, jak w handlu, z Bogiem albo z diabłem...”

Czyżby różnica polegała właśnie na tym? Eli zobaczył demona, kryjącego się pod postacią jego najlepszego przyjaciela, ale nie czuł, by w nim samym istniało jakieś zło. Jeśli już, to czuł się tak, jakby kierowała nim czyjaś dłoń, mocna i stanowcza: wtedy, gdy naciskał spust pistoletu; gdy łamał kark Lyne'a; kiedy nie uciekł przed Stellem. Czuł się tak, jakby te chwile spokoju i pewności wiązały się z najgłębszą wiarą.

Potrzebował jednak znaku. Przez kilka ostatnich dni Bóg wydawał mu się płonąącą zapałką wobec jasno gorejącego słońca naukowych odkryć, jednak teraz czuł się znów jak chłopczyk, potrzebujący czyjegoś zezwolenia, potwierdzenia słuszności tego, co robi. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i otworzył go.

– Czy nie odebrałbyś mi tego daru? – zadał pytanie prosto w ciemność apartamentu. – Gdybym nie był już Twoim stworzeniem, zabrałbyś mi tę moc, prawda? – zawołał ze łzami w oczach. – Prawda?!

Ciął głęboko, od łokcia do nadgarstka, krzywiąc się, gdy krew wypełniła ranę i wylała się z niej, kapiąc na podłogę.

– Pozwoliłbyś mi umrzeć! – wykrzyknął.

Przełożył scyzoryk do drugiej dłoni i wyrznął taką samą linię na drugim przedramieniu, ale zanim ostrze dotarło do przegubu, obie rany zaczęły się zamykać, pozostawiając po chwili tylko gładką skórę – i niewielką kałużę krwi.

– Odebrałbyś mi tę moc?! – wrzasnął i ciął głębiej, aż do kości, jeszcze raz i jeszcze, aż czerwona kałuża rozlała się po

całej podłodze. Dopóki nie powierzy swego życia Bogu sto razy, a Bóg sto razy mu go nie zwróci. Dopóki strach i zwątpienie nie wypłyną z niego wraz z krwią. Kiedy skończył, odłożył nóż trzęsącą się dłonią, zanurzył końce palców w czerwieni, przeżegnał się i wstał.

V

OKOŁO POŁUDNIA HOTEL ESQUIRE

Eli zaparkował na ulicy.

Nie ufał hotelowym garażom do trzech lat, a dokładnie od wypadku z pewnym PonadPrzeciętnym, który potrafił wywoływać trzęsienia ziemi. Regeneracja zajęła wówczas Eliowi aż dwie godziny, i to dopiero, kiedy wygrzebał się spod ruin. Poza tym każdy wjazd i wyjazd wiązał się z pobraniem biletu, opłatą, czekaniem, aż podniesie się szlaban... a w efekcie z takiego garażu nie dało się szybko uciec. Dlatego zaparkował przy krawężniku, przeszedł przez ulicę i wkroczył do eleganckiego przedsionka. Marmurowe okładziny i kryształowe żyrandole ozdabiały dumę Merit, a wielkie litery na ścianie głosiły „HOTEL ESQUIRE”. To Serena wybrała akurat ten hotel, a Eli nie był w nastroju, żeby się z nią o to spierać. Mieszkali tu dopiero od paru dni, od tak zwanego nieszczęśliwego wypadku z Sydney. Naprawdę miał nadzieję, że dziewczynka wykrwawi się w lesie na śmierć, że być może jeden lub dwa pociski, które za nią wystrzelił, zagłębią się w jej ciele, a nie w drzewach lub ziemi... jednak rysunek w jego kieszeni, a także zwłoki martwego, ożywionego i znów martwego Barry’ego Lyncha świadczyły o tym, że tak się nie stało.

– Dzień dobry, panie Hill.

Eli dopiero po sekundzie przypomniał sobie, że Hill to jego przybrane nazwisko. Uśmiechnął się i skinął głową recepcjonistce. Serena była lepsza niż fałszywe papiery. Kiedy się tu wprowadzali, nie musieli pokazywać żadnych dokumentów... ani nawet karty kredytowej. Serena okazała się bardzo pomocna. Nie podobało mu się, że jest od kogokolwiek tak zależny, ale zdołał sobie to wytłumaczyć: podczas gdy Serena ułatwia mu życie w drobnych sprawach, on może skoncentrować wysiłki na najważniejszym. W ten sposób jej towarzystwo nie wydawało mu się niezbędne, a tylko bardzo wygodne.

W połowie drogi do wind Eli minął jakiegoś mężczyznę. Obrzucił go spojrzeniem i naszkicował w pamięci profil tamtego, na wpół z przyzwyczajenia, na wpół kierowany przeczuciem, czymś w rodzaju szóstego zmysłu. Zmysł ten wykształcił się u niego po dekadzie obserwacji ludzi tak, jakby byli łamigłówkami obrazkowymi w stylu „wyteż wzrok i znajdź wszystkie różnice”. Hotel był drogi i elegancki, toteż większość klientów paradowała w garniturach. Ten mężczyzna miał na sobie coś, co mogło od biedy za niego uchodzić. Był potężny, a spod koszuli i marynarki było widać tatuaże. Szedł, czytając coś i nie podnosząc wzroku, a ponieważ recepcjonistka nie zareagowała, Eli zapisał w pamięci twarz tamtego i poszedł do windy.

Pojechał na dziewiąte piętro i wszedł do apartamentu. Lokal był przyjemny i przestronny – z aneksem kuchennym, oknami sięgającymi od podłogi do sufitu i balkonem, z którego rozpościerał się widok na Merit. Nigdzie nie było widać Sereny. Eli rzucił swój worek na kanapę i usiadł przy biurku w rogu, gdzie na codziennej gazecie leżał laptop. Włączył go i zaczął,

aż załaduje się baza danych policji w Merit. W tym czasie wyciągnął z kieszeni złożony papier i umieścił go na biurku, wygładzając pozaginane rogi. Komputer piknął cicho, a wówczas Eli skorzystał z cyfrowych tylnych drzwi, które otworzyli mu funkcjonariusz Dane i śledczy Stell.

Przewinął zawartość folderu, aż znalazł plik, którego szukał. Beth Kirk patrzyła na niego z ekranu, a błękitne włosy okalały jej twarz. Patrzył na nią przez chwilę, po czym zamknął plik i przeciągnął go do kosza.

VI

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

Eli siedział w swoim nowym, jednoosobowym apartamencie, jedząc chińszczyznę na wynos, zakupioną w KRUL, kiedy pojawiły się nowe wiadomości. Dale Sykes, dozorca z Uniwersytetu Lockland, padł ofiarą wypadku samochodowego, gdy wracał na piechotę do domu poprzedniej nocy. Kierowca potrącił go i zbiegł z miejsca wypadku. Eli nadział na widelec kolejny kawałek brokułu. Wcale tego nie planował... to znaczy nie wsiadł do samochodu z intencją zabicia woźnego. Dokopał się tylko do danych Sykesa i sprawdził godziny jego pracy, po czym wyjechał z parkingu o tej samej porze, kiedy woźny kończył swoją jedyną w tygodniu nocną zmianę, po czym zauważył, jak tamten przechodzi przez jezdnię, po czym dodał gazu. Była to seria niefortunnych zdarzeń, połączonych tak, że gdyby którekolwiek z nich nastąpiło o kilka sekund później lub wcześniej – Sykes żyłby jeszcze. Eli sądził, że dozorca miał szansę ująć z życiem, a raczej – że Bóg miał szansę zapobiec likwidacji Sykesa. Woźny nie był osobą PonadPrzeciętną, o nie, ale jego zeznania mogły pograć Elia, więc gdy samochód chłopaka potrącił go z głośnym łupnięciem, a w umyśle Elia zapanował chwilowy spokój, wiedział już, że postąpił właściwie.

Teraz siedział bezwładnie na krześle przy kuchennym stole, podczas gdy na ekranie telewizora relacjonowano okoliczności wypadku. Eli spoglądał znad jedzenia na dwa stosy papierów. Pierwszy składał się z jego własnych notatek, w tym początkowych studiów przypadków – wydruków stron internetowych, zeznań świadków i tym podobnych. Na drugim stosie leżała zawartość niebieskiej teczki zabranej z gabinetu Lyne'a. Tutaj znajdowała się całość teorii Elia na temat przyczyn PonadPrzeciętności, do której Lyne dodał własne uwagi dotyczące okoliczności jej pojawienia się, jak również wskaźników używanych do identyfikacji potencjalnej osoby PP. Do doświadczeń bliskich śmierci profesor dodał termin, który Eli usłyszał od niego może raz – Zespół Stresu Pośmiertnego, oznaczający wszelkie odmiany niestabilności psychicznej wynikające z DBŚ, a także jeszcze jeden, całkiem nowy: Regułę Ponownych Narodzin, dotyczącą celu, w jakim ktoś decyduje się na przeżycie śmierci: by uciec od dotychczasowego życia albo by ponownie określić siebie poprzez nowe umiejętności.

Eli zmarszczył z niechęcią nos. Nie podobała mu się analogia do jego przypadku, jaka nasuwała się sama na podstawie tych notatek, miał jednak ważny powód, by je przeczytać. To, co czuł, przejeżdżając Dale'a Sykesa, odczuwał również wcześniej, gdy próbował zabić Victora. Poczucie celu. Zaczynał się domyślać, jaki to był cel.

Istnienie PonadPrzeciętnych było obrazą dla natury i Boga – tego był pewien. Byli więc przeciwni naturze i byli silni, lecz Eli zawsze będzie silniejszy. Jego moc była nieprzeniknioną tarczą przeciw ich mocy. Potrafił dokonać tego, czego nie potrafili zwykli ludzie – powstrzymać innych PonadPrzeciętnych.

Musiał ich jednak najpierw znaleźć. Dlatego przeglądał teraz wyniki dotychczasowych badań, przeszukując poszczególne przypadki z zastosowaniem metod Lyne'a, z nadzieją, że dadzą mu jakiś punkt zaczepienia.

Victor zawsze był lepszy w te klocki. Potrafił dosłownie rzucić okiem na dane i dostrzec związki pomiędzy nimi, niezależnie od tego, jak nikłe były. Eli uparł się jednak i przetrząsał uparcie swoje pliki, podczas gdy wiadomości leciały w tle, aż w końcu znalazł wskazówkę w artykule, który zachował kiedyś bez głębszego zastanowienia. Rodzina pewnego mężczyzny zginęła w dziwnym wypadku, kompletnie zmiądzona. Zdarzyło się to zaledwie kilka miesięcy po tym, jak ów mężczyzna niemal zmarł w zawałonym budynku. W artykule podano tylko jego imię – Wallace – a gazeta, pochodząca z miasta oddalonego o godzinę jazdy, określała go jako „miejscowego”. Eli gapił się na to imię przez kilka minut, a potem odkopał zrzut ekranu pewnego forum internetowego, jednego z tych miejsc, gdzie dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procenta członków to niespełnieni dziennikarze szukający poklasku. Mimo to wydrukował ten obrazek, a potem odnalazł listę użytkowników forum. Jeden z nich, podpisujący się jako „Wallace47”, zamieścił tylko jeden post w dawno zapomnianym wątku, rok wcześniej, datowany na okres pomiędzy wypadkiem mężczyzny a śmiercią jego rodziny. Napisał w nim tylko jedno zdanie: „Jestem niebezpieczny dla otoczenia”.

Było to doprawdy niewiele, ale na początek – zawsze coś. Wyrzucił puste pudełko po chińskim jedzeniu, wyłączył telewizor i poczuł, że ma ochotę znów ruszyć biegiem; tym razem nie po to, żeby uciec, ale by do czegoś dotrzeć. Teraz miał cel. Misję.

Wiedział jednak, że musi poczekać. Odliczał dni do zakończenia nauki, czując, że obserwują go wykładowcy, psychologowie opiekujący się nim na uniwersytecie, a także policjanci. Ich badawczy wzrok był jak słońce w środku lata: na początku niemal przypiekał mu skórę, ale potem, w miarę jak mijały kolejne miesiące, osłabł nieco. Gdy wreszcie nadszedł czas końcowych egzaminów, większość profesorów zapomniała już, że powinni wyglądać na przejętych, kiedy wchodził do sali. Rok akademicki dobiegł końca, Eli się spakował, obszedł po raz ostatni swój apartament, sprawdzając, czy niczego nie zapomniał, po czym zamknął drzwi, a klucz wrzucił do białej koperty z logo uniwersytetu, którą wsunął do skrzynki na listy przed drzwiami akademika.

Dopiero wówczas, kiedy kampus Lockland zniknął w oddali, nie wcześniej, Eli pozbył się swojego dotychczasowego nazwiska – Cardale – i przybrał nowe, Ever. A potem wyruszył, by rozpocząć swoją misję.



Zabijanie go nie bawiło.

Lubił natomiast chwilę tuż po, pełną wypełniającego go cudownego spokoju. Kiedy jego połamane kości się zrastały, a porozrywana skóra zablizniała, wiedział, że Bóg popiera jego działania.

Natomiast samo zabijanie okazało się brudniejsze, niż przypuszczał.

Przede wszystkim nie podobało mu się to słowo. „Zabijanie”. A może lepiej „usuwanie”? Tak, usuwanie było dużo lepsze. W ten sposób ofiary wydawały mu się mniej ludzkie, chociaż

przecież nie były już ludźmi... och, ta semantyka! Mimo to zawsze się przy tym nabrudziło. Przemoc oglądana w telewizji doprowadziła Elia do przekonania, że zabijanie jest czyste. Cichy strzał z pistoletu. Szybki cios noża. Nagła śmierć.

Cięcie! A potem życie toczy się dalej.

Łatwizna.

Szczerze mówiąc, zabicie Lyne'a rzeczywiście było łatwe. Podobnie w przypadku Sykesa, ponieważ to samochód odwalił całą brudną robotę. Tymczasem teraz Eli, zdejmując zakrwawione lateksowe rękawiczki z dłoni, żałował, że nie można wykonać filmowego cięcia i przejść do przyjemniejszej sceny.

Wallace nie poddał się bez walki. Facet pod sześćdziesiątkę był silny jak wół. Zgiął nawet jeden z ulubionych noży Elia, a potem go złamał.

Eli oparł się o mur i zaczekał, aż jego żebra wrócą na swoje miejsce, a potem zaciągnął zwłoki na najbliższą kupę śmieci. Noc była ciepła. Sprawdził, czy nie jest zakrwawiony, a potem odszedł z alejki. Spokój powoli go opuszczał, a na jego miejsce wlewał się dziwny smutek.

Znów czuł się zagubiony. Tracił sens istnienia. Mimo wskazówek odnalezienie PonadPrzeciętnego zajęło mu trzy tygodnie. Poszukiwania szły powoli, jak po grudzie. Chciał się upewnić, potrzebował dowodu. A gdyby tak wybrał źle? Eli nie miał zamiaru zabijać normalnych ludzi. Lyne i Sykes byli wyjątkami, ofiarami zbiegu okoliczności, ich śmierć wydawała się niefortunna, choć konieczna, a samo wykonanie wyroku w obu przypadkach – jeśli chciał być wobec siebie uczciwy, musiał to przyznać – niechlujne. Wiedział, że potrafiłby to zrobić lepiej. W przypadku Wallace'a znacznie się poprawił. Co

do samych poszukiwań, to miał nadzieję, że odnajdywanie kolejnych PonadPrzeciętnych przyjdzie mu łatwiej – i podobnie będzie z ich likwidacją.

Eli wierzył w stare przysłowie: Praktyka czyni mistrza.

VII

OKOŁO POŁUDNIA HOTEL ESQUIRE

Victor i Sydney siedzieli w apartamencie hotelowym, jedli zimną pizzę i przeglądali profile potencjalnych osób PP, które przygotował dla nich Mitch. Potężny mężczyzna wyszedł tymczasem załatwić parę spraw. Mimo że wzrok Victora spoczywał na kartce z danymi Zachary'ego Flincha, mężczyzny w średnim wieku, jego myśli zaprzętało coś innego: telefon komórkowy, naładowany i w zasięgu dłoni, leżący na kontuarze obok, oraz śledczy Stell. Palce Victora wybijały szybki rytm na kolanie. Po drugiej stronie komórki leżał profil młodego człowieka, Dominika Rushera.

Sydney balansowała na wysokim stołku obok, kończąc drugi kawałek pizzy. Victor złowił wzrokiem jej spojrzenie; patrzyła na gazetowe zdjęcie Elia, wystające spod trzeciej kartki, zawierającej informacje o błękitnowłosej Beth Kirk. Spoglądał, jak dziewczynka sięga po artykuł z „National Mark” i patrzy na niego wielkimi, błękitnymi oczami.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Jeszcze go zaboli, już moja w tym głowa.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, z twarzą przypominającą maskę. Potem jednak maska opadła.

– Kiedy chciał mnie zabić – wyznała – powiedział, że to „posłuży wyższemu celowi” – wypluła ostatnie trzy słowa. –

Powiedział, że moje zdolności są przeciwne naturze i Bogu. Według niego to wystarczyło, żeby mnie zabić. A ja myślę, że to nie był dość dobry powód – oznajmiła, po czym umilkła na chwilę. – Jednak mojej siostrze wystarczyło, żeby mnie zdradzić – dodała gorzko.

Victor zmarszczył brwi. Wciąż nurtowało go pytanie związane z Sereną: dlaczego Eli jeszcze jej nie zabił? Wydawał się zdeterminowany, by zlikwidować wszystkich innych.

– Na pewno jest to skomplikowana sprawa – stwierdził, podnosząc wzrok znad wydruku. – Jaką mocą dysponuje twoja siostra?

Sydney zawahała się.

– Nie wiem. Nigdy mi jej nie pokazała. Miała to zrobić, ale wtedy jej chłopak mnie postrzelił. A dlaczego pytasz?

– Ponieważ Eli zatrzymał ją przy sobie – wyjaśnił. – Musi być jakiś powód. Widocznie jest dla niego cenna.

Dziewczynka spuściła wzrok i wzruszyła ramionami.

– Gdyby jednak opierał się na samej wartości – dodał Victor – zamiast niej zatrzymałby ciebie. Jego strata, mój zysk.

Niepewny uśmiech przemknął przez twarz Sydney. Rzuciła brzeg pizzy czarnemu olbrzymowi warującemu przy niej na podłodze. Dol uniósł głowę i złapał jedzenie, jeszcze zanim dotknęło podłogi, a potem wstał i powoli obszedł kontuar. Usiadł przy Victorze, popatrując oczekująco na resztki jego pizzy. Mężczyzna rzucił mu je i podrapał bestię przyjaźnie między uszami. Łeb psa sięgał mu do brzucha, mimo że siedział na barowym stołku. Przeniósł wzrok na Sydney. Przez parę ostatnich dni naprawdę przygarniał przybłądów!

Wówczas komórka Victora zadzwoniła.

Odłożył kartkę i podniósł telefon, wszystko jednym, płynnym ruchem.

- Tak?
- Mam go – odezwał się Mitch.
- Dane’a czy Stella?
- Dane’a. Znalazłem nam nawet zaciszne miejsce.
- Gdzie? – spytał Victor, zakładając płaszcz.
- Wyjrzyj przez okno.

Victor podszedł do wysokich okien. Po drugiej stronie ulicy, dwa domy obok, stał szkielet wieżowca. Wysoki, drewniany płot otaczał rusztowania, na których od frontu przyczepiono wielki transparent z nazwą „Falcon Price”, lecz nigdzie nie było widać robotników. Budowę wstrzymano albo w ogóle porzucono.

- Idealnie – ocenił Victor. – Zaraz tam będę.

Zakończył rozmowę i zobaczył, że Sydney zeskoczyła już ze stołka i trzymała swój czerwony płaszcz, czekając na niego. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wyglądała tak samo jak Dol: patrzyła na niego z oczekiwaniem i nadzieją.

- Nie, Sydney – powiedział. – Wolę, żebyś została tutaj.
- Dlaczego?
- Ponieważ uważasz mnie za dobrego człowieka – wyjaśnił. – A mnie zależy na tym, żebyś nie zmieniła zdania.



Przecisnął się między foliowymi zasłonami, odgradzającymi niedokończone pomieszczenia na parterze wieżowca. Jego kroki odbijały się echem od betonu i stali ścian. Cienka warstwa kurzu we frontowych salach sugerowała, że robót zaprzestano niedawno, lecz jakość materiałów i doskonała lokalizacja

podpowiadały Victorowi, że budowlańcy wkrótce tu powrócą. Niedokończone budynki stanowiły znakomite miejsce dla spotkań takich jak to.

Kilka przezroczystych płacht dalej odnalazł Mitcha i mężczyznę na składanym krześle. Mitch wyglądał na znudzonego, a mężczyzna – na oburzonego, ale spod tej maski wycierał strach. Victor potrafił go wyczuć, niczym słabszą postać fal, wzbudzanych przez czyjeś cierpienie. Facet był szczupły, miał krótko ścięte ciemne włosy i ostro zarysowaną szczękę. Mitch skrępował mu ręce za plecami mocną taśmą klejącą. Tamten miał na sobie policyjny mundur z kołnierzykiem poplamionym w paru miejscach krwią. Pochodziła z rozciętego ciosem policzka albo nosa, a zapewne z obu tych miejsc. Victor nie potrafił tego ocenić. Kilka kropel spadło na odznakę przypiętą nad sercem.

– Muszę przyznać, że liczyłem raczej na Stella – odezwał się Victor.

– Powiedziałeś, że może być którykolwiek z nich. Stell wyszedł, więc złapałem tego podczas przerwy na papierosa – odparł Mitch.

Victor uśmiechnął się błogo, przenosząc wzrok na mężczyznę na krześle.

– Palenie panu zaszkodziło, panie Dane.

Funkcjonariusz Dane odpowiedział mu, ale taśma, którą miał zaklejone usta, skutecznie stłumiła dźwięk.

– Nie zna mnie pan – kontynuował Victor.

Postawił stopę na siedzisku krzesła i popchnął je. Funkcjonariusz Dane spadł na podłogę z głośnym łupnięciem i dużo cichszym jękiem, a Victor złapał krzesło, zanim upadło, postawił je z powrotem jednym zwinnym ruchem i sam na nim

usiadł. – Jestem przyjacielem przyjaciela i bardzo przydałaby mi się pańska pomoc – wyjaśnił, pochylając się i opierając łokcie na kolanach. – Chciałbym, żebyś podał mi pan swoje kody dostępu do policyjnej bazy danych.

Funkcjonariusz Dane wytrzeszczył oczy. Mitch również.

– Vic – powiedział, pochylając się ku przyjacielowi tak, żeby Dane nie słyszał jego słów. – Po co ci to? Przecież już się tam włamałem.

Victora najwyraźniej nie obchodziło, czy policjant coś usłyszy.

– Dałeś mi oczy i jestem ci za to wdzięczny. Chciałbym jednak umieścić tam pewną informację, a w tym celu potrzebuję oficjalnie zarejestrowanego konta użytkownika – powiedział. Nadszedł czas na wysłanie kolejnej wiadomości, a Victor chciał dopracować każdy szczegół. Przy oznaczonych profilach znajdowały się tagi, wskazujące na autorstwo, a jak odkrył wcześniej sam Mitch, wszystkie dane dotyczące osób PP wprowadzało tych dwóch policjantów: Stell albo Dane. – A poza tym – powiedział Victor, stając na równe nogi – w ten sposób będzie dużo zabawniej.

Powietrze w pomieszczeniu zaczęło wibrować. Odsłonięty stalowy szkielet budynku odbijał energię, aż w całym pokoju rozlegało się niemal słyszalne bzyczenie.

– Lepiej, żebyś zaczekał na zewnątrz – zasugerował Victor Mitchowi.

Znacznie udoskonalił swoją moc: potrafił wybrać pojedynczą osobę z tłumu i powalić ją, niczym celnie wystrzelonym z procy kamieniem, ale mimo to nie lubił, gdy w pobliżu znajdowały się przypadkowe osoby. Na wszelki wypadek. Czasem zdarzało mu się zadziać ze zbyt dużym entuzjazmem, a wówczas ból

przelewał się również na innych. Mitch znał jego możliwości wystarczająco dobrze, żeby nie zadawać pytań. Odchylił tylko jedną z foliowych płacht i wyszedł. Victor odprowadził go wzrokiem, rozprostowując i wyginając palce, tak jakby chciał je rozgrzać przed koncertem. Poczł lekkie ukłucie sumienia, ganiącego go za wciągnięcie Mitcha w tę sprawę. Co prawda jego potężny przyjaciel nie znalazł się w więzieniu o zaostrowym rygorze tylko za włamania komputerowe, ale zawsze. Porwanie policjanta było poważnym przestępstwem. Nie tak poważnym, jak to, które Victor miał zamiar popełnić za chwilę, ale biorąc pod uwagę dotychczasową kartotekę Mitcha, nie wyglądałoby to najlepiej. Rozważał porzucenie przyjaciela zaraz po tym, jak obaj znaleźli się po właściwej stronie ogrodzenia zakładu karnego Wrighton, ale Victor nie dysponował nadludzką siłą, a mógł mu się przydać ktoś do pomocy przy usuwaniu ciał. Poza tym przyzwyczał się już do towarzystwa Mitcha. Westchnął i odwrócił się do policjanta, który próbował coś powiedzieć. Victor klęknął, opierając kolano o pierś tamtego, i oderwał mu taśmę z ust.

– Nie wiesz, co robisz! – rzucił funkcjonariusz Dane. –
Usmażysz się za to na krześle elektrycznym!

Victor uśmiechnął się dobrotliwie.

– Nie, jeżeli mi pomożesz.

– Nie widzę powodu, żeby to robić!

Victor starannie przykleił taśmę z powrotem i wstał.

– Och, ja też nie – powiedział cicho. Wibracja w powietrzu stała się nagle bardziej intensywna, a ciało funkcjonariusza Dane'a wygięło się w cierpieniu. Taśma skutecznie zdusiła krzyk. – Ale zaraz go zobaczysz.

VIII

PO POŁUDNIU HOTEL ESQUIRE

Eli wciąż jeszcze patrzył na siatkę policyjnej bazy danych, widocznej na ekranie, gdy usłyszał, że otwierają się za nim drzwi. Puknął w ekran, zamykając profil niejakiego Dominika Rushera, podejrzanego o PonadPrzeciętność, i zaraz potem wokół jego szyi owinęła się para smukłych ramion, a czyjeś usta musnęły jego ucho.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Szukałam Sydney.

Stężał cały.

– I co?

– Jeszcze nic, ale rozpuściłam wici. Teraz będzie dla nas pracować jeszcze kilka par oczu. Jak było w banku?

– Nie wierzę Stellowi – powtórzył Eli po raz setny.

Serena westchnęła.

– A co z Barrym Lynchem?

– Kiedy tam dotarłem, znów był martwy – odparł, podniósł z biurka prymitywny rysunek i podał go jej przez ramię. – Ale zostawił to.

Poczuł, że wyjmuje rysunek z jego palców. Kilka sekund później powiedziała:

– Nie wiedziałam, że Victor jest taki szczupły.

– Nie czas na żarty – rzucił Eli.

Serena obróciła fotel i spojrzała mu w twarz. Jej oczy były zimne jak lód.

– Masz rację – odparła. – Nie czas. Powiedziałeś, że zabiłeś Sydney.

– Myślałem, że to zrobiłem!

Serena pochyliła się i zdjęła okulary z zerowymi szklami z nosa Elia. Zapomniał już, że je założył. Wsadziła je sobie na głowę niczym zaimprovizowaną opaskę i pocałowała go, nie w usta, lecz w czoło, pomiędzy oczami, w miejsce, gdzie pojawiała się zmarszczka za każdym razem, kiedy jej się opierał.

– Naprawdę? – szepnęła.

Powstrzymał się, żeby nie zmarszczyć czoła pod jej pocałunkiem. Łatwiej mu było tego dokonać, kiedy nie patrzyła mu w oczy.

– Tak było.

Westchnął w myślach z ulgą. Dwa krótkie słowa – nie prawdy, lecz półprawdy – i tyle. To było trudne, ale niewątpliwie tego dokonał; stawianie oporu szło mu coraz lepiej.

Odsunęła się i objęła go spojrzeniem zimnych niebieskich oczu. Dostrzegł w nich diabła, chytrą, szatańską istotę o srebrnym języku, i pomyślał – nie po raz pierwszy – że powinien był ją zabić, kiedy jeszcze miał szansę.

IX

POPRZEDNIEJ JESIENI UNIWERSYTET MERIT

Muzyka była tak głośna, że trzęsły się obrazy na ścianach. Na schodach obściskiwali się anioł z czarodziejem, dwa niegrzeczne koty wyrywały sobie przystojnego wampira, a facet z żółtymi soczewkami kontaktowymi wył z uciechy. Ktoś wylał tanie piwo z jednorazowego kubka tuż pod stopy Elia.

Zaraz przy wejściu ściągnął rogi jakiemuś diabłu i założył je sobie na głowę. Widział, jak dziewczyna wchodzi na tę imprezę w towarzystwie Barbie i uczennicy ze szkoły katolickiej w zdecydowanie zbyt skąpym mundurku. Ona sama jednak nie przebrała się za nikogo – założyła po prostu dżinsy i koszulkę polo, a blond włosy rozpuściła tak, że opadały jej na ramiona. Stracił ją z oczu tylko na chwilę, a teraz jej przyjaciółki były tam, przeciskając się między ludźmi z dłońmi splecionymi nad głowami, ale ona sama zniknęła. Powinna wyróżniać się z tłumu brakiem kostiumu, wręcz podejrzanym na halloweenowym przyjęciu, ale nie było jej nigdzie w zasięgu wzroku.

Przeszukał cały dom, unikając zaczepk ze strony kilku ładnych studentek, chociaż pochlebiało mu to. Od niemal dziesięciu lat wyglądał, jakby był w podobnym wieku, co one, i w innych warunkach może by to wykorzystał, ale miał tu sprawę do załatwienia. Wtedy, po kilku daremnych okrążeniach

parteru, to ona odnalazła jego. Dziewczęca dłoń pociągnęła go na schody, w cień.

– No cześć – wyszeptwała. Usłyszał to mimo muzyki i krzyków rozbawionych gości.

– Cześć – odpowiedział równie cicho.

Ich palce splotły się, gdy prowadziła go w górę po schodach, coraz dalej od dudniącej basowymi rytmami imprezy, do sypialni, która nie należała do niej, sądząc po tym, jak rozejrzała się po wnętrzu, zanim weszła. „Ach, te studentki, co za dziewczyny!” – pomyślał wesoło Eli. Nie dało się ich nie kochać. Zamknął za sobą drzwi i w pokoju zapadła błoga cisza. Słysząc było w niej tylko daleki pomruk muzyki. Lampy były zgaszone i tak je zostawili, zza okna docierało tylko światło księżyca i ulicznych latarni.

– Impreza halloweenowa, a ty bez przebrania? – zapytał żartobliwie.

Dziewczyna wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni lupę.

– Sherlock Holmes – wyjaśniła. Poruszała się leniwie, niemal sennie. Oczy miała koloru wody w środku zimy. Nie wiedział, jaką mocą dysponuje; nie badał tego przypadku dość długo, ani nie czekał na pokaz jej umiejętności... a właściwie badał i czekał od wielu tygodni, ale nie potrafił się zorientować, jaka to PonadPrzeciętna moc, więc zdecydował się zbliżyć do obiektu badań. Złamał w ten sposób własną zasadę i doskonale o tym wiedział, a mimo to znalazł się w tym pokoju. – A ty to kto? – spytała.

Eli zdał sobie sprawę, że jest za wysoki, by dostrzegła jego rogi. Pochylił głowę i wskazał na nie. Rogi były czerwone i obsypane brokatem, który błyszczał w zaciemnionym pokoju.

– Mefistofeles – odparł, a ona się zaśmiała. Wiedział tylko, że dziewczyna studiuje anglistykę. „Przebranie wyjątkowo dzisiaj pasuje”, pomyślał. „Jeden diabeł, żeby zwabić innego”.

– Co za oryginalny pomysł – powiedziała ze znudzonym uśmiechem Serena Clarke.

Tak brzmiało imię i nazwisko z jego notatek. Olśniewała urodą i niedbałym wdziękiem. Lekki makijaż wyglądał jak idealne uzupełnienie jej naturalnego piękna; Eli z trudem oderwał od niej wzrok. Przywykł do widoku ładnych dziewczyn, ale Serena była inna. Prezentowała sobą coś więcej. Kiedy przyciągnęła go do pocałunku, niemal zapomniał o chloroformie w tylnej kieszeni. Jej dłonie ześlizgnęły się po jego plecach aż do paska, a on ledwie zdołał je chwycić, zanim była w stanie wyczuć buteleczkę i chustkę. Uniósł jej rękę i przycisnął do ściany nad głową, po czym odwzajemnił pocałunek. Jej usta smakowały jak chłodna źródłana woda.

Pomyślał, że teraz mógłby ją wypchnąć przez okno.

Zamiast tego pozwolił, żeby popchnęła go na cudze łóżko. Butelecza z chloroformem wbiła się w jego biodro, ale gdy spojrzał w inną stronę, przywołała go do porządku jednym palcem i wyszeptanym rozkazem. Przebiegł go dreszcz czegoś, czego nie czuł od lat – tęsknoty.

– Pocałuj mnie – nakazała, a on to zrobił. Za żadne skarby nie potrafił się przed tym powstrzymać, a kiedy ich usta się spotkały, to ona przytrzymała mu dłonie nad głową. Jej długie blond włosy łaskotały go w policzki.

– Kim jesteś? – zapytała.

Eli zdecydował, że tego wieczoru będzie się przedstawiał jako Gill, ale kiedy otworzył usta, powiedział:

– Eli Ever.

Co, do cholery?!

– Och, jaka piękna aliteracja! – zachwyciła się Serena. – Dlaczego przyszedłeś na tę imprezę?

– Żeby cię odnaleźć.

Słowa pojawiły się same, zanim Eli zauważył, że w ogóle je wypowiada. Zesztywniał cały i gdzieś w jego umyśle odezwał się głos, który ostrzegał go, że dzieje się coś złego, że musi wstać. Gdy jednak próbował się uwolnić, dziewczyna odezwała się czule:

– Nigdzie nie idziesz. Leż spokojnie! – A jego ciało zdradziło go, odprężając się pod jej palcami, mimo że serce waliło mu w piersi jak oszalałe. – Wyróżniasz się z tłumu – powiedziała. – Widziałam cię już wcześniej. W zeszłym tygodniu.

Dokładnie rzecz biorąc, Eli śledził ją od dwóch tygodni, mając nadzieję, że w końcu przekona się, jaką mocą dysponuje Serena. Nie miał jednak szczęścia... aż do teraz. Chciał rozkazać swojemu ciału, żeby się poruszyło, ale ono wolało zostać tam, gdzie było. Właściwie to... chciał zostać w jej objęciach.

– Szpiegujesz mnie? – zapytała niemal żartobliwym tonem, lecz Eli odparł:

– Tak.

– Po co? – spytała, puszczając jego rękę, lecz dalej na nim siedząc.

Eli zdołał unieść się na łokciach. Walczył ze sobą, usiłując przełknąć odpowiedź, podchodzącą mu do gardła niczym żółć. „Nie mów o zabijaniu. Nie mów o zabijaniu. Nie mów o zabijaniu!” Poczuł, jak słowa wciskają mu się do ust.

– Żeby cię zabić.

Dziewczyna uniosła brwi, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Dlaczego?

Odpowiedział niemal automatycznie:

– Jesteś PonadPrzeciętna. Masz moc, która jest przeciwna naturze. To niebezpieczne. Ty jesteś niebezpieczna.

Usta drgnęły jej w uśmiešku.

– Ja? I to mówi chłopak, który chce mnie zabić.

– Nie oczekuję, że zrozumiesz...

– Rozumiem, ale nie zabijesz mnie dzisiaj, Eli – powiedziała lekceważąco. Musiał zmarszczyć czoło, ponieważ po chwili dodała: – Nie bądź taki rozczarowany. Możesz przecież spróbować jutro.

W pokoju było ciemno, a zza ścian dochodził stłumiony ryk muzyki. Dziewczyna pochyliła się, zdjęła z jego głowy czerwone, nakrapiane brokatem rogi i umieściła je na swoich blond włosach. Wyglądała tak prześlicznie, że Eli zaczął zapominać, dlaczego Serena musi umrzeć.

A potem powiedziała:

– Wiesz co? Masz rację.

– W jakiej sprawie? – zapytał. Jego myśli zwolniły.

– Jestem niebezpieczna. Nie powinnam istnieć. Tylko dlaczego akurat ty miałbyś mnie zabić?

– Ponieważ tylko ja potrafię to zrobić.

– Zła odpowiedź – szepnęła, gładząc palcami jego policzek.

A potem opadła na niego całym ciałem, dzins przy dzinsie, biodra przy biodrach, skóra na skórze. – Pocałuj mnie jeszcze raz – rozkazała, a on wykonał to polecenie.



Serena Clarke spędziła połowę czasu od wypadku na jeziorze, żałując, że jednak nie umarła, a drugą połowę – mówiąc wszystkim naokoło, co mają robić, lecz zarazem pragnąc, żeby ktoś z nich w końcu jej się sprzeciwił.

Zażądała wypuszczenia ze szpitala i cały personel rozstąpił się przed nią niczym Morze Czerwone, zanim jeszcze skończyła się jej kroplówka. Z początku stawianie za każdym razem na swoim było dość przyjemne, nawet jeśli czuła się przy tym trochę dziwnie. Zawsze była silną osobowością, gotową walczyć o to, czego chciała, i nagle nie musiała tego robić, ponieważ nikt nie chciał stawać do walki. Świat wokół niej sflaczał. Każdy, kogo poznała i do kogo się odezwała, posłusznie spełniał jej polecenia. Brak sprzeciwu i napięcia w kontaktach międzyludzkich doprowadzał ją do szaleństwa. Rodzice pokiwali głowami, kiedy powiedziała, że chce wrócić do nauki. Wykładowcy przestali stawiać jej wymagania. Przyjaciele byli gotowi spełnić każde polecenie. Faceci stracili cały wdzięk, dając jej wszystko, czego chciała, i to, czego nie chciała, lecz i tak od nich żądała, ponieważ jej się nudziło.

Przedtem świat ustępował z oporami przed siłą woli Sereny – a teraz po prostu się uginał bez walki. Nie musiała się o nic wyklócać, nie musiała się o nic starać.

Czuła się jak duch.

Z najwyższą niechęcią przyznawała się sama przed sobą, jak łatwe i uzależniające jest takie życie. Najgorsze było to, że wszystko toczyło się po jej myśli, nawet kiedy była z tego powodu nieszczęśliwa. Za każdym razem czuła się zmęczona, próbując skłonić ludzi, żeby się jej przeciwstawili, toteż szybko wracała do wygodnego kontrolowania wszystkich naokoło. Nie

potrafiła wyłączyć tej mocy. Nawet kiedy nie rozkazywała, gdy tylko coś zasugerowała, o coś poprosiła – inni i tak to robili.

Czuła się jak bogini.

Marzyła o kimś, kto będzie umiał z nią walczyć, kto będzie miał wolę na tyle silną, by się jej oprzeć.

Aż pewnego wieczoru pogniewała się – była naprawdę wściekła – na chłopaka, z którym wówczas chodziła. Najpierw zirytował ją głupawy, szklany wyraz jego oczu, który знаła aż nazbyt dobrze. Kiedy nie chciał jej zaprzeczyć i odmówił kłótni, ponieważ z jakiegoś wkurzającego powodu była to jedyna rzecz, której nie mogła na nim wymusić, kazała mu skoczyć z mostu.

I zrobił to.

Pamiętała, jak siedziała po turecku na łóżku i oglądała w telewizji reportaż na ten temat, a przyjaciółki zgromadziły się wokół niej. Nie dotykały jej, tak jakby oddzielała je od niej cienka ściana strachu (a może czci?). Zdała sobie wówczas sprawę z tego, że nie jest duchem ani boginią.

Była potworem.



Eli dokładnie zbadał niebieską karteczkę, którą dziewczyna wsunęła mu do kieszeni poprzedniego wieczoru. Z jednej strony zapisała nazwę kawiarni obok głównej biblioteki – Pod Latarnią – a obok godzinę spotkania, 14.00. Na drugiej widniało imię: Szeherezada. Nawet zapisała je poprawnie, przez samo „h”. Eli oczywiście rozumiał nawiązanie – Baśnie tysiąca i jednej nocy. Szeherezada opowiadała sułtanowi rozmaite historie i nigdy nie doprowadzała ich do końca, żeby jej nie zabił – zawsze

zawieszała opowiadanie w najciekawszym momencie, tak by móc je kontynuować następnego dnia.

Idąc przez kampus uniwersytetu Merit, po raz pierwszy od dekady poczuł, że ma kaca. Głowa mu ciążyła, a umysł funkcjonował wolniej niż zwykle. Tego ranka potrzebował sporo czasu, by otrząsnąć się spod wpływu dziewczyny i móc znowu myśleć o niej jak o celu. Tylko celu i niczym innym.

Wsunął karteczkę do kieszeni. Wiedział, że Serena nie przyjdzie. Musiałaby być szalona, by pojawić się blisko niego po wydarzeniach poprzedniej nocy. Po tym, jak przyznał się do swoich zamiarów. Ale... proszę, jednak tam była! Siedziała na patio kawiarni w okularach przeciwsłonecznych i granatowym swetrze, a blond włosy okalały jej twarz.

– Ty chyba prosisz się o śmierć – powiedział Eli, stając przy stoliku.

Wzruszyła ramionami.

– Już ją kiedyś przeżyłam, więc to dla mnie żadna nowość – odparła i wskazała gestem krzesło naprzeciwko.

Eli rozważył możliwości, ale nie mógł przecież zabić jej ot tak na środku kampusu, więc usiadł.

– Na imię mam Serena – powiedziała, unosząc okulary. W dziennym świetle jej oczy miały jeszcze jaśniejszy odcień. – Ale przecież wiesz już, jak się nazywam – dodała. Upiła łyček kawy. Eli nie powiedział ani słowa. – No dobra: dlaczego chcesz mnie zabić? – zapytała. – Tylko nie mów „Dlatego, że mogę”.

W chwili, gdy myśli Elia formowały się w jego głowie, jego usta już je wypowiadały. Zdziwiony tym, usłyszał własny głos:

– PonadPrzeciętni są wbrew naturze.

– Już powiedziałeś coś takiego.

– Mój najlepszy przyjaciel stał się jednym z nich. Widziałem, jak się zmieniał. To było tak, jakby diabeł przywdział jego skórę. Zabił moją dziewczynę, a potem próbował zabić również mnie – powiedział jednym tchem, po czym ugryzł się w język, by przerwać potok własnej wymowy. Czy to jej oczy, czy też jej głos zmuszał go do mówienia?

– Aha, więc teraz chodzisz po świecie, obwiniając za to każdego innego PP, którego znajdziesz – domyśliła się Serena. – Wymierzasz im karę za jego postępowanie?

– Nic nie rozumiesz – odparł. – Próbuję chronić ludzi.

Uśmiechnęła się znad kawy i nie był to przyjazny uśmiech.

– Jakich ludzi?

– Tych normalnych!

Dziewczyna prychnęła tylko.

– Tych naturalnych – sprostował Eli. – PonadPrzeciętnych nie powinno być na tym świecie. Dano im drugą szansę: to tak jakby dostali do ręki broń bez instrukcji obsługi. Nie znają zasad. Sama ich egzystencja jest zbrodnią. Nie istnieją w pełni.

Uśmiezek zniknął z ust Sereny.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że kiedy ktoś wraca z tamtej strony śmierci jako PP, to nie w całości. Zawsze czegoś brakuje – wyjaśnił. Nawet on sam, mimo że wyjątkowy, zdawał sobie z tego sprawę.

– Czego? Ważnych elementów, takich jak współczucie, równowaga umysłowa, strach albo umiejętność przewidywania następstw działania. Nie ma tego, co mogłoby powściągać ich PonadPrzeciętne umiejętności. Powiedz tylko, że się myślę. Powiedz, że czujesz wszystko tak samo jak przedtem.

Serena pochyliła się, stawiając kawę na stosie książek. Nie zaprzeczyła jego rozumowaniu, zapytała jednak:

– A jaką ty masz moc?

– Dlaczego pomyślałaś, że jakąkolwiek mam? – wypluł odpowiedź najszybciej jak potrafił, zastępując tymi słowami odpowiedź, której oczekiwała. To było małe, chwilowe zwycięstwo, ale wiedział, że je zauważyła. Uśmiechnęła się ostro.

– Powiedz, jaką masz moc! – rozkazała.

Tym razem nie potrafił się oprzeć.

– Błyskawicznie się regeneruję.

Roześmiała się, na tyle głośno, że jeden czy dwóch studentów spojrzano na nią znad innych stolików na patio.

– Nic dziwnego, że masz takie popieprzone poczucie własnej misji!

– O co ci chodzi?

– Twój dar nie dotyczy nikogo innego poza tobą. Jest zwrócony do wewnątrz ciebie, więc uważasz, że nie jesteś zagrożeniem, a reszta z nas tak – wyjaśniła, poklepując stos książek, wśród których Eli dostrzegł kilka dzieł psychologicznych. – Trafiłam?

Eli nie był pewny, czy podoba mu jej wyjaśnienie. Chciał opowiedzieć jej o swoim przymierzu z Bogiem, ale zamiast tego zapytał:

– Skąd wiedziałaś, że jestem PonadPrzeciętny?

Zsunęła okulary z powrotem na oczy i odpowiedziała:

– Wszystko w tobie krzyczy, że nienawidzisz samego siebie. Nie osądzam. Znam to uczucie. – Zegarek Sereny pisnął krótko i dziewczyna wstała. Nawet ten ruch był przepiękny i płynny jak strumień wody. – Wiesz co, może powinnam pozwolić, żebyś mnie zabił? Ponieważ masz rację. Mimo że wracamy

z zaświatów, coś umiera na zawsze. Na dobre zapominamy, kim byliśmy. To straszne, cudowne i potworne jednocześnie.

Wyglądała w tamtej chwili tak smutno, skąpana w popołudniowym słońcu, że Eli musiał się z całych sił powstrzymać, żeby do niej nie podbiec. Coś zatrzepotało w okolicach jego serca. Serena przypominała mu Angie, a raczej... przypominała, jak czuł się w towarzystwie Angie, zanim wszystko się zmieniło. Zanim on sam się zmienił. Przez dziesięć lat spoglądał ponad przepaścią na rzeczy, które utracił, a teraz, patrząc na tę dziewczynę, poczuł, jakby przepaść się zmniejszała, wyrwa zamykała się, a jego palce niemal – niemalże! – mogły dosięgnąć jej przeciwnej strony. Chciał być blisko niej, dawać jej szczęście, sięgać na drugą stronę pustki i pamiętać... przygryzł znowu język, dopóki smak krwi w ustach nie otrzeźwił go. Zdawał sobie sprawę, że te uczucia nie należały już do niego. Nie w pełni. Nie w naturalny sposób. Nie dało się wrócić do tamtych czasów. Był tym, kim był, z jakiegoś powodu. Miał cel i misję. A Serena, ten potwór w ludzkim ciele, miała skomplikowaną, niebezpieczną moc. Nie polegała ona na przymusie, raczej na przyciąganiu. Każdy, kogo omotała, chciał spełniać jej życzenia. Ba, musiał je spełniać! To były jej uczucia, przefiltrowane przez jego umysł, nie jego własne emocje.

– Wszyscy jesteśmy potworami – powiedziała, podnosząc książki. – To dotyczy także i ciebie.

Słowa te trafiły do jego uszu i umysłu, ale odepchnął je gwałtownie, zanim osiadły w pamięci. Skoczył na równe nogi, lecz ona już się od niego odwracała.

– Nie możesz mnie dzisiaj zabić – rzuciła przez ramię. – Już jestem spóźniona na zajęcia.



Eli siedział na ławce obok budynku wydziału psychologii, z odchyloną głową. Był piękny dzień, pochmurny, lecz nie szary, chłodny, ale nie mroźny. Lekka bryza wciskała mu się za kołnierz i rozwiewała włosy, orzeźwiając i pomagając zachować czujność. Teraz, gdy Serena odeszła, umysł znów miał jasny i doskonale wiedział, że ma problem. Musiał zabić tę dziewczynę, nie patrząc na nią ani jej nie słuchając. Gdyby znalazł ją nieprzytomną, to może mógłby...

– Ależ ty fantastycznie wyglądasz! – odezwała się Serena, a jej głos był jednocześnie chłodny i ciepły. Przyciskała książki do piersi i spoglądała na niego. – O czym myślałeś? – spytała.

– O tym, jak cię zabić – odpowiedział. Kiedy nie musiał kłamać, czuł się niemal wolny jak ptak.

Serena wolno pokręciła głowa i westchnęła.

– Odprowadź mnie na następne zajęcia.

Wstał posłusznie.

– Powiedz mi – poprosiła, chwytając jego dłoń. – Jak chciałeś mnie zabić na imprezie wczoraj wieczorem?

Eli patrzył na chmury.

– Uśpić cię i wypchnąć przez okno.

– Kiepski pomysł – skomentowała.

Wzruszył ramionami.

– Ale wiarygodny. Dzieciaki na imprezach się upijają, najpierw tracą hamulce, a zaraz potem – równowagę. I wypadają z gry, a czasem również przez okna.

– No dobra – powiedziała, przytulając się do niego. Jej włosy połaskotały go w policzek. – Masz pelerynę?

– Kpisz sobie ze mnie?

– Aha, czyli jesteś z tych, co wolą same maski.

– O co ci chodzi? – zapytał. Dochodzili już do budynku, w którym miała następane zajęcia.

– Jesteś bohaterem... – szepnęła, patrząc mu prosto w oczy – ...swojej własnej historii, ale zawsze – dodała, wchodząc na schody. – Zobaczymy się jeszcze? Wpisałeś sobie do kalendarza kolejną próbę zabójstwa w tym tygodniu? Chciałabym wiedzieć, bo jeżeli tak, to przyniosę maczugę i trochę powalczę, żeby było bardziej realistycznie.

Serena była najdziwniejszą dziewczyną, jaką Eli spotkał w życiu. Powiedział jej to, a ona posłała mu uśmiech i zniknęła w środku.



Serena rozpromieniła się na jego widok.

Późnym popołudniem następnego dnia Eli czekał na schodach budynku z dwoma kubkami kawy w dłoniach. Powoli zapadał zmierzch, powietrze pachniało martwymi liśćmi i dalekimi ogniskami, a oddech wydobywał mu się z ust małymi obłokami. Wyciągnął ku niej kubek, a ona przyjęła go i chwyciła mężczyznę pod ramię.

– Mój bohaterze! – powiedziała.

Eli uśmiechnął się z żartu, zrozumiałego tylko dla nich dwojga. Przez niemal dziesięć lat nie dopuścił tak blisko nikogo, a już na pewno nie osobę PP. Mimo to właśnie teraz spacerował z jedną z nich o zmierzchu i bardzo mu się to podobało. Próbował sobie wytłumaczyć, że uczucie to było fałszywe, że wciśnięto mu je przemocą; usiłował wmówić sobie, że to tylko

badanie, że próbuje zrozumieć jej umiejętności, żeby móc ją zlikwidować. Tymczasem Serena zeszła wraz z nim po schodach i poprowadziła w kierunku wyjścia z kampusu.

– A więc ochraniasz ten biedny, niewinny świat przed wielkimi, złymi PonadPrzeciętnymi – stwierdziła. – Jak ich znajdujesz?

– Mam system – odpowiedział. Spacerowali dalej, a on wyjaśnił jej swoją metodę: staranne zawężanie puli potencjalnych celów, oparte na trzech krokach Lyne'a. Okresy obserwacji.

– Brzmi dość monotennie – zauważyła.

– Bo takie jest.

– A potem, kiedy już znajdziesz kogoś takiego, to co, po prostu go zabijasz? – Zwolniła kroku. – Żadnych pytań? Żadnego procesu? Nie oceniasz, czy rzeczywiście jest zagrożeniem dla społeczeństwa?

– Kiedyś z nimi rozmawiałem. Teraz już nie.

– Kto dał ci prawo, żeby odgrywać sędziego, ławę przysięgłych i kata w jednym?

– Bóg! – Nie chciał tego powiedzieć. Nie chciał dawać tej dziwnej dziewczynie przewagi nad sobą, pozwalając jej poznać jego przekonania i przekręcić je na jej własną modłę, żeby go przekabacić.

Wydęła wargi, w powietrzu pomiędzy nimi zawisły niewypowiedziane słowa, ale powstrzymała się od szyderstw.

– Jak ich zabijasz? – zapytała w końcu.

– To zależy od ich umiejętności – wyjaśnił. – Zwykle używam pistoletu, ale jeżeli pojawia się jakiś problem, na przykład z metalem, materiałami wybuchowymi albo samą sytuacją, muszę znaleźć inny sposób. Tak jak z tobą. Jesteś młoda

i zapewne wiele osób zauważyłoby twoją śmierć, więc zrobiłby się niezły bałagan, co wyklucza normalne zabójstwo. Musiałem zrobić tak, żeby to wyglądało na wypadek.

Skręcili w boczną uliczkę, przy której stały niskie bloki i domy jednorodzinne.

– A jaką najdziwniejszą metodę zabójstwa zastosowałeś do tej pory?

Eli pomyślał chwilę.

– Pułapka na niedźwiedzie.

Serena wykrzywiła się z niesmakiem.

– Nie chcę znać szczegółów.

Przez kilka minut szli w milczeniu.

– Od kiedy to robisz? – spytała.

– Od około dziesięciu lat.

– Bez kitu! – wykrzyknęła i spojrzała na niego uważnie.

Eli uśmiechnął się.

– Na ile lat wyglądam?

Dotarli do jej apartamentu i stanęli pod drzwiami.

– Dwadzieścia. Może dwadzieścia jeden.

– No cóż, dokładnie mam trzydzieści dwa... ale od dekady wyglądam tak samo.

– Aha, to pewnie dlatego, że masz taką moc?

Eli przytaknął.

– Tak, to regeneracja.

– Pokaż mi! – zażądała Serena.

– Jak? – zapytał.

Oczy jej zabłyśły.

– Masz przy sobie broń?

Zawahał się przez chwilę, a potem wyciągnął z kieszeni glocka.

– Daj mi go – rozkazała. Eli wręczył jej pistolet. Mimo że znajdował się pod jej wpływem, zachował na tyle samodzielności, że się przy tym wzdrygnął. Serena cofnęła się o krok i wycelowała.

– Czekał – ostrzegł ją, rozglądając się. – Może nie tutaj, na ulicy? Wejźmy.

Serena spojrzała na niego przeciągle, potem się uśmiechnęła i zaprosiła go gestem do swojego apartamentu.

X

PO POŁUDNIU HOTEL ESQUIRE

– Victor wysłał ci wiadomość – podsumowała Serena, muskając końcami palców schematyczną figurkę Sydney na rysunku. Zastanawiała się, czyją krew symbolizuje ciemnoczerwona plamka w rogu kartki. – Masz zamiar mu odpowiedzieć?

Patrzyła, jak odpowiedź wydostaje się z ust Elia.

– Nie wiem, jak to zrobić – przyznał niechętnie szeptem.

– Facet jest w tym mieście – podsunęła.

– Wśród milionów innych ludzi – rzucił Eli.

– A oni wszyscy są po twojej stronie. Albo w każdej chwili mogą być – dodała. Wzięła go za rękę, a on posłusznie wstał. Objęła go ramionami i przyciągnęła, aż ich czoła się zetknęły. – Pozwól sobie pomóc...

Obserwowała, jak napina mięśnie żuchwy. Nie potrafił się jej oprzeć, ale przynajmniej próbował. Dostrzegała napięcie w jego oczach, zmarszczkę między brwiami, gdy walczył z narzucaną mu wolą. Za każdym razem, gdy zadawała pytanie, zawsze, kiedy coś mu nakazywała, następowała chwila wahania, tak jakby Eli próbował przekształcić jej rozkaz w coś, co mógł uznać za własny wybór. Tak jakby mógł odzyskać wolną wolę w jej obecności! Nie mógł, oczywiście, ale uwielbiała patrzeć, jak próbuje. Tylko dzięki temu czuła, że rzeczywiście żyje. Chłonęła

jego opór całą sobą, smakowała go niczym egzotyczne danie. A potem, dla jego własnego dobra, zmuszała go, żeby się ugiął jeszcze raz.

– Eli – powtórzyła opanowanym, niewzruszonym głosem. – Pozwól mi sobie pomóc.

– Jak? – zapytał.

Wsunęła dłoń do jego kieszeni i wyciągnęła telefon.

– Zadzwoń do Stella i powiedz mu, że musimy się spotkać z policjantami z Merit. Wszystkimi.

Victor nie był jedyną poszukiwaną przez nich osobą w mieście. Sydney też tu była. Wystarczyło odszukać jedno z nich, żeby znaleźć oboje. Tyle powiedział im rysunek. Eli popatrzył na telefon.

– To będzie zbyt oficjalne – powiedział, wybierając mimo woli numer. – Postawimy się w ten sposób na świeczniku. Zaszedłem tak daleko tylko dlatego, że unikałem rozgłosu.

– To jedyny sposób, żeby ich wykurzyć z ukrycia. Poza tym nie powinieneś się tym przejmować. Teraz jesteś bohaterem, pamiętasz?

Zaśmiał się sucho, ale znów nie zaprzeczył.

– Chcesz superbohaterską maskę? – zakpiła, zdejmując okulary z czoła i zakładając mu je z powrotem. – Czy może te szkła wystarczą?

Eli zawiesił kciuk nad ekranem telefonu, wahając się jeszcze chwilę... a potem zadzwonił.

XI

POPRZEDNIEJ JESIENI UNIWERSYTET MERIT

Serena Clarke mieszkała samotnie. Eli zorientował się od razu po wejściu, kiedy ściągnęła buty przy drzwiach. Mieszkanie było czyste i spokojne, w jednolitym stylu. Serena najwyraźniej nie zadała sobie trudu, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek jest w środku, co oznaczało, że nie ma współlokatorów. Odwróciła się ku niemu i uniosła pistolet.

– Moment – powiedział Eli, zdejmując kurtkę. – To mój ulubiony ciuch. Wolałbym go nie podziurawić. – Wyjął z kieszeni mały cylinder tłumika i rzucił go jej. – Wiesz, jak się obchodzić z bronią?

Serena przytaknęła, dokręcając tłumik do lufy.

– Lata praktyki przy oglądaniu kryminałów w telewizji. Kiedyś znalazłam colta taty i się nauczyłam. Puszki w lesie i takie tam.

– Celnie strzelasz? – zapytał Eli, odpiął i zdjął koszulę, a potem położył ją na stoliku przy wejściu obok kurtki.

Serena zmierzyła go od stóp do głów wzrokiem pełnym aprobaty, a potem pociągnęła za spust. Wciągnął gwałtownie powietrze i zatoczył się do tyłu. Na jego ramieniu zakwitł krwawy ślad. Ból był krótki i jaskrawy. Pocisk przeszedł na wylot i utkwiał w ścianie za jego plecami. Patrzył, jak Serena otwiera szeroko oczy na widok kurczącej się rany

i zablizniającej się skóry. Powoli zaklaskała w dłonie, wciąż trzymając pistolet. Eli potarł ramię i spojrzał na nią.

– I jak, czujesz się teraz lepiej? – wyburczał.

– Och, nie bądź taki skwaszony – odparła, kładąc broń na stole.

– To, że się regeneruję – wyjaśnił, sięgając po koszulę – nie oznacza, że postrzał mnie nie boli.

Serena złapała jego ramię jedną dłonią, a drugą objęła jego twarz, zmuszając go do zerknięcia jej prosto w oczy. Poczuł, że się zapada.

– Mam pocałować to miejsce? – zapytała, muskając ustami jego usta. – Czy zagoi się od tego szybciej?

I znów poczuł to samo dziwne trzepotanie w piersi, tak jakby pragnienie, zakurzone i nietknięte od dekady, ale przez cały czas ukryte w jego ciele. Może to była tylko sztuczka. Może to uczucie – prosty ból śmiertelnika – nie pochodziło z jego wnętrza? A może tak? Mogło tak być. Skinął lekko głową, tak że ich wargi znów się zetknęły, a ona odwróciła się i poprowadziła go do sypialni.

– Tylko mnie dzisiaj nie zabij – dodała, wchodząc w ciemność. A jemu nawet nie przeszło to przez myśl.



Leżeli oboje wśród skłębionej pościeli, patrząc sobie w oczy. Serena przesuwiała palcami po jego policzku, szyi i piersi. Z fascynacją dotknęła miejsca, gdzie go postrzeliła. Teraz gładka skóra lśniła w ciemności sypialni. Potem jej dłoń powędrowała wzdłuż jego żeber na plecy, docierając w końcu do płataniny starych blizn. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Powstały przedtem – wyjaśnił cicho. – Teraz już nic nie zostawi na mnie śladów. – Otworzyła usta, ale zanim zdążyła zapytać, co się stało, uprzedził ją: – Proszę, nie pytaj.

Nie zadała pytania. Zamiast tego położyła mu dłoń na nietkniętej, gładkiej klatce piersiowej i na sercu.

– Dokąd pójdziesz po tym, jak mnie zabijesz?

– Nie wiem – odparł szczerze. – Będę musiał znaleźć następną osobę PP.

– Z nią też się prześpisz? – zapytała, a Eli parsknął śmiechem.

– Rzadko uwodzę tych, których planuję usunąć.

– No wiesz? Teraz poczułam się wyjątkowo.

– Bo taka jesteś – szepnął.

Święcie w to wierzył: Wyjątkowa. Inna. Fascynująca. Niebezpieczna. Jej ręka ześlizgnęła się z powrotem na pościel, a on pomyślał, że pewnie zasnęła. Uwielbiał obserwować ją w tej sytuacji, wiedząc, że mógłby ją zabić, ale nie mając takiego zamiaru. To pozwalało mu się czuć tak, jakby znów miał nad sobą kontrolę... a w każdym razie niemalże tak. Przebywanie w towarzystwie Sereny wydawało mu się snem, przerwą od rzeczywistości. Dzięki temu znów czuł się człowiekiem. Dzięki temu mógł zapomnieć.

– Musi być jakiś prostszy sposób – zastanawiała się sennie.

– Żeby ich znaleźć... Gdybyś tylko miał dostęp do właściwego miejsca w sieci...

– Gdybym tylko miał – zgodził się z nią szeptem. A potem zasnęli.



Słońce wpadało przez okna, lecz w pokoju było chłodno. Eli zadrżał i usiadł. Był w łóżku sam. Znalazł spodnie i spędził kilka minut na szukaniu koszuli, zanim przypomniał sobie, że zostawił ją przy drzwiach i wyszedł z sypialni. Sereny nigdzie nie było. Jego pistolet leżał wciąż na stole, więc włożył go za pasek na plecach i poszedł do kuchni, zrobić sobie kawę.

Kuchnie fascynowały Elia. Zawsze interesowało go, jak inni porządkują swoje życie: jakich szafek używają, gdzie chowają jedzenie i jakie to jest jedzenie. Spędził ostatnie dziesięć lat, badając ludzi. Zadziwiające, ile informacji dało się uzyskać, oglądając wnętrza ich domów; przede wszystkim sypialnie, łazienki i szafy, ale także kuchnie. Kawa w kuchni Sereny znajdowała się w najniższej szafce nad blatem, zaraz obok zlewu, co oznaczało, że piła jej mnóstwo. Mały, czarny ekspres, z którego dało się nalać od dwóch do czterech porcji naraz, stał upchnięty w kącie przy wykafelkowanej ścianie pod szafkami. Kolejna wskazówka, że Serena mieszkała sama. Apartament był zbyt atrakcyjny, by przypaść w udziale studentowi młodszego roku, chyba że w efekcie losowania przydziałów. Eli wyciągnął filtr z ekspresu, z roztargnieniem zastanawiając się, czy użyła swojej mocy również w tej sprawie.

Znalazł naczynia po lewej stronie zlewu i niecierpliwie postukał w ekspres, czekając, aż urządzenie zaparzy kawę. Kiedy to zrobiło, natychmiast napełnił kubek i pociągnął długi łyk. Teraz, kiedy był sam, jego umysł posłusznie wrócił do rozważania sposobów eliminacji Sereny. W tym momencie drzwi wejściowe się otworzyły i dziewczyna weszła, a za nią dwóch mężczyzn. Jednym z nich był śledczy Stell, a drugim – jakiś policjant. Serce Elia podeszło mu do gardła, ale zdobył się na

uprzejmy uśmiech znad kubka, opierając się o blat, by ukryć pistolet wetknięty za pasek od spodni.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dobry... – odparł Stell, a Eli dostrzegł zmieszanie widoczne pod maską wymuszonego spokoju. Natychmiast rozpoznał w tym dzieło Sereny. Od zamknięcia śledztwa w Lockwood minęło blisko dziesięć lat; Eli przez cały ten czas myślał o Stellu, oglądając się przez ramię, czy ktoś go nie śledzi. Nie dostrzegł tam Stella, lecz tamten najwyraźniej rozpoznał teraz Elia (byłoby dziwne, gdyby tak się nie stało, przecież chłopak nie zmienił się od tamtej pory, niczym fotografia). Mimo to żaden z przybyłych nie sięgnął po broń, co wydawało się obiecujące. Eli spojrzał na Serenę, która posłała mu promienny uśmiech.

– Mam dla ciebie prezent – poinformowała go, wskazując gestem obu funkcjonariuszy.

– Naprawdę, nie powinnaś – powiedział powoli.

– To funkcjonariusz Frederick Dane i jego szef, śledczy Stell.

– Panie Cardale – przywitał się Stell.

– Teraz używam nazwiska Ever.

– To wy się znacie? – zdziwiła się Serena.

– Śledczy Stell prowadził sprawę Victora – wytłumaczył Eli. – Lata temu, w Lockland.

Serena pokiwała głową ze zrozumieniem. Eli opowiedział jej wcześniej o tamtym dniu. Opuścił co prawda większość szczegółów, więc teraz, patrząc na jedynego mężczyznę, który miał kiedykolwiek powód, by podejrzewać go o nieczystą grę, być może nawet o PonadPrzeciętność, żałował, że nie powiedział Serenie całej prawdy.

– Minęło sporo czasu – zauważył Stell. – A mimo to nic się pan nie zmienił, panie Carda... Panie Ever. Nic a nic...

– Co sprowadza pana do Merit? – przerwał mu Eli.

– Przeniesiono mnie tu kilka miesięcy temu.

– Chciał pan zmienić klimat?

– Dostałem rozkaz przeniesienia po serii zabójstw.

Eli wiedział, że powinien był zmylić ślady, złamać schemat, ale odnosił tu sukces za sukcesem. Merit przyciągało niebywałą liczbę osób PP liczących, że łatwo będzie im się tu ukryć, ze względu tak na liczną populację, jak i wiele dogodnych kryjówek. Zwykle okazywało się jednak, że się przeliczyli – przed nim nie dało się schować.

– Eli – powiedziała z wyrzutem Serena. – Psujesz całą niespodziankę. Panowie Stell i Dane pogadali ze mną dłuższą chwilę i wszystko ustaliliśmy. Pomogą nam.

– Nam? – zapytał.

Serena zwróciła do tamtych i uśmiechnęła.

– Usiądźcie – rozkazała, a oni posłusznie siedli przy kuchennym stole.

– Eli, czy mógłbyś nalać panom kawy?

Nie był pewien, jak ma to zrobić, nie odwracając się tyłem do nich i nie pokazując im pistoletu, wetkniętego za pasek na plecach, więc zamiast spełnić polecenie Sereny, złapał jej dłoń i przyciągnął do siebie, po raz kolejny opierając się jej woli. Z zewnątrz wyglądało to na czuły uścisk kochanków, ale chwycił ją naprawdę mocno.

– Co ty robisz? – warknął jej do ucha.

– Myślałam sobie – powiedziała, kładąc głowę na jego piersi – o tym, jakie to musi być trudne i nudne, szukać każdego PonadPrzeciętnego z osobna. – Nie zadała sobie nawet trudu, by

mówić ciszej. – A potem pomyślałam, że musi być łatwiejszy sposób. Okazuje się, że policja w Merit prowadzi rejestr podejrzanych. Oczywiście nie dotyczy on PonadPrzeciętnych, ale mamy przecież wzorce wyszukiwania, tak to się nazywa, prawda?

Funkcjonariusz Dane przytaknął.

– No więc właśnie. Ta baza danych jest dość duża, żebyśmy mogli ją wykorzystać w tym celu – kontynuowała Serena, bardzo z siebie dumna. – Weszłam więc na komisariat i poprosiłam o rozmowę z kimś, kto zajmuje się dochodzeniami w sprawach osób PP – pamiętasz, mówiłeś mi, że niektórych z nich szkolą specjalnie do tego – a wtedy jeden z policjantów zaprowadził mnie do tych dżentelmenów. Dane jest podwładnym Stella, a obaj zgodzili się udostępnić nam swoją wyszukiwarke.

– I znowu mówisz „nam” – zauważył Eli na głos. Serena zignorowała go.

– W takim razie wiemy już wszystko, jak sędzę. Prawda, panie Dane?

Tyczkowaty mężczyzna o krótko ściętych włosach skinął głową i położył na stole cienką teczkę.

– Pierwsze wyniki – wyjaśnił.

– Dziękuję, funkcjonariuszu – powiedziała Serena, biorąc teczkę. – To nas zajmie na jakiś czas.

„Nas. Nas. Nas. Co tu się, do cholery, dzieje?” – pomyślał Eli. Jego umysł pracował gorączkowo nad oceną sytuacji, zdołał jednak utrzymać dłonie z dala od pistoletu za plecami i skupił się na instrukcjach, przekazywanych przez Serenę policjantom.

– Tu obecny pan Ever zapewni temu miastu bezpieczeństwo!
– powiedziała z błyskiem w oku. – To prawdziwy bohater,
prawda, panowie?

Funkcjonariusz Dane przytaknął. Stell z początku spojrział
tylko na Elia, ale w końcu też skinął głową.

– Prawdziwy bohater! – powtórzyli unisono.

XII

PO POŁUDNIU WIEŻOWIEC FALCON PRICE (W BUDOWIE)

Leżący na podłodze Dane cicho jęknął.

Victor odchylił się na składanym krześle, splatając palce na karku. W jednej dłoni trzymał motylkowy nóż, którego ostrze muskało jego jasne włosy. Nie było to konieczne, ale jego moc zyskiwała na skuteczności, kiedy wzmacniał efekt widocznym źródłem bólu. Funkcjonariusz Dane w poszarpanym mundurze skulił się na betonowej podłodze, zostawiając za sobą krwawe ślady. Mitch przed wyjściem zdążył jeszcze rozłożyć na niej kilka plastikowych płacht, a Victora trochę poniosło, ale od ostatniego razu, kiedy użył swojej mocy, minęło tyle czasu, że musiał spuścić trochę pary. Uspokajało go to i oczyszczało mu umysł.

Dłonie Dane'a wciąż były solidnie związane za plecami, ale taśma z jego ust odpadła, a koszula, nasiąknięta potem i krwią, przylepiła mu się do piersi. Zdradził oczywiście kody dostępu do bazy danych, i to szybko. Victor natychmiast przetestował je na telefonie, żeby się upewnić, że nie został oszukany, po czym zachęcił policjanta, żeby opowiedział mu wszystko, co wie o śledczym Stellu: o jego służbie w Lockland, przeniesieniu do Merit i przydzieleniu mu śledztwa w sprawie serii zabójstw, będącej niewątpliwie dziełem Elia, a także szkoleniu samego Dane'a. Okazało się, że obecnie wszyscy policjanci znają

protokół postępowania w przypadku odkrycia osoby PP, niezależnie od tego, czy wierzą w ich istnienie, czy też pozostają sceptyczni. Do tego jeden funkcjonariusz z każdej dzielnicy został przeszkolony bardziej szczegółowo i zapoznany z charakterystycznymi oznakami, by przejąć śledztwo w razie podejrzenia o PonadPrzeciętność.

Stell dowodził takim śledztwem dziesięć lat temu w Lockland, a teraz także tutaj, przy okazji prowadząc szkolenie Dane'a. Żeby było śmieszniej, Eli przekonał w jakiś sposób Stella, prowadzącego śledztwo przeciwko niemu, żeby mu pomagał.

Gdy Victor torturami wydobył z Dane'a wszystkie te informacje, pokręcił głową z niedowierzaniem. Eli nie przestawał go zadziwiać. Gdyby pracował razem ze Stellem od czasów Lockland, byłoby to może zrozumiałe, ale sytuacja w Merit wydawała się całkiem nowa – Stell i Dane pomagali Eliowi dopiero od jesieni poprzedniego roku. Jak PonadPrzeciętny przekonał policję z Merit do współpracy?

– Panie Dane – zagał Victor, a policjant wykrzywił się boleśnie na sam dźwięk jego głosu. – Czy mógłby mi pan opowiedzieć o swoich relacjach z Eliem Everem?

Dane nie odpowiedział. Victor wstał i czubkiem buta odwrócił mężczyznę na plecy.

– No, słucham? – powiedział spokojnie, opierając stopę na połamanych żebrach policjanta.

Tamten wrzasnął, ale gdy tylko znów mógł mówić, wydusił z siebie:

– Eli Ever... to... prawdziwy... bohater.

Victor zaśmiał się cicho i nacisnął mocniej.

– Kto ci to powiedział?

Funkcjonariusz patrzył teraz na niego inaczej, z wściekłością, lecz jednocześnie wyzywająco.

– Serena.

– A ty to kupiłeś bez zastrzeżeń?

Dane spojrzał na Victora, tak jakby nie rozumiał pytania.

Wówczas Victor zrozumiał, co jest grane.

– I co jeszcze powiedziała Serena?

– Żeby pomóc panu Everowi.

– I zrobiłeś to.

Policjant wydawał się zbity z tropu.

– Oczywiście, że tak!

Victor uśmiechnął się ponuro.

– Oczywiście, że tak! – powtórzył za Dane'em, wyciągając pistolet zza paska.

Przetarł oczy, zaklął pod nosem, a potem wpakował dwa pociski, szybko, jeden za drugim, prosto w serce funkcjonariusza. Policjant był pierwszą osobą, którą zabił od czasu Angie Knight (jeżeli nie liczyć faceta w więzieniu w czasach, gdy dopiero doskonalili technikę – ale Victor go nie liczył), i na pewno pierwszą, którą zamordował z premedytacją. Nie chodziło o to, że wzbraniał się przed zabijaniem, po prostu martwi ludzie nie mieli dla niego żadnej wartości. Przecież ból, który potrafił zadawać, nie działał na trupy. Zabójstwo Dane'a było niefortunne, chociaż konieczne. Victor czuł w związku z nim tylko umiarkowane wyrzuty sumienia i właściwie to mogłoby go obchodzić bardziej niż sam fakt zabójstwa, gdyby nie pochłaniało go wskrzeszenie martwego funkcjonariusza.

Mitch przecisnął się do pokoju między plastikowymi zasłonami, przyciągnięty stłumionym dźwiękiem strzałów. Na dłoniach miał rękawiczki, a pod pachą – na wszelki wypadek –

dodatkową płachtę z tworzywa. Spojrzał na zwłoki Dane'a i westchnął, ale gdy zaczął zwijać je z podłogi razem z ciałem, Victor wyciągnął dłoń, powstrzymując go.

– Zostaw go – polecił. – I przyprowadź tu Sydney.

Mitch zawahał się.

– Nie sądzę, żeby...

Victor odwrócił się ku niemu.

– Powiedziałem, żebyś ją przyprowadził.

Mitch wyszedł z bardzo nieszczęśliwą miną, zostawiając Victora samego ze zwłokami.

XIII

POPRZEDNIEJ JESIENI UNIWERSYTET MERIT

Serena wyprowadziła policjantów z mieszkania, po czym wróciła do kuchni. Poblady Eli powoli wracał do siebie, trzymając się blatu przy zlewie. Wydawał się cały napięty; jeszcze go nie widziała w takim stanie. Poczowała dreszcz przebiegający po plecach. Eli był wściekły, i to na nią. Patrzyła, jak wyjmuje pistolet zza paska i kładzie go na blacie, lecz nie cofa dłoni z kolby.

– Powinienem cię zabić! – wrzasnął. – Naprawdę powinienem!

– Ale tego nie zrobisz.

– Jesteś szalona! Stell prowadzi śledztwo w sprawie moich zabójstw, a ty właśnie go tutaj wpuściłaś!

– Nie wiedziałam, co łączy ciebie i Stella – rzuciła bez troski Serena. – Chociaż właściwie to nawet lepiej.

– Jak to?

– W tym wszystkim chodziło mi o to, żeby ci coś udowodnić.

– Że kompletnie cię porąbało?

Wydęła wargi.

– Nie. Że bardziej ci się przydam żywa.

– Myślałem, że prosisz się o śmierć – powiedział Eli. – To, że przyprowdziłaś mi faceta, którego staram się unikać od dziesięciu lat, nie stawia cię automatycznie po mojej stronie.

Uważasz, że Stell przestanie myśleć, kiedy twoje zakłęcie się wyczerpie?

– Uspokój się – powiedziała stanowczo. I rzeczywiście, wściekłość zaczęła ulatywać z jego umysłu, aż całkiem zniknęła, chociaż próbował ją w sobie wzbudzić ponownie. Zastanawiała się, jak musi się czuć ktoś, kto znajduje się pod jej wpływem.

Ramiona Elia rozluźniły się i puścił blat. Tymczasem Serena kartkowała zawartość teczki pozostawionej przez Dane'a. Wyłowiła z niej jeden papier, a resztę upuściła na stół. Jej wzrok wędrował między tekstem a zdjęciem przedstawiającym młodego człowieka w wieku dwudziestu paru lat. Byłby całkiem przystojny, gdyby nie blizna, biegnąca wyraźną linią od oka aż do gardła.

– Co z twoją siostrą? – zapytał Eli. Ręce przestały mu się trząść i nalał sobie kawy.

Serena zmarszczyła brwi i uniosła wzrok.

– A co ma z nią być?

– Powiedziałaś, że też jest PonadPrzeciętna.

Naprawdę? Może faktycznie mu to wyznała, mamrocząc w półśnie, kiedy myśli, marzenia i lęki same potrafią wyślizgnąć się człowiekowi z ust.

– Zmieńmy temat – zaproponowała, udając, że zawartość teczki nagle ją zainteresowała, i próbując ukryć zdenerwowanie. Nie lubiła myśleć o Sydney, w każdym razie nie w tej chwili. Umiejętność siostry przyprawiała Serenę o mdłości, nie w związku z samym talentem, ale ponieważ oznaczało to, że przeszła to samo, co Serena i Eli – i również czegoś jej brakowało. Serena nie widziała siostry od pożegnania

w szpitalu. Nie potrafiła znieść myśli, że kiedyś będzie musiała spojrzeć jej prosto w oczy.

– Co ona potrafi? – naciskał Eli.

– Nie wiem – zełgała Serena. – Jest jeszcze dzieciakiem.

– Jak ma na imię?

– Nie gadam o niej! – rzuciła. A potem znów się uśmiechnęła, podając mu kartkę z profilem podejrzanego. – Spróbujmy tego. To wygląda jak niezłe wyzwanie.

Eli przyglądał się Serenie przez dłuższą chwilę, a potem wziął od niej papier.

XIV

PO POŁUDNIU HOTEL ESQUIRE

Eli siedział, czekając na połączenie i obserwując, jak Serena przemierza ich apartament hotelowy w kierunku kuchni. W końcu sygnał ucichł, a w słuchawce odezwał się szorstki głos.

– Mówi Stell. O co chodzi?

– Tutaj Ever – powiedział Eli, zdejmując okulary. Serena zajęła się ekspresem do kawy, ale widział po jej ruchach – po tym, jak przechyliła głowę, jak stara się nie hałasować – że pilnie słucha.

– Dzień dobry panu – powiedział policjant. Eliowi nie spodobało się, jak tamten wymówił słowo „panu”, z intonacją wznoszącą. – W czym mogę pomóc?

Wybierając numer, Eli nie wiedział, czy wezwanie na pomoc Stella to dobry pomysł, czy też wydaje mu się tak, ponieważ zasugerowała to Serena. Teraz, kiedy z nim rozmawiał, zdał sobie sprawę, że to wcale nie była słuszna koncepcja. W gruncie rzeczy to był bardzo zły pomysł. Przez dziewięć i pół roku z ostatnich dziesięciu Eli pozostawał duchem, trzymając się na uboczu, co było osiągnięciem, jeśli wziąć pod uwagę coraz większą liczbę udanych egzekucji i wciąż taki sam wygląd (a przecież łączenie nieśmiertelności z anonimowością było wyzwaniem samo w sobie). Zdołał unikać Stella, dopóki Serena

nie wmieszała się w sprawę. Potem też robił wszystko sam. Nie ufał innym ludziom dysponującym wiedzą, ani tym u władzy, a na pewno nie tym, którzy mieli i to, i to. Ryzyko było wysokie, prawdopodobnie zbyt wysokie.

A korzyści? Skaptowanie całej policji w Merit zapewniało im zarówno wsparcie w konflikcie z Victorem, jak i zezwolenie na kontynuację likwidacji w taki sposób jak dotychczas. Oznaczało to jednak także związanie się z jedyną znaną mu osobą, której nie powinien ufać, chociaż zarazem nie potrafił jej się oprzeć. Policjanci nie słuchali jego poleceń, tylko rozkazów Sereny. Spojrzała na niego przez pokój i uśmiechnęła się, unosząc zachęcająco kubek z kawą. Pokręcił głową, a ona zareagowała na to jeszcze szerszym uśmiechem. W końcu i tak przyniosła mu kawę, umieściła kubek w jego wolnej dłoni i owinęła wokół niego jego palce swoimi.

– Panie Ever? – wyrwał go z zamyślenia Stell.

Eli przełknął ślinę. Niezależnie od tego, czy był to dobry pomysł, czy też nie, wiedział, że nie może pozwolić Victorowi ujść z życiem.

Dlatego powiedział:

– Musimy zwołać zebranie ze wszystkimi policjantami w mieście. Najszybciej, jak się da.

– Wezwę ich, ale dotarcie tutaj zajmie im trochę czasu.

Eli spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta.

– Będę u was o szóstej. Proszę przekazać tę wiadomość również funkcjonariuszowi Dane'owi.

– Owszem, kiedy go tylko znajdę.

Eli uniósł brew.

– To znaczy?

– Właśnie wróciłem z banku, tego, na który napadł pański pupil Barry Lynch, i nie widzę ani śladu Dane’a. Musiał skoczyć na papierosa.

– Musiał skoczyć... – powtórzył Eli. – Proszę informować mnie na bieżąco – polecił, rozłączył się i zawahał przez chwilę, obracając telefon w dłoni.

– Coś nie tak? – zapytała Serena.

Milczał. Owszem, potrafił się oprzeć jej pytaniu, ale tym razem nie odpowiedział, ponieważ nie wiedział. Może nie stało się nic nadzwyczajnego? Może Dane wyszedł tylko na przerwę albo skończył pracę wcześniej? A może... poczuł mrowienie, takie samo jak wówczas, kiedy Stell odezwał się do niego z osobliwą intonacją. Takie samo, jak wtedy, gdy zdawał sobie sprawę, że wypełnia polecenia Sereny, zamiast robić coś z własnej woli. Zwykle czuł je, kiedy coś poszło kiepsko. Nie kwestionował swoich przeczuć. Ufał im tak samo, jak chwilom spokoju, ogarniającego go zawsze po zabójstwie.

I dlatego wybrał numer funkcjonariusza Dane’a.

Zaczekał z uchem przy słuchawce.

I czekał tak.

I czekał.



Victor przemierzał wielkimi krokami pusty pokój na wpół wybudowanego wieżowca i zastanawiał się nad rozwiązaniem problemu Sereny Clarke, która, jak widać, była dość wpływową osobą. Nic dziwnego, że Eli znosił jej towarzystwo. Victor wiedział, że będzie musiał ją zabić bardzo, bardzo szybko. Rozejrzał się po pomieszczeniu, rozważając jego potencjał

i swoje możliwości, lecz jego uwagę przyciągnęło po raz kolejny ciało funkcjonariusza Dane'a, leżące na środku podłogi, na plastikowej płachcie. Victor musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, by zatrzeć ślady tortur i oszczędzić Sydney widoku zmasakrowanego ciała.

Ukląkł przy zwłokach i zaczął je układać, prostując kończyny i usiłując nadać ciału bardziej naturalny wygląd. Zauważył srebrną obrączkę ślubną na palcu policjanta, zsunął ją więc i włożył do jego kieszeni, a potem umieścił ręce trupa wzdłuż ciała. Niestety nie potrafił sprawić, żeby Dane wyglądał na mniej martwego. To zadanie pozostawił Sydney.

Mitch wrócił po kilkunastu minutach. Przytrzymał plastikowe zasłony, pokazując dziewczynce drogę. Victor był dumny ze swojej pracy. Dane wyglądał całkiem w porządku (poza poszarpanym mundurem i plamami krwi). Gdy jednak wzrok Sydney padł na ciało, stanęła jak wryta i jęknęła cicho.

– To coś złego, prawda? – zapytała, wskazując na odznakę na piersi trupa. – Zabijanie policjantów jest złe.

– Tylko dobrych policjantów – wyjaśnił Victor. – A ten tu nie był dobry. Ten gliniarz pomagał Eliowi tropić PonadPrzeciętnych. Gdyby twoja siostra cię nie wydała, zapewne on by to zrobił – oświadczył, myśląc przy tym „przynajmniej dopóki znajdowałyby się pod urokiem Sereny”, ale nie powiedział tego na głos.

– Czy to dlatego go zabiłeś? – zapytała cicho.

Victor zachnął się.

– To bez znaczenia. Liczy się tylko to, żebyś go przywołała z powrotem.

Sydney mrugnęła.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo to ważne – powiedział, przestępując z nogi na nogę. – Obiecuję ci, że zaraz potem znowu go zabiję. Muszę tylko coś sprawdzić.

Dziewczynka cofnęła się o krok.

– Nie chcę go ożywiać.

– Nie obchodzi mnie to! – ryknął raptownie Victor, a powietrze wokół niego zbudziło się do życia.

Mitch rzucił się naprzód, zasłaniając Sydney swoim ciałem, a Victor opanował się w ostatnim momencie. Cała trójka wydawała się zaskoczona jego wściekłością. W sercu Victora zakwitło poczucie winy – a może tylko jego słabsza wersja – gdy zdał sobie sprawę, kogo kogo właśnie próbował zastraszyć: lojalnego strażnika i osobliwą dziewczynkę. Nie mógł sobie pozwolić, by ich stracić – „to znaczy”, poprawił się w myślach, „by zrezygnować z ich wsparcia i pomocy” – a już na pewno nie teraz. Krzywiąc się, wciągnął energię z powrotem w siebie.

– Przepraszam – powiedział i odetchnął głęboko. Mitch zrobił kroczek w bok, ale nie odsłonił całkowicie Sydney.

– Posunąłeś się za daleko, Vic – rzucił z rzadką u niego odwagą.

– Wiem – odparł tamten, przeciągając się. Mimo że zdołał opanować energię, wciąż tliło się w nim pragnienie, by kogoś skrzywdzić. Wolał jednak utrzymać je na wodzy jeszcze przez chwilę i zachować na później, kiedy znajdzie Elia. – Przepraszam – powtórzył, zwracając się do drobnej, jasnowłosej dziewczynki, na wpół schowanej za Mitchem. – Wiem, że nie chcesz tego zrobić, Sydney, ale jeżeli chcemy powstrzymać Elia, potrzebuję twojej pomocy. Próbuję chronić ciebie i Mitcha. I siebie też. Próbuję chronić nas wszystkich, ale nie mogę robić tego sam. Musimy przy tym współpracować. Dlatego pytam raz

jeszcze: zrobisz to dla mnie? – Uniósł pistolet tak, żeby mogła go zobaczyć. – Nie pozwolę temu gliniarzowi cię skrzywdzić.

Zawahała się, ale w końcu uklękła przy ciele, starannie unikając krwi.

– Czy ten człowiek zasługuje na drugą szansę? – zapytała cicho.

– Nie myśl o tym w ten sposób – odparł Victor. – Dostanie tylko chwilę, dość długą, żeby odpowiedzieć na jedno pytanie.

Sydney zaczerpnęła powietrza i nacisnęła końcami palców czyste od krwi miejsce na piersi funkcjonariusza. Chwilę później Dane zachłysnął się i usiadł, podczas gdy Sydney pośpiesznie się wycofała. Stała u boku Mitcha i złapała go za rękę.

Victor spojrzał na funkcjonariusza Dane'a.

– Opowiedz mi jeszcze raz o Everze – rozkazał.

Policjant popatrzył mu prosto w oczy.

– Eli Ever to prawdziwy bohater.

– No nie, to doprawdy zniechęcające. – Victor westchnął i strzelił trzy razy w pierś Dane'a. Sydney odwróciła się i ukryła twarz w koszuli Mitcha, gdy tymczasem policjant padł z łomotem na pokrytą plastikiem betonową gładź, równie martwy jak przed chwilą.

– Teraz jednak przynajmniej coś wiemy – powiedział Victor, trącając zwłoki stopą. Mitch spojrzał na niego ponad jasnymi włosami Sydney, z miną po raz kolejny wyrażającą jednocześnie przerażenie i wściekłość.

– O co tu, kurwa, chodzi, Vale?

– O PonadPrzeciętną umiejętność Sereny Clarke. Dziewczyna mówi ludziom, co mają robić – wyjaśnił tamten i wsunął pistolet za pasek. – A także co mają mówić i myśleć – uzupełnił

i wskazał gestem na ciało. – Tego uroku najwyraźniej nie jest w stanie przerwać nawet śmierć. – „W każdym razie śmierć tego funkcjonariusza”, poprawił się w myślach. – Skończyliśmy z tym panem.

Sydney stała nieruchomo. Puściła dłoń Mitcha i objęła się teraz ramionami, tak jakby próbowała się ogrzać. Victor podszedł do niej, ale kiedy próbował dotknąć jej ręki, wzdrygnęła się i odsunęła. Ukląkł przed nią na jedno kolano, tak, by popatrzeć jej prosto w twarz.

– Twoja siostra i Eli myślą, że tworzą zespół, ale są niczym w porównaniu z nami. A teraz już chodźmy – powiedział, po czym wstał. – Wyglądasz, jakby ci było zimno. Kupię ci gorącą czekoladę do picia.

Spojrzała na niego lodowatymi, błękitnymi oczami i chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Za nimi rozległ się dzwonek telefonu. Nie była to komórka Victora, a z miny Mitcha wyraźnie wynikało, że również nie jego. Sydney musiała zostawić swój telefon w hotelu, bo nawet nie sięgnęła do kieszeni. Mitch ukląkł przy policjancie, obszukał go, znalazł aparat i wyciągnął go.

– Zostaw – polecił Victor.

– Myślę, że jednak będziesz chciał porozmawiać – stwierdził Mitch, rzucając mu komórkę. Na ekranie widniał identyfikator dzwoniącego. Jedno słowo:

„BOHATER”.

Victor uśmiechnął się drapieżnie i ponuro, odchylił głowę, aż mu strzyknęło w karku, i odebrał połączenie.

– Dane, gdzie jesteś? – zapytał ostro głos w słuchawce. Victor spiął się na jego dźwięk, ale nie odpowiedział. Słyszał ten głos po raz pierwszy od dziesięciu lat, ale nie miało to

znaczenia, ponieważ Eli Ever nie zmienił się nic a nic – również pod tym względem. – Funkcjonariuszu Dane? – powtórzył.

– Obawiam się, że już go tu nie ma – odezwał się w końcu Victor. Zamknął oczy, napawając się chwilą ciszy po drugiej stronie. Kiedy się skoncentrował, mógł sobie wyobrazić, jak Eli szeroko otwiera oczy, słysząc go przez telefon.

– Victor – powiedział Eli. Imię to wydobyło się z jego ust niczym kaszlnięcie, tak jakby głoski uwięzły mu w gardle.

– Przyznaję, to cwane – odparł niedbale Victor. – Użyłeś bazy danych policji w Merit, by znajdować nowe cele. Jestem trochę urażony, że jeszcze tam nie figuruję, ale daj mi trochę czasu. Dopiero tu przyjechałem.

– Jesteś w mieście.

– Oczywiście.

– Już stąd nie uciekniesz – oświadczył Eli z zimną wściekłością, najwidoczniej opanowawszy początkowy wstrząs.

– Nie mam zamiaru – odparł Victor. – Zobaczymy się o północy – uściślił i przerwał połączenie. Następnie złamał telefon na pół i rzucił obie części na zwłoki Dane'a. W pokoju zapanowała cisza. Popatrzył na trupa, a potem uniósł wzrok.

– Przepraszam za to. Możesz teraz posprzątać – odezwał się do Mitcha, który spoglądał na niego z ustami otwartymi ze zdumienia.

W końcu jednak się otrząsnął.

– Północ? – zapytał. – Północ?! To znaczy dzisiaj w nocy?

Victor zerknął na zegarek. Była już czwarta.

– Nigdy nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dzisiaj.

– Coś czuję, że Thomas Jefferson miał na myśli coś innego – wymamrotał Mitch.

Victor już nie słuchał. Jego umysł pracował od rana na najwyższych obrotach, ale teraz wszystko zostało już ustalone, a od realizacji planu dzieliły go tylko godziny, toteż gwałtowna energia przygasła, a gorączkową aktywność zastąpił spokój. Przeniósł wzrok na Sydney.

– I co z tą gorącą czekoladą?



Mitch założył ręce na piersi i patrzył, jak odchodzą. Sydney, z krótką blond fryzurą, w podskokach dogoniła Victora i zniknęli za rogiem. Kiedy złapała go za rękę, jej palce były lodowate, a dziewczynka cała się trzęsła. Ten przejmujący do szpiku kości dreszcz wynikał bardziej z przerażenia niż z zimna. Mitch chciał się odezwać; zapytać Victora, co sobie, do cholery, myśli i powiedzieć mu, że kładzie na szali nie tylko własne życie, ale również i ich. Jednak w chwili, kiedy odnalazł jedno jedyne słowo, które powinien był wypowiedzieć – krótkie, proste i potężne: „STOP!” – było już za późno. Poszli sobie, a Mitch został sam w pokoju spowitym plastikowym całunem. Przełknął więc z wysiłkiem niewypowiedziane słowo, stłumił złe przeczucia, odwrócił się ku zwłokom policjanta i zabrał do roboty.

XV

DUŻO WCZEŚNIEJ RÓŻNE MIASTA

Mitchell Turner podejrzewał, że ktoś rzucił na niego klątwę. Uznał tak już wiele lat wcześniej.

Kłopoty czepiały się go jak rzepy, niezależnie od tego, jak bardzo próbował się od nich uwolnić. Dobre rzeczy psuły mu się w rękach, za to pechowe sytuacje zdarzały mu się częściej niż innym. Jego matka zmarła, ojciec uciekł, a ciotka spojrzała na niego tylko raz i pokazała mu drzwi. Od tej pory Mitch wędrował od jednego domu do drugiego, niczym hotelowy gość, nigdzie nie zapuszczając korzeni na dłużej.

Większość jego problemów brała się stąd, że ludzie sądzili, iż rozmiar ciała człowieka jest odwrotnie proporcjonalny do jego inteligencji. Patrzyli na jego ogromną postać i zakładali, że jest głupi. Tymczasem Mitch nie był durniem, wręcz przeciwnie, był cwany, bardzo cwany. A kiedy taki wielki facet jest cwany, łatwo wpada w kłopoty. Zwłaszcza kiedy wisi nad nim klątwa.

W wieku szesnastu lat Mitch miał już za sobą rozmaite doświadczenia: od meczów bokserskich w ciemnych alejkach, poprzez przyjmowanie zakładów, aż do odzyskiwania długów od bandziorów, którzy byli winni forszę tym, co lubili szmal. A jednak to nie żadne z tych zajęć zapewniło mu pierwszą odsiadkę. W gruncie rzeczy posadzili go za niewinność.

Klątwa Mitcha, maldición, jak ją nazywała jego przybrana hiszpańska matka, polegała na tym, że złe rzeczy zawsze działy się w jego pobliżu. Kobieta nigdy się nie zorientowała, jak mroczna i poważna jest owa klątwa (używała tego słowa, komentując zbite talerze, okna wybite piłką czy porysowane samochody), lecz Mitch w końcu znalazł się w wyjątkowo złym czasie i miejscu, a jeśli wziąć pod uwagę jego nielegalną działalność, było jasne, że nie wyplącze się z tego tak łatwo.

Pewnego razu dwie przecznice dalej pobiło się dwóch facetów. Bójka przybrała wyjątkowo nieszczęśliwy obrót i kiedy opadł bitewny kurz, na chodniku pozostał trup. Ponieważ Mitch miał jeszcze poobijane knykcie po meczu bokserskim, który wygrał poprzedniego wieczoru, znalazł się nagle w bardzo nieciekawej sytuacji. Tym razem obronił się przed podejrzeniem, ale niecałe dwa tygodnie później wszystko się powtórzyło i zmarła kolejna osoba. Było to zagadkowe, niepokojące, a także – chociaż Mitch bardzo nie chciał przyznać się do tego przed samym sobą – emocjonujące. A właściwie mogłoby takie być, gdyby to akurat nie on znalazł się w samym środku afery. Problem rósł, podobnie jak liczba trupów; mimo że nie przyczynił się do posłania na tamten świat żadnego z nich, policja sądziła inaczej. Po trzecim zabójstwie policjanci doszli do wniosku, że najprościej będzie go przymknąć, tak na wszelki wypadek. Bandzior. Wyrzutek społeczny. To tylko kwestia czasu. Takie słowa słyszał od ludzi grających jego życiem w berka.

Właśnie w ten sposób – z klątwą i niesłusznie zapaskudzoną kartoteką – Mitch Turner wylądował w więzieniu.



Cztery lata.

Więzienie nie przeszkadzało mu zbyt. Przynajmniej tu pasował. W prawdziwym świecie było inaczej: ktokolwiek rzucił na niego okiem, zwykle łapał się nerwowo za portfel i przyspieszał kroku. Gliniarze patrzyli i myśleli: „Skazany... a jeśli nawet jeszcze nie, to wkrótce”. Tymczasem w więzieniu ludziom, którzy go zobaczyli, przychodziło do głowy raczej: „Wolę, żeby był po mojej stronie”, albo „Nie chcę z nim zadzierać”, czy też „Mógłby rozwalić mi czaszkę łokciem”, lub jakaś inna myśl, zwykle korzystna dla Mitcha. Jego wzrost i sylwetka stały się symbolem statusu, nawet jeżeli nie wypadało mu zbyt wdawać się w uczone rozmowy, a strażnicy spoglądali na niego sceptycznie, gdy wypożyczał książkę albo wymówił słowo dłuższe niż dwusylabowe. Większość czasu za kratami spędzał, próbując zhakować rozmaite zabezpieczenia więziennych komputerów, bardziej z nudy niż ze względu na zainteresowanie ich zawartością. Cieszył się, że klątwa dała mu spokój.

Gdy w końcu wyszedł na wolność, wyglądał jeszcze groźniej. Rosły nastolatek dojrzał i stał się olbrzymim mężczyzną, o skórze naznaczonej pierwszym z wielu tatuaży. Kiedy tylko opuścił zakład karny, spędził półtora miesiąca we względnym spokoju, zanim klątwa znów dała o sobie znać. Znalazł pracę w firmie zajmującej się dystrybucją jedzenia, głównie dlatego, że potrafił przenieść z i do ciężarówki cztery razy większy ładunek niż jakikolwiek inny facet, a także dlatego, że lubił fizyczną pracę. Być może świetnie nadawałby się do pracy

umysłowej za biurkiem, ale wątpił, czy zmieściłby się za większością znanych mu biurek. Poza tym wszystko szło świetnie – gówniane mieszkanko i gówniana płaca, ale wszystko legalne – dopóki kilometr od miejsca, gdzie jego załoga rozładowywała skrzynki z brzoskwiniami, nie pobito na śmierć jakiegoś faceta. Policjanci tylko spojrzeli na Mitcha i zabrali go ze sobą, mimo że tym razem nie miał zakrwawionych dłoni, a dwóch współpracowników zaświadczyło, że przez cały czas nosił owoce. Wrócił prosto do więzienia.

Dobre zachowanie i rażący brak dowodów sprawiły, że wypuszczono go po kilku tygodniach. Tymczasem Mitch, przejawiając tak rzadki u niego cynizm, zdecydował, że jeżeli i tak ma trafić za kratki (co z uwagi na jego klątwę było raczej pewne), to może równie dobrze popełnić zbrodnię, ponieważ odsiadka za cudze przewiny nie wydawała mu się satysfakcjonującym sposobem spędzania czasu. Dlatego zaplanował przestępstwo, które zawsze chciał popełnić, tylko z tego powodu, że pojawiało się w rozmaitych książkach i filmach, a poza tym wymagało użycia mózgu w dużo większym stopniu niż mięśni.

Mitchell Turner postanowił obrabować bank.



Mitch wiedział na temat napadów na bank trzy rzeczy.

Po pierwsze, w związku ze swoim charakterystycznym wyglądem nie mógł ot tak sobie wejść do budynku. Gdyby zneutralizował kamery monitoringu, strażnicy bankowi wyłowiliby go bezbłędnie ze stuosobowej kolejki (znając jego szczęście, nie musiałyby w niej nawet stać). Po drugie,

technologia dotycząca bezpieczeństwa była tak zaawansowana – czego dowiedział się w dużej mierze dzięki obserwacjom dokonany w więzieniu, choć zdawał sobie sprawę, że w sektorze prywatnym stosuje się jeszcze nowsze rozwiązania – że sukces jego planów zależał w dużej mierze od skutecznego zhakowania systemów banku i kodów dostępu do sejfów, co można było zrobić zdalnie. Po trzecie, potrzebował pomocy. Dzięki dwóm dotychczasowym odsiadkom skompletował dość długą listę potencjalnych współników – głupich, zdesperowanych czy też z dowolnego innego powodu gotowych, by chwycić za broń i wejść do banku.

Mitch nie przewidział jednak jednego: część hakerska poszła, owszem, bez zarzutu, ale jego współnicy ze spluwami zaliczyli widowiskową wpadkę, zostali natychmiast aresztowani i wyśpiewali jego nazwisko szybciej niż hymn państwowy. Gdy policjanci zobaczyli Mitchella Turnera w całej okazałości, jakimś cudem przypisali mu brudną robotę z użyciem broni, a włamanie do komputerów – trzem mniejszym mężczyznom, złapanym podczas skoku i mimo masek łatwo rozpoznawalnym na zdjęciach z kamer. W ten sposób za trzecim razem Mitch wylądował nie w więzieniu dla oszustów podatkowych i policyjnych informatorów, ale we Wrighton, zakładzie karnym o zaostrzonym rygorze, gdzie większość osadzonych odbywała kary za zbrodnie, a rozmiary Mitcha, mimo że imponujące, nie gwarantowały mu bezpieczeństwa.

Tam właśnie trzy lata później spotkał człowieka, który nazywał się Victor Vale.

XVI

SZEŚĆ GODZIN PRZED PÓLNOCĄ KOMENDA MIEJSKA POLICJI W MERIT

Eli stał pod jasnoszarą ścianą sali konferencyjnej komendy policji i poprawiał maskę na twarzy. Prosta i czarna, zasłaniała jego oblicze tylko częściowo, od skroni do kości policzkowych. Serena wyśmiała go, ale ponieważ na sali zebrała się właśnie ponad połowa wszystkich policjantów i policjantek w Merit, którzy patrzyli bezpośrednio na niego (reszta słuchała go zza drzwi), gratulował sobie pomysłu z przebraniem. Twarz była chyba jedyną rzeczą, której nie potrafił zmienić, toteż – mimo że spotkanie samo w sobie było złym pomysłem – byłoby dużo gorzej, gdyby wszyscy funkcjonariusze obecni na sali dostali szansę zapamiętania jego rysów. Serena stanęła na podium, uśmiechnęła się leniwie i przemówiła do policyjnego zgromadzenia.

– Co się stanie o północy? – zapytała go wcześniej, gdy jechali na komendę.

Eli złapał mocniej kierownicę, aż zbieleły mu kostki.

– Nie wiem – odparł.

Nienawidził się za to, nie tylko dlatego, że była to prawda, a do tego przyznawał w ten sposób, że Victor wyprzedza go o krok, ale także dlatego, że nie mógł powstrzymać się od wypowiedzenia tych słów. Jak zwykle w obecności Sereny wyznał to, zanim był w stanie się powstrzymać. Victor

zakończył rozmowę, obiecawszy mu tylko spotkanie o północy, toteż Eli został z komórką w dłoni, walcząc z pragnieniem, by rozwalić telefon o ścianę.

– Człowiek, który za mną stoi, jest bohaterem – mówiła właśnie Serena do policjantów. Eli obserwował, jak oczy całego tłumu szklą się lekko w reakcji na te słowa. – Nazywa się Eli Ever i od wielu miesięcy chroni wasze miasto, polując na zbrodniarzy, o których nawet nie wiecie i których nie potrafilibyście zatrzymać. Pracuje ciężko, by zapewnić wam i waszym obywatelom bezpieczeństwo. Teraz jednak potrzebuje waszej pomocy. Chcę, żebyście go uważnie wysłuchali i zrobili to, co każe.

Uśmiechnęła się i zeszła z podium, dając Eliowi dyskretny sygnał, by podszedł do mikrofonu. Odetchnął i wystąpił naprzód.

– Nieco ponad tydzień temu pewien mężczyzna, Victor Vale, uciekł z zakładu karnego Wrighton wraz ze współosadzonym Mitchellem Turnerem. Jeżeli zastanawiacie się, dlaczego nie usłyszeliście o tym wydarzeniu w wiadomościach, to dlatego, że media nie wiedzą nic na jego temat – oznajmił. Eli również o tym nie wiedział, dopóki nie otrzymał liściku od Victora, nie usłyszał jego głosu i nie zadzwonił do Wrighton. Nie chcieli mu tam udzielić informacji, ale z radością wyznali Serenie – gdy przekazał jej komórkę – że nakazano im trzymać ucieczkę w tajemnicy w związku z podejrzeniami co do natury jednego ze skazańców. Podejrzenia te były najwyraźniej lekceważone, dopóki wzmiankowany człowiek, pan Vale, nie obezwładnił większej części personelu Wrighton, nie kiwnąwszy nawet palcem. – Nie dowiedzieliście się dotąd o tej ucieczce z jednego

powodu – kontynuował Eli. – Otóż potwierdzono, że Victor Vale jest osobą PonadPrzeciętną.

Kilka twarzy skrzywiło się na dźwięk tego słowa. Rozkaz Sereny, by uważnie wysłuchać Elia, walczył w umysłach policjantów ze sceptycyzmem. Eli wiedział, że na wszystkich komisariatach zorganizowano obowiązkowe całodniowe szkolenie z postępowania wobec PonadPrzeciętnych, ale większość funkcjonariuszy nie potraktowała go poważnie. Nie potrafili. Wiele lat po powstaniu tego określenia osoby PP były wciąż traktowane jako mit i przedmiot dyskusji oszołomów na forach internetowych, a skrętne ukrywanie przed opinią publiczną wydarzeń takich jak ucieczka z Wrighton przyczyniało się do utrzymania tego stanu rzeczy. Zainteresowanie gasło, zamiast się rozprzestrzeniać. Eliowi odpowiadało, że przypadki z udziałem osób PP były tak szybko wyciszane – to pozwalało mu działać bez zakłóceń – lecz stale zadziwiało go, jak gorliwie władze dążyły do tego, by zatuszować takie zdarzenia, i jak szybko zapominali o nich ludzie, którzy brali w nich udział. Oczywiście, jak zwykle zdarzali się też i wyznawcy osobliwych teorii, ale olbrzymia większość PonadPrzeciętnych nie życzyła sobie ujawnienia, a ci, którzy nie mieli nic przeciwko... no cóż, oszczędzili Eliowi trudu wytropienia ich i likwidacji.

Kto wie, może w innym świecie istnienie osób PP byłoby na porządku dziennym, a tłum ludzi w mundurach słuchałby go bez cienia niedowierzania, ale Eli wykonywał swoją misję aż za dobrze. Przez ostatnią dekadę prowadził odstrzał słabszych sztuk, obniżał liczebność PonadPrzeciętnych i dbał o to, by miejsce potworów było tam, skąd przyszły: w baśniach. Dlatego też z całego tłumu tylko Stell, stojący z tyłu sali ze

wzrokiem utkwionym w mówcy, przyjął jego słowa bez zaskoczenia.

– Teraz jednak – kontynuował przemowę Eli – Victor Vale i jego wspólnik, Mitchell Turner, zawitali do Merit. Do waszego miasta. Jest rzeczą wielkiej wagi, by nie pozwolić im uciec, by jak najszybciej ich znaleźć. Ci ludzie zdążyli już porwać dziewczynkę, Sydney Clarke, a dzisiaj po południu zabili jednego z waszych ludzi, funkcjonariusza Fredericka Dane’a!

Przez widownię przebiegł pomruk wściekłości. Ta informacja wstrząsnęła ludźmi. Dowiadawali się o tym dopiero teraz, od niego (Eli zdradził tę tajemnicę tylko Stellowi, którego twarz jeszcze nosiła ślady przebytego wstrząsu), toteż zyskał ich niepodzielną uwagę. Serena mogła ich zmusić do słuchania, lecz tego rodzaju wieści mogły zrobić coś więcej. Poruszyć słuchaczy. Zmotywować ich.

– Mam powody, by przypuszczać, że ludzie ci planują coś dzisiaj w nocy. Dokładnie o północy. To bardzo ważne, by znaleźć ich jak najprędzej. Jednak – dodał – ze względu na bezpieczeństwo zakładników, musimy schwytać tych zbrodniarzy żywych.

Dziesięć lat temu Eli zawahał się i pozwolił potworowi żyć. Dzisiaj wieczorem jednak naprawi swój błąd i raz na zawsze zakończy karierę Victora.

– Nie mamy dla was zdjęć – powiedział – lecz za chwilę wyślemy wam ich opisy na telefony komórkowe. Chcę, żebyście przeszukali całe miasto, zablokowali drogi wylotowe i zrobili wszystko, co w waszej mocy, by znaleźć tych ludzi, zanim ktokolwiek jeszcze umrze.

Zszedł z podium. Serena znów wystąpiła naprzód i położyła mu dłoń na ramieniu, po czym zwróciła się ponownie do

policjantów.

– Eli Ever to prawdziwy bohater – powiedziała głośno, a tym razem cały Wydział Policji Merit przytaknął, wstał i jak jeden mąż powtórzył:

– Eli Ever to prawdziwy bohater. Bohater. Bohater.

Słowa te rozbrzmiały w sali echem i towarzyszyły im jeszcze na zewnątrz. Eli szedł za Sereną przez komendę, rozważając je w myślach. Bohater, nieprawdaż? Bohaterowie ratowali świat przed złoćyńcami, przed złem. Poświęćali siebie, żeby tego dokonać. Czyż nie unurzał we krwi rąk i duszy, by przyczynić się do naprawy świata? Czy nie poświęćał się za każdym razem, gdy pozbawiał PonadPrzeciętnećo życia, będącego w istocie nadużyciem?

– Dokąd teraz? – zapytała Serena.

Eli wrócił do rzeczywistości. Szli właśnie przez policyjny garaż ku bocznej ulicy, gdzie zaparkował samochód. Wyciągnął z torby cienką teczkę i wręćzył ją dziewczynie. W środku znajdowały się profile dwóch osób PP pozostałych w Merit – a przynajmniej podejrzanych o PonadPrzeciętnećość. Pierwszym był Zachary Flinch, górnik, który przeżył zawalenie się tunelu w kopalni rok wcześniej. Wrócił do zdrowia, przynajmniej fizycznie. Drugim – Dominik Rusher, młody żołnierz, który stanął za blisko miny przeciwpiechotnej i zapadł w śpiączkę dwa lata wcześniej. Odzyskał jednak przytomność i zniknął ze szpitala – i to dosłownie. Nikt nie widział, żeby wychodził. Pojawił się potem w trzech różnych miastach – bez ładu i składu, nie pozostawiając żadnych śladów, po prostu pojawiał się i zniknął – zanim nie dostrzeżono go w Merit dwa miesiące wcześniej. O ile Eli się orientował, Rusher wciąż jeszcze tu przebywał.

– Podczas tej rozmowy Victor wspomniał o bazie danych – powiedział, kiedy dotarli do samochodu – co oznacza, że również ma dostęp do tych informacji. Cokolwiek planuje, wolałbym, żeby nie zdobył już żadnych nowych sprzymierzeńców.

– Tym razem chcę iść razem z tobą – zażyczyła sobie Serena.

Eli zmarszczył czoło pod maską. Tę część planu zawsze realizował sam. Jego morderstwa, a właściwie egzekucje, były czymś innym niż golf, porno, poker czy też różnorakie, dowolne, stereotypowo męskie hobby. Nie chciał się tym dzielić z nikim, ponieważ był to najświętszy rytuał, część jego przymierza z Bogiem. Poza tym każda ze śmierci stanowiła kulminacyjny punkt cierpliwych, wielodniowych, czasem nawet wielotygodniowych poszukiwań. Egzekucje należały do niego – ich planowanie, przeprowadzenie i wszechogarniający spokój, jaki potem następował. Serena doskonale o tym wiedziała, ale i tak go naciskała. Poczł nagłą wściekłość.

Spróbował odzyskać kontrolę nad własnym umysłem i odrzucić jej żądanie. Wiedział, że nie ma czasu, by rozkoszować się tymi konkretnymi likwidacjami. Było dość prawdopodobne, że nie znajdzie nawet czasu, by poczekać na demonstrację umiejętności tych ludzi. Dzisiaj rytuał pozostanie niedopełniony. Zbezczeszczoney.

Czuł, że Serena obserwuje jego walkę i jest nią zachwycona, ale nie ma zamiaru rezygnować ze swojego żądania. Wzięła od niego teczkę i popatrzyła na profil Zachary'ego Flincha.

– Tylko ten jeden raz – powiedziała, a słowa te przeważały szalę.

Eli zerknął na zegarek. Było już po szóstej. Nie ulegało wątpliwości, że obecność Sereny przyspieszy cały proces.

– Tylko ten jeden raz – powtórzył, wsiadając do samochodu.
Serena rozpromieniła się i wskoczyła na fotel pasażera.

XVII

PIĘĆ GODZIN PRZED PÓLNOCĄ HOTEL ESQUIRE

Kiedy Mitch wszedł do salonu, Sydney siedziała na brzeжку kanapy z Dolem u stóp i teczką z danymi zlikwidowanych PonadPrzeciętnych na kolanach. Za wielkimi oknami ich apartamentu zachodziło słońce. Podniosła wzrok i patrzyła, jak mężczyzna wyjmuje z lodówki kartonik mleka czekoladowego. Zmęczony, oparł łokcie zabrudzone czymś białym, podobnym do kredy, na ciemnym granitowym kontuarze.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Gdzie Victor?

– Wszedł.

Mitch zaklął pod nosem.

– Ten facet jest szalony. Po ostatnim numerze w okolicy roi się od glin.

– Po którym numerze? – spytała Sydney, przekładając papiery w teczce. – Zabiciu policjanta czy rozmowie z Eliem?

Uśmiechnął się posępnie i odparł:

– Po obu.

Opuściła głowę i spojrzała na twarz nieżyjącej kobiety.

– Niemożliwe, żeby o to mu chodziło – powiedział cicho. – Nie spotka się z Eliem o północy, prawda? Nie może tego zrobić.

– Jak Victor coś mówi, to zwykle tak robi – przyznał Mitch. – Ale nie powiedziałby tego, gdyby nie miał jakiegoś planu.

Odepchnął się od kontuaru i wyszedł z salonu. Po chwili Sydney usłyszała odgłos zamykanych drzwi od łazienki i szum prysznic. Wróciła do czytania profili, wmawiając sobie, że w telewizji nie ma nic ciekawego do oglądania. Prawda wyglądała jednak inaczej: nie chciała zgadywać, co stanie się o północy, a jeszcze bardziej przerażało ją to, co wydarzy się potem. Kiedy tylko pozwalała sobie na chwilę dekoncentracji, natychmiast otaczały ją znienawidzone, natrętne myśli: „A co będzie, jeśli...?”. Co się powyrabia, jeżeli Eli zwycięży? Jeśli Victor przegra? A jeżeli Serena... Sydney nie wiedziała, co myśleć o siostrze, czego oczekiwać i czego się obawiać. Zdradziecki głos w jej głowie wciąż mówił, że chciałaby znaleźć się w objęciach Sereny, ale wiedziała, że powinna raczej uciekać od siostry, a nie w jej kierunku.

Z wysiłkiem skupiła się na kartkach z teczki, próbując odczytywać dane kolejnych PonadPrzeciętnych – wyobraźnia mimo woli podsuwała jej przez cały czas zdjęcie Victora przekreślone wielkim, czarnym krzyżykiem – i zgadując, jaką mocą on lub ona dysponowała, chociaż wiedziała, że może to być dowolna umiejętność. Victor wyjaśnił jej już wcześniej, że zależało to od każdej z osób, od ich pragnień i zachcianek, a także od ostatniej myśli przed śmiercią.

Na kolejnej kartce widniały informacje na jej temat. Wydrukowała swój profil jeszcze raz, po tym jak Victor zabrał pierwszą kopię, a teraz oglądała własne zdjęcie. Inaczej niż w przypadku pozostałych fotografii, robionych z ukrycia, jej portret był pozowany: głowa uniesiona, pierś wypięta, oczy wpatrzone prosto w obiektyw. Było to zdjęcie ze szkolnej księgi pamiątkowej z poprzedniego roku, wykonane na tydzień lub dwa przed wypadkiem na jeziorze. Sydney uwielbiała je,

ponieważ fotograf sobie tylko znanym, magicznym sposobem uchwycił moment tuż przed tym, zanim się uśmiechnęła. Poza tym dumnie wysunięty podbródek i lekko wygięty kącik ust sprawiały, że wyglądała dokładnie tak jak Serena.

Jedyna różnica między tą kopią a poprzednim wydrukiem polegała na tym, że nowe zdjęcie nie było przekreślone na czarno. Eli wiedział teraz, że Sydney żyje i przebywa w mieście. Miała nadzieję, że serce podeszło mu do gardła, kiedy usłyszał o ponownej wizycie Barry'ego Lyncha w banku, że dodał dwa do dwóch i zdał sobie sprawę z tego, czyje to dzieło, i że kilka strzałów oddanych prosto w leśną gęstwinę nie wystarczyło, żeby zabić dziewczynkę. Być może obecność jej profilu w teczce z kartoteką martwych osób PP powinna ją wkurzyć – i z początku nawet tak było, ale teraz pierwsze wrażenie minęło, a to, że wywalono plik z jej danymi do cyfrowego kosza na śmieci, że Eli nie docenił jej, założył, że nie żyje, podczas gdy ona w rzeczywistości miała się całkiem nieźle – wszystko to sprawiło, że się uśmiechnęła.

– Czemu się szczerzysz?

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Mitch już skończył brać prysznic i teraz stoi w drzwiach do salonu z ręcznikiem na szyi. Nie zdawała sobie sprawy z tego, ile czasu minęło. Zdarzało jej się to częściej, niż była skłonna przyznać: mrugała i nagle słońce znajdowało się w innym miejscu, albo program w telewizji dobiegał końca, mimo że przed chwilą się zaczął, czy też słyszała, jak ktoś kończy rozmowę, której początku nie kojarzyła.

– Mam nadzieję, że Victor zrobi mu krzywdę – oznajmiła radośnie. – I to dużą.

– Jezu. Trzy dni i już zaczynasz gadać tak jak on – odparł Mitch. Opadł na fotel i przeciągnął dłonią po ogolonej głowie. – Słuchaj, Sydney, musisz zrozumieć, że Victor...

– Nie jest złym człowiekiem – przerwała mu.

– W tej grze nie ma dobrych ludzi – przestrzegł Mitch.

Sydney jednak nie obchodziło, kto jest dobry. Nie była pewna, czy w ogóle wierzy w jakąkolwiek dobroć.

– Nie boję się Victora.

– Wiem – odparł, a jego głos zabrzmiał głębokim smutkiem.

XVIII

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ ZAKŁAD KARNY WRIGHTON

Gdy Mitchell Turner trafił do więzienia po raz trzeci, klątwa podążyla jego śladem.

Wszystko jedno, dokąd poszedł i co zrobił (albo czego nie zrobił), ludzie nadal umierali. Stracił dwóch współwięźniów z tej samej celi, którzy zginęli z rąk innych, jednego, który sam odebrał sobie życie, a także przyjaciela, który stracił przytomność i zmarł na dziedzińcu podczas ćwiczeń. Kiedy więc pewnego popołudnia w drzwiach jego celi pojawił się szczupły, gładkoskóry Victor Vale, o wyjątkowo jasnej cerze kontrastującej z ciemną szarością więziennych kombinezonów, Mitch pomyślał, że tamten może pożegnać się z życiem. Wziął Victora za kogoś skazanego za pranie pieniędzy, może za organizację piramidy finansowej... w każdym razie za przestępstwo dość poważne, żeby właściwi ludzie się wkurzyli i posłali go do zakładu o zaostrowym rygorze, ale jednocześnie dość lekkie, żeby kompletnie nie pasował do tego miejsca. Mitch powinien był spisać go na straty, lecz – wciąż pogrążony w smutku po śmierci ostatniego kumpla – postanowił utrzymać Victora przy życiu.

Spodziewał się, że będzie miał z tym masę roboty.

Victor nie odzywał się do Mitcha przez trzy dni, a Mitch odwzajemniał mu się tym samym. Przybysz miał w sobie coś,

czego potężny mężczyzna nie potrafił określić, ale nie podobało mu się to: Vale wzbudzał jakiś pierwotny, dogłębny lęk. Dlatego zawsze odsuwał się od Victora, kiedy tamten stawał lub siadał obok niego. Inni więźniowie również to robili podczas pierwszego tygodnia, kiedy Victor pojawił się wśród nich. Mimo że Mitch czuł się nieswojo, starał się zawsze być w pobliżu tamtego, osłaniać go od tyłu, stale rozglądając się za potencjalnymi napastnikami. Dotychczas był przekonany, że jego klątwa trzymała się mocno, kiedy zbliżał się do ludzi – nie trzeba było długo czekać, żeby spotkało ich coś nieprzyjemnego. Nie potrafił jednak wyliczyć, jak blisko nich musiał się znaleźć, żeby było to zbyt blisko, żeby zapłacili za tę bliskość życiem. Czasem myślał, że gdyby jego towarzystwo mogło kiedyś kogoś ocalić, zamiast zabić, to może... udałoby mu się przełamać klątwę?

Victor nie pytał go, dlaczego trzyma się w pobliżu, ale też nie zakazywał mu tego.

Mitch wiedział, że pewnego dnia ktoś zaatakuje. Zawsze tak było. Starzy więźniowie sprawdzali w ten sposób młodszych. Czasami nie było tak źle, kończyło się na wymianie paru ciosów i wzajemnym sponiewieraniu. Innym razem jednak, kiedy ktoś miał ochotę upuścić trochę krwi, połamać parę kości – albo po prostu miał zły dzień – sprawy potrafiły wymknąć się spod kontroli.

Podążał więc za Victorem jak cień do wspólnej sali, na podwórze i na stołówkę. Siadał po jednej stronie stołu, a Victor po drugiej i w milczeniu wsuwali obiad. Mitch przez cały czas rozglądał się czujnie, ale jego podopieczny nigdy nie podnosił wzroku znad talerza. Nie patrzył również w sam talerz – jego wzrok był ciągle nieostry, tak jakby przebywał w innej

rzeczywistości, kompletnie nie przejmując się kratami wokół siebie ani potworami przebywającymi w tej samej klatce.

Zupełnie tak, jakby sam był drapieżnikiem. Mitch zdał sobie z tego sprawę pewnego dnia. Obejrzał dość spektakli na scenie, jaką była sala wspólna, by wiedzieć, że ofiary zawsze miały oczy naokoło głowy i nigdy nie traciły czujności, natomiast drapieżcy zawsze patrzyli przed siebie, bez lęku. Mimo tego, że Victor był o połowę mniejszy od większości współwięźniów i nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek z kimkolwiek walczył, a co dopiero zwyciężył, wszystko w nim ostrzegało: „uwaga, drapieżnik!”.

Wówczas Mitch po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy to faktycznie Victor potrzebuje ochrony.

XIX

CZTERY I PÓŁ GODZINY PRZED PÓŁNOCĄ PRZEDMIEŚCIA MERIT

Zachary Flinch mieszkał samotnie.

Serena wiedziała o tym, zanim jeszcze go zobaczyła. Trawnik przed jego domem był plątaniną chwastów, samochód na żwirowym podejździe miał dwa koła zapasowe, moskitiera na drzwiach wisiała w strzępach, a lina przywiązana do na wpół martwego drzewa zwisała luźno, przegryziona przez coś, co kiedyś było nią przywiązane. Jeżeli nawet był osobą PP i miał jakąś moc, to z pewnością nie przyniosła mu wielu korzyści. Serena zmarszczyła brwi, przypominając sobie informacje z jego profilu. Pełna strona danych wyglądała niewinnie poza jedną rzeczą – zmianą osobowości, Regułą Ponownych Narodzin, jak ją nazywał Eli, odtworzeniem samego siebie. Zmiana ta niekoniecznie była pozytywna, czy nawet pożądana, lecz zawsze wyraźna, a Flinch był tego najlepszym przykładem. Po traumatycznym przeżyciu w kopalni wszystko w jego życiu pozmieniało się na gorsze, i to bynajmniej nie subtelnie. Żonaty mężczyzna z trojką dzieci stał się bezrobotnym rozwodnikiem z sądowym zakazem zbliżania się do rodziny. To, że przeżył – a w zasadzie urodził się na nowo – powinno stać się powodem do radości i świętowania. Zamiast tego opuścili go najbliżsi i szczęście. A może to on ich odepchnął? Przebadało go wielu

psychiatrów, przepisano mu leki antypsychotyczne, ale sądząc po stanie jego domu i okolic – niewiele to pomogło.

Serena zapukała, zastanawiając się, co mogło przerazić człowieka do tego stopnia, żeby odrzucił swoje dotychczasowe życie, mimo że wygrał ze śmiercią, by je kontynuować.

Nikt nie otworzył. Słońce dotknęło horyzontu, a kiedy oddychała, z jej ust unosiły się obłoczki pary. Zapukała znów i usłyszała dobiegające ze środka głosy z telewizora. Eli westchnął i oparł się o obłazącą z farby ścianę obok drzwi.

– Halo? – zawołała. – Panie Flinch, czy mógłby pan podejść?

Zaraz potem usłyszała szurające kroki i kilka chwil później Zach Flinch, w starej koszulce polo i dżinsach, pojawił się w drzwiach. Ubranie było na niego za duże, przez co wyglądał, jakby zwiędł i skurczył się już po jego założeniu. Ponad jego ramieniem dostrzegła niski stolik, zastawiony pustymi puszkami, a na podłodze obok niego – stos pudełek po jedzeniu na wynos.

– Kim jesteś? – zapytał opryskliwie i spojrzał na nich podkrążonymi oczami.

Serena przycisnęła teczkę z jego profilem do piersi.

– Przyjaciółką. Chcę tylko zadać parę pytań.

Flinch chrząknął, ale nie zamknął jej drzwi przed nosem. Wpatrywała się prosto w niego, przyciągając wzrok, tak że nie widział Elia, stojącego półtora metra po jego prawej stronie w czarnej masce bohatera na twarzy.

– Czy nazywa się pan Zachary Flinch? – zapytała. Skinął głową. – Czy to prawda, że w zeszłym roku przeżył pan wypadek w kopalni? Zawalenie się tunelu?

Ponownie przytaknął.

Wyczuwała, że Eli robi się niecierpliwy, ale jeszcze nie skończyła. Chciała wiedzieć.

– Czy po tym wypadku coś się zmieniło w pana życiu? Czy pan sam się zmienił?

Flinch, zaskoczony, uniósł brwi, ale mimo to jeszcze raz skinął głową, z miną wyrażającą zarazem zakłopotanie i niedowierzanie. Serena uśmiechnęła się życzliwie.

– Ach, rozumiem.

– Jak mnie znalazłaś? Kim jesteś?

– Jak już powiedziałam – przyjaciółką.

Flinch wyszedł przed próg, prosto w gąszcz brązowych chwastów, usiłujących opanować ganek.

– Nie chciałem umrzeć sam – wymamrotał. – Tylko tyle. Na dole, w ciemności. Nie chciałem umierać sam, ale nie chciałem też tego. Możesz kazać im przestać?

– Przestać? Ale co, panie Flinch?

– Proszę, powiedz im, żeby sobie poszli. Dru ich nie widziała, dopóki jej nie pokazałem. Są wszędzie. Ja tylko nie chciałem umierać sam, ale nie mogę już tego znieść. Nie chcę ich już widzieć... ani słyszeć. Proszę, każ im przestać.

Serena wyciągnęła dłoń.

– Może pokaże mi pan, co...

Przerwał jej wystrzał z pistoletu. Eli uniósł broń do skroni Zacha Flincha i nacisnął spust. Krew rozbryzgnęła się na ścianie domu, skrapiając również włosy i twarz dziewczyny niczym czerwone piegi. Eli opuścił pistolet i się przeżegnał.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wypluła z siebie, sina z wściekłości.

– Chciał, żeby przestali – wyjaśnił Eli.

– Ale jeszcze nie skończyłam!

– Zrobiłem to z miłosierdzia. Był chory. Poza tym potwierdził, że ma PonadPrzeciętne zdolności – odparł Eli, idąc w kierunku samochodu. – Dalsza demonstracja nie była już konieczna.

– Ty masz jakiś kompleks! – rzuciła. – Zawsze musisz wszystko kontrolować!

Eli zaśmiał się szyderczo.

– I kto to mówi? Ty, zwodnicza syreno?

– Chciałam tylko pomóc.

– Nie – zaprzeczył. – Chciałaś się zabawić!

Po czym odszedł zamaszystym krokiem.

– Eli Ever, zatrzymaj się!

Stopa ugrzęzła mu w żwirze i się potknął. W dłoni wciąż miał pistolet. Przez ułamek sekundy temperament Sereny wziął górę i musiała ugryźć się w język, żeby nie rozkazać mu unieść broni do głowy. Emocje opadły, zeszła ze schodów, omijając ciało Flincha, i stanęła za nim. Owinęła ramiona wokół Elia i pocałowała go w kark.

– Wiesz, że nie chcę tej kontroli – wyszeptała. – A teraz schowaj broń. – Eli wsunął pistolet do kabury. – Nie zabijesz mnie dzisiaj.

Odwrócił się twarzą do niej i również ją objął, przyciągnął do siebie i zbliżył usta do jej ucha.

– Pewnego dnia, Sereno – szepnął – zapomnisz to powiedzieć.

Stężała w jego objęciach. Wiedziała, że to poczuł, ale odpowiedziała mu opanowanym, beztroskim głosem:

– Nie dzisiaj.

Opuścił dłonie, odwrócił się do samochodu, otworzył drzwi i przytrzymał je, żeby mogła wsiąść.

– Jedziesz ze mną dalej? – zapytał, wycofując samochód ze zwirowego podjazdu. – Znaleźć Dominika?

Serena przygryzła lekko wargę i pokręciła głową.

– Nie. Baw się sam. Wracam do hotelu, żeby zmyć krew z włosów, zanim zaschnie. Wysadź mnie po drodze.

Eli skinął głową z widoczną ulgą, po czym dodał gazu i odjechali, zostawiając na ganku martwego Flincha. Bezwładna dłoń mężczyzny zanurzona była w gęstwinie chwastów.

XX

CZTERY GODZINY PRZED PÓLNOCĄ CENTRUM MERIT

Victor wracał do hotelu, niosąc pod pachą torbę jedzenia na wynos. Potraktował wyjście do restauracji jako pretekst, by wyrwać się z czterech ścian apartamentu hotelowego, i szansę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem oraz przemyśleć plan. Teraz szedł chodnikiem, starając się utrzymać spokojne, spacerowe tempo. Od spotkania z funkcjonariuszem Dane'em, telefonicznej rozmowy z Eliem i zapowiedzią spotkania o północy liczba policjantów na ulicach Merit niebotycznie wzrosła. Nie wszyscy byli w mundurach, ale można ich było rozpoznać po czujnych spojrzeniach, jakimi obrzucali przechodniów. Mitch starannie usunął z sieci wszystkie zdjęcia Victora, od fotografii do indeksu w Lockland aż po zdjęcia wykonane po aresztowaniu z kartoteki w Wrighton. Policjantom z Merit musiał wystarczyć obrazek z patykowatymi figurkami, wspomnienia Elia (przeterminowane o jakieś dziesięć lat, ponieważ Victor, inaczej niż on, faktycznie się postarzał) oraz opisy personelu więziennego. Mimo to policji nie wolno było lekceważyć: rozmiary Mitcha sprawiały, że łatwo go było rozpoznać, a Sydney wyróżniała się jako dziecko. Tylko Victor, niewątpliwie najbardziej poszukiwany z całej grupy, dysponował mechanizmem obronnym. Uśmiechnął się pod

nosem, przechodząc tuż obok gliniarza, który nawet nie podniósł wzroku.

Victor już dawno odkrył, że ból to odczucie pełne niebywałych niuansów. Ogromna ilość cierpienia naraz potrafiła trwale okaleczyć, ale w mniejszych dawkach miało o wiele więcej zastosowań niż tortury. Victor odkrył, że wywołując śladowy ból u ludzi w pewnej odległości od siebie, mógł wzbudzić podświadomą niechęć do swojej osoby. Przypadkowi przechodnie nie zauważali nawet samego odczucia, ale instynktownie rozstępowali się przed jego źródłem i patrzyli w inną stronę. Spojrzenia zdawały się omijać Victora, zapewniając mu swego rodzaju niewidzialność. Używał tej umiejętności jeszcze w więzieniu, a teraz przydawała mu się na ulicach Merit.

Przeszedł obok porzuconego w środku budowy wieżowca Falcon Price, ponownie zerknął na zegarek i się zamyślił. Jego zemsta, planowana i wyczekiwana przez lata, miała się spełnić już za kilka godzin. Na myśl o tym poczuł dreszcz, a serce zabiło mu szybciej. Przyśpieszył kroku i wszedł do hotelu Esquire.



Eli wysadził Serenę przy samym hotelu, prosząc ją, by zwracała uwagę na wszystko, co działo się naokoło i dała mu znać, gdyby zauważyła cokolwiek niezwykłego. Victor na pewno wyśle kolejną wiadomość, była to tylko kwestia czasu, a zegar już odliczał minuty pozostałe do północy. Eli wiedział, że będzie w stanie kontrolować sytuację tym lepiej, im szybciej dostanie kolejny list. Im później go otrzyma, tym mniej czasu będzie miał

na zaplanowanie kontry i przygotowanie się do działania. Był pewien, że Victorowi chodzi właśnie o to, by trzymać go w niewiedzy jak najdłużej.

Teraz stał beczynnym na namalowanym na jezdni przed hotelem kwadracie, którym oznaczono dla kierowców miejsce wysadzania pasażerów. Ściągnął z twarzy maskę i rzucił ją na fotel obok, a potem sięgnął po kartkę z profilem Dominika Rushera. Mężczyzna ten przebywał w mieście zaledwie od kilku miesięcy, ale dał się już poznać policji Merit. Lista jego przewinień obejmowała niemal wyłącznie przypadki pijaństwa i zakłócania porządku publicznego. Większość kłopotów zaczynała się nie w obskurnym mieszkanku Dominika w południowej części miasta, lecz w barze – jednym, konkretnym barze Pod Trzema Krukami. Eli znał ten adres. Odjechał sprzed hotelu, o kilka minut mijając się z Victorem i jego torbą.



Koło recepcji hotelu Esquire stało dwóch policjantów, skoncentrowanych na młodej blondynce, stojącej tyłem do obrotowych drzwi frontowych. Victor wszedł do holu niezauważony i skierował kroki ku klatce schodowej. Kiedy dotarł do pokoju, Sydney czytała na kanapie, Dol leżał u jej stóp, a Mitch przy kontuarze pił swoje mleko prosto z kartonika, wystukując polecenia jedną dłonią na klawiaturze laptopa.

– Miałeś jakieś kłopoty? – zapytał Victor, zdejmując z ramienia torbę z jedzeniem.

– Ze zwłokami? Nie – odparł Mitch i odstawił kartonik. – Ale gliniarze byli blisko. Jezu, Vale, oni są wszędzie. Trudno mi się wmieszać w tłum i pozostać niezauważonym.

– Po to są wyjścia od strony garażu. Poza tym musimy wytrzymać jeszcze tylko przez parę godzin – odparł Victor.

– A właśnie, co do tego... – zaczął Mitch, lecz Victor już go nie słuchał, pisząc coś na karteczce. Skończył i podsunął ją przyjacielowi. – Co to ma być?

– To login Dane’a i hasło do bazy danych. Chcę, żebyś wprowadził do niej nowy, oznaczony profil.

– A kogo mamy oznaczyć?

Victor uśmiechnął się i wskazał palcem na siebie. Mitch jęknął.

– Rozumiem, że ma to coś wspólnego z północą?

Tamten skinął głową.

– Wieżowiec Falcon Price. Parter.

– Ale to jak klatka! Złapią cię tam.

– Mam plan – stwierdził Victor.

– To może się nim podzielisz? – Victor nie odpowiedział, więc niezadowolony Mitch burknął tylko: – Ale nie mam zamiaru użyć twojego zdjęcia. Nie po to przez całe wieki wykrobywałem je z sieci.

Tamten rozejrzał się po pokoju, aż jego wzrok padł na najnowszy poradnik rozwoju osobistego państwa Vale, który w wolnych chwilach pracowicie zaczerniał grubym flamastrem. Podniósł go i odwrócił grzbietem ku Mitchowi. Błyszczące litery „VALE” zalśniły w świetle lamp.

– To wystarczy.

Mitch dalej gderał pod nosem, ale położył książkę obok laptopa i wziął się do roboty.

Victor zwrócił się teraz ku Sydney. Przyniósł kubek makaronu, siadł na kanapie i podał go jej. Dziewczynka odłożyła teczkę z profilami martwych PonadPrzeciętnych i wzięła od niego jedzenie, obejmując dłońmi wciąż jeszcze ciepły pojemnik. Nie zaczęła jednak jeść, zresztą on też nie. Gapił się przez okno i słuchał pomruków przyjaciela, wpisującego profil do bazy danych. Palce swędziały go, żeby powykreślać tekst z książki rodziców, ale Mitch właśnie z niej korzystał, więc Victor zamknął oczy i spróbował się zrelaksować. Nie przywoływał jednak przed oczy kwitnących łąk, błękitnego nieba lub kropli wody, kapiących w ciszy. Zamiast tego wyobraził sobie, jak naciska trzy razy spust, a na piersi Elia rozkwitają krwawe rany, układające się w ten sam wzór, co dziesięć lat temu na jego własnym ciele, a potem blakną i znikają, tak że może znów strzelić, i znowu, i jeszcze raz. „Czy teraz już się boisz?” – pytał w wyobraźni, kiedy podłoga stała się śliska od krwi Elia. „Boisz się już?”

XXI

TRZY I PÓŁ GODZINY PRZED PÓLNOCĄ HOTEL ESQUIRE

Sydney odczekała dłuższą chwilę i zapytała:

– Naprawdę masz jakiś plan?

Victor z wysiłkiem uniósł powieki i udzielił jej tej samej odpowiedzi, co na cmentarzu, kiedy pytała, czy wypuszczono go z więzienia we Wrighton. Tymi samymi słowami, tym samym tonem i patrząc na nią w ten sam sposób.

– Ależ oczywiście – powiedział.

– Czy to dobry plan? – naciskała Sydney. Machała nogami zwisającymi z kanapy, za każdym razem muskając stopą ucho Dola. Psu to najwyraźniej nie przeszkadzało.

– Nie – odparł Victor. – Prawdopodobnie nie.

Sydney wydała z siebie dźwięk pośredni między kaszlnięciem a westchnieniem. Victor nie posługiwał się jeszcze płynnie jej językiem, ale odgadł, że jest to coś w rodzaju smutnej zgody, dziecięcej wersji „łapię” albo „okej”. Zegar na ścianie wskazywał już niemal dziewiątą. Victor znów zamknął oczy.

– Nie rozumiem – odezwała się Sydney kilka minut później. Drapała Dola stopą za uchem, a pies poruszał delikatnie łbem, poddając się jej ruchom.

– Czego nie rozumiesz? – zapytał Victor z wciąż zamkniętymi oczami.

– Skoro ty chcesz znaleźć Elia, a Eli chce znaleźć ciebie, to po co przez to wszystko przechodzicie? Dlaczego nie możecie po prostu się spotkać we dwóch?

Victor uniósł powieki, mrugnął i zmierzył wzrokiem małą blondynkę siedzącą obok niego na kanapie. Oczy miała szeroko otwarte i wyczekujące, lecz pozbawione już dziecięcej niewinności. Nawet jeżeli miała jej w sobie trochę podczas ich pierwszego spotkania w deszczu na drodze, to straciła te resztki po pragmatycznej egzekucji w wykonaniu Victora, jego obietnicach i groźbach. Została zdradzona, postrzelona, ocalona, uzdrowiona, zraniona, znów uzdrowiona i zmuszona do wskrzeszenia dwóch mężczyzn tylko po to, by stać się świadkiem ponownego zabójstwa jednego z nich. Zaplątała się w tej historii przez Elia, a teraz brała w niej nadal udział przez Victora. Wydawała się dzieckiem, ale już nim nie była. Victor mimo woli zastanawiał się, czy przejście w PonadPrzeciętność wydrażyło ją tak samo jak jego i ich wszystkich – przecięło związki z czymś żywym i dogłębnie ludzkim? Nie chronił jej, a w każdym razie nie traktował jak normalnego dzieciaka. Nie była normalna.

– Pytałaś mnie, czy mam plan – powiedział, siadając prosto.
– Z początku nie miałem. Rozwahałem różne możliwości, tak, pomysły, czynniki, ale nie miałem planu.

– A teraz masz?

– Tak. Ale ponieważ za przeciwników mam Elia i twoją siostrę, mogę spróbować tylko raz. Pierwszy z nas, który zacznie działać, pozbawi się przewagi wynikającej z zaskoczenia, a na to nie mogę sobie teraz pozwolić. Eli ma po swojej stronie mamiącą głosem syrenę, co oznacza, że może

skłonić do pomocy całe miasto. Może nawet już to zrobił. Ja mam hakera, na wpół zdechłego psa i dziecko. Niezły arsenał!

Sydney uniosła brwi i sięgnęła po teczkę z profilami żywych osób PP. Podała mu ją.

– No to poszukaj sobie lepszych wojowników. Albo chociaż wzmocnij tych, których masz. Spróbuj. Eli uważa PonadPrzeciętnych – to znaczy nas – za potwory, ale ty nie, prawda?

Victor nie był pewien, co ma myśleć o PonadPrzeciętnych. Dopóki nie zgarnął Sydney z pobocza, znał poza sobą tylko jednego PP, czyli Elia. Gdyby miał sądzić tylko na podstawie ich dwóch, musiałyby uznać PonadPrzeciętnych w najlepszym razie za niepełnowartościowych. Słowa, którymi posługiwali się wszyscy naokoło – „ludzie”, „potwory”, „bohaterowie”, „złoczyńcy” – dla Victora były tylko kwestią semantyki. Ktoś mógł nazywać się bohaterem, a mimo to zabijać dziesiątki innych. Ktoś inny mógł zostać uznany złoczyńcą dlatego, że próbował powstrzymać tego pierwszego. Mnóstwo ludzi wydawało się potworami i mnóstwo potworów wiedziało, jak odgrywać ludzi. Różnica między nim samym i Eliem, jak podejrzewał, nie polegała na ich opinii na temat osób PP, a raczej na ich własnej reakcji na istnienie PonadPrzeciętnych. Eli wydawał się zdecydowany, żeby ich pozabijać, lecz Victor nie widział powodu, dla którego czyjś talent miałby zostać zniszczony tylko z powodu swojego pochodzenia. Osoby PP były bronią, tak, lecz bronią działającą dzięki mózgowi, ciału i sile woli, bronią, która mogła zostać przejęta, złamana, a nade wszystko wykorzystana.

Pozostawało jednak wiele niewiadomych. Nie wiedział, czy PonadPrzeciętni z kartoteki jeszcze żyją, ani jaką mocą

dysponują. Nie orientował się także, czy będą skłonni do współpracy, i mimo że Victor mógł złożyć im propozycję nie do odrzucenia – ponieważ druga strona chciała ich śmierci, a on mógłby wykorzystać ich moc za życia – pozostawało faktem, że zwerbowanie kolejnego PP oznaczałoby wprowadzenie do równania nieprzewidywalnej i niepewnej zmiennej. Do tego Eli był zapewne zajęty eliminacją potencjalnych sprzymierzeńców Victora, więc wszystko wskazywało na to, że miałyby z ich rekrutacją więcej kłopotów niż korzyści.

– Proszę, weź to – powiedziała Sydney, przysuwając bliżej teczkę. Żeby ją udobruchać i zabić czas, wziął ją do ręki i otworzył. Kartka z niebieskowłosą dziewczyną została usunięta, zostały tylko dwie inne.

Pierwszy profil zawierał dane niejakiego Zachary’ego Flincha. Victor przeczytał go już wcześniej, czekając na telefon Mitcha, więc wiedział, że to ślepa uliczka. Wszystko w tym profilu wyglądało zbyt niepewnie – PonadPrzeciętna moc wydawała się mieć niewiele wspólnego ze sposobem śmierci czy też umyślowym stanem potencjalnego PP, toteż jej naturę można było tylko zgadywać, lecz to, że po wypadku wszyscy opuścili Flincha, sugerowało problemy. Victor nie miał czasu na dodatkowe kłopoty.

Przeszedł do drugiego profilu, tego, którego jeszcze nie oglądał, ogarnął stroną wzrokiem i się zatrzymał.

Dominik Rusher miał dwadzieścia kilka lat i był ekszołnierzem, który w trakcie służby miał pecha stanąć zbyt blisko miny na chwilę przed wybuchem. Eksplozja pogruchotała mu wiele kości i pozostawiła w śpiączce na dwa tygodnie, ale uwagi Victora nie przyciągnęła ani śpiączka, ani nabyty po wypadku zwyczaj znikania. U dołu strony znalazł

krótką lekarską notatkę ze szpitala wojskowego, która informowała, że Ruserowi przepisano lekarstwo – trzydzieści pięć miligramów metahydriconu.

Była to dość wysoka dawka syntetycznego opioиду o szerokim zastosowaniu. Victor spędził jednak pewne leniwe lato w więziennej bibliotece, wkuwając na blachę długą listę środków przeciwbólowych na receptę wraz z zastosowaniami, dawkami i nazwami medycznymi oraz handlowymi, toteż rozpoznał lekarstwo na pierwszy rzut oka. Ponadto był pewien, że jeśli Eli nie poświęcił podobnej ilości czasu na takie same badania, to na pewno nie był w stanie go rozpoznać.

Wyglądało na to, że szczęście znów uśmiechnęło się do Victora.

Wiedział, że na parę godzin przed spotkaniem o północy nie ma już czasu ani miejsca, by zaskarbić sobie czyjeś zaufanie, a tym bardziej lojalność, lecz... mógł zapewnić sobie współpracę Rusera dzięki zaspokojeniu jego potrzeby. Układ taki, co Victor wiedział z doświadczenia, potrafił być równie potężny jak silny związek emocjonalny. Tym bardziej, że związek był zwykle neurotyczny i skomplikowany, a potrzeba – prosta i pierwotna, tak jak strach czy ból. Dlatego mogła stać się trwałą podstawą sojuszu. Victor miał dokładnie to, czego potrzebował Dominik – i mógł mu tego dostarczyć, jeżeli umiejętność Dominika była tego warta. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Złożył kartkę z profilem i wsunął do kieszeni.

- Wkładaj płaszcz, Mitch. Wychodzimy.
- Chcesz jechać czy iść?
- Jechać samochodem.
- Absolutnie nie. Nie widziałeś informacji w systemie policyjnym? Ostatnim razem, kiedy sprawdzałem, ten wóz był

zapisany na liście skradzionych pojazdów.

– W takim razie musimy się upewnić, że nie będziemy przyciągać uwagi.

Mitch sięgnął po płaszcz, mamrocząc pod nosem coś niepochlebnego. Sydney również pobiegła po swoje okrycie do sypialni, gdzie je przedtem rzuciła.

– Nie, Syd – uprzedził ją Victor, gdy stamtąd wyszła, tuląc do siebie wielki, czerwony płaszcz. – Musisz tu zostać.

– Ale to był mój pomysł! – zaprotestowała.

– I to całkiem dobry, ale mimo to musisz zostać.

– Dlaczego? – jęknęła. – Nawet mi nie mów, że to zbyt niebezpieczne. To samo mówiłeś o policjancie, a potem i tak mnie tam zawlokłeś.

Victor prychnął.

– To naprawdę zbyt niebezpieczne, ale nie dlatego musisz tu zostać. Wyróżniamy się i bez ciebie, a co dopiero z tobą – zaginionym dzieckiem. Poza tym chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Sydney skrzyżowała ramiona na piersi i popatrzyła na niego sceptycznie.

– Jeżeli nie wrócę do dziesiątej trzydzieści – powiedział – wciśnij przycisk „Wyślij” na komputerze Mitcha, żeby załadować mój profil do bazy danych. Na pulpicie masz otwarte okno, wszystko jest gotowe do wysyłki.

– Dlaczego dziesiąta trzydzieści? – zapytał Mitch.

– Dość wcześnie, żeby ktoś to zauważył, ale jednocześnie nie dość wcześnie, żeby zdążyli się przygotować. Taką mam przynajmniej nadzieję. Owszem, wiem, jest tu pewne ryzyko.

– Ale nie największe, jakie podejmujesz – skomentował kwaśno Mitch.

– Czy to wszystko? – spytała Sydney.

– Nie – odparł Victor. Poklepał się po kieszeniach kurtki i wyciągnął niebieską zapalniczkę. Nie palił, lecz zawsze nosił ją przy sobie, bo czasem się przydawała. – O jedenastej zacznij palić teczki. Spal wszystkie, w zlewie – powiedział i podał jej urządzenie. – Jedną stronę naraz, zapamiętasz?

Sydney wzięła zapalniczkę i obróciła ją w dłoni.

– To naprawdę ważne – wyjaśnił. – Nie możemy zostawiać dowodów, tak? Rozumiesz, dlaczego cię tu potrzebuję?

W końcu niechętnie skinęła głową, a Dol cicho zaskowyczał.

– Ale wrócisz, prawda? – zapytała, kiedy już stali w drzwiach.

Victor obejrzał się przez ramię.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział. – To moja ulubiona zapalniczka!

Sydney niemal się uśmiechnęła, kiedy zamykał za sobą drzwi.

– Rozumiem, w jakim celu ma palić papiery, ale dlaczego jedną stronę naraz? – zapytał Mitch, kiedy schodzili po schodach.

– Żeby ją czymś zająć.

Potężny mężczyzna wbił dłonie w kieszenie płaszcza.

– To znaczy, że już tu nie wracamy?

– Nie dziś wieczorem.

XXII

TRZY GODZINY PRZED PÓLNOCĄ BAR POD TRZEMA KRUKAMI

Eli siedział w boksie w głębi baru Pod Trzema Krukami i czekał na Dominika Rushera. Gdy był tu po raz pierwszy, wypytał o niego barmana, który potwierdził, że Rusher pojawia się co wieczór około dziewiątej. Eli przyjechał wcześniej. Nie miał nic do roboty poza oczekiwaniem na północ i wydarzenia, które miały się wówczas rozegrać, więc zamówił piwo i wycofał się do narożnego boksu, rozkoszując się chwilą z dala od Sereny bardziej niż alkoholem.

Piwo stało przed nim w gruncie rzeczy na pokaz, ponieważ moc regeneracji niweczyła jego efekt, a alkohol bez upojenia wydawał mu się dużo mniej kuszący (poza tym barman poprosił go najpierw o dokument, żeby sprawdzić, czy Eli jest pełnoletni; to też mu się już dawno znudziło). Odległość od Sereny była ważna – w sumie najważniejsza – by zachować ten ułamek kontroli nad sobą, który mu pozostał. Im dłużej z nią przebywał, tym bardziej zamazana wydawała mu się rzeczywistość, a z tym odurzeniem jego organizm nie radził sobie tak łatwo. Powinien był ją zabić, kiedy jeszcze miał szansę. Teraz, kiedy włączyli do swoich działań policję, byłby to poważniejszy problem. Funkcjonariusze zachowywali lojalność wobec niej, nie wobec niego, a Eli i Serena doskonale o tym wiedzieli.

Przeprowadzka do nowego miasta. Tego właśnie potrzebował.

Po północy, kiedy spotka się z Victorem i posprząta wreszcie bałagan, znajdzie nowe miasto. Zacznie od początku, z dala od śledczego Stella i daleko od Sereny, jeżeli da radę. Nie miał nawet nic przeciwko temu, by wrócić do swoich starych metod, mimo że musiał poświęcać poszukiwaniom więcej czasu i siły, a po tygodniach pracy znajdował kulminację w postaci kilku chwil satysfakcji. Ostatnio odnajdywanie osób PP przychodziło mu zbyt łatwo, a „łatwo” oznaczało „niebezpiecznie”. „Łatwo” prowadziło do błędów, a jednym z nich był związek z Sereną. Eli upił nieco piwa i sprawdził, czy na telefonie nie pojawiły się nowe wiadomości. Nie było żadnych.

Polował już kiedyś w tym barze, kilka lat wcześniej, zanim poznał Serenę, gdy działał jeszcze jak duch, przejazdem przez Merit. Było tu wówczas głośno i tłoczno; to miejsce stworzono dla ludzi, którzy preferowali chaos zamiast spokoju, hałas dzwoniącego szkła, rozbawione wrzaski i głośną muzykę, w której nie dało się rozróżnić słów. Dlatego łatwo tu było zniknąć, stać się niewidzialnym w przyćmionym świetle i tłumie pijących, pijanych, a czasem także wściekłych ludzi. Mimo to Eli nie był dość bezczelny ani głupi, by dokonać egzekucji publicznie. Serena mogła zapewnić mu usługi policji, ale ludzie w Trzech Krukach nie poważali ani policji, ani porządku publicznego. W miejscu takim jak to nawet niewielki kłopot mógł szybko stać się poważnym problemem, a nawet katastrofą, zwłaszcza jeżeli nie miał u boku Sereny, która potrafiłaby uspokoić wrogi tłum.

Znowu poczuł ulgę na myśl o tym, że nie znajduje się w zasięgu jej uroku ani posłusznych jej ludzi. Teraz mógł

z własnej woli załatwić sprawę tak, jak mu się podobało.

Sprawdził jeszcze raz czas. Mniej niż trzy godziny do... no właśnie, do czego? Victor ustalił ten termin, żeby nim wstrząsnąć, wyprowadzić z równowagi. Zakłócał spokój Elia niczym dzieciak rzucający kamienie do stawu i wywołujący fale. Eli był tego świadom, ale mimo to wciąż czuł się zaniepokojony, co irytowało go jeszcze bardziej. No cóż, teraz jednak odzyskiwał kontrolę nad umysłem, swoim życiem i tym wieczorem. Zanurzył palce w piwie rozlanym na starym drewnianym stole, a potem rozmazał płyn w litery.

EVER.

XXIII

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ UNIWERSYTET LOCKLAND

– Dlaczego Ever?

Eli rozparł się przy stole, a Victor – naprzeciwko niego. Pierwszy z nich właśnie umarł, a drugi go skutecznie reanimował. Teraz siedzieli w barze kilka przecznic od ich apartamentu, lekko upojeni paroma kolejkami piwa (a przynajmniej Victor) oraz faktem, że mieli szczęście i przeżyli ten gwałtowny atak głupoty. Eli czuł się jednak dziwnie. Nie słabo, nie kiepsko, ale... inaczej. Odlegle. Nie potrafił uchwycić istoty tej odmienności. Czegoś mu brakowało, czuł w umyśle jakąś nieobecność, nawet jeżeli nie potrafił określić jej charakteru. Mimo to uważał, że najbardziej liczy się jego nieprzerwane świetne samopoczucie, aż podejrzanе, jeśli wziąć pod uwagę, że tego wieczoru przez kilka minut był martwy.

– O co ci chodzi? – zapytał, sącząc piwo.

– Mogłeś wybrać dowolne nazwisko – odparł Victor. –
Dlaczego Ever?

– A dlaczego nie?

– O, nie – zaprotestował tamten, machając dłonią. – Nie, Eli, nie robisz takich rzeczy.

– Jakich rzeczy?

– Nie podejmujesz nieprzemyślanych decyzji. Musiałeś mieć powód.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ znam ciebie i twój sposób myślenia.

Eli przeciągnął palcem przez mokry ślad po szklance.

– Pasuje do imienia. A ja nie chcę, żeby mnie zapomniano.

Powiedział to cicho, nie wiedząc nawet, czy Victor usłyszy jego odpowiedź w gwarze rozbrzmiewającym naokoło, ale tamten położył dłoń na ramieniu Elia i uścisnął go współczująco. Przez moment wyglądał bardzo poważnie, ale po chwili puścił ramię przyjaciela i zapadł z powrotem w miękką kanapę po swojej stronie.

– Powiem tak – zaczął. – Ty zapamiętasz mnie, ja zapamiętam ciebie i w ten sposób nie zostaniemy zapomniani.

– Co za gówniana logika, Vic.

– Nie, skąd, doskonała!

– A co się stanie, kiedy umrzemy?

– W takim razie nie umrzemy.

– Kiedy mówisz o oszukiwaniu śmierci, brzmi to tak prosto!

– Zdaje się, że jesteśmy w tym dobrzy? – odpalił radośnie Victor. Uniósł szklankę. – Żebyśmy nigdy nie umarli.

Jego przyjaciel również uniósł swoją.

– Żeby nas zapamiętali. – Tręcili się szklankami, a Eli dodał:
– Na wieki wieków.

XXIV

DWIE I PÓŁ GODZINY PRZED PÓLNOCĄ BAR POD TRZEMA KRUKAMI

Dominik Rusher wyglądał jak człowiek, który przeżył poważne załamanie – w przenośni i dosłownie.

Większość kości z lewej strony jego ciała, czyli tej, po której wybuchła mina, połączono klamrami, poskręcano lub wymieniono na sztuczne. Skórę pod ubraniem miał poznaczoną bliznami. Jego włosy – zgodnie z wojskowymi standardami przez trzy lata strzyżone maszynką na krótko – zdążyły już odrosnąć i teraz zwisały mu w nieporządnym kudłach na oczy, z których jedno było sztuczne. Wysoki i barczysty, z opalenizną, wydawał się nie pasować do stałej klienteli baru.

Eli nie wyczytał tego wszystkiego z jego profilu; widział to w jego postawie, kiedy mężczyzna podszedł do baru, usiadł na stołku i zamówił pierwszego drinka. Czas uciekał, a Eli coraz mocniej zaciskał dłoń na szklance, obserwując, jak były żołnierz zaczyna wieczór od kolejnych porcji bourbona z colą. Oparł się pokusie, by zostawić piwo, wstać od stołu i strzelić Dominikowi w potylicę, żeby tylko mieć to za sobą. Z wysiłkiem powstrzymał się od niecierpliwego działania; jego rytuały miały sens, a on mógł od czasu do czasu ich nie przestrzegać (i kilka razy już to zrobił), ale nie chciał ich całkowicie porzucać, nawet teraz. Zabicie kogoś bez przyczyny byłoby nadużyciem mocy i obrazą Boga. Krew PonadPrzeciętnych dawała się zmyć ze

skóry, lecz krew niewinnego pozostałaby tam na wieki. Musiał wywabić Dominika z baru, wydobyć z niego przyznanie się, albo nawet skłonić go do demonstracji swoich umiejętności, a dopiero potem go zlikwidować. Poza tym Dominik stanowił świetną przynętę. Jak długo siedział w barze, w zasięgu wzroku Elia, był użyteczny żywy: gdyby Victor przybył tu w poszukiwaniu Rushera jeszcze przed północą, Eli będzie gotowy na spotkanie.



Victor prowadził, a Mitch leżał rozciągnięty na tylnej kanapie, próbując ukryć swoją potężną postać przed postronnymi obserwatorami. Za oknami przesuwały się ulice miasta, zieleń i czerwień, a także biel biurowców. Victor przemykał regularnie krzyżującymi się ulicami, kierując się ku starszej dzielnicy. Trzymał się bocznych ulic, nie głównych arterii wylotowych, unikając także płatnych autostrad z rogatkami, mostów czy jakichkolwiek innych punktów kontrolnych. Dostosowywał szybkość do innych samochodów, ponieważ zbyt wolna jazda przyciągnęłaby uwagę policjantów tak samo jak zbyt szybka. Sprawnie prowadził skradziony wóz przez Merit i wkrótce numerowane aleje i oznaczone literami ulice ustąpiły miejsca zaufłkom noszącym indywidualne nazwy. Teraz za oknami było widać tabliczki z nazwami, drzewa, ludzi i nieregularnie rozmieszczone budynki, niektóre z nich ciemne, o oknach zabitych deskami, porzucone przez mieszkańców, a inne – kipiące życiem.

– Teraz w lewo – polecił Mitch, sprawdzając kierunki na mapie wyświetlanej na niewielkim ekranie telefonu. Victor

sprawdził na zegarku, ile czasu jechali do baru, i odjął tę wartość od godzin pozostałych do północy, żeby ustalić, ile czasu mogą spędzić tutaj. Nie mógł się spóźnić. Nie dzisiaj. Próbował się uspokoić, lecz emocje szalały w nim niczym płomień na palenisku. Postukiwał palcami wolnej dłoni w kolano i starał się nie słuchać natrętnego szeptu w swojej głowie, podpowiadającego mu, że to kiepski pomysł. Wolał złożyć wizytę w barze niż beczynnie siedzieć. Poza tym mieli całkiem sporo czasu.

– Jeszcze raz w lewo – powiedział Mitch, a Victor posłusznie skrzywił.

Pierwszą połowę drogi do baru spędzili, omawiając plan, a teraz, kiedy już wszystko było jasne i pozostało tylko go wykonać, jechali w milczeniu, przerywanym tylko poleceniami prowadzącego nawigację Mitcha i niezmordowanym stukaniem palców Victora. Asfalt uciekał im spod kół.



Gdy Victor prowadził, Mitch zastanawiał się nad tym wszystkim.

Zastanawiał się, czy przeżyje tę noc.

Zastanawiał się, czy przeżyje ją Victor.

Zastanawiał się, co przyniesie jutro – jeżeli go dożyją.

Zastanawiał się, czym zajmie się Victor, kiedy pozbędzie się Elia – jeżeli mu się to uda.

Mitch zastanawiał się również, co zrobi wtedy on sam. Nigdy nie dyskutował z Victorem na temat ich partnerstwa – ani o warunkach współpracy, ani o jej potencjalnym zakończeniu, ale zawsze było wiadomo, że chodzi w niej o to, by znaleźć Elia.

Nigdy nie było mowy o tym, co nastąpi potem. Zastanawiał się, czy w ogóle będzie jakieś „potem” i czy Victor kiedykolwiek na ten temat myślał.

Ruchoma zielona kropka na ekranie telefonu dotarła do nieruchomej czerwonej kropki oznaczającej bar Pod Trzema Krukami. Mitch usiadł prosto.

– Jesteśmy na miejscu.



Victor zatrzymał się na parkingu naprzeciwko baru, mimo że było to wąskie, zastawione samochodami miejsce, uniemożliwiające szybki wyjazd, zwłaszcza gdyby musieli błyskawicznie stamtąd uciekać. Jednak ich samochód był kradziony, a policjanci biegali po mieście z oczami naokoło głowy, więc nie śmiał zrobić niczego, co by ich w jakikolwiek sposób wyróżniało, a zwłaszcza nie chciał dostać mandatu za nieprawidłowe parkowanie. Nie dzisiaj wieczorem. Zgasił silnik, wyszedł z samochodu i zmierzył wzrokiem stojącą po przeciwnej stronie ulicy kupę cegieł, nad którą widniał szyld z napisem „Pod Trzema Krukami”. Obok liter, tuż nad wejściem, siedziały trzy metalowe ptaki. Z lewej strony baru przebiegała boczna alejka, w której Victor dostrzegł drugie wejście do baru: drzwi w brudnej ceglanej ścianie. Dotarli do krawężnika i się rozdzielili. Victor skierował kroki ku alejce, a Mitch – prosto do głównego wejścia. W głowie pierwszego z nich pojawiła się regularna siatka ulic Merit, niczym plansza do gry: szachów, statków lub Ryzyka. Nadeszła pora na jego ruch.

– Hej! – zawołał, kiedy Mitch trzymał już dłoń na klamce. – Tylko ostrożnie!

Mitch uśmiechnął się paskudnie i wszedł.

XXV

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ ZAKŁAD KARNY WRIGHTON

– Chcesz więcej mleka?

Tak brzmiały pierwsze słowa, jakie wypowiedział Victor Vale do Mitchella Turnera.

Siedzieli w więziennej stołówce. Mitch spędził poprzednie trzy dni, zastanawiając się leniwie, jak zabrzmiałby głos Victora, gdyby zdecydował się w końcu odezwać. To znaczy, jeżeli w ogóle potrafił mówić. W trakcie lunchu Mitch doszedł właśnie do wniosku, że Victor jest niemową, że poniżej kołnierzyka więziennej bluzy nosi straszną bliznę, niczym uśmiech wyrzeźbiony na gardle, albo że za jego wykrzywionymi wargami nie ma już języka. Hipotezy te brzmiały dość dziwnie, ale w więzieniu było tak nudno, że wyobraźnia Mitcha wyprawiała najdziwsze harce. Kiedy więc Victor ostatecznie otworzył usta i z idealną dykcją zadał pytanie, czy Mitch życzyłby sobie jeszcze kartonik mleka, tamten poczuł się zaskoczony, chociaż również nieco rozczarowany.

Pozbierał się jednak i zdołał wydusić:

– Yyy, tak. No pewnie.

Zabrzmiało to głupio, trochę tak, jakby się zająknął, ale Victor tylko zachichotał i wstał od stołu.

– Mleko daje się – oświadczył i ruszył w kierunku kontuaru z jedzeniem.

Magiczna chwila minęła. Mitch wiedział, że powinien pójść za nim. Spędził poprzednie trzy dni, depcząc nowemu współlokatorowi z celi po piętach, ale pytanie było tak nieoczekiwane, że się zawahał, a teraz siedział ze strasznym poczuciem, że zmarnował szansę na złamanie swojej klątwy. Wyciągnął szyję, by dojrzeć Victora, lecz w tym momencie ktoś przycisnął go siłą do blatu stołu i objął serdecznie jego ramiona. Z drugiej strony pomieszczenia gest ten mógł wydawać się przyjacielski, ale Mitch dostrzegł w dłoni Iana Packera zaostrzony kawałek metalu ze szpiczastym końcem skierowanym ku jego policzkowi. Mitch był dwa razy większy od tego faceta, wiedział jednak, jakiego bałaganu narobiłby Ian, zanim udałoby się go unieszkodliwić. Poza tym Packer był jednym z tych, którzy mimo niewysokiego wzrostu mieli tu władzę i wpływy. Za duże, jak na tak zatłoczone miejsce.

– Hej, hej – powiedział Packer, zionąc nieświeżym oddechem.

– Odgrywasz pieseczka?

– Czego chcesz? – warknął Mitch, wlepiając wzrok w tace przed sobą.

– Najpierw żem chciał, żebyś przypilnował moich piesków dzieś przez rok. Cierpliwie żem znosił to twoje pacyfistyczne gówno – odezwał się tamten. Mitch był zaskoczony (w pewnym sensie nawet przyjemnie), że Packer znał słowo „pacyfistycznie”.

– Aż tu nagle wyskakuje ten kutasina, a ty służysz mu na tylnych łapkach – oburzył się i ze zgorzeniem cmoknął Mitchowi prosto do ucha. – Chyba spuszczę mu wpierdol, bo marnuje twój czas i talent, Turner.

Kartonik mleka wylądował na tacy Mitcha, który podniósł wzrok i odkrył, że Victor stoi obok, obserwując sytuację z uprzejmym zainteresowaniem. Packer mocniej zacisnął dłoń

na zaostrzonym metalu, zwracając uwagę na przybysza. W tym momencie Mitch stracił całą nadzieję. Kolejny kumpel z celi za chwilę dołączy do grona aniołków.

Victor z zaciekawieniem przechylił głowę, patrząc na Packera.

– Co to? Kozik samoróbka? – zapytał, stawiając stopę na ławce i kładąc dłoń na kolanie. – Nie mieliśmy czegoś takiego na oddziale izolatek – wyjaśnił. „Izolatek?” – pomyślał Mitch. – Zawsze chciałem zobaczyć kozik – dodał Victor.

– Zara go zobaczysz z bliska, ty mały zasrańcu! – zawył Packer, zabierając rękę z ramion Mitcha. Rzucił się na Victora, który postawił tylko stopę z powrotem na podłodze i zwinął dłoń w pięść. Packer w pół skoku upadł na podłogę, potwornie wrzeszcząc. Mitch mrugnął, nie rozumiejąc, co się właściwie stało... a w sumie wcale nie stało. Victor nawet nie dotknął tamtego.

Na dźwięk krzyku Packera w stołówce wybuchło zamieszanie. Więźniowie skoczyli na równe nogi, a strażnicy ruszyli w stronę źródła dźwięku. Mitch siedział, a Victor stał i obaj patrzyli, jak Packer wyje i rzuca się po podłodze z dłonią zakrwawioną od ściskanego w niej ostrego metalowego klina. Przez ułamek sekundy, zanim ktokolwiek do nich dobiegł, Mitch dostrzegł na ustach Victora uśmiech. Groźny, nieznacznym uśmieszek.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął strażnik, który właśnie dotarł do ich stołu wraz z kompanem. Mitch popatrzył na Victora, który tylko wzruszył ramionami. Uśmiech zniknął, za to na czole pojawiła się lekka zmarszczka, znak zatroskania.

– Nie mam pojęcia – wyjaśnił. – Facet podszedł, żeby pogadać, w jednej chwili był zdrów jak rydz, a zaraz potem – tu

Victor pstryknął palcami, a Mitch się wzdrygnął – zaczął się miotać w konwulsjach. Lepiej weźcie go do lekarza, zanim zrobi sobie coś poważnego.

Strażnicy przytrzymali wijącego się Packera na podłodze i wyłuskali ostrze z jego pociętej dłoni. W tym czasie jego wrzaski przeszły w jęki, a po chwili mężczyzna umilkł. Nic dziwnego – zemdłał. W którejś chwili między atakiem Packera, odpowiedzią Victora, który powalił napastnika jednym spojrzeniem, a przybyciem strażników, Mitch zdołał wstać z ławki i teraz stał o parę metrów od współlokatora, siorbiąc mleko z kartonika i obserwując rozwój wydarzeń. Czuł się dziwnie – z jednej strony ze względu na to, co zaszło, a z drugiej – na to, że chociaż raz to nie jemu przypisano winę.

Ale co tu się, do cholery, zdarzyło?

Musiał wyszeptać to pytanie, ponieważ Victor zaszczycił go uniesieniem jasnej brwi, a potem odszedł do celi. Mitch podążył za nim.

– No i jak? – zapytał Victor, kiedy szli przez betonowe korytarze. – Czy rzeczywiście uważasz, że marnuję twój czas i talent?

Mitch zmierzył wzrokiem niesamowitego mężczyznę. Coś się zmieniło. Dyskomfort czy też niechęć, jaką odczuwał przez trzy ostatnie dni, zniknęły. Inni rozstępowali się przed nimi, ale Mitch czuł tylko podziw i odrobinę satysfakcji. Kiedy dotarli do celi, a Mitch jeszcze nie odpowiedział, Victor zatrzymał się, oparł o kraty i spojrzał na niego. Nie na jego potężne barki, olbrzymie pięści z bliznami na knykciach, czy też tatuaże na szyi, ale w twarz. Zajrzał mu prosto w oczy, nawet jeśli w tym celu musiał nieco unieść wzrok.

– Nie potrzebuję ochroniarza – oznajmił.

– Zauważyłem – odparł Mitch.

Victor roześmiał się, chociaż zabrzmiało to trochę jak kaszel.

– Tak, no cóż – powiedział – nie chciałbym, żeby ktokolwiek inny również to zauważył.

Mitch miał rację, przypuszczając, że Victor Vale był wilkiem między owcami. A trzeba było nie lada drapieżnika, żeby pozostałych czterystu sześćdziesięciu trzech więźniów, zatwardziałych kryminalistów, zaczęło wydawać się przy nim owcami.

– No to czego w takim razie potrzebujesz? – zapytał.

Victor skrzywił usta w tym samym niebezpiecznym uśmiešku, co wcześniej.

– Przyjaciela.

– Tylko tyle? – zapytał Mitch z niedowierzaniem.

– Panie Turner, czy wie pan, jak trudno znaleźć dobrego przyjaciela?

Mitch patrzył, jak Victor wchodzi do celi, bierze w dłoń książkę z biblioteki i mości się na pryczy.

Nie rozumiał zbytnio, co właściwie stało się przed kilkoma chwilami na stołówce, ale lata spędzone w więzieniu i na wolności nauczyły go jednego: byli ludzie, od których lepiej się było trzymać z daleka, zatruwający wszystko naokoło. Istnieli także ludzie, z którymi chciało się zaprzyjaźnić, ważący słowa i zamieniający w złoto wszystko, czego się tknęli. No i byli również tacy, u których boku lepiej było stać, ponieważ to oznaczało, że nie stoi się na ich drodze. Kimkolwiek – albo czymkolwiek – był Victor Vale i cokolwiek knuł, Mitch wiedział jedno: nie chciał stanąć mu na drodze.

XXVI

DWIE GODZINY PRZED PÓLNOCĄ BAR POD TRZEMA KRUKAMI

Eli wystukał na ekranie kod i odblokował telefon, z irytacją odnotowując godzinę. Wciąż nie było ani śladu Victora, a Dominik wydawał się tkwić przy barze niczym wbetonowany. Eli skrzywił się i zadzwonił do Sereny, ale nie odebrała. Kiedy włączył się nagrany komunikat, zapraszający do zostawienia wiadomości na poczcie głosowej, przerwał połączenie jak najszybciej, zanim jej powolny, melodyjny głos zaczął udzielać mu jakichkolwiek instrukcji. Pomyślał jeszcze raz o groźbie Victora.

„To cwane. Użyłeś bazy danych policji w Merit, by znajdować nowe cele. Jestem trochę urażony, że jeszcze tam nie figuruję, ale daj mi trochę czasu. Dopiero tu przyjechałem”.

Zalogował się do policyjnego systemu, mając nadzieję znaleźć tam jakąś podpowiedź. Minęła dziesiąta wieczór i jedyny oznaczony profil w bazie należał do mężczyzny siedzącego za barem i czule pieszczącego dłonią trzecią szklankę bourbona z colą. Eli zmarszczył czoło i odłożył telefon. Najwyraźniej jego przynęta nie przyciągnęła żadnej ryby. Stołek obok Dominika opustoszał – w ciągu całego wieczoru różni ludzie zajmowali go i zwalniali już trzy razy – więc Eli, zniecierpliwiony, dokończył piwo i przesunął się ku wyjściu

z boksu, gdy w polu widzenia pojawił się jakiś mężczyzna, podszedł do baru i zajął miejsce.

Eli zatrzymał się w pół kroku i czekał.

Widział tego faceta już wcześniej, w hotelu Esquire, przed windami. Mimo że obecność mężczyzny w tym barze była mniej zaskakująca – z wyglądu pasował dużo lepiej do klientów Trzech Kruków niż do odzianej w garnitury klienteli czterogwiazdkowego hotelu – nadal nie dawała Eliowi spokoju. Pod powierzchownością zakapiora kryło się coś jeszcze. Nie pomyślał o tym, kiedy zobaczył go w hotelu, jednak teraz, niedługo po prezentacji dla policjantów z Merit, odpowiedź wydawała się oczywista. W kartotekach policji brakowało zdjęcia Mitchella Turnera, współnika Victora Vale'a, lecz figurował tam jego opis: wysoki, zwalisty, łysy, z tatuażami. Do opisu tego pasowały dziesiątki mężczyzn, ale zapewne niewielu z nich Eli miał okazję spotkać dwukrotnie w ciągu ostatnich kilku dni.

Eli Ever już dawno przestał wierzyć w zbiegi okoliczności.

Jeżeli ten facet nazywał się Mitchell Turner, to Victor musiał być blisko.

Rozejrzał się po barze, szukając wzrokiem jasnej czupryny Victora i jego groźnego uśmiešku, ale nie dostrzegł nikogo pasującego do opisu. Kiedy znów popatrzył na Dominika Rushera, Turner właśnie coś do niego mówił. Jego potężna sylwetka nachylała się nad byłym żołnierzem niczym wielki cień. Mimo że hałas panujący w barze nie pozwalał dosłyszeć ich rozmowy, Eli widział, że wargi tamtego poruszają się szybko, a Dominik na dźwięk jego słów cały sztywnieje. A potem, zaledwie kilka minut po zajęciu miejsca, Mitchell wstał ze stołka. Nic nie zamówił, nie powiedział już ani słowa

więcej. Eli śledził, jak tamten rozgląda się, patrzy na niego, przenosi wzrok dalej i zatrzymuje go na znaku „Toalety”, podświetlonym żółtym neonem. Mitchell Turner ruszył w tym kierunku, przechodząc między Dominikiem a resztą baru. Jego masywna sylwetka na mgnienie oka zasłoniła młodego człowieka, ale kiedy Turner wykonał następny krok – Dominik zniknął.

W tej chwili Eli ruszył w kierunku kontuaru.

Stółek, na którym przez większą część wieczoru siedział jego cel, nagle zrobił się pusty. Po Dominiku nie pozostał nawet ślad. Eli mógłby w tej chwili pomyśleć, że to niemożliwe, wiedział jednak, że to całkowicie możliwe, aż nadto możliwe. Pytanie, dokąd udał się były żołnierz, znalazło się nagle na dalszym planie, a Eli zadał sobie inne: dlaczego właściwie zniknął? Nasuwała się na nie tylko jedna odpowiedź: został spłoszony. Ostrzeżony. Eli popatrzył przez całe pomieszczenie na drzwi do toalet, które jeszcze się kołysały po tym, jak przeszedł przez nie Mitchell Turner.

Rzucił banknot na stół koło opróżnionej szklanicy i podążył za potężnym mężczyzną.

XXVII

DZIEWIĘCDZIESIĄT MINUT PRZED PÓLNOCĄ HOTEL ESQUIRE

Sydney przycupnęła na fotelu przy biurku, obejmując kolana ramionami. Przenosiła wzrok między zegarem na ścianie, zegarem na komputerze (który pokazywał czas o całe dziewięćdziesiąt sekund późniejszy od ściennego) i jarzącym się na zielono przyciskiem „Wyślij” w otwartym okienku na ekranie laptopa. Nad przyciskiem czekał na wrzucenie do policyjnej bazy danych profil, który założył Mitch. W nagłówku wpisał imię i nazwisko: „Victor Vale”, a jako drugie imię – „Eli”. Tam, gdzie powinna figurować data urodzenia, widniała dzisiejsza. Okienko oznaczone tytułem: „Ostatnie znane miejsce pobytu” wypełniał adres, pod którym budowano wieżowiec Falcon Price. We wszystkie inne miejsca – przeznaczone na informacje uzupełniające, historię wcześniejszych przestępstw, notatki policyjne – wpisano, powtarzające się w każdej rubryce: „O północy”.

Po lewej stronie profilu było miejsce, gdzie powinno się załączyć fotografię poszukiwanej osoby. Zamiast zdjęcia twarzy znajdowało się tam jednak zdjęcie grzbietu książki, z pionowo biegnącymi literami, układającymi się w nazwisko „VALE”.

Książka, którą Mitch wykorzystał w tym celu, a którą Victor kupił podczas spaceru dzień wcześniej, znajdowała się pod stosem papierów, które Sydney miała wkrótce zacząć palić.

Niebieska zapalniczka leżała na wierzchu stosu. Wyciągnęła gruby tom spod kartek i przesunęła kciukiem po okładce. Widziała już wcześniej tę książkę... a może tylko podobnie wydaną? Jej rodzice mieli w gabinecie cały zestaw takich poradników (oczywiście w nienagannym stanie, z grzbietami bez śladu pęknięć). Sydney otworzyła tom na pierwszej stronie i zderzyła się z murem czerni. Przekartkowała pierwsze trzydzieści cztery strony tylko po to, by przekonać się, że wszystkie zostały konsekwentnie pokreślone na czarno. Gruby flamaster, którym założono strony trzydziestą czwartą i trzydziestą piątą sugerował, że Victor oszczędził pozostałą część książki tylko z braku czasu. Sydney przyjrzała się uważnie zaczerntonym kartkom i zauważyła dwa słowa nietknięte flamastrem.

„Dla” i „elia”.

Słowa znajdowały się o kilka stron od siebie, oddzielone i otoczone morzem czerni. Nie dość tego, „elia” zostało wykrojone z dłuższego wyrazu, w którym początkowe litery „reb” starannie zamazano.

Victor chciał więc uzyskać właśnie taki efekt:

Dla

Elia

Przesunęła palcami po stronie, spodziewając się, że pobrudzi je na czarno, ale nic podobnego się nie stało. Dol zaskomlił cicho pod fotelem, gdzie zdołał się jakoś zmieścić (a przynajmniej większą część przedniej połowy ciała), więc Sydney zamknęła książkę i spojrzała znów na zegar. Było już po wpół do jedenastej, zarówno na zegarze ściennym, jak i tym na ekranie komputera. Zawiesiła palec wskazujący nad ekranem.

Wiedziała, co będzie oznaczać naciśnięcie przycisku.

Nie znała planu Victora, lecz orientowała się, że od chwili wysłania profilu nie będzie już odwrotu. Eli znajdzie Victora i przynajmniej jeden z nich umrze, a jutro wszystko znów stanie się straszne.

Zostanie sama.

Tak czy inaczej sama. Ponadprzeciętna dziewczynka z raną w ramieniu i siostrą pragnącą jej śmierci, z wiecznie nieobecnymi rodzicami i przedziwną, oszałamiającą mocą. Może będzie musiała uciekać, a może ktoś ją zabije? Żadna z tych możliwości zbytnio jej nie pociągała.

Zaczęła rozważać, co by się stało, gdyby nie wysłała danych Victora do bazy. Mogła zawsze powiedzieć, że system w komputerze się zawiesił; mogła zyskać dla nich kolejny dzień. Dlaczego Victor musiał to zrobić? Dlaczego on i Eli musieli się spotkać? Oczywiście znała odpowiedzi już w chwili, kiedy zadawała sobie te pytania. Wiedziała, dlaczego, ponieważ jej samej przyspieszał puls na myśl o Serenie. Mimo że rozsądek podpowiadał jej, by uciekać jak najdalej od siostry, instynkt przyciągał ją z powrotem, niczym grawitacja. Nie potrafiła zejść z tej orbity.

Była jednak w stanie przez pewien czas powstrzymać upadek. Czy Victor również nie mógł tego zrobić? Czy nie mogli pozostać wszyscy na wysokiej orbicie – i przy życiu? Wówczas jednak zabrzmiała jej w głowie przestroga Mitcha – „w tej grze nie ma dobrych ludzi” – a kiedy zamknęła oczy i próbowała o tym zapomnieć, zobaczyła Victora Vale’a. Nie tego, którego spotkała tamtego dnia w deszczu na poboczu szosy, ani nawet tego, którego przypadkowo obudziła, ale tego, który po południu stał nad ciałem policjanta, a powietrze wokół niego

wibrowało cierpieniem, kiedy kazał jej wskrzesić martwego mężczyznę.

Sydney otworzyła oczy i nacisnęła „Wyślij”.

XXVIII

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ MINUT PRZED PÓLNOCĄ BAR POD TRZEMA KRUKAMI

Victor opierał się o chłodną ceglana ścianę w alejce z boku baru, czytając profil Dominika Rushera, kiedy mężczyzna odpowiadający zdjęciu z wydruku wynurzył się znikąd i ruszył chwiejnym kłusem między budynkami. Victorowi to zaimponowało, zwłaszcza że boczne drzwi do baru pozostały zamknięte, ale postarał się ukryć podziw, żeby zachować przewagę nad Rusherem.

Dominik spojrział na Victora tylko raz – jedno oko miał czarne, drugie niebieskie, według akt niebieskie było sztuczne – a potem pokuśtykał boleśnie naprzód, trzymając się za bok, aż wreszcie upadł, uderzając kolanem w betonową nawierzchnię. Victor nie miał z tym nic wspólnego. Tamten był w fatalnym stanie, a sztuczka ze znikaniem i wyłanianiem się z cieni chyba dodatkowo go osłabiła.

– Wiesz co, Rusher? – zagaił Victor, zamykając teczkę. – Nie powinieneś mieszać metahydriconu z alkoholem. A jeżeli wyglądasz tak źle po trzydziestu pięciu miligramach, to drink ci nie pomoże, wręcz przeciwnie.

– Kim jesteś? – wydyszał Dominik.

– Gdzie mój przyjaciel? – odpowiedział Victor pytaniem. – Ten, który cię ostrzegł?

– Wciąż w środku. Właśnie powiedział, że jest tam człowiek...

– Wiem, co mówił. To ja kazałem przekazać ci tę wiadomość. Jest tam człowiek, który chce cię zabić.

– Ale dlaczego?

Victor wolał zmuszać ludzi do działania. Nie lubił ich przekonywać. To trwało tak strasznie długo!

– Ponieważ jesteś PonadPrzeciętny – wyjaśnił. – A co za nim idzie dla niego – nienaturalny. Coś w tym rodzaju. Aha, i powiedzmy to jasno: ten człowiek nie tylko chce cię zabić. On to robi.

Dominik z trudem dźwignął się na nogi i spojrzał Victorowi prosto w twarz.

– Nie boję się śmierci – odparł z uporem.

– No cóż – powiedział uprzejmie Victor – umieranie nie jest takie trudne, prawda? Już kiedyś przez to przeszedłeś. Ale bać się śmierci i nie chcieć umrzeć to dwie różne rzeczy. Nie sądzę, żebyś chciał już teraz przenieść się na tamten świat.

– Skąd wiesz? – warknął tamten.

Victor rzucił wydruk do kubła na śmieci.

– Ponieważ gdybyś chciał, zrobiłbyś to już dawno. Jesteś wrakiem człowieka. Stale odczuwasz ból, w każdej chwili i każdego dnia. Niech zgadnę: nie kończysz z tym, ponieważ jesteś dość wytrzymały albo dość głupi, ale także bardzo chcesz żyć. Poza tym zjawiałeś się tu – wskazał gestem alejkę. – Mitch powiedział, żebyś tu przyszedł, jeżeli chcesz żyć. Mogłeś spróbować ucieczki, chociaż... kto wie, jak daleko byś zaszedł, biorąc pod uwagę twój stan. Ważne jest to, że zostałeś. I jesteś tutaj. Mimo że nie mam wątpliwości, iż stawiłbyś czoła śmierci po raz kolejny po żołniersku i honorowo, nie sądzę, żeby ci się

do niej śpieszyło. – Mówiąc to wszystko, Victor wyobrażał sobie planszę do gry, na której pionki przesuwają się, by zrobić miejsce dla talentu, który właśnie napotkał, ale wiedział już, że chce go wykorzystać. – Dam ci wybór – zaproponował. – Wróc do środka i zaczekaj na śmierć, albo idź do domu i zaczekaj na śmierć. Możesz również zostać ze mną i przeżyć.

– A co cię to obchodzi? – zapytał Dominik.

– Nic – odparł zwięźle jego rozmówca. – Sęk w tym, że nie chodzi tu o ciebie, ale o tego, który chce cię zabić. Chcę, żeby to on umarł. A ty możesz mi w tym pomóc.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Victor westchnął.

– Poza oczywistą korzyścią, jaką będzie dalsze życie? – zapytał, po czym wyciągnął dłoń wnętrzem ku górze i uśmiechnął się. – Wynagrodzę ci to.

Kiedy Dominik nie chwycił jego dłoni, Victor położył ją na ramieniu tamtego. Czuł, a jednocześnie widział, jak ból opuszcza ciało młodego człowieka, obserwował, jak wyslizguje się z jego kończyn, szczęki, czoła i oczu, które rozszerzyły się z wrażenia.

– Co... coś ty zro...

– Słuchaj, Rusher, nazywam się Victor Vale. Jestem PonadPrzeciętny i mogę usunąć ból z twojego ciała. Cały. Już na zawsze. Albo... – zawiesił głos. Jego dłoń ześlizgnęła się z ramienia Dominika, który po chwili niemal zgiął się wpół, kiedy ból wrócił z podwójną siłą. – Mogę ci go również zwrócić i zostawić cię tutaj, byś żył dalej w cierpieniu lub zmarł z ręki nieznajomego. Brzydka śmierć dla żołnierza.

– Nie – syknął Dominik. – Proszę. Co mam zrobić?

Victor uśmiechnął się.

– Jedna noc roboty za całe życie bez bólu. Co miałbyś ochotę zrobić, żeby to dostać?

Gdy Dominik nie odpowiedział, Victor przesunął suwak w swoim umyśle o ząbek wyżej i patrzył, jak tamten krzywi się i siania w męce.

– Wszystko – wydusił z siebie w końcu Dominik. – Wszystko!



Mitch stał nad umywalką, podwijając rękawy płaszcza, by umyć dłonie. Odkręcił kurek, a po chwili usłyszał przez szum wody dźwięk otwieranych drzwi. Jego potężna sylwetka wypełniała całe lustro, od jednej krawędzi do drugiej, więc nic nie widział, a mimo to doskonale wiedział, kto za nim stoi. Słyszał, jak Eli Ever wchodzi do toalety, a potem zamyka za sobą drzwi na zasuwę, odcinając ich od świata.

– Co mu powiedziałeś? – zabrzmiał głos Elia.

Mitch zakręcił wodę, ale pozostał przy umywalce.

– Powiedziałem? Komu?

– Mężczyźnie przy barze. Rozmawiałeś z nim, a potem zniknął.

Zasobnik z papierowymi ręcznikami daleko wisiał na ścianie, a Mitch doskonale zdawał sobie sprawę, że powinien unikać raptownych ruchów, więc wytarł dłonie o płaszc, a potem powoli odwrócił się ku drugiemu mężczyźnie.

– W barze tak już bywa – odparł, wzruszając ramionami. – Ludzie wchodzi i wychodzą.

– Nie! – warknął Eli. – Facet zniknął, dosłownie.

Mitch roześmiał się wymuszenie.

– Słuchaj, człowieku – powiedział, przechodząc obok Elia ku drzwiom, tak jakby nie zauważył zamkniętej zasuwy. – Tak sobie myślę, że może wypijeś o jednego drinka za...

Usłyszał, jak tamten wyciąga broń spod kurtki i słowa uwięzły mu w gardle, zwolnił kroku, a potem się zatrzymał. Eli przeładował pistolet, a Mitch po metalicznym szczęknięciu zamka rozpoznał, że to automat. Odwrócił się powoli w kierunku źródła dźwięku. Eli zdążył już dokręcić do pistoletu tłumik, ale nie celował w rozmówcę. Dłoń ze spluwą zwisała mu wzdłuż boku. Mitch nerwowo popatrzył na niego, zdając sobie sprawę, jak swobodnie tamten obchodzi się z bronią, trzymając ją w dłoni pewnie, lecz nie kurczowo. Najwyraźniej Eli potrafił ją kontrolować.

– Widziałem cię już wcześniej – oznajmił. – W centrum, w hotelu Esquire.

Mitch przechylił głowę i uniósł kącik ust.

– Czy wyglądam, jakbym pasował do takiego wytwornego miejsca?

– Nie. I właśnie dlatego cię zauważyłem – odparł tamten. Uśmiech spelzł z twarzy Mitcha. Eli uniósł pistolet i spojrzał na niego znad muszki. – Ktoś usunął zdjęcia z więziennych kartotek i policyjnych akt, ale założę się, że jesteś Mitchell Turner. Powiesz mi teraz, gdzie jest Victor.

Mitch w pierwszej chwili chciał udać, że nie wie, o co chodzi, ale po krótkim namyśle zdecydował się tego nie robić. Nigdy nie potrafił przekonująco kłamać, a wiedział, że za chwilę będzie musiał przekazać tamtemu kilka fałszywych informacji.

– Pewnie jesteś Eli? – zapytał. – Victor opowiadał mi o tobie. Powiedział, że lubisz zabijać niewinnych ludzi.

– Nie są niewinni! – rzucił jego rozmówca. – Gdzie Victor?

– Nie widziałem go, od kiedy przyjechaliśmy do miasta i się rozdzieliliśmy.

– Nie wierzę ci.

– A co mnie to obchodzi?

Eli przełknął ślinę, a jego palec powędrował ku spustowi broni.

– A Dominik Rusher?

Mitch znów wzruszył ramionami, cofając się o krok.

– Dzieciak sobie zniknął.

Tamten podszedł, kładąc palec na spuście.

– Co mu powiedziałaś?

Nieznacznym uśmiechem zatańczył na ustach Mitcha.

– Kazałem mu uciekać.

Eli zmrużył oczy. Podrzucił pistolet i złapał go w locie za lufę, po czym jednym płynnym ruchem walnął Mitcha kolbą w głowę. Coś trzasnęło pod tym uderzeniem i z rany nad okiem potężnego mężczyzny trysnęła krew, zalewając mu oczy, podczas gdy Eli kopnął go z rozmachem, posyłając na podłogę łazienki. Znów odwrócił pistolet i wycelował go w pierś ofiary.

– Gdzie jest Victor?! – zapytał jeszcze raz.

Mitch skrzywił się w uśmiechu mimo zakrwawionej twarzy.

– Wkrótce się z nim zobaczysz – powiedział. – Już prawie północ.

Napastnik wyszczerzył zęby i pochylił głowę, a Mitchowi wydawało się, że rozróżnia wypowiedziane bezgłośnie słowa „wybacz mi”. Potem Eli uniósł wzrok i nacisnął spust.



Victor zerknął na zegarek. Była już prawie jedenasta, a Mitch wciąż nie wychodził z baru.

Dominik stał w pobliżu, przeciągając się, kręcąc głową, gimnastykując barki i machając rękami na wszystkie strony, tak jakby właśnie pozbył się ciężkiego brzemienia. Victor podejrzewał zresztą, że pod wieloma względami tak właśnie było. Znał się na bólu dość, by wiedzieć, przez co przeszedł młodszy mężczyzna. Imponowała mu wytrzymałość Dominika. Były żołnierz mógł funkcjonować mimo cierpień, lecz jego moc najwyraźniej nie miała okazji ukazać się w pełnej krasie. Dlatego Victor uwolnił go od bólu, i to całkowicie. Zostawił mu, co prawda, zdolność odczuwania bodźców, co było dość trudne, ponieważ te dwie rzeczy były ze sobą ściśle powiązane, ale nie chciał, by jego najnowszy nabytek przypadkowo się wykrwawił, nie zauważwszy, że zaciął się przy goleniu.

Patrzył to na zegarek, to na nowego towarzysza, zajętego badaniem swojego ciała. Zdrowi, normalnie funkcjonujący ludzie nie doceniają życia bez cierpienia, lecz Dominik Rusher wydawał się rozkoszować każdym bezbolesnym ruchem dłoni i każdym swobodnym krokiem. „Dobrze!” – pomyślał Victor.

– Dominik, pamiętaj tylko – przestrzegł tamtego – że mogę łatwo cofnąć to, co zrobiłem. I nie muszę cię nawet przy tym dotykać. Zrobiłem to tylko dla większego efektu. Rozumiesz? Mogę odebrać ten dar w mgnieniu oka, z innego miasta, a nawet z drugiego końca świata. Nie zawieź mnie.

Dominik uroczyście skinął głową.

Prawdę mówiąc, Victor potrafił wpływać na próg bólu innych ludzi tylko, kiedy znajdowali się w zasięgu jego wzroku. W więzieniu udało mu się powalić człowieka po drugiej stronie podwórza wielkości boiska piłkarskiego, pstrykając w jego

kierunku palcami. Kiedyś zdołał również zmiażdżyć bólem skazańca po drugiej stronie bloku więziennego, który tylko wystawił dłoń przez kraty. Poza zasięgiem wzroku nie operował już tak celnie – nie żeby Dominik musiał o tym wiedzieć.

– Twoja moc – zagał Victor. – Jak działa?

– Nie wiem, jak to dokładnie wyjaśnić – wymamrotał Dominik, patrząc na swoje dłonie, rozciągając je i ściskając, tak jakby zeszywniały, a on próbował je rozprostować. – No to tak, chociażbym chodził ciemną doliną...

– Zostawmy biblijne aluzje i skupmy się na konkretach, dobrze?

– Po wybuchu miny było źle. Nie mogłem... to był niehumaniczny ból. Wszechogarniający. Nie chciałem umrzeć. Boże, naprawdę nie, pożyłem tylko spokoju i ciemności, więc... trudno to wyjaśnić.

Nie musiał niczego wyjaśniać. Victor wiedział, o co mu chodzi.

– Poczuję się rozrywany na części. To znaczy byłem naprawdę rozrywany. Reanimowali mnie, ale nie byli w stanie uzdrowić, w każdym razie nie do końca. Spędziłem wiele tygodni w śpiączce i przez cały ten czas wiedziałem, co się dzieje naokoło. Wszystko słyszałem. Przysięgłbym, że mogłem również to widzieć, ale tak jakby z daleka, zaćmione. Nie mogłem tylko niczego dotknąć. Potem się obudziłem i wszystko było tak ostre i jasne, i wszystko mnie bolało, więc chciałem znów znaleźć się w tym nijakim, cichym miejscu... aż w pewnej chwili tak się właśnie stało. Nazywam to przechodzeniem do cienia, bo nie znam lepszego określenia. Wkraczam w ciemność i mogę przechodzić z jednego miejsca do drugiego. Nikt mnie przy tym nie widzi. Czas wtedy nie płynie. Nic się nie dzieje. To

pewnie wygląda jak teleportacja, ale muszę się w tym celu poruszyć. Mógłbym przejść na drugą stronę miasta w mgnieniu oka, ale twojego oka – ja szedłbym wiele godzin. No i to trudne. Tak jakbyś brodził w głębokiej wodzie. Świat się opiera, kiedy łamiesz panujące w nim zasady.

– Możesz zabierać ze sobą innych?

Dominik wzruszył ramionami.

– Nigdy nie próbowałem.

– No to już – powiedział Victor, łapiąc go za ramię i ignorując fakt, że Dominik instynktownie się wzdrygnął. – Możesz uznać to za sprawdzian umiejętności.

– Dokąd idziemy?

– Mój przyjaciel wciąż jest w środku – wyjaśnił Victor, wskazując głową w kierunku baru. – Powinien był wyjść zaraz po tobie, ale nie wyszedł.

– Ten wielki facet? Powiedział, że mnie osłoni.

Victor zeszywniał.

– Przed kim?

– Przed tym, który chce mnie zabić – powiedział Dominik, marszcząc brwi. – Próbowałem ci to powiedzieć. Wielki gość siadł koło mnie i powiedział, że jest ktoś, go chce mnie załatwić. Ten ktoś był w barze, w środku.

Victor ścisnął mocniej rękaw Dominika. Eli.

– Zabierz mnie do środka. Już!

Były żołnierz odetchnął głęboko i złapał dłoń Victora w swoją.

– Nie wiem, czy to w ogóle się...

Reszty nie usłyszeli; głos Dominika nie ścichł stopniowo, ale zamilkł raptownie, gdy powietrze wokół nich zadrżało, a potem rozstało się, by przepuścić obu mężczyzn. W chwili, kiedy

Dominik i Victor przeszli na drugą stronę, wszystkie dźwięki ucichły, a obraz pociemniał i znieruchomiał. Victor widział mężczyznę, którego ręki dotykał, tak samo jak alejkę wokół nich, ale wszystko było okryte cieniem, wyglądającym nie tak, jak cienie w nocy, ale raczej jak czarno-biała fotografia sprzed lat, pognieciona i poszarzała. Kiedy szli, świat przed nimi ustępował, falując powoli, jakby powietrze było gęste i lepkie. Naciskało na nich, spowalniając ich kroki. Gdy dotarli do drzwi, ustąpiły pod ręką Dominika powoli, dopiero po dłuższej chwili.

Wewnątrz świat wyglądał tak samo, jak na zewnątrz. Wszędzie tkwili nieruchomi ludzie, złapani w pół łyku, w pół uderzenia w bilę, w pół pocałunku, ciosu w bójce i dziesiątków innych czynności – między jednym oddechem a drugim. Umilkły wszystkie dźwięki, więc przestrzeń wypełniała przerażająca, ciężka cisza. Victor trzymał dłoń na ramieniu Dominika niczym niewidomy, ale nie mógł oderwać wzroku od pomieszczenia. Szukał wśród zamrożonych twarzy tej jednej.

Aż ją dojrzał.

Stanął jak wryty, szarpiąc Dominika w tył. Tamten obejrzał się przez ramię i zapytał, co się stało, ale bezgłośnie – usta uformowały słowa, lecz bez jednego dźwięku. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ Victor i tak na niego nie patrzył. Nie widział nic, poza ciemnowłosym mężczyzną, dającym krok naprzód przez tłum ku frontowemu wejściu. Ręka sięgała właśnie do klamki. Victor zdziwił się sam sobie: jak poznał tamtego, skoro nie widział jego twarzy? Wystarczyła jednak sama sylwetka, szerokie barki i arogancka postawa, ostra krawędź szczęki widoczna poprzez cień.

Eli.

Dłoń Victora zaczęła ześlizgiwać się z ramienia Dominika. Eli Ever był tutaj! Na drugim końcu baru. Odwrócony tyłem. Skoncentrowany na czym innym i nieruchomy. Victor mógłby to zrobić. Bar był pełen ludzi, ale gdyby powalił wszystkich naraz, miałby czysty strzał... Nie. Najwyższym wysiłkiem utrzymał chwyt na rękawie Dominika. Czekał już od tak dawna! Nie miał zamiaru zaprzepaścić przygotowań, przewagi, kontroli nad przebiegiem wydarzeń, w imię chwilowej emocji. To by się nie udało – nie tu i nie tak, jak chciał. Oderwał wzrok od pleców Elia i zmusił się do obejrzenia reszty pomieszczenia, ale nigdzie nie było ani śladu Mitcha. W końcu dotarł do toalet. Na drzwiach męskiej wisiał ręcznie sporządzony napis „NIECZYNNE”, podkreślony dwa razy dla zaakcentowania powagi. Victor pokazał Dominikowi kierunek i ruszyli przez ciężkie powietrze, aż dotarli do drzwi i weszli.

Mitchell Turner leżał na wykładzinie z twarzą w niedużej kałuży krwi, ciekącej z rany na skroni. Victor puścił ramię Dominika i skrzywił się, kiedy pomieszczenie wokół niego wróciło raptownie do życia; fala kolorów i dźwięków przetoczyła się wokół niego, czas zaczął znowu płynąć normalnie. Chwilę później pojawił się sam Dominik, skrzyżował ramiona na piersi i stanął, patrząc na leżące ciało.

– Wielki facet – powiedział cicho.

Victor ukląkł ostrożnie obok Mitcha i pożałował, że kazał Sydney zostać w hotelu.

– Czy on... – zaczął Dominik, gdy Victor przycisnął palce do dziury po kuli w płaszczu Mitcha, a potem uniósł je do oczu. Nie było na nich śladu krwi. Odetchnął z ulgą i poklepał leżącego olbrzymia po policzku. Tamten jęknął.

– Sukin... syn...

– Widzę, że spotkałeś się z Elim – powiedział Victor. – Niezły z niego pistolet.

Mitch sapnął, usiadł i dotknął głowy. Pod częściowo zaschniętą krwią formował się już wielki siniak. Dostrzegł Dominika.

– Ach, więc pozostałeś wśród żywych? Dobry wybór, mówię ci. – Spróbował wstać, lecz opadł ciężko na jedno kolano i pochylił głowę, oddychając ciężko. – Może byś tak pomógł? – zapytał, krzywiąc się niemiłosiernie.

Usta Victora drgnęły, powietrze lekko zawibrowało i przestało, a ból Mitcha minął jak zdmuchnięty. Potężny mężczyzna wstał, zakołysał się lekko i oparł o ścianę zakrwawioną dłonią, a potem ruszył ku umywalkom, żeby oczyścić twarz.

– A on to co, kuloodporny? – zapytał Dominik. Mitch roześmiał się, a potem rozpiął płaszcz, odsłaniając kevlarową kamizelkę.

– Prawie – powiedział. – Ale żaden ze mnie PonadPrzeciętny, jeżeli o to pytasz.

Victor zmoczył pęk papierowych ręczników i spróbował zetrzeć krew Mitcha z podłogi i ściany, podczas gdy sam Mitch kończył myć z niej twarz.

– Która godzina? – zapytał Victor, wrzucając zakrwawione ręczniki do kubła.

Dominik popatrzył na zegarek.

– Jedenasta. Dlaczego?

Olbrzym szybko zakręcił wodę.

– Niewiele czasu nam zostało, Vic.

Victor tylko się uśmiechnął i rzucił:

– Dominik, pokażmy Mitchowi, co potrafisz.

XXIX

SZEŚĆDZIESIĄT MINUT PRZED PÓLNOCĄ HOTEL ESQUIRE

Serena wytarła włosy ręcznikiem, po czym obejrzała poszczególne kosmyki pod światło, by upewnić się, że nie pozostał na nich choćby ślad Zachary'ego Flincha. Musiała umyć się pod prysznicem trzy razy, by pozbyć się wrażenia, że wciąż ma na sobie jego mózg i krew. A jednak, mimo że jej skóra była czerwona od szorowania, a włosy prawdopodobnie zniszczone od wielokrotnego mycia, nie czuła się czysta.

Najwyraźniej zabójstwo nie pozostawiało brudu tylko na skórze. Osadzał się również głębiej.

Była to dopiero druga egzekucja w życiu Sereny: pierwszy raz przyglądała się próbie zabójstwa Sydney. Skrzywiła się na tę myśl. Może dlatego chciała być obecna przy likwidacji Flincha; żeby wypłukać z pamięci tamto wspomnienie, zastąpić je nowszym, jeszcze bardziej przerażającym, tak jakby dało się zamalować jeden obraz innym.

A może zdecydowała się pojechać z Eliem, ponieważ wiedziała, że mu się to nie spodoba? Doskonale zdawała sobie sprawę, jak ważne były dla niego te egzekucje. Traktował je jako prywatne poletko, toteż wiedziała, że sprzeciwi się jej zachciance. Te ulotne chwile, gdy Eli opierał się jej woli, kiedy dostrzegała w jego oczach iskierkę buntu, sprawiały, że życie znów zaczynało jej smakować. Nienawidziła świata, w którym

żyła: każde szklane spojrzenie i posłuszne skinienie głowy przypominały jej, że tak naprawdę nic nie ma tu znaczenia. Kiedy Eli zaczynał protestować, pozwalała mu na to, aż do chwili, kiedy zmuszał ją do wzmocnienia kontroli. Czasem czuła dreszcz na myśl, że może pewnego dnia mężczyzna uwolni się od jej wpływu.

Upewniła się w końcu, że zmyła z włosów krew. Wysuszyła je, założyła szlafrok i poszła do salonu. Stuknęła w klawiaturę komputera, by obudzić go z uśpienia, i zalogowała się do policyjnej bazy danych. Wybrała kategorię „drugie imię” i wpisała w okienko wyszukiwania „ELI”, spodziewając się, że system nie wyrzuci żadnych wyników, ponieważ do tej pory Eli zapewne poradził już sobie z Dominikiem. Tymczasem na ekranie wyświetliły się dwa profile. Pierwszy z nich należał do Dominika.

A drugi – do Victora Vale’a.

Przeczytała go trzy razy, przygryzając wargę, a potem poszła szukać telefonu, rzuconego na łóżko zaraz po wejściu do apartamentu. Leżał pod stosem ciuchów i ręczników. Zaczęła wybierać numer Elia, ale w połowie się zatrzymała.

Do północy pozostała niecała godzina.

To była pułapka. Eli oczywiście natychmiast zorientowałby się w sytuacji, ale i tak by poszedł. Dlaczego nie? Cokolwiek planował jego przeciwnik, ta noc mogła zakończyć się tylko w jeden sposób – wyniesieniem ciała Victora Vale’a w czarnym, plastikowym worku. A Sydney? Serenie ścisnęło się serce i poczuła, że nie jest już taka zdecydowana jak przed chwilą: czy zdoła beczynnie patrzeć, jak Eli jeszcze raz będzie próbował zlikwidować małą? Nawet jeśli w rzeczywistości nie

była to jej siostra, tylko cień dziewczynki, która wiernie towarzyszyła jej przez poprzednie dwanaście lat?

Palce Sereny zawisły nad komputerem. Mogła wyrzucić plik do kosza, by Eli nie znalazł go na czas... ale w ten sposób tylko odwlekłaby egzekucję. Victor chciał odnaleźć Elia, a Eli chciał spotkać się z Victorem; w ten czy inny sposób w końcu im się uda. Spojrzała na profil Vale'a po raz ostatni i spróbowała wyobrazić sobie faceta, który był kiedyś przyjacielem Elia, który sprowadził go z zaświatów i uczynił PonadPrzeciętnym, ocalił jej siostrę... a przez chwilę, tuż przed wybraniem numeru Elia, niemal żałowała, że Victor nie będzie miał w tym starciu najmniejszych szans.

XXX

PIĘĆDZIESIĄT MINUT PRZED PÓLNOCĄ BAR POD TRZEMA KRUKAMI

Eli wypadł przez frontowe drzwi, wybierając numer śledczego Stella. Połączył się z nim i kazał mu przysłać do baru policjantów, żeby po nim posprzątali.

– Czy to był PonadPrzeciętny? – zapytał Stell, a pytanie to – oraz ton policjanta zdradzający wątpliwości – sprawiły, że Eli poczuł się niepewnie. Nie miał jednak czasu zawracać sobie tym głowy, przynajmniej nie teraz, kiedy północ zbliżała się wielkimi krokami.

– Oczywiście, że tak! – rzucił i się rozłączył.

Stanął na chwilę pod metalowymi rzeźbami kruków na szyldzie baru, przeczesał palcami włosy i rozejrzał się po ulicy, szukając wzrokiem Dominika Rushera albo Victora Vale'a. Dostrzegł jednak tylko pijaków, włóczęgów i samochody, przemykające jezdnią zbyt szybko, by dało się rozróżnić twarze kierowców lub pasażerów. Zaklął i kopnął najbliższy kubeł najmocniej, jak potrafił, ciesząc się z chwili cierpienia, mimo że szybko minęła. Jego ciało błyskawicznie usunęło skutki urazu, regenerując kości, ścięgna, mięśnie i skórę – cokolwiek zostało uszkodzone.

Nie powinien był zabijać Mitcha Turnera.

Wiedział o tym doskonale. Ale przecież tamten również był winny! Eli widział jego policyjną kartotekę. Turner zgrzeszył

wiele razy. A ci, którzy sprzymierzają się z potworami, są od nich niewiele lepsi. Mimo że wierzył w to głęboko, chwila spokoju i wewnętrznego wyciszenia, następująca zwykle po egzekucji, tym razem nie nadeszła. Czyżby patronująca mu siła wyższa nie uznała tego czynu za słuszny?

Pochylił głowę i się przeżegnał. To go trochę uspokoiło, lecz wówczas zadzwonił telefon.

– Czego? – burknął do słuchawki, zmierzając w kierunku samochodu zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy.

– Victor umieścił wiadomość w bazie danych – powiedziała Serena. – Wieżowiec Falcon Price, parter. – Usłyszał dźwięk odsuwanych drzwi na balkon. – To bardzo blisko, praktycznie naprzeciwko hotelu. Czy zająłeś się Dominikiem Rusherem?

– Nie! – warknął. – Za to Mitchell Turner nie żyje. Czy północ jest wciąż aktualna? – zapytał. Wściekłość powoli mu mijała, znów mógł się skoncentrować na działaniu, podczas gdy jego ciało koncentrowało się na regeneracji. Sprawy postępowały według planu. Nie jego planu, ale jakiegoś planu.

– Północ, zgadza się – potwierdziła Serena. – A co z policją? Może powinnam zadzwonić do Stella, żeby wysłał swoich ludzi do wieżowca?

Eli zabębnił palcami w dach samochodu, myśląc o pytaniu Stella i tonie, jakim zostało zadane.

– Nie. Nie przed północą – zdecydował. – Turner nie żyje, a Victor należy do mnie. Powiedz, żeby zjawili się o północy, nie wcześniej, i każ im pozostać na zewnątrz, dopóki nie skończymy. Przekaż także policjantom, że będzie niebezpiecznie – dodał. Wsiadł do samochodu, a okna natychmiast zaparowały od jego oddechu. – Jadę tam. Chcesz, żeby cię zabrać po drodze? – spytał, lecz nie odpowiedziała. – Sereno?

Po dłuższej chwili odparła w końcu:

– Nie, nie. Nie ubrałam się jeszcze. Spotkamy się na miejscu.



Serena zakończyła połączenie.

Wychyliła się przez balkon, prawie nie zauważając przejmującego chłodu stalowej barierki. Za bardzo interesowała ją jasna smuga dymu, widoczna dwa piętra niżej i kilka pokoiów w bok. Dym wydobywał się przez czyjeś drzwi balkonowe, a wiatr znosił go w kierunku Sereny. Jego woń przywodziła na myśl palony papier. Serena doskonale ją znała, ponieważ pierwszego wieczoru letnich wakacji w szkole średniej zawsze rozpalala razem z przyjaciółmi ognisko, do którego wrzucali swoje wypracowania i testy, symbolicznie paląc odchodzący rok szkolny.

Apartamenty i pokoje w hotelu Esquire, mimo że dość przyjemne, nie posiadały kominków.

Wciąż zastanawiała się nad źródłem dymu, kiedy na balkon, z którego drzwi leciał dym, wyszedł wielki czarny pies. Wyjrzał między prętami balustrady, a po chwili rozległ się dziewczęcy głos.

– Dol! – zawołała dziewczynka. – Dol! Wracaj tu natychmiast!

Serenę przeszedł dreszcz. Znała ten głos.

Kilka sekund później drobna blondynka, którą tak wielu ludzi myliło z Sereną, wybiegła na balkon i złapała czworonoga za szyję.

– No już! Wracamy do środka! – rozkazała.

Pies odwrócił się, po czym posłusznie podążył za nią do wnętrza.

„Który to pokój?” – pomyślała Serena, licząc balkony. Dwa piętra w dół i... trzy apartamenty w bok.

Odwróciła się na pięcie i weszła do salonu.

XXXI

CZTERDZIEŚCI MINUT PRZED PÓŁNOCĄ BAR POD TRZEMA KRUKAMI

Dominik złapał Victora i Mitcha, a potem wyprowadził ich w ciszy i cieniu z łazienki, przez bar, prosto w biegnącą obok alejkę.

Victor skinął głową, Dominik puścił ich, a świat naokoło wrócił raptownie do życia. Boczna alejka rozbrzmiała kakofonią dźwięków; mimo że odludna, w porównaniu ze światem w mroku, gdzie panowała ciężka, dławiąca cisza, wydawała się głośna. Victor poruszył ramionami, by je rozluźnić, a potem zerknął na zegarek.

– To było... przedziwne – skomentował Mitch, który miał dość kwaśny nastrój, od kiedy do niego strzelono.

– Było idealnie – oznajmił Victor. – Chodźmy.

– Zdałem egzamin? – upewnił się Dominik, zaciskając i rozluźniając dłonie. Victor dostrzegwał strach, czający się w jego oczach, rozpaczliwą nadzieję, że ból nie wróci. Podobało mu się, że tamten tak czytelnie okazuje emocje. To upraszczało sprawę.

– Wieczór się jeszcze nie skończył – powiedział. – Ale do tej pory spisujesz się świetnie.

Kiedy szli ku wylotowi alejki, Mitch wymruczał coś niepochlebnego na temat dziury po kuli. Płaszcz był pierwszą rzeczą, jaką sobie kupił po ucieczce – dobrej marki, pikowany ciemnym gęsim puchem, który posypał się przez otwór

drobnymi kłaczkami, kiedy jego właściciel potknął się o krawężnik.

– Popatrz na to optymistycznie – poradził mu Victor. – Przynajmniej żyjesz.

– Noc jeszcze młoda – wymamrotał tamten pod nosem, kiedy przechodzili przez ulicę.

Powiedział coś jeszcze, a przynajmniej zaczął mówić, lecz jego słowa zagłuszył nagły ryk syren.

Zza rogu wyjechał radiowóz na sygnale i popędził ku nim z potwornym hałasem w feerii czerwonych, niebieskich i białych świateł. Mitch odwrócił się w jego kierunku, a Victor napiął wszystkie mięśnie. Czas najpierw zwolnił, a potem... zastopował. Victor poczuł, jak na jego ramieniu ląduje czyjaś ręka, tuż zanim dźwięki i kolory zniknęły w cieniu. Policyjne auto zatrzymało się, zawieszony pomiędzy chwilami, tak jakby Dominik wstrzymał wyświetlanie filmu. Druga ręka ekszołnierza spoczywała na nadgarstku Mitcha. Cała trójka stała teraz nieruchomo w cieniu mrocznego świata, tak jakby znajdowali się na tym samym filmie, co samochód. Victor był gotów przyznać – gdyby mógł cokolwiek powiedzieć, gdyby jego słowa mogły przybrać w świecie cienia właściwy kształt i zabrzmieć – że Dominik Rusher okazał się właśnie bardzo przydatny. Ponieważ jednak nie mógł tego uczynić, kiwnął tylko głową w kierunku parkingu i trzech mężczyzn przeszło w końcu przez ulicę, przedzierając się przez gęste powietrze.

Victor zdał sobie sprawę, że ich sytuacja stała się właśnie bardzo trudna.

Dominik – mimo znacznej poprawy zdrowia – nie był w stanie przeprowadzić ich przez miasto. Potrzebowali samochodu. Nie mogli go jednak użyć, dopóki znajdowali się

w cieniu. Gdyby zaś z niego wyszli, wróciliby do rzeczywistości, w której radiowóz kontynuowałby jazdę ku Trzem Krukom. Victor doprowadził ich wszystkich gęsiego do skradzionego samochodu, a gdy się tam znaleźli, pokazał im gestem, by kucnęli pomiędzy autami. Przedtem obok nich parkował niewielki kabriolet, a teraz – znacznie większy pickup. Victor nabrał powietrza, zaklął pod nosem – co było w jego ujęciu najbliższe błagalnej modlitwie – a potem skinął głową Dominikowi, którego dłoń zniknęła z ramienia Victora, odzierając świat z bezruchu i przywracając chaos.

Radiowóz zatrzymał się z piskiem opon u wejścia do baru, wciąż na sygnale. Victor wstrzymał oddech, oparł się o bok ich samochodu i wyjrzał przez wąską szparę pomiędzy przednim zderzakiem ich auta a przodem pickupa. W tej chwili syrena ucichła, pozostawiając po sobie dzwonienie w uszach.

Z policyjnego samochodu wyszło dwóch funkcjonariuszy i przystanęło przed frontowymi drzwiami.

Po chwili jeden z nich zniknął we wnętrzu baru, lecz drugi pozostał na chodniku, potwierdzając przybycie przez radio. Powiedział przy tym coś o trupie – a więc przybyli tu po ciało Mitcha! Co stwarzało pewien problem, ponieważ nie było żadnych zwłok, a fakt ten za chwilę miał wyjść na jaw.

„Wejź tam!” – błagał w myślach Victor.

Policjant jednak się nie poruszył, Victor wyjął więc pistolet i wycelował prosto w jego głowę. Miał czysty strzał. Wstrzymał na chwilę oddech. Nie czuł winy, strachu ani nawet wyrzutów sumienia, jak normalni ludzie. Wszystkie te emocje zniknęły wiele lat temu, a może tylko znacznie osłabły, w każdym razie Victor już ich w ogóle nie czuł. Wyćwiczył jednak umysł tak, by przywoływać je z pamięci najlepiej, jak potrafił, i ułożył z nich

coś w rodzaju kodeksu. Nie był to zestaw reguł tak wymyślny jak rytuały Elia, raczej prosta zasada mówiąca, by unikać zabijania postronnych osób, jeśli tylko to możliwe. W tym momencie z palcem na spuście nie czuł się źle, lecz jego umysł przestrzegał go przed zabójstwem. Obniżył nieznacznie lufę, wiedząc, że gdyby tylko zranił policjanta, zamiast go zabijać, szanse bezpiecznej ucieczki zmaleją.

Wypuścił powietrze z płuc i w tej samej chwili zatrzeszczało radio. Nawet jeśli Victor nie dosłyszał komunikatu, to bezbłędnie rozszyfrował odpowiedź policjanta:

– Jakiego rodzaju problem? – a po chwili: – Co pan ma na myśli? Według Evera i Stella... a zresztą nie. Proszę chwilę poczekać.

Z tymi słowami drugi funkcjonariusz skierował się ku drzwiom. Victor opuścił broń, a jego wzrok powędrował ku niebu, gdzie gęste szare chmury spowijały czarne, nocne niebo. Nigdy nie przepadał za Bogiem, nigdy nie okazywał religijnej żarliwości tak jak Eli, nie potrzebował znaków z niebios, ale jeśli coś takiego rzeczywiście istniało, jeżeli jakaś siła wyższa kierowała jego losem, może także nie była przychylna metodom Elia? Drugi policjant zniknął we wnętrzu baru śladem pierwszego, a Victor, Mitch i Dominik wskoczyli do samochodu, zanim jeszcze frontowe drzwi zamknęły się za gliniarzem.

Na przedniej szybie łopotał żółty druczek opłaty parkingowej, wetknięty za wycieraczkę. Victor wychylił się przez okno, wyjął go, zgniótł w kulkę i rzucił na ziemię, gdzie natychmiast porwał go wiatr.

– Zaśmianie! – zauważył Mitch, kiedy Victor zapuszczał silnik.

– Miejmy nadzieję, że to nie najgorsza zbrodnia, jaką popełnię dzisiaj w nocy – odparł Victor, wyjeżdżając z parkingu, a potem kierując się jak najdalej od Trzech Kruków i radiowozu. Jechał z powrotem ku centrum miasta, podczas gdy upływały minuty dzielące go od północy. – Zadzwoń do Sydney. Upewnij się, że wszystko u niej w porządku.

W tym momencie z naprzeciwka minęła ich karetka, zmierzająca najwyraźniej do baru. Nie będzie potrzebna.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że ten dzieciak cię obchodzi – powiedział Mitch, wybierając numer.

XXXII

TRZYDZIEŚCI MINUT PRZED PÓLNOCĄ HOTEL ESQUIRE

Spalenie papierów zajęło Sydney więcej czasu, niż się spodziewała. Już przy siódmej czy ósmej stronicy dziewczynkę przestało cieszyć bezkarne niszczenie, a po chwili radość ustąpiła miejsca nudzie i poczuciu obowiązku. Stała przy zlewie na grubej książce Victora i podpalała jedną kartkę po drugiej płomieniem małej niebieskiej zapalniczki, każdorazowo czekając, aż papier zamieni się w warstwę popiołu, i dopiero wówczas sięgając po następny wydruk. Po pewnym czasie zaczęło ją nurtować coraz mocniejsze podejrzenie, że Victor zlecił jej to zadanie tylko po to, by czymś ją zająć. Nie miała mu tego nawet za złe. Palenie papierów było lepsze niż bezczynne siedzenie, wpatrywanie się w zegar i zastanawianie, kiedy dorośli wrócą do apartamentu.

O ile w ogóle wrócą.

Dol stał przy niej, sięgając nosem niemal do kontuaru, na którym leżały pozostałe kartki, i skomląc z cicha, kiedy podpalała kolejną. Za każdym razem czekała tak długo, jak się dało, zanim upuściła płonący papier do zlewu – za każdym razem trochę dłużej – a potem patrzyła, jak przekreślone twarze ofiar Elia czernieją i się kurczą, jak ogień pożera ich nazwiska, daty urodzenia, a w końcu całe życie.

Zadrzała.

Otworzyła drzwi balkonowe już jakiś czas temu, więc w pokoju zdążyło zrobić się zimno. Dol, zaniepokojony zabawami z ogniem, wyszedł już wcześniej na balkon, mimo to zostawiła przejście otwarte z powodu dymu. Wydobywał się leniwą smugą ze zwęglonych resztek, a Sydney przez cały czas zastanawiała się, kiedy zareaguje alarm przeciwpożarowy. Oparła się pokusie, by spalić całą teczkę na raz, nie mówiąc już o tym, że obawa przed alarmem kazała jej pracować wolno i metodycznie. Ilość dymu powstającego podczas spalenia pojedynczej kartki wydawała się zbyt mała, by uaktywnić system, lecz podpalenie całej teczki z pewnością postawiłoby na nogi cały hotel.

Dol wkrótce przestał się interesować zawartością zlewu i znów powędrował na balkon. Sydney nie chciała, żeby tam siedział i zawołała go z powrotem, niemal przypalając sobie palce, kiedy zapomniała puścić ostatnią kartkę.

Wówczas zadzwonił telefon w jej kieszeni.

Kupił jej go Victor. A właściwie to kupił, a potem – kiedy zobaczył, co potrafi Sydney – wręczył go jej. Odebrała to jako zaproszenie, by dołączyć do paczki na stałe. Ona, Mitch i Victor mieli te same modele; z jakiegoś powodu sprawiało jej to głęboką satysfakcję. Wydawało jej się, że należy do jakiegoś klubu. Chciała należeć do kółka jeszcze w szkole, ale nigdy nie osiągnęła znaczących wyników w żadnym sporcie, ani nie interesowała się samorządem (który i tak w tej szkole był jakimś żartem), zaś po wskrzeszeniu chomika z pracowni biologicznej bała się zapisać do kółka młodych przyrodników. Wmawiała sobie, że kluby w liceum będą dużo fajniejsze.

Oczywiście jeżeli dożyje.

Telefon znów zadzwonił, więc odłożyła zapalniczkę i wyjęła aparat z kieszeni.

– Halo? – powiedziała.

– Hej, Syd – odezwał się Mitch. – Wszystko u ciebie w porządku?

– Prawie skończyłam z papierami – odparła, unosząc zapalniczkę i podpalając kolejną kartkę, tę z profilem błękitnowłosej dziewczyny. Jej fryzura miała podobny kolor, co zapalniczka. Sydney patrzyła, jak zdjęcie Beth zwija się w ogień i odchodzi w nicość. – Czy macie zamiar wymyślić mi więcej zajęć?

Mitch się zaśmiał, ale nie zabrzmiało to szczególnie wesoło.

– Jesteś dzieckiem. Pooglądaj telewizję. Wrócimy późno.

– Hej, Mitch – odezwała się Sydney dużo łagodniej. – Ale... wróćcie, prawda?

– Jak tylko będę mógł, Syd. Obiecuję ci to.

– Lepiej, żebyś dotrzymał słowa – odparła, podpalając następną kartkę. – Bo jak nie, to wypiję ci całe mleko czekoladowe!

– Nie odważyłabyś się! – rzucił Mitch, a ona niemal usłyszała w jego głosie wesołe nuty, zanim się rozłączył.

Odłożyła telefon i podpałała ostatni wydruk – z jej danymi. Zbliżyła płomień do rogu i trzymała papier tak, że ogień powędrował do góry wzdłuż jednego boku kartki, zanim pożarł zdjęcie, dwuwymiarową wersję dziewczyny z krótkimi blond włosami i jasnoniebieskimi oczami, aż pozostała tylko czarna nicość. Pozwoliła płomieniom polizać swoje palce, a potem upuściła papier do zlewu i się uśmiechnęła.

Dziewczynka ze zdjęcia umarła.

Ktoś zapukał do drzwi, a Sydney z wrażenia niemal upuściła zapalniczkę.

Pukanie rozległo się znowu.

Wstrzymała oddech. Dol wstał, warknął cicho i stanął między swoją panią i wejściem do apartamentu.

Ktoś zapukał po raz trzeci, a potem przemówił:

– Sydney?

Nawet gdyby stanęła na palcach, nie sięgnęłaby do judasza w drzwiach, ale nie musiała. Znała ten głos lepiej niż swój własny. Uniosła dłoń do ust, by stłumić okrzyk zaskoczenia, odpowiedź czy nawet oddech, tak jakby nie mogła zaufać sama sobie.

– Sydney, proszę – odezwała się Serena zza drzwi, miękkim, niskim, gładkim głosem.

Przez chwilę Sydney niemal zapomniała o hotelu, postrzale i łodzi, który załamał się pod nimi na jeziorze. Zdawało jej się, że znów są w domu, bawią się w chowanego, a ona zbyt dobrze się ukryła. Siostra znudziła się i poddała, a teraz sugeruje, żeby Sydney wreszcie wyszła z kryjówki. Gdyby były w domu, Serena powiedziałaby, że ma dla niej ciasteczka lub lemoniadę, a w ogóle to dlaczego nie miałyby obejrzeć tego filmu, o którym wspominała? Mogą sobie zrobić popcorn. Oczywiście wszystkie te propozycje były nieprawdą. Już wtedy Serena była gotowa obiecać cokolwiek, byle tylko wywabić młodszą siostrę z ukrycia, a Sydney w sumie nie miała jej tego za złe, bo przecież i tak już wygrała.

Tym razem jednak nie były w domu.

Ani nawet w jego pobliżu.

Poza tym w tej grze Sydney była skazana na przegraną. Jej siostra nie musiała kłamać, oszukiwać, ani uciekać się do

przekupstwa. Musiała tylko wypowiedzieć słowa:

– Sydney, otwórz te drzwi, proszę.

Odłożyła zapalniczkę, zeskoczyła z grubego tomu państwa Vale i przeszła przez pokój. Przez chwilę stała z dłonią opartą o drewnianą płaszczyznę, aż zdradzieckie palce same uniosły się ku klamce i ją nacisnęły. Serena stała na progu w jasnozielonym płaszczu i legginsach wpuszczonych w cholewy wysokich, czarnych kozaków na obcasie. Rozpostartymi ramionami przegradzała futrynę; jedną dłoń miała pustą, ale w drugiej trzymała pistolet. Ręka z bronią ześlizgnęła się po futrynie z metalicznym zgrzytem i opadła luźno wzdłuż ciała dziewczyny. Sydney cofnęła się o pół kroku na ten widok.

– Cześć, Sydney – powiedziała Serena, niefrasobliwie stukając lufą o udo.

– Cześć, Serena – odparła jej siostra.

– Nie uciekaj – poleciła tamta, mimo że Sydney nie przeszło to nawet przez myśl. Nie potrafiła jednak określić, czy taki pomysł przyszedł jej do głowy, by po słowach Sereny natychmiast zniknąć, czy też Sydney, wykazując się niebywałą odwagą, w ogóle nie rozważała ucieczki... a może była na tyle inteligentna, żeby orientować się, że nie potrafi uciec kuli po raz drugi, tym bardziej teraz, kiedy w pobliżu nie było lasu, a do tego pozbawiono ją przewagi zaskoczenia.

Dlatego właśnie stała bez ruchu. Niezależnie od tego, jaki był prawdziwy powód.

Dol warknął, gdy Serena wkroczyła do apartamentu, lecz kiedy kazała mu usiąść, usłuchał jej niechętnie. Dziewczyna minęła Sydney, rzuciła okiem na warstwę popiołu w zlewie i karton mleka czekoladowego na kontuarze (Sydney obiecała

sobie w myślach, że wypije je, a w każdym razie sporą część, jeśli Mitch wkrótce się nie pojawi), a potem odwróciła się ku młodszej siostrze.

– Masz telefon? – zapytała.

Sydney przytaknęła, a jej dłoń z własnej inicjatywy powędrowała do kieszeni i wyciągnęła komórkę, którą dał jej Victor. Taką samą jak telefon jego i Mitcha – tę, która sprawiała, że dziewczynka czuła się częścią zespołu. Serena wyciągnęła dłoń, a ręka Sydney zareagowała na to automatycznie, podając telefon. Starsza z sióstr wyszła na balkon przez drzwi, wciąż jeszcze otwarte, by dać ujście dymowi, i wysokim łukiem wyrzuciła urządzenie nad balustradą, hen, w nocne niebo.

Na ten widok Sydney zamarło serce. Metalowy prostokąt uderzył o beton kilka pięter niżej. Naprawdę lubiła ten telefon.

Następnie Serena zamknęła balkon i przysiadła na skraju kanapy, trzymając pistolet na kolanie. Siedziała tak samo jak Sydney – czy też raczej to młodsza siostra zawsze naśladowała starszą – zaledwie połową ciała, jakby gotowa w każdej chwili rzucić się do biegu. Jednak Sydney wydawała się w tej pozycji niewygodnie skulona, a Serena – mimo trzymanego w dłoni pistoletu – jakimś cudem wyglądała swobodnie, niemal leniwie.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – rzuciła.

– Jeszcze nie ma północy – odpowiedziała cicho Sydney. „Możesz zostać na dłużej, urządzimy ci urodziny” – to właśnie obiecała jej Serena, a teraz tylko uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Zwykle nie kładłaś się spać aż do północy, mimo że mama mówiła ci, żebyś tego nie robiła, bo wiedziała, że następnego dnia będziesz nieprzytomna. Siedziałaś, czytałaś i czekałaś, a kiedy zegar wybił północ, zapalałaś świeczkę, ukrywaną przez

resztę roku pod łóżkiem, i wypowiadałaś życzenie – powiedziała. Gdy Victor kazał Sydney zostać w apartamencie, powiesiła na oparciu kanapy swój czerwony płaszcz, a teraz Serena zaczęła bawić się jednym z jego guzików. – To było jak tajna impreza urodzinowa – dodała cicho. – Tylko dla ciebie, zanim jeszcze ktokolwiek inny dołączył i zaczął się bawić.

– Skąd wiedziałaś? – zapytała dziewczynka.

– Jestem twoją starszą siostrą – odparła Serena. – Starsze siostry wiedzą o takich rzeczach.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego mnie nienawidzisz? – zażądała Sydney.

Serena wytrzymała jej wzrok.

– Wcale nie.

– Ale przecież chcesz, żebym umarła. Uważasz, że jestem zła. Zepsuta.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy zepsuci – oznajmiła Serena, rzucając jej czerwony płaszcz. – Zakładaj to.

– Nie czuję się zepsuta – powiedziała spokojnie dziewczynka, wkładając dłonie w zbyt wielkie rękawy. – A nawet jeżeli jestem, potrafię naprawiać innych ludzi.

Serena zmierzyła ją wzrokiem.

– Nie da się naprawić martwego człowieka, Syd. Najlepszym dowodem, że to niemożliwe, są PonadPrzeciętni. A poza tym kimże jesteś, żeby tego próbować?

– A kim ty jesteś, żeby kontrolować życie innych? – odpyskowała Sydney.

Jej siostra, rozbawiona, uniosła brew.

– Kto cię nauczył śpiewać tak głośno? Sydney, którą znałam, potrafiła tylko ćwierkać!

– Nie jestem już tamtą Sydney.

Twarz Sereny stężała. Chwyciła mocniej pistolet.

– Idziemy na spacer – rozkazała.

Sydney rozglądała się po pokoju, gdy nogi same niosły ją za siostrą, równie posłuszne rozkazom tamtej, co ręce, które wcześniej oddały telefon. Zdradzieckie kończyny! Chciała zostawić w apartamencie liścik, wskazówkę, cokolwiek, ale Serena niecierpliwie chwyciła ją za rękaw i pociągnęła na korytarz. Siedzący na środku pokoju Dol zaskomlał rozpaczliwie, kiedy przechodziły.

– Mogę go ze sobą wziąć?

Serena zatrzymała się i wysunęła z kolby magazynek, sprawdzając, ile zostało w nim naboju.

– Dobrze – powiedziała, energicznie wsuwając go z powrotem. – Gdzie jego smycz?

– Nie ma jej w ogóle.

Starsza siostra przytrzymała drzwi i westchnęła.

– Idź za Sydney – rozkazała psu, który skoczył na równe nogi, jednym susem znalazł się przy dziewczynce i przylgnął bokiem do jej nogi.

Serena poprowadziła ich betonowymi schodami, biegnącymi za windą, w dół, na piętrowy parking, otwartą budowlę na tyłach hotelu Esquire. Śmierdziało tu benzyną, żarówki świeciły słabym, przyćmionym światłem, a krótkie, ostre porywy zimnego wiatru dotkliwie kąsały skórę.

– Jedziemy gdzieś? – zapytała Sydney, otulając się szczelniej płaszczem.

– Nie – odparła Serena, odwracając się ku siostrze. Uniosła broń tak, że tłumik dotykał czoła dziewczynki, pomiędzy jej jasnoniebieskimi oczami. Dol warknął. Sydney położyła mu

dłoń na grzbiecie, by go uspokoić, ale nie spuściła wzroku z siostry, mimo że utrudniała jej to lufa pistoletu.

– Kiedyś miałyśmy takie same oczy – powiedziała Serena. – Teraz twoje są jaśniejsze.

– Podoba mi się, że wreszcie czymś się różnimy – oceniła Sydney, próbując opanować dreszcz. – Nie chcę być tobą.

Zapadło milczenie. Przez dłuższą chwilę obie intensywnie myślały.

– Nie chcę, żebyś była mną – odezwała się w końcu starsza z sióstr. – Ale wolałabym, żebyś była dzielna. I silna.

Sydney zacisnęła mocno powieki.

– Nie boję się.



Serena stała na parkingu kompletnie nieruchomo, z palcem na spuście, trzymając pistolet wycelowany prosto między oczy Sydney. Dziewczynka przed nią była jej siostrą... a zarazem nią nie była. Może Eli się mylił i nie wszyscy PonadPrzeciętni byli zepsuci? A przynajmniej nie w ten sam sposób? A może właśnie miał rację i siostrzyczka, którą znała, odeszła? Mimo wszystko nowa Sydney nie była pusta w środku ani naprawdę martwa. Dziewczynka była żywa, inaczej niż wszyscy inni. Życie przeświecało przez jej skórę.

Serena rozluźniła chwyt na kolbie pistoletu i pozwoliła, by tłumik ześlizgnął się z czoła jej siostry. Sydney nadal miała zaciśnięte powieki. Broń zostawiła między jej oczami odcisnięty ślad, tam, gdzie mała naparła głową na wylot lufy. Serena potarła to miejsce kciukiem, by odcisk zniknął. Dopiero wtedy Sydney otworzyła oczy, w których lśniło niezdecydowanie.

– Dlaczego... – zaczęła.

– Chcę, żebyś mnie teraz posłuchała – przerwała jej Serena swoim stanowczym tonem, któremu nikt, nawet Eli, nie potrafił odmówić. Jej głos miał wtedy absolutną władzę nad słuchaczami. – Masz zrobić dokładnie tak, jak powiem – oświadczyła, wciskając pistolet w dłonie Sydney. Złapała ją za ramiona i uściskała. – Idź! – rozkazała.

– Dokąd? – zapytała dziewczynka.

– Tam, gdzie będzie bezpiecznie.

Po czym Serena puściła Sydney i lekko ją odepchnęła; gest ten w innych okolicznościach mógłby zostać odebrany jako normalny, ale wyraz jej oczu, pistolet w dłoniach dziewczynki i chłód nocy, coraz mocniej dający im się we znaki, wyraźnie wskazywały, że sytuacja nie jest normalna. Sydney wsadziła broń do kieszeni płaszcza, ale nie spuściła wzroku z siostry ani nie ruszyła się z miejsca.

– Idźże już! – warknęła Serena.

Tym razem Sydney posłuchała rozkazu. Odwróciła się, złapała Dola za kark i oboje puścili się biegiem między samochodami. Serena patrzyła za nią, aż sylwetka siostry stała się tylko plamką czerwieni, a potem zniknęła całkowicie. Przynajmniej dała jej szansę.

W kieszeni zielonego płaszczyka zadzwonił telefon. Przetarła oczy i odebrała.

– Jestem tutaj – oznajmił Eli. – A ty gdzie?

Serena się wyprostowała.

– Już tam idę.

XXXIII

DWADZIEŚCIA MINUT PRZED PÓLNOCĄ WIEŻOWIEC FALCON PRICE (W BUDOWIE)

Sydney biegła.

Przebiegła parking i wypadła w boczną uliczkę, zakręcającą z powrotem ku frontowi hotelu, tak że jej wylot znajdował się kilka metrów w lewo od głównego wejścia. Kawalek dalej stał policjant odwrócony do niej tyłem; siorbał kawę z kubka i rozmawiał przez komórkę. Sydney poczuła nagle ciężar pistoletu w kieszeni, tak jakby ukryta broń mogła przyciągnąć uwagę gliniarza bardziej niż zaginiona dziewczynka w jaskrawoczerwonym płaszczu, trzymająca za kark wielkiego, czarnego psa – ale mężczyzna się nie odwrócił. Było późno, jeździło już niewiele samochodów; w miarę jak zapadała coraz głębsza noc, ruch malał, toteż Sydney i Dol przebiegli przez ulicę niezauważeni.

Dziewczynka doskonale wiedziała, dokąd zmierza.

Serena nie powiedziała jej, żeby wracała do domu, ani nie kazała jej uciekać. Poleciała, żeby poszła tam, gdzie będzie bezpiecznie. Tymczasem w ciągu ubiegłego tygodnia „bezpiecznie” przestało oznaczać dla Sydney miejsce, a zaczęło – towarzystwo pewnej osoby.

A konkretnie Victora.

Dlatego Sydney pobiegła tam, gdzie miał niedługo znaleźć się Victor (przynajmniej wedle profilu, który kazał jej umieścić

tego wieczoru w policyjnej bazie danych, a który przeczytała kilkanaście razy, najpierw czekając, a potem zbierając się do naciśnięcia przycisku „Wyślij”).

Wieżowiec Falcon Price, w budowie.

Leżący przy tej samej ulicy plac budowy był czarną plamą w miejskim krajobrazie, niczym cień pomiędzy ulicznymi latarniami. Porzucone mury, wydźwignięte na wysokość dwóch kondygnacji, otaczał prowizoryczny drewniany parkan. Ludzie uwielbiali dewastować takie konstrukcje, ponieważ były jednocześnie tymczasowe i dobrze widoczne. Płot upstrzony był plakatami i znakami, pozostawionymi przez ulicznych artystów, a pod tym wszystkim ginęło z oczu kilka oficjalnych plansz z pozwoleniami i logo firmy budowlanej.

Oficjalnie na plac budowy prowadziło tylko jedno wejście, przez główną bramę, której skrzydła również wykonano z drewna, zamkniętą od kilku miesięcy na łańcuch z kłódką.

Jednak tego samego dnia, nieco wcześniej, kiedy Mitch przyprowadził ją tu, by wskrzesić funkcjonariusza Dane'a, pokazał jej inną drogę do środka: nie przez zamkniętą bramę, ale od tyłu budynku, przez szparę w parkanie, gdzie dwie wielkie drewniane płyty zachodziły na siebie. Rozsunął je wówczas, żeby zrobić przejście, a potem, kiedy puścił – płyty wróciły na swoje miejsce. Sydney wiedziała, że potrafi się wślizgnąć na plac budowy, nie dotykając ich nawet, ponieważ tam, gdzie deski się stykały, pozostała niewielka trójkątna luka. Puściła więc kark Dola z pewną obawą, ale pies nie uciekł. Stał tylko, patrząc, jak jego pani przeciska się przez szparę. Wydawał się nieco przygnębiony jej decyzją, ale zarazem zdecydowany jej towarzyszyć. Kiedy już przeszła na drugą

stronę i podniosła się, otrzepując brud ze spodni, przyklęknął i przeczołgał się za nią.

– Dobry piesek! – wyszeptała, a Dol wstał i otrząsnął się energicznie.

Za parkanem rozciągał się plac budowy, spora połać ziemi, na której leżały kawałki metalu, sklejki i worki z cementem. W panującej tu ciemności ścieżka od płotu do budynku wydawała się pełna niebezpieczeństw. Mury wieżowca piętrzyły się nad placem: niedokończony szkielet ze stali i betonu, cały w plastikowych płachtach, wyglądających niczym muślin.

Mimo ciemności Sydney dostrzegła na parterze za kilkoma warstwami plastiku słabe, niepewne światło.

Było tak rozproszone, że gdyby na placu było chociaż troszeczkę jaśniej, mogłaby go nie zauważyć, a jednak jej się to udało. Dol przywarł do niej. Sydney stała niezdecydowanie między workami cementu, niepewna, co dalej. Czy Victor był już w środku? Czy północ już nadeszła, czy też jeszcze nie? Nie miała telefonu i nie mogła ustalić godziny po pozycji księżyca, nawet gdyby potrafiła, ponieważ go nie widziała – nad głową miała tylko grubą warstwę chmur, jarzących się delikatnie odbitym światłem miasta.

Natomiast światło wewnątrz wieżowca było stałe i nieruchome. Przypominało raczej lampę niż latarkę. Z jakiegoś powodu Sydney poczuła się pewniej: ktoś ustawił je tam, przygotował scenę, zaplanował przebieg wydarzeń. Zupełnie jak Victor. Kiedy jednak zrobiła krok ku budynkowi, Dol zastawił jej drogę. Próbowała go obejść, ale wówczas złapał ją zębami za rękę i przytrzymał. Wykręciła ramię, lecz nie dała rady się uwolnić. Mimo że pies bardzo starał się jej nie ugryźć, ścisnął dość mocno.

– Puść mnie! – syknęła, jednak Dol ani drgnął.

Wówczas po drugiej stronie budynku, za drewnianym parkanem, trzasnęły drzwi od samochodu. Dol gwałtownie odwrócił łeb w kierunku hałasu, puszczając ramię dziewczynki. Ostry, metaliczny dźwięk skojarzył się Sydney ze strzałem i sprawił, że puls gwałtownie jej przyśpieszył. Jakiś głos skandował w jej głowie „bez-pie-cznie, bez-pie-cznie” w rytm tętniącej w uszach krwi. Pobieгла w kierunku wieżowca, ku płachtom plastiku, prętom ze stali i piętrowej konstrukcji, dającej schronienie, potykając się po drodze o porzuconą stalową belkę. Dol podążył za nią, i po chwili oboje zniknęli w budynku Falcon Price, podczas gdy z drugiej strony ktoś właśnie zaczął otwierać bramę w ogrodzeniu.



Mitch zatrzasnął drzwi samochodu, a potem przez chwilę patrzył za oddalającym się pojazdem z Victorem i Dominikiem. Planował obejść plac budowy, odsunąć luźną drewnianą płytę i w ten sposób dostać się na miejsce, ale kiedy podszedł do bramy, dostrzegł, że nie jest to konieczne. Przecięty łańcuch spoczywał na ziemi u jego stóp, niczym lśniący, metaliczny wąż. Ktoś już dostał się do środka.

– Wspaniale – wyszeptał do siebie Mitch, wyciągając pistolet otrzymany od Victora.

Tak się składało, że Mitch nie cierpiał broni, a wydarzenia tego wieczoru pogłębiły tylko jego niechęć. Otworzył bramę, krzywiąc się, gdy wkręczone w drewno zawiasy odpowiedziały metalicznym jękiem. Plac budowy był ciemny i – jak mu się zdawało – pusty. Wysunął magazynek z pistoletu, sprawdził go,

wsunął z powrotem i poszedł w kierunku budynku, nerwowo postukując lufą w dłoń. Zatrzymał się na samym środku placu, w pół drogi pomiędzy drewnianym parkanem i stalowym szkieletem wieżowca, na najlepiej widocznym kawałku ziemi.

Słaby blask, dochodzący z budynku, nie przyczyniał się zbyt do oświetlenia tej przestrzeni, ale Mitch był boleśnie pewien, że wkrótce zostanie dostrzeżony – biorąc pod uwagę jego rozmiary i brak innych ludzi, nie było w tym nic dziwnego. Parę metrów dalej leżał stos drewnianych belek, osłonięty plandeką przed kaprysmi pogody. Mitch usiadł na nim, ponownie sprawdził pistolet i czekał.



Telefon Sereny zadzwonił, gdy dziewczyna przekraczała niemal pustą jezdnię, idąc w kierunku wieżowca.

– Serena? – zapytał dzwoniący. Nie był to Eli.

– To ja, panie Stell – odparła.

W tle usłyszała otwierane i zamykane drzwi samochodu.

– Jesteśmy w drodze – powiedział. Przez chwilę na linii zapadła cisza, kiedy jej rozmówca zakrył mikrofon i wydawał polecenia.

– Pamiętajcie tylko, żeby pozostać za ogrodzeniem – przestrzegła.

– Znam rozkazy – potwierdził. – Nie dlatego dzwonię.

Serena dostrzegła tablice informacyjne Falcon Price i zwolniła kroku.

– W takim razie o co chodzi?

– Pan Ever kazał mi wysłać funkcjonariuszy do baru, żeby posprząтали po incydencie. Miały tam być zwłoki.

– Tak, Mitchella Turnera – powiedziała.

– Tyle że przed chwilą zadzwonili do mnie właśnie ci policjanci. W barze nie było żadnego trupa, ani nawet śladu po tym, że coś się tam stało – wyjaśnił Stell. Serena zwolniła jeszcze bardziej, a potem się zatrzymała. – Nie wiem, co się dzieje – kontynuował policjant – ale to już drugi raz, kiedy pewne kwestie się nie zgadzają, więc...

– A pan nie zadzwonił do Elia – przerwała mu.

– Przepraszam, jeżeli to niewłaściwe...

– Dlaczego zadzwonił pan do mnie?

– Ufam pani – odparł bez wahania.

– A Eliowi?

– Ufam pani – powtórzył, a Serenie drgnęło serce: policjant pozwolił sobie na przejaw buntu, omijając jej pytanie, ale wciąż sprawowała nad nim kontrolę. Ruszyła ponownie z miejsca.

– Dobrze pan zrobił – rzuciła, docierając do drewnianego parkanu. Przez szparę w półotwartej bramie dostrzegła zwałistą postać Mitcha na środku placu. – Zadbam o to – wyszeptała. – Może mi pan zaufać.

– Ależ ufam – powiedział śledczy Stell.

Serena rozłączyła się i jednym pchnięciem otworzyła bramę.

XXXIV

DZIESIĘĆ MINUT PRZED PÓLNOCĄ WIEŻOWIEC FALCON PRICE (W BUDOWIE)

Mitchowi wydawało się, że od strony budynku za jego plecami rozlega się jakiś dźwięk, ale kiedy wyteżył słuch, dobiegły go tylko niewyraźne szmery, coś jak wiatr szeleszczący plastikowymi płachtami lub świszczący u wylotu jakiejś rury. Mógłby to sprawdzić osobiście, lecz rozkazy Victora były jasne. Nawet gdyby chciał je złamać, nie zdążyłby: w tej chwili frontowa brama otworzyła się z metalicznym piskiem, a na plac budowy wkroczyła dziewczyna.

Mitch pomyślał, że nowoprzybyła wygląda zupełnie jak Sydney, gdyby ta urosła o pół metra i dodała sobie parę lat. Takie same blond włosy opadały na oczy, błękitne i jasne nawet w ciemności. To musiała być Serena.

Gdy dostrzegła Mitcha, skrzyżowała ramiona.

– Panie Turner – zagaiła, idąc w jego kierunku i omijając zgrabnie śmieci pozostawione przez budowlańców. – Wykazuje się pan imponującą odpornością na śmierć. Czy to robota Sydney?

– To raczej dlatego, że jestem kotem – wyjaśnił Mitch, wstając ze stosu drewna. – I mam dziewięć żywotów. A tak poza tym – dodał, unosząc pistolet – myślę sobie, że w piekle jest specjalny kocioł dla dziewczyn, które rzucają swoje młodsze siostry wilkom na pożarcie.

Serena skrzywiła się.

– Powinien pan uważać, bawiąc się bronią – ostrzegła. – Prędzej czy później dostanie pan kulkę.

Mitch podniósł pistolet i odciągnął kurek.

– Już dostałem, kiedy twój chłoptaş zrobił sobie ze mnie tarczę strzelniczą.

– A mimo to jakoś pan tu dotarł – zauważyła Serena. Jej powolny głos ociekał leniwą słodyczą. – Najwyraźniej wiadomości nie przekazano dość celnie.

Mitch zacisnął dłoń na kolbie i wycelował prosto w nią.

Serena tylko się uśmiechnęła.

– Lepiej skierujmy broń w bezpieczniejsze miejsce – stwierdziła. – Przyłóż sobie lufę do skroni!

Mitch z całych sił starał się powstrzymać własną dłoń, ale wydawała się już należeć do kogoś innego. Łokieć mu zwiotczał, ręka się zgięła, palce zmieniły pozycję, a w końcu pistolet celował w jego własną głowę.

– Można umrzeć w dużo gorszy sposób – oceniła dziewczyna. – A czasem człowiekowi w ogóle może się przytrafić rzecz o wiele straszniejsza niż śmierć. Obiecuję, że uwiniemy się z tym szybko.

Mitch spojrzał na nią. Wydawała się tak podobna do Sydney – a zarazem tak inna. Nie mógł spojrzeć w jej oczy, lśniące jaśniej niż u siostry, ale jednocześnie puste i martwe, więc patrzył tylko na jej usta, formujące słowa:

– Pociągnij za spust.

Zrobił to.



Sydney i Dol znajdowali się właśnie w pół drogi do oświetlonego miejsca na samym środku parteru, kiedy dziewczynka usłyszała czyjeś kroki. Nie jej ani psa, dużo cięższe. Momentalnie zamarła. Mieszkała z Victorem i Mitchem zaledwie od kilku dni, ale to wystarczyło, by nauczyła się rozpoznawać ich z daleka; nie tylko głosy, ale także inne dźwięki poza tym: oddech, śmiech i chód. To, w jaki sposób wypełniali przestrzeń i jak się przez nią poruszali.

Mitch był prawdziwym olbrzymem, ale stąpał ostrożnie, tak jakby zdawał sobie sprawę ze swoich rozmiarów i nie chciał po drodze niczego zmiażdżyć. Victor chodził niemal niesłyszalnie; jego stopy dotykały podłogi gładko i cicho, podobnie jak w przypadku jego pozostałych interakcji ze światem.

Kroki, które słyszała teraz przez kilka warstw plastiku, były głośniejsze. Najwyraźniej ten, kto tu szedł, był dumny ze swojego pięknego obuwia. Takie buty nosił Eli. Mimo że było chłodno, a on sam wyglądał jak zwyczajny student umawiający się z inną zwyczajną studentką, to kiedy Sydney go poznała, nosił do dzinsów szykowne skórzane półbuty znanej marki. Takie, które podczas chodzenia skrzypiały nowością.

Wstrzymała oddech, wyjęła z kieszeni pistolet Sereny i odbezpieczyła go. Siostra pokazała jej kiedyś, jak używać broni, ale ten model był dla niej zbyt duży, za ciężki i źle wyważony, ponieważ do lufy miał dokręcony tłumik. Spojrzała przez ramię, oceniając, czy dałaby radę wycofać się przez labirynt plastikowych zasłon z powrotem na plac, zanim Eli zdąży ją dogonić.

Przestała rozważać tę myśl, gdy kroki ucichły.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy za którąś z płacht nie porusza się złowrogi cień, ale nie było tam niczego takiego, więc

popęzła naprzód, za kolejną zasłonę. Światło było tu jaśniejsze, pomiędzy nią a jego źródłem pozostało już niewiele warstw. Victor powinien już tu być. Nie słyszała go, ale to dlatego, że tak cicho się poruszał – przynajmniej tak sobie wmawiała. Victor zawsze był cichy. I zapewniał jej bezpieczeństwo.

„Sydney, popatrz na mnie – powiedział wcześniej. – Nikt cię już nie skrzywdzi. A wiesz dlaczego? Ponieważ ja skrzywdzę ich pierwszy”.

Bez-pie-czna. Bez-pie-czna.

Odsunęła ostatnią zasłonę. Musiała tylko znaleźć Victora, a on zapewni jej bezpieczeństwo.

Eli siedział pośrodku pomieszczenia na krześle, przy stole zaimprovizowanym z drewnianej płyty na lekkich betonowych pustakach. Kolekcja kuchennych noży lśniła na blacie w świetle przenośnej lampy bez klosza ani abażuru. Blask gołej żarówki zalewał całe wnętrze, od jednej zasłony do drugiej, włącznie z Eliem w środku. Ręka z pistoletem zwisała bezwładnie, a mężczyzna wpatrywał się w jakiś odległy punkt nieprzytomnym wzrokiem.

Aż zauważył Sydney.

– A cóż to? – zapytał, wstając. – Nasz mały potworek?

Dziewczynka nie czekała. Uniosła broń Sereny i wystrzeliła prosto w twarz Elia. Pistolet był ciężki i nie była w stanie dobrze wycelować, ale mimo że odrzut wytrącił go jej z dłoni, pocisk trafił mężczyznę w szczękę. Zatoczył się naprzód z dłonią przy podbródku; pomiędzy palcami było widać kość i krew. Sydney odwróciła się i rzuciła do ucieczki, lecz jego dłoń wystrzeliła naprzód i złapała ją za rękaw. Nie był w stanie utrzymać chwytu, ale nagła zmiana kierunku sprawiła, że nagle znalazła się na czworakach na betonowej podłodze.

Sydney przewróciła się na plecy, a Dol rzucił się do przodu. Eli wyprostował się, podczas gdy jego szczeka regenerowała się z trzaskiem nastawianych kości, aż na jego twarzy została tylko plama krwi. Uniósł swój pistolet i pociągnął za spust.



KLIK.

Mitch nacisnął spust i usłyszał tylko ten cichy dźwięk. Wydał go mechanizm zwalnający iglicę, która wyskoczyła do przodu i zatrzymała się... ponieważ na jej drodze nie znalazł się żaden nabój.

Pistolet nie był naładowany.

Mitch doskonale o tym wiedział; wcześniej sprawdził broń trzy razy, żeby się upewnić.

Teraz patrzył uważnie: na twarzy Sereny pojawiło się zaskoczenie. Po chwili przeszło w zakłopotanie, a potem gniew, który jednak nie zdążył osiągnąć apogeum, ponieważ właśnie wtedy ciemność się rozstała. Cienie za Sereną Clarke poruszyły się, rozciągnęły i nagle z nicości wyszło dwóch mężczyzn. Dominik, niosący czerwony kanister z benzyną, zatrzymał się, podczas gdy Victor zrobił jeden krok, znalazł się za Sereną, przyłożył jej do gardła nóż i poderżnął je jednym płynnym ruchem.

Jej szyja zakwitła krwią, usta rozchyliły się, ale mężczyzna przeciął gardło tak głęboko, że nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– I oto Ulisses zatkał swe uszy, by nie słyszeć głosu syreny – wyrecytował Victor, wyciągając zatyczki z uszu, gdy Serena osuwała się na ziemię – albowiem w nim czaiła się śmierć.

– Jezu! – wykrzyknął Dominik, odwracając wzrok. – To była tylko dziewczyna!

Victor spojrzał na leżące ciało. Wokół twarzy Sereny rosła kałuża krwi, ciemna i lśniąca.

– Zachowuj się! – upomniał młodszego mężczyznę. – Była najpotężniejszą kobietą w mieście. Oczywiście oprócz Sydney.

– Co do Sydney... – zaczął Mitch, patrząc na zwłoki. Po śmierci Serena wydała mu się mniejsza, a pod tym kątem, z włosami schowanymi za kołnierzem płaszcza – jeszcze bardziej podobna do młodszej siostry. – Co z tym zrobimy?

Dominik postawił plastikowy kanister na ziemi obok ciała.

– Spalcie ciało – polecił Victor, zamykając nóż. – Nie chcę, żeby Sydney je zobaczyła. A już na pewno nie życzę sobie, żeby go dotykała. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to wskrzeszona Serena.

Mitch podnosił właśnie pojemnik z benzyną, kiedy z budynku dobiegł ich odgłos wystrzału, a ogień wylotowy rozświetlił na moment wnętrze gmachu niczym fotograficzny flesz.

– Co, do cholery!?! – huknął Victor.

– Wygląda na to, że Eli zjawił się pierwszy – powiedział z troską Mitch.

– Ale jeżeli ja jestem tutaj, to do kogo on strzela? – zapytał Victor i złapał za ramię Dominika. – Zabierz mnie tam. Natychmiast.



Huk strzału z pistoletu Elia odbił się głośnym echem od betonu. Pod Dołem ugięły się łapy i – mimo że wydawał się nie

czuć bólu – upadł na bok, dysząc ciężko. Żebra uniosły się i opadły, uniosły się i opadły, aż w końcu znieruchomiały. Eli zobaczył, jak dziewczynka sięga w kierunku psa, i tym razem wycelował broń prosto w nią.

– Do widzenia, Sydney – wycedził.

Wówczas ciemność wokół niej poruszyła się, a następnie wyłoniły się z niej czyjeś ręce i wciągnęły dziewczynkę w nicość. Eli nacisnął spust, lecz pocisk trafił tylko w plastikowe płachty, leżące tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżała.

Wrzasnął głośno z frustracji i strzelił jeszcze dwa razy w miejsce, gdzie znajdowała się Sydney... ale jej już tam nie było.

XXXV

PÓLNOC WIEŻOWIEC FALCON PRICE (W BUDOWIE)

Sydney poczuła, że ktoś łapie ją i wciąga w ciemność.

W jednej chwili patrzyła prosto w lufę pistoletu Elia, a w następnej stała, trzymając za rękę mężczyznę, którego profil wręczyła wcześniej Victorowi. Rozejrzała się, nie puszczając go. Wciąż znajdowali się w wyłożonym plastikowymi płachtami pomieszczeniu – a zarazem gdzie indziej. Wydawało jej się, jakby utknęła poza życiem, w nieruchomym świecie, który przerażał ją bardziej, niż chciałyby przyznać. Widziała Elia, pocisk z jego broni, zawieszony w powietrzu tuż nad miejscem, gdzie leżała moment wcześniej, a także nieruchome ciało Dola.

Widziała także Victora.

Nie było go tam przed chwilą, ale teraz już był, stojąc kilka metrów za Eliem, który jeszcze go nie zauważył. Jedną rękę wyciągnął naprzód, tak jakby chciał złapać tamtego za ramię.

Sydney próbowała powiedzieć swojemu wybawicielowi, że musi zabrać Dola, ale z jej ust nie wydobył się dźwięk, a on nawet na nią nie spojrzał, ciągnąc za sobą przez ciężkie powietrze pomiędzy zasłonami z plastiku, aż dotarli do otwartej przestrzeni na placu budowy. Płoneło na nim jasne światło, rzucające cienie na metalowe kości wieżowca, lecz mężczyzna pociągnął ją w innym kierunku, ku ciemnemu zakątkowi na

tyłach budowy. Znów wkroczyli do świata, otaczający ich bąbel ciszy pękł, powróciło życie i wszystkie dźwięki. Odgłos własnego oddechu, odmierzającego czas, był ogłuszający w porównaniu z ciszą panującą w cieniu.

– Musisz tam wrócić! – wydyszała Sydney, przyklękając na ziemi.

– Nie mogę. Rozkaz Victora.

– Ale musimy zabrać stamtąd Dola!

– Sydney... tak masz na imię, prawda? – zapytał i kucnął przed nią. – Widziałem tego psa, rozumiesz? Przykro mi. Było już za późno.

Nie oderwała od niego wzroku ani na chwilę. Jej oczy wpatrywały się w niego, spokojnie i zimno, bez jednego mrugnięcia, tak jakby była Sereną. Wiedziała, że nie ma mocy swojej siostry, nie potrafi kontrolować ludzi w ten sposób, ale nawet przed przeobrażeniem w PonadPrzeciętną potrafiła przekonać Serenę do swoich planów. Była przecież jej siostrą i postanowiła pokazać to teraz temu facetowi.

– Wróć. Tam! – powiedziała uparcie. – Idź. Po. Dola!

Musiało zadziałać, ponieważ Dominik przełknął ślinę, kiwnął posłusznie głową i zanurzył się w nicości.



Eli wystrzelał wszystkie pozostałe naboje wokół siebie, ale po ludziach, których chciał trafić, nie było już ani śladu. Zawył z wściekłości i wysunął magazynek, który upadł ze stukiem na podłogę. Eli zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu drugiego, pełnego.

– Obserwuję cię teraz i wydaje mi się, że patrzę na dwóch różnych ludzi.

Odwrócił się na dźwięk tego głosu i zobaczył Victora opierającego się o betonowy filar.

– Vic...

Tamten nie wahał się ani sekundy. Strzelił trzy razy w pierś Elia, celując w te same miejsca, gdzie na jego ciele znajdowały się blizny, dokładnie tak jak pragnął przez ostatnie dziesięć lat.

Czuł się przy tym wspaniale. Obawiał się, że tak długie oczekiwanie i wyobrażanie sobie, jak to będzie, osłabi satysfakcję z realnej zemsty, gdy ta wreszcie nastąpi, ale tak się nie stało. Powietrze zawibrowało wokół nich, a Eli jęknął i złapał się krzesła, kiedy moc Victora zwielokrotniła ból.

– To dlatego pozwoliłem ci żyć – powiedział wolno Victor. – Dlatego cię tak lubiłem. Ten twój zewnętrzny urok i wewnętrzne zło. W pięknym opakowaniu krył się potwór, na długo zanim umarłeś.

– Nie jestem potworem! – zawył Eli, wydłubując jeden z pocisków z ramienia i upuszczając zakrwawiony kawałek ołowiu na podłogę. – Jestem boskim wysłan... – Nie dokończył, bo Victor był już przy nim i dźgnął go nożem w pierś. Przedziurawił płuco, o czym świadczyło zdławione westchnienie zranionego. Usta Victora drgnęły. Poza tym jego twarz pozostała nieruchoma, lecz kostki dłoni zaciśniętej wokół rękojeści zbiały.

– Dość – wycedził. Suwak w jego głowie powędrował kilka ząbków wyżej. Eli wrzasnął. – Nie jesteś aniołem zemsty, Eli – wyjaśnił uprzejmie. – Nie zostałeś pobłogosławiony, nie masz w sobie nic boskiego ani nie zostałeś obarczony żadnym zadaniem. Jesteś efektem eksperymentu naukowego.

Po czym wyciągnął nóż. Eli przykląkł na jedno kolano.

– Nie rozumiesz – wyrzeźił. – Nikt nie rozumie...

– Kiedy nikt, ale to nikt cię nie rozumie, to zwykle znak, że jesteś w błędzie.

Eli klęczał teraz na betonie, ale wciąż usiłował dosięgnąć prowizorycznego stołu. Jego skóra szybko się zrastała.

Victor spojrział na stół i leżący na nim rząd noży. Tak jak tamtego dnia.

– Och, czyżby powiew nostalgii? – zapytał, po czym kopnął stół, przewracając go. Noże rozleciały się po podłodze. Zauważył kątem oka, że ciało psa zniknęło.

– Nie możesz mnie zabić – sapnął Eli. – Wiesz o tym doskonale.

Victor uśmiechnął się szeroko i wbił mu nóż między żebra.

– Wiem – powiedział głośno, tak by rozmówca usłyszał go poprzez wrzask bólu. – Mimo to pozwolisz, że spróbuję. Tak długo na to czekałem!



Sekundę później Dominik pojawił się ponownie, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc za sobą wielkiego, martwego psa. Osunął się na ziemię koło ciała, oddychając ciężko. Sydney pośpieszyła ku niemu, podziękowała gorąco, a potem poprosiła, żeby się odsunął. Zwłókł się na bok i patrzył, jak przesuwa dłoń nad bokiem psa, lekko muskając ranę. Cofnęła rękę, całą w ciemnej czerwieni, i zmarszczyła brwi.

– Mówiłem ci przecież – odezwał się Dominik. – Przykro mi...

– Ćśśś! – przerwała mu, a potem napała na żebra psa szeroko rozłożonymi dłońmi. Wciągnęła spazmatycznie

powietrze, kiedy zimno rozlało jej się po ramionach. – No, już! – szepnęła. – Dawaj, Dol!

Nic się jednak nie stało. Ogarnęło ją rozpaczliwe rozczarowanie. Sydney Clarke dawała zmarłym drugą szansę... jednak ten pies dostał ją już wcześniej. Naprawiła go raz, ale nie wiedziała, czy potrafi zrobić to ponownie. Nacisnęła mocniej i poczuła, jak zimno coś z niej wysysa.

Pies nadal leżał martwy i sztywny jak deska.

Zadrzała. To nie powinno być takie trudne! Sięgnęła jeszcze raz, nie dłońmi, lecz czymś innym, tak jakby mogła znaleźć w nim gorącą iskrę i przytrzymać ją. Sięgała wciąż i wciąż, przez sierść i skórę, przez zeszywniałe mięśnie, mimo że ręce zaczęły jej cierpnąć, a płuca kurczyły się boleśnie.

Aż wreszcie poczuła to i złapała. W jednej chwili ciało psa rozluźniło się, stało się znów miękkie. Łapy drgnęły, pierś uniosła się w oddechu, przez chwilę pozostała bez ruchu, lecz potem znów się uniosła, aż wreszcie Dol przeciągnął się i usiadł.

Dominik skoczył na równe nogi.

– Dios mio, mój Boże! – wyszeptał i się przeżegnał.

Sydney siedziała, łapiąc oddech i opierając głowę o łeb Dola, aż wreszcie była w stanie wydusić z siebie:

– Dobry pies!



Victor uśmiechnął się szeroko. Doskonale się bawił, usiłując zabić Elia. Za każdym razem, kiedy myślał, że tamten się poddał, Eli znów się regenerował, dając Victorowi szansę na kolejną próbę. Żałował, że zabawa nie może potrwać jeszcze

chwilę dłużej, ale patrząc na wijące się w męce ciało Elia, był pewny jednego: skupił na sobie niepodzielną uwagę ofiary. Eli zachłysnął się krzykiem, po czym niepewnie stanął na nogi w kałuży krwi.

Pokrywała śliską powłoką sporą połać podłogi. W większości pochodziła z ciała Elia, ale nie cała.

Krew ciekła też z jednego z ramion Victora i jego brzucha. Po ostatnim postrzale Eli zdołał podnieść z podłogi paskudne wyglądający nóż kuchenny i zadać nim przeciwnikowi kilka płytkich cięć. W pistoletach skończyła się już amunicja, więc obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie, krwawiąc, uzbrojeni już tylko w białą broń – Eli w kuchenne, zębate ostrze, a Victor w swój motylkowy nóż.

– Marnujesz czas – ostrzegł Eli, ściskając rękojeść. – Nie możesz wygrać.

Victor odetchnął głęboko i lekko się skrzywił. Musiał obniżyć nieco własny próg bólu, ponieważ nie mógł sobie pozwolić na wykrwawienie. Jeszcze nie teraz. I na pewno nie mógł stracić przytomności w niekontrolowany sposób. Usłyszał daleki dźwięk policyjnych syren. Czas się kończył. Rzucił się na Elia, lecz zdołał tylko musnąć jego koszulę. Przeciwnik odbił jego cios i zagłębił własny nóż w nodze Victora, który syknął ostro, kiedy kolano odmówiło mu posłuszeństwa.

– I jaki miałeś plan? – zakpił Eli, wyciągając rękę – nie w kierunku Victora, lecz krzesła, sięgając po coś, co leżało tam, zwinięte, a czego Victor przedtem nie zauważył. – Słyszysz? To jadą gliniarze. Wszyscy są po mojej stronie. Nikt się nie zjawi, żeby cię ocalić!

– Taki był plan – wykaszał Victor, skupiając wzrok na tym, co trzymał teraz Eli. Cienka metalowa linka, ostra jak brzytwa.

– Ty i te twoje plany! – rzucił ostro Eli. – No więc ja też coś zaplanowałem!

Victor spróbował się uchylić, ale był zbyt wolny. Eli zakręcił linką w powietrzu i złapał w pętlę rękę przeciwnika z nożem, po czym szarpnął ostro. Drut werżnął się w nadgarstek, przecinając skórę do krwi i zmuszając Victora do upuszczenia ostrza, które stuknęło o beton. Eli złapał jego drugą rękę w miażdżący uścisk, po czym również owinął ją linką. Victor cofnął się o krok, lecz metalowa uwięź wbiła się tylko głębiej w jego skórę.

Wówczas zauważył, że drugi koniec linki został przewleczony przez krzesło, które Eli musiał przymocować do podłogi, ponieważ stało nieruchomo przez cały czas, kiedy walczyli, a także teraz, gdy Eli pociągnął za swój koniec zaimprovizowanego lassa, luźna część linki wyprężyła się, przyciągając związane dłonie Victora do oparcia. Krew ściekała mu po nadgarstkach – zbyt szybko. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Słyszał teraz wyraźnie coraz głośniejsze syreny i wydało mu się, że dostrzega przez plastikowe płachty czerwień i błękit policyjnych świateł. Kolory tańczyły mu przed oczami.

Uśmiechnął się ponuro i całkowicie wyłączył odczuwanie bólu.

– Nigdy mnie nie zabijesz, Eli – odezwał się prowokacyjnie.

– Tu się mylisz – odparł tamten. – A tym razem mam zamiar patrzeć, jak życie dosłownie wypływa ci z żył – dodał, ściągając ciaśniej uwięź.



Mitch obserwował, jak ciało Sereny płonie, i próbował ignorować kanonadę, dochodzącą z wnętrza budynku. Musiał zaufać Victorowi. Ten facet zawsze miał plan. Ale gdzie był teraz? I gdzie, u licha, był Dominik?

Skoncentrował się na ciele i zadaniu, jakie mu wyznaczono, dopóki za parkanem nie zaczęły migotać czerwone i błękitne światła, rzucając kolorowe błyski na ciemny budynek. Coś poszło nie tak. Policjanci nie dotarli jeszcze na plac budowy, ale za parę minut pojawią się ich tu całe tłumy. Mitch nie mógł ryzykować wyjścia przez główną bramę, więc okrążył budynek, by opuścić plac przez szparę w ogrodzeniu. Natychmiast natknął się na Sydney, pochylającą się nad półżywym Dolem, i Dominika, stojącego nad tą dwójką i modlącego się bezgłośnie.

– Sydney Clarke! – warknął z irytacją. – Co tutaj robisz, do jasnej cholery?

– To przez nią. Kazała mi znaleźć jakieś bezpieczne miejsce – wyszeptała dziewczynka, głaszcząc psa.

„Przez nią”, pomyślał Mitch. Zapewne przez tę samą „nią”, której zwłoki płonęły teraz po drugiej stronie budynku.

– I przyszedłeś tutaj? Właśnie tu?

– Ten pies był martwy – wyszeptał Dominik. – Widziałem to... Był martwy jak... jak nie wiem co... a teraz...

Mitch niecierpliwie pociągnął go za rękaw.

– Wyprowadź nas stąd. Ale już!

Dominik oderwał wzrok od dziewczyny i psa, nieco oprzytomniał i najwyraźniej dostrzegł błyskające nad drewnianym parkanem światła. Usłyszeli trzask zamykanych drzwi radiowozów i stuk policyjnych butów po chodniku.

– Cholera!

– Tak, właśnie o to mi chodzi.

– A co z Victorem? – zapytała Sydney.

– Musimy gdzieś na niego poczekać. Nie tutaj, Syd. Żaden plan nie przewiduje czekania w tym miejscu.

– A jeżeli będzie potrzebował pomocy? – zaprotestowała.

Mitch spróbował przywołać na twarz optymistyczny uśmiech.

– To Victor – powiedział. – Nie ma takiej sytuacji, z którą by sobie nie poradził.

Kiedy już Sydney chwyciła Dola, Dominik złapał Sydney, Mitch ścisnął ramię Dominika, a potem wszyscy zniknęli w cieniu, olbrzymia zdjęło jednak straszne przeczucie, że się mylił, a jego klątwa odnalazła go nawet tutaj.



Eli usłyszał kroki policjantów i wykrzykiwane przez nich rozkazy. Przedzierali się przez pomieszczenia pełne plastikowych płacht. Victor skulił się na podłodze, a wokół krzesła rozlała się wielka kałuża jego krwi. Oczy miał otwarte, ale coraz bardziej szkliste i nieprzytomne. Eli chciał, by to trofeum przypadło w udziale jemu, nie policjantom z Merit, a już na pewno nie Serenie.

Jemu i tylko jemu.

Dostrzegł na podłodze nóż przeciwnika i podniósł go, po czym kucnął przed Victorem.

– Ale mi... bohater... – wydusił z siebie tamten urywanym, wysiłonym szeptem. Wówczas Eli starannie wycelował ostrze pomiędzy jego żebra.

– Do widzenia, Victorze – powiedział.

A potem potężnie dźgnął.



Dominik upadł.

Wylądował na czworakach w alejce cztery przecznice od budowy Falcon Price, w bezpiecznej odległości od tłumy policjantów, płonącego trupa dziewczyny i pistoletów. Krzyknął z bólu. W tym samym momencie Sydney złapała się za ramię, a Mitch potarł swoje posiniaczone żebra. Ból wylał się na całą trójkę z siłą wodospadu, niczym gorący oddech, powstrzymywany przez długi czas. Po chwili zdali sobie wszyscy sprawę, co to oznacza.

– Nie! – wrzasnęła Sydney, odwracając się w kierunku wieżowca.

Mitch złapał ją wpół, krzywiąc się, gdy zaczęła kopać i krzyczeć, każąc mu postawić się z powrotem na ziemi.

– To koniec – wyszeptał jej do ucha mimo protestów. – To koniec. To koniec. Przykro mi. To koniec.



Eli patrzył, jak oczy Victora rozszerzają się, potem zachodzą mgłą śmierci, a jego czoło pochyła się aż do metalowego oparcia krzesła. Nareszcie martwy. Eli czuł się dziwnie: jako jedyny wierzył, że Victor jest niepokonany – i mylił się. Wyciągnął nóż z piersi zabitego i stanął na zalanym krwią betonie, czekając na swoją chwilę ciszy, na moment wewnętrznego spokoju. Zamknął oczy, odchylił głowę i czekał, czekał, czekał, aż do

pomieszczenia wpadli policjanci, prowadzeni przez śledczego Stella.

– Proszę odsunąć się od ciała – rozkazał Stell, unosząc broń.

– Wszystko w porządku – odparł Eli. Otworzył oczy i popatrzył na nich nieśpiesznie. – To już koniec.

– Ręce na głowę! – krzyknął inny funkcjonariusz.

– Odłóż nóż! – dodał kolejny.

– Ależ wszystko w porządku – powtórzył Eli. – Ten człowiek nie stanowi już zagrożenia.

– Ręce do góry! – zażądał Stell.

– Zająłem się nim. Nie żyje! – wyjaśnił Eli z coraz większym oburzeniem, wskazując dłonią kałuże krwi i martwego człowieka, przywiązanego metalową linką do oparcia krzesła. – Nie widzicie? Jestem przecież bohaterem!

Policjanci wycelowali w niego pistolety. Wrzeszczeli i patrzyli na Elia tak, jakby był potworem. Dopiero wtedy dotarło do niego, że ich oczy nie są już szkliste. Urok zniknął.

– Gdzie jest Serena? – zapytał gniewnie, lecz pytanie to zginęło wśród ryku syren i wrzasków policjantów. – Gdzie ona jest? Serena wszystko wam powie!

– Odłóż. Broń! – zażądał Stell, podnosząc głos.

– Powie wam, że jestem bohaterem! – odkrzyknął Eli, rzucając nóż. – Ocaliłem was wszystkich!

Gdy jednak ostrze upadło na podłogę, gliniarze ruszyli na niego i powalili go na podłogę. Dostrzegł stamtąd martwą twarz Victora, która najwyraźniej uśmiechała się do niego.

– Eli Ever, jesteś aresztowany za zamordowanie Victora Vale’a...

– Czekaście! – krzyknął, kiedy zakładali mu kajdanki. – Ciało!

Stell odczytał mu prawa, a dwóch policjantów postawiło go z powrotem na nogi. Kolejny funkcjonariusz podszedł do Stella i powiedział mu półgłosem coś o ogniu na placu budowy.

Eli niemal wyrwał się z uścisku.

– Musicie spalić ciało!

Stell dał znak, a policjanci pociągnęli mężczyznę przez plastikowe zasłony, ku wyjściu.

– Stell! – wrzasnął znowu Eli. – Musicie spalić zwłoki Vale'a!

Jego słowa odbijały się echem od betonu, gdy śledczy, pomieszczenie zalane krwią i ciało Victora znikwały za kolejnymi płachtami plastiku.

XXXVI

DWIE NOCE PÓŹNIEJ CMENTARZ MERIT

Sydney poprawiła łopatę niesioną na ramieniu.

Powietrze było chłodne, ale tej nocy panowała piękna pogoda. Księżyc oświetlał potrzaskane płyty nagrobne i zagłębienia w trawie, kiedy przemykała przez cmentarz. Dol truchtał koło niej. Ponowne wskrzeszenie przyszło jej dużo trudniej, ale się udało, a teraz pies szedł przy jej nodze tak, jakby jego nowe życie rzeczywiście było nierozdzielnie z nią związane.

Tuż za nimi podążał Mitch, niosąc dwa kolejne szpadle. Zaproponował wcześniej Sydney, że poniesie także jej łopatę, lecz dziewczynka czuła, że powinna taszczyć ją sama. Dominik włókł się kilka metrów za nimi, oszołomiony środkami przeciwbólowymi i whiskey, potykając się co kilka kroków o kępę chwastów albo odłupany kawałek płyty. Sydney wcale się to nie podobało – cierpiący były żołnierz, napruty i opryskliwy, nie nadawał się do niczego – ale próbowała teraz o tym nie myśleć. Zagłuszała również myśl o własnym bólu, płynącym z rany postrzałowej w rękę. Mięśnie i skóra goiły się wolno. Miała nadzieję, że zostanie jej na ramieniu widoczna blizna, przypominająca o chwili, kiedy jej życie się zmieniło.

Była jednak pewna, że i bez tego zapamięta wszystko, co wydarzyło się przez ostatni tydzień.

Znów poprawiła łopatę na ramieniu i zastanowiła się, czy Eli będzie żyć wiecznie, i jak wiele wydarzeń można zapamiętać z wieczności, zwłaszcza jeżeli żadne z nich nie zostawia po sobie śladu.

Eli stał się zresztą w ostatnich dniach ulubionym tematem mediów.

Sydney i Mitch oglądali wiadomości, w których pojawił się po raz pierwszy: szaleniec, który zamordował dwoje ludzi w nowobudowanym wieżowcu Falcon Price, utrzymujący, że jest zabójcą potworów, a nawet „bohaterem”. Dziennikarze twierdzili, że uśmiercił młodą kobietę na placu budowy i spalił jej ciało, a potem torturował i ostatecznie zabił byłego współnika w jednym z pomieszczeń na parterze. Tożsamość pierwszej z ofiar nigdy nie została upubliczniona, tym bardziej, że policjanci musieli ją zidentyfikować na podstawie danych stomatologicznych, ale Sydney zdawała sobie sprawę, że to Serena. Wiedziała o tym wcześniej, jeszcze zanim kazała Mitchowi włamać się do systemu i skopiować raport koronera. Potrafiła wyczuć nieobecność siostry w sercu, w miejscu, gdzie spotykały się nici wiążące rodzeństwo. Nie wiedziała tylko, dlaczego Eli miałby to zrobić, ale była pewna, że kiedyś się tego dowie.

Dziennikarze nie interesowali się Sereną w takim stopniu jak Eliem.

Z ich relacji wynikało, że policjanci zastali zakrwawionego mężczyznę nad ciałem Victora, wciąż z nożem w dłoni, krzyczącego, że jest bohaterem i ocalił ich wszystkich. Kiedy zaś nikt nie uwierzył w zapewnienia o bohaterstwie, mężczyzna próbował wmówić im, że miała tu miejsce zacięta walka. Ponieważ jednak zwłoki jego przeciwnika były okrutnie pocięte,

a u Elia nie znaleziono nawet draśnięcia, policjanci również potraktowali tę wersję sceptycznie. Gdy dodano do tego papiery znalezione w torbie Elia, w jego pokoju hotelowym – bo najwyraźniej nie postarał się, tak jak Victor, spalić wszystkiego, co mogłoby posłużyć jako dowód – a także profile z jego komputera, liczba jego ofiar szybko podskoczyła do dwucyfrowej. W wiadomościach nikt nie wspomniał o zaangażowaniu Wydziału Policji Merit w ostatnie morderstwa, natomiast podano jeszcze, że Elia czekały teraz badanie psychiatryczne, a potem proces.

W żadnej relacji nie określono go także mianem PonadPrzeciętnego, ale może to i lepiej. Gdyby gdziekolwiek pojawiła się wzmianka na ten temat, Eli nie miałyby w więzieniu łatwego życia: jeśli zostałby zraniony lub okaleczony, po niedługim czasie prześladowcy zapewne chcieliby powtórzyć tortury od nowa. Musiałby mieć szczęście, by umieszczono go w izolatce, tak jak Victora. Sydney miała nadzieję, że tak się nie stanie. Sądziła również, że gdyby ktoś się dowiedział o zdolności mężczyzny do regeneracji, to regularne próby zabicia go stałyby się ulubioną rozrywką współwięźniów.

Zanotowała w pamięci, by zaaranżować przeciek tej informacji do więzienia, w którym osadzą Elia po procesie.

Na cmentarzu panowała głęboka cisza, w której było słycać tylko stłumione przez trawę kroki nocnych gości, więc Sydney próbowała nucić pod nosem, podobnie jak Victor, kiedy wybrali się, by wykopać Barry'ego. Melodia w jej wykonaniu brzmiała jednak inaczej – dziwacznie i smutno – więc umilkła i skoncentrowała się na odnalezieniu drogi zgodnie z mapą, narysowaną grubym mazakiem na własnej ręce. Sporządziła ją

w dzień, ale cmentarz Merit, podobnie jak większość takich miejsc, wyglądał w nocy inaczej.

Ostatecznie dostrzegła świeży grób i przyśpieszyła kroku. Nie znajdowały się na nim żadne oznaczenia poza książką Victora, którą ustawiła przed południem u wezglowia ziemnej mogiły pionowo, niczym płytę nagrobną, odczekawszy najpierw za kamiennym aniołem, aż grabarze skończą pracę i odejdą. Poza nimi był tam również ten policjant, śledczy Stell. Został do końca pogrzebu, patrząc, jak prosta drewniana trumna zjeżdża w dół, a potem zostaje zasypana ziemią.

Mitch stanął obok niej i oboje patrzyli przez chwilę na grób, zanim Sydney zagłębiła łopatę w ziemi i wzięła się do roboty. Dol obwąchiwał pobliskie kwatery, ani na chwilę nie spuszczał swojej pani z oka, a Dominik przywłókł się wreszcie na miejsce i siadł na kamieniu, rozglądając się, czy ktoś nie nadchodzi. Pozostała dwójka kopała zawzięcie.

Łup.

Łup.

Łup.

Przerzucali ziemię, aż powietrze zaczęło się ogrzewać, nocna ciemność – blednąć, a w odległej części nieba pierwszy brzask liznął dachy domów Merit. Tuż przed świtem jedna z łopat uderzyła w drewno. Zaraz potem oczyścili wieko trumny z ziemi i unieśli je.

Sydney spojrzała na ciało Victora, a potem przysiadła na brzegu trumny i przycisnęła ręce do jego piersi, sięgając swoją mocą tak głęboko, jak potrafiła. Chwilę później chłód ogarnął jej ramiona, zaparło jej dech w piersiach, ale serce pod jej dłońmi zaczęło bić.

Victor Vale otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

PODZIĘKOWANIA

Dla mojej rodziny za to, że nie patrzyli na mnie dziwnie, kiedy powiedziałam im, o czym chciałabym napisać książkę.

Dla mojej agentki, Holly, za to, że nie patrzyła na mnie dziwnie, kiedy powiedziałam jej, o czym jest książka, którą napisałam.

Dla Patricii Rile, która ukochała wszystkich członków mojej powieściowej bandy (a zwłaszcza Mitcha i jego mleko czekoladowe).

Dla Ruty Sepetys, która wysłuchiwała mojego bełkotu, a potem bardzo poważnie powiedziała mi, żebym dokończyła pisać tę książkę.

Dla Jen Barnhardt za to, że chodziła ze mną do kina na wszystkie adaptacje komiksów, nawet te słabsze.

Dla Rachel Stark za to, że zawsze zadawała trudne pytania i zmusiła mnie do tego samego.

Dla Matthew Leacha i Deanny Maurice, którzy podzielili się ze mną wiedzą medyczną.

I dla Sophie, za wymyślenie nazwy „PonadPrzeciętni”.

Dla moich czytelników, którzy towarzyszyli mi przez bagna i ciemne komnaty, aż zawędrowaliśmy razem do centrum Merit.

A także dla Miriam, mojej redaktorki, która sprawiła, że każdy etap tej podróży był tak wspaniały: od pierwszego nabazgranego narwała aż po ostatnie nocne dyskusje o moralności, śmiertelności i nikczemności. Teraz wiem, że nie chciałabym pracować nad tą książką z nikim innym.